



PRZEMYSŁAW



PIOTROWSKI

NIC DO STRACENIA

CZARNA OWCA

PRZEMYSŁAW 

**PIOTROWSKI**

**NIC DO STRACENIA**

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**



Copyright © by Przemysław Piotrowski, 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Redakcja: Ewa Skibińska

Korekta: Beata Wójcik, Bartosz Szpojda

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-618-9

WYDAWNICTWO

**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czar-naowca.pl](http://www.czar-naowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

# Spis treści

[PROLOG](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Epilog](#)

[Od Autora](#)

*Matkom córek i synów – wszystkim  
prawdziwym lwicom...*

# PROLOG

M ózg kolegi ochlapał mu twarz.

Nie bardzo mógł coś z tym zrobić, bo ręce miał skrupowane za plecami, a powieki tak ściśnięte owiniętą wokół głowy folią, że nie był w stanie nawet zamrunąć. Oblizwał wargi i splunął krwią. Sam już nie wiedział, czy to jego własna, czy resztki ze zgruchotanej czaszki kompana. Pomyślał, że to musiało się tak skończyć. Prędzej czy później.

– I po co się tak męczyć? – zapytał mężczyzna, nachylając się nad nim. Miał tylko spodnie i buty, a jego naga klatka piersiowa była zbryzgana krwią. – Powiedz, że się zgadzasz, i znów będziemy rodziną – dodał, opierając młot o ścianę.

– Nie masz pojęcia, co znaczy to słowo – wyjącał.

– Jakie słowo?

– Rodzina.

– Ech...

Mężczyzna z brodą skinął na dwóch innych, którzy chwycili za nogi targane śmiertelnymi spazmami zwłoki. Przysiadł na krześle i sięgnął po butelkę z wodą. Napił się, obserwując, jak podkomendni wynoszą ciało. Z twarzy została niepodobna do niczego miazga, która jeszcze chwilę temu miała imię. Brzmiało Abdullah, co znaczyło Sługa Allaha, ale najwyraźniej zostało ono nadane na wyrost. Słudzy Allaha są wierni i nie rejterują.

W piwnicy było gorąco jak w piekarniku. Mężczyzna wylał resztę wody na kark i klatkę piersiową, po czym obmył ręce, wytarł dłonie w nogawki i wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów. Przez dłuższą chwilę palił w milczeniu, wpatrując się w obdrapaną ścianę. W kilku miejscach nosiła ślady po kulach albo rozbryzgach krwi, a kilka świeżych kropel niespiesznie spływało ku podłozu. W końcu charknął, splunął i podrapał się po głowie.

– Nie wiem, dlaczego jesteś taki uparty – podjął, wydłubując coś z brody. Mały fragment kości chwilę później z charakterystycznym odgłosem upadł na betonową wylewkę. – Przecież wiesz, że nie masz wyjścia. Zrobisz, co ci każemy. Prędzej czy później.

Nie odpowiedział. Ciężko dyszał przez wycięte w folii otwory. Nie miał już sił. Od trzech dni go katowali, a teraz jeszcze roztrzaskali młotem na jego oczach głowę kolegi. Próbowali go złamać, ale trafili pod zły adres. Nie bał się śmierci.



Tak naprawdę zaprzedał duszę diabłu już dawno temu i doskonale zdawał sobie sprawę, że przyjdzie czas, gdy ten się o niego upomni. Zrobił to w najmniej oczekiwanym momencie, ale trudno – los bywa przewrotny i naprawdę złośliwy. Przekonał się o tym wielokrotnie. Nigdy jednak nie sądził, że zadrwi z niego w tak kuriozalny sposób. Bo nawet jeśli nie był święty i zdołał w życiu nagrzeszyć całym sporo, to miał zasady, których nigdy nie łamał.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, więc lepiej weź ten młot i to zakończ – powiedział.

Brodacz włożył papierosa do ust, wstał z krzesła i podrapał się po gołej klatce. Chwytał narzędzie. Młot miał długi trzon i obustronny obuch, którym spokojnie można było wbijać nity kolejowe. Zaciągnął się mocno i przez chwilę ważył go w dłoniach, zerknął z ukosa na więźnia, po czym odłożył z powrotem.

– Ona nie jest tego warta – powiedział, wydmuchując gęstą chmurę dymu.

– Gównu wiesz. Ona jest więcej warta niż cała zgraja tych popaprańców. Poza tym... – prychnął. – Nie zrozumiesz...

– Nawet jeśli jest, jak mówisz, to jakie to ma teraz znaczenie? Podpisałeś jebany cyrograf? Podpisałeś. Więc musisz wykonywać rozkazy. Proste jak drut.

– Lepiej mnie zabij i miejmy to z głowy.

– Jeśli będę musiał, zrobię to. Nie jestem ci nic winien.

– Nie będę miał pretensji. Po prostu to zrób.

– Kurwa mać!

Mężczyzna grzmotnął pięścią w ścianę z taką siłą, że dało się słyszeć trzask przeskakujących kostek śródręcza, a w miejscu uderzenia odłupał się kawałek tynku. Zaklął raz jeszcze i przez chwilę krążył w tę i w tę jak dziki zwierzę w klatce, w końcu wyrzucił niedopałek, zgniótł go butem i wyszedł z piwnicy.

Wrócił po nieokreślonym czasie. A on wciąż siedział skuty, na wpół zgięty, z głową nienaturalnie wykręconą i przytwierdzoną folią do żeliwnego pieca. Oczy go zapiekły, gdy w piwnicy znów rozbłysło światło. Nie mógł jednak nawet zamrugać. Stęknął, zakaszłał.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział brodaczu, gdy kucnął przy więźniu. Zaciągnął się i dmuchnął mu dymem w twarz. – Damy ci teraz ostatnią szansę. Zgódź się, zrób, co musisz, i będziesz wolny.

– Jasne...

– Sześć obiecał. Powiedział, że daje ci słowo honoru.

Przykuty mężczyzna prychnął.

– To żeś mnie... teraz rozbawił – wycharczał.

– Zmuszasz mnie do czegoś, czego bardzo nie chcę robić.

– Kończ...

Brodacz zgasił peta na żeliwnym piecu i podniósł się z kucek. Wylał pot z czoła, po czym spojrzał z góry na więźnia i ciężko westchnął.

– Wprowadźcie ich – rzucił w kierunku uchylonych drzwi.

Zawiasy skrzyknęły i w progu stanęły trzy wąte postaci. Folia, którą szczerlnie owinięto mu głowę, była zabrudzona zakrzepłą krwią, a do tego zaparowała, ale

i tak był w stanie rozpoznać kontury. Pomyślał, że doprawdy jest głupcem i nie zasługuje na szybką śmierć.

# Rozdział 1

Powietrze było rześkie i przejrzyste.

Luta Karabina otworzyła drzwi samochodu i wyjęła z wewnętrznej wnęki skrobaczkę do szyb. Nie uruchomiła silnika, bo kilka dni wcześniej jakiś wredny sąsiad wezwał policję i dostała mandat. Takie prawo, powiedział konus w mundurze, i choć z początku próbowała dyskutować, ostatecznie przyjęła karę. Rzeczywiście, facet miał podstawę prawną, bo artykuł 60, ustęp drugi ustawy *Prawo o ruchu drogowym* mówił wyraźnie, że „kierującemu zabrania się pozostawiania pracującego silnika podczas postoju na obszarze zabudowanym”. Trudno jej było uwierzyć, że ktoś może stworzyć tak idiotyczny przepis, ale uznała, że nie ma o co kruszyć kopii. Zapłaciła stówę na miejscu, odwiozła dzieci do szkoły i przedszkola, a następnie pojechała do jednostki.

Po tym, co wydarzyło się jakieś półtora roku temu, postanowiła, że nie zostawi już Franka i Werki na dłuższy czas. Złożyła wymówienie i praca w Norwegii stała się historią, tak jak kiedyś historią stały się wyjazdy do Iraku czy Afganistanu. Zatrudniła się w miejscowej jednostce w Sulechowie, gdzie zajmowała się szkoleniem młodych żołnierzy w zakresie sztuk walki oraz tych, którzy pragnęli w przyszłości próbować swoich sił w jednostkach specjalnych. Może nie zarabiała kokosów, ale przynajmniej miała dzieci na co dzień, zwłaszcza że do tej pory nie do końca otrząsnęła się z traumy po porwaniu córki. I choć starała się zachowywać normalnie, to podczas każdego spaceru miała oczy dookoła głowy. Franek trochę się o to złościł, bo jego koledzy regularnie wychodzili już na podwórko bez opieki rodzica, a ona wciąż nie mogła się w tej kwestii przełamać.

– Może kup mu smartwatcha – zasugerował przed kilkoma tygodniami Emil.

Wciąż spotykali się głównie na seks, ale w ostatnim czasie coraz częściej zwierzała mu się ze swoich mniejszych bądź większych problemów, przez co kochanek stał się jej znacznie bliższy. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, i choć mocno wzbraniała się przed głębszymi emocjami, to w jego towarzystwie czuła się po prostu swobodnie. Zaczęli wychodzić do kina, przełamała się i przedstawiła go swoim dzieciom, a w ostatnie wakacje wybrali się nawet na wspólny wypoczynek do Chorwacji. Ona z Frankiem i Werką, on zabrał swoją nastoletnią córkę Oliwię. Wciąż trzymali się jednak ustalonych reguł, tak trochę na zasadzie, że każdy sobie rzepkę skrobie. Na razie chyba obojgu to pasowało.

– Prawie wszystkie dzieciaki w jego wieku takie teraz noszą – kontynuował Emil. – Te zegarki mają wszystko: GPS, alarm rodzicielski, kamerkę, można nawet...

– Wiem – ucięła. – Myślałam już o tym.

– To mu taki kup. Będiesz miała pełną kontrolę. Poza tym kiedyś musisz wrócić do normalnego życia...

Tak naprawdę już dawno cichaczem wcisnęła dzieciakom do plecaków GPS-y, i to nie sklepowe zabawki za kilka stów. Miała kontrolę, choć wciąż uważała, że niewystarczającą. Natomiast takie opinie, jakie od czasu do czasu wygłaszał Emil, w jej ocenie wydawały się niepoważne. Owszem, zdawała sobie sprawę, że podobne zdanie chowa w sercach większość bliskich jej osób, ale wszyscy oni mieli co najwyżej blade pojęcie o tym, co w życiu widziała, co przeżyła i przede wszystkim – kim tak naprawdę była. Jakoś nauczyła się funkcjonować w tym matriksie, ale lęk przed ponowną utratą dziecka wciąż trawił ją od środka. Raz udało się wybrnąć z koszmaru, ale drugim razem mogła nie mieć tyle szczęścia.

Luta skończyła skrobać auto i uruchomiła silnik. Odpalił z trudem. Jej zdezelowany volkswagen passat nadawał się już na złom, ale póki jeździł, nie miała zamiaru go sprzedawać, a tym bardziej utylizować. Włączyła wycieraczki, które zebrały resztki zmrożonego śniegu, i włączyła się do ruchu. Droga do Zielonej Góry zajęła jej około pół godziny. Ruch był niewielki, ale warunki drogowe bardzo trudne, dlatego nie przekraczała bezpiecznej prędkości. Przy budynku zlikwidowanego niedawno Intermarche przy osiedlu Pomorskim odbiła w kierunku Starego Kisielina. To tam mieszkał jej przyjaciel i człowiek, któremu zawdzięczała wszystko.

– Wpadnij do mnie, jak znajdziesz chwilę – poprosił ją poprzedniego wieczoru.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie sądzę, ale... – Szatan chrząknął. – No nie przez telefon...

– Zygmun... jeśli wydarzyło się coś...

Akurat miała całodobową służbę, więc mogłaby mieć problem, aby się wyrwać, ale emerytowany gliniarz zapewnił ją, że sprawa nie jest aż tak pilna, aby robiła w jednostce raban. Niespecjalnie ją to uspokoiło, więc przez całą noc nie zmrużyła oka. Nad ranem trochę wyluzowała, ale wciąż nie czuła się komfortowo.

Szatan mieszkał w chałupie na obrzeżach wsi. Nieodśnieżona droga okazała się dla jej wysłużonego passata sporym wyzwaniem i dwukrotnie prawie utknęła, ale ostatecznie jakoś udało się dotrzeć do celu. Zaparkowała pod zardzewiałą bramą i wysiadła z wozu. Leciwy budynek przykrywała gruba warstwa białego puchu, podobnie jak kurnik, chlew i stodołę. Po zagraconym podwórzu człapały kury, które od czasu do czasu pocieszenie ślizgały się na zamrożonych kałużach. Nie nacisnęła na przycisk dzwonka, bo w ciemno mogła założyć, że Szatan go nie naprawił, dlatego od razu szarpnęła klamkę i weszła na teren gospodarstwa. Wspięła się po małych schodkach na ganek i już miała zapukać, gdy z chlewu poniósł się znajomy głos.

– Już idę, Lutka. Kończę karmić starego – krzyknął nadkomisarz. Niemal natychmiast stanęły jej przed oczami obrazy, które najchętniej wyrzuciłaby z pamięci. – A jak chcesz, to chodź tutaj. Władymir na pewno się ucieszy.

– Poczekam – bąknęła.

– Jak tam sobie chcesz. Ale co ci powiem, to ci powiem. Aż trzepie uszami, gdy słyszy twój głos.

Z chlewu poniósł się radosny kwik, a potem kilka równie szczęśliwych chrupnięć. Luta skrzywiła się z niesmakiem. Szatan był porządnym facetem i dobrym gliną, ale zdecydowanie brakowało mu wyczucia i dobrego smaku.

Postanowiła nie komentować jego ostatnich słów. Oparła się o drewnianą barierkę i spróbowała zagłuszyć niespokojne myśli. Odgłosy z chlewu jedynie wzmogły narastający niepokój. Złapała się na tym, że najchętniej pojechałaby już odebrać dzieci, ale matka przecież dopiero co zaprowadziła je do szkoły i przedszkola. Zerknęła na smartfon, odpaliła aplikację śledzącą i wsłuchiwała się w szumy dochodzące z przedszkolnej sali. Charakterystyczny brzęk rozkładanych naczyń świadczył, że opiekunki właśnie szykują dzieciom śniadanie, ale dopiero wychwycony w tym harmidrze głos Werki sprawił, że poczuła większy spokój. Następnie połączyła się z urządzeniem w plecaku Franka – w szkole trwała lekcja, a nauczycielka akurat opowiadała o dokarmianiu leśnych zwierząt.

Kątem oka dostrzegła, że Szatan w końcu wytoczył się z chlewu. Wyłączyła smartfon i uniosła wzrok. Gospodarz w jednej ręce niósł puste wiadro po paszy, a w drugiej trzymał nieodłącznego papierosa. Kulał, jakby doskwierał mu ból w pachwinie albo miał problem z lędźwiowym odcinkiem kręgosłupa. Przemył wodą z przytwierdzonego do ściany kranu wysłużone naczynie, a następnie ręce. Wylał je w znoszone dresowe spodnie i wyciągnął dłoń w kierunku gościa. Luta mocno ją uściśnięła.

– Winszuję – mruknęła.

– A czegoś to, jeśli mogę spytać?

– Jesteś trzeźwy.

– Dżentelmeni przed południem nie piją.

– Dżentelmeni, powiadasz... – Luta uniosła brew i zmierzyła nadkomisarza od stóp do głów.

– Nie piję od czterdziestu dwóch dni. Śrubuję rekord.

Szatan odchrząknął, splunął i włożył niedopałek do stojącej na parapecie podłużnej doniczki w połowie wypełnionej zmrożoną ziemią. Być może kiedyś rosły w niej jakieś kwiaty, ale wszelki ślad po nich zaginął. Luta schowała smartfon do kieszeni.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zapytała.

– Wejść do środka. Zrobię kawy – odparł Szatan i nacisnął klamkę.

Wiekowe zawiasy zaskrzypiały, a chwilę później drzwi otwarły się na oścież. Stary gliniarz gestem zaprosił Lutę do środka, a gdy ta zniknęła we wnętrzu chałupy, kontrolnie omiótł wzrokiem dziurawą jak ser szwajcarski drogę dojazdową, po czym sam przekroczył próg. Zauważyła to, bo była na takie zachowania wyczulona.

– Co się dzieje? – zapytała, gdy weszli do kuchni.

– Doszły mnie plotki – odparł Szatan, nastawiając czajnik na gaz. Przez chwilę milczał w oczekiwaniu, aż woda się zagotuje.

– Możesz jaśniej? – Ton Luty stał się bardziej szorstki.

Nadkomisarz odkaslnął i oparł się łokciami o upačkany blat. Zapalił papierosa. Przez chwilę zastanawiał się, jak ująć w słowa to, co usłyszał od swojego człowieka. Nie chciał, żeby niepotrzebnie się denerwowała, ale umówili się, że będą się informować.

– Ten cały Pozioma... – mruknął.

– No...

– Facet nie żyje.

Luta zmarszczyła brwi. Informacja ją zaskoczyła, ale śmierć tego człowieka mogła mieć tysiąc powodów. Pozioma dostał bite dwadzieścia pięć lat, więc psychicznie mógł tego nie unieść, tym bardziej że współwięźniowie szybko wyniuchali, że miał udział przy sprawie porwania Werki. Każdy dodał coś od siebie, przybili mu pedofila i podobno szybko został przecwelony. To oznaczało ćwierć wieku piekła na ziemi.

– Samobójstwo? – zapytała z nadzieją w głosie. Gospodarz przytaknął i zalał kubki z kawą.

– Powiesił się w celi dwa tygodnie temu – powiedział. – Nie ma dowodów na udział osób trzecich, ale na wszelki wypadek...

– Dwa tygodnie temu? – Luta podniosła głos.

– Moje „ucho” akurat wzięło urlop. – Szatan podrapał się po podgardlu. – Tak czasem jest, że ludzie biorą urlop – dodał, widząc narastającą irytację rozmówcy.

Pozioma od początku był na cenzurowanym. Lutę drażniła sama świadomość, że facet wciąż oddycha, ale wtedy nie mogła się go pozbyć ot tak. Pewnych granic przekraczać nie mogła i musiała trzymać się planu, a ten – jeśli miał zadziałać, a jej udział w rozgrywce z Majskimi i Ozalanami pozostać w sekrecie – nie przewidywał odesłania na tamten świat tak Poziomy, jak i kilku innych podrzędnych oprychów. Gość wiedział jednak sporo i należało trzymać go za mordę, dlatego Szatan wykorzystał swoje znajomości w zakładzie penitencjarnym w Wołowie, skąd co jakiś czas dostawał raporty.

– Dobra, co dalej? – dopytała.

– Powęszyłem, popytałem tu i ówdzie. Wszystko wskazuje na to, że facet rzeczywiście powiesił się sam. Teoretycznie sprawa wydaje się prosta. Dostał ćwiarę i już po miesiącu przeczyścili mu komin. Taki start w więzieniu, gdzie większość osadzonych to stare garusy, szybko sprowadza na ziemię takich cwaniaków jak Pozioma. I w sumie trudno się dziwić, że chłop się targnął. Diabeł tkwi w szczegółach...

Szatan wręczył Lucie kubek i zasugerował, aby usiadła przy stole. Wcześniej zgarnął dłonią ze starej ceraty okruszki po chlebie i wytarł szmatką tłustą plamę po smalcu. Nie dbała o to. Zdążyła się przyzwyczaić, że gospodarz wszystko robi w żółtym tempie i nie należy do ludzi przesadnie pedantycznych w kwestii

zachowania czystości. Jego flegmatyczność zaczynała ją jednak dziś coraz bardziej irytować.

– Jakiś miesiąc temu, czyli to będzie jakieś trzy miesiące po tym, jak dostał wyrok i przewieźli go do Wołowa, podobno znalazł sobie kolegę – kontynuował Szatan. – Wiesz... po tym, jak zrobili z niego cwela, to o takiego niełatwo. Chadzał z nim po spacerniaku, ubezpieczał go w łaźni, no przykleił się do niego jak plaster. Niespecjalnie wzbudziło to moje zainteresowanie, bo gość też był świeży. Trafił do pudła za napad z bronią w rękę na Żabkę gdzieś pod Wrocławiem. Dostał krótki wyrok. Wiedziałem o tym wcześniej, ale nie drażyłem, bo nie czułem takiej potrzeby, ot kolejny dresiarz, któremu zabrakło na flaszkę albo fajki. – Szatan odkaslnął i zgasił peta w kryształowej popielniczce. Upił kawy. – Kilka dni przed śmiercią Poziomy mój człowiek, chwilę przed tym, zanim poszedł na urlop, poinformował mnie jednak, że facet zaczął wypytywać Poziomą o Majskich i całą tę akcję w masarni w Świebodzinie. Czysto teoretycznie nic wielkiego, bo osadzeni wiedzieli, że ten kiedyś pracował dla Cyryla i miał swój udział w porwaniu Weroniki. Ale ten jego kumpel był podobno, tak to ujęło moje „ucho” na miejscu, niezdrowo zainteresowany akcją w Świebodzinie.

– Pozioma nic na ten temat nie wiedział... – wcięła się Luta.

– No nie wiedział, bo skąd miał wiedzieć, jak go tam nie było. Ten nowy za to nie odpuszczał i zasypywał go pytaniami, a nawet zaczął oferować mu fajki i inne fanty, których w paczkach zawsze dostawał pod korek. Podobno, ale to już informacja z drugiej ręki, dzień przed śmiercią Poziomy z ust tego kolegi padło twoje nazwisko...

Przez ciało Luty przemknął nieprzyjemny dreszcz. Brzmiało naprawdę kiego, bo niewątpliwie ktoś węszył wokół sprawy i w tych okolicznościach śmierć Poziomy nabierała zupełnie innego wydźwięku.

– Sprawdziłeś tego człowieka?

– Nawet pomyślałem, aby go odwiedzić, ale... – Szatan chrząknął. – Facet skończył odsiadkę dwa dni po śmierci Poziomy. Wyszedł i zniknął.

– Jak to zniknął?

– Sam już nie mam dostępu do KSIP-u, ale poprosiłem kumpla z Wrocławia, aby wrzucił go na bęben. Marcin Rączkowski, lat trzydzieści pięć, zameldowany w mieszkaniu matki w Katowicach. Poza tym nic. Pomijając ten napad oczywiście. Żadnej kartoteki, nawet jednego mandatu. I co ciekawe, facet od razu zgodził się na propozycję prokuratora i krótką odsiadkę.

– Ile mu za to groziło?

– Teoretycznie nawet dziesięć lat, ale nie widziałem akt, więc nie wiem, co tam się stało. Tak czy inaczej, wyrok zapadł błyskawicznie, przynajmniej jak na polskie warunki.

– Co sugerujesz?

– Na razie wstrzymałbym się z jakimikolwiek hipotezami. W każdym razie krótko przed twoim przyjazdem zadzwoniłem do niejakiego Gienka, emerytowanego kryminalnego z katowickiej komendy. Jest w mieście szanowany i obiecał,

że popyta, a może nawet uda się wysłać pod adres zameldowania Rączkowskiego jakiegoś bystrzaka. Da mi znać.

Luta wyciągnęła z torebki podręczny notes i pospiesznie zanotowała najpotrzebniejsze informacje, łącznie z adresem. Przeszło jej przez myśl, aby samej tam pojechać, ale szybko odrzuciła ten pomysł, bo po pierwsze, w razie gdyby rzeczywiście ktoś przy sprawie węszył, łatwo by się odkryła, a po drugie, w tak niejasnej sytuacji nie mogła zostawić dzieci. Pomyślała, że musi opanować emocje. Od śmierci Poziomy minęły dwa tygodnie i w tym czasie nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Zauważyłaby, gdyby znalazła się pod obserwacją. Chyba...

Przez dłuższą chwilę milczeli. W głowie Luty przewijały się tysiące pytań, ale wobec tak skąpych informacji trudno było znaleźć na nie odpowiedzi. Czysto teoretycznie cała ta sprawa mogła być efektem ich przewrażliwienia, ale zdążyła nauczyć się dmuchać na zimne. Rączkowski mógł być po prostu ciekawskim opryskiem, ale też kimś dużo bardziej zorganizowanym. W tym drugim przypadku zaczynały się schody, bo taka akcja wymagała szeroko zakrojonego planowania. Luta zamknęła oczy, gdy wyobraziła sobie skalę potencjalnych zagrożeń.

– Masz jakiś pomysł, kto mógłby chcieć przy tym węszyć? – zapytała po chwili namysłu.

– Raczej nie Ozalanowie, choć Hakan wciąż nie oddał władzy, co gorsza, w końcu się pozbierał i zaczął zwierać szeregi. Mustafa twierdzi, że stary prawie nie wstaje z łóżka i niczego nie podejrzewa, ale kto go tam wie. Policja i prokuratura też są w kropce, bo nikt w Berlinie nie chce zeznawać, a klan powoli odbudowuje pozycję. Zrobił się przez to straszny kociokwik, bo szkopy do spółki z CBS-em zaczęły naciskać prokuraturę, aby nie sądzili Aleksandra za morderstwo...

– Chodzi o koronę?

– Dokładnie. Świadkiem koronnym nie może zostać człowiek skazany za morderstwo. A bez zeznań Aleksandra niemiecka prokuratura nie jest w stanie dobrać się Ozalanom do tyłków. Mam kontakt tak z nim, jak i jego adwokatem, i wiem, że sprawa ciągnie się jak krew z nosa. Miał już dwukrotnie postawione zarzuty i dwukrotnie je wycofywano. To zaczyna przypominać przeciąganie liny i mam wrażenie, że mój syn stał się pionkiem w rozgrywce pomiędzy politykami obu krajów. Niemcy marzą o tym, aby raz na zawsze pozbyć się Ozalanów, a Polacy trzymają klucz, żeby zamknąć cały klan za kratkami. Prokurator generalny wykorzystuje to natomiast do różnych nacisków na Berlin, a że Berlina nienawidzi równie mocno jak Moskwy, to pewnie będzie to robił, dopóki ta pojebana władza się nie zmieni.

– Wchodzimy na grząski grunt...

– Z twojej perspektywy dość bezpieczny, ale to bardzo naciągana teoria. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to najlepiej będzie się nie wychylać. Przynajmniej dopóki nie dowiemy się czegoś interesującego na temat tego Rączkowskiego.

– Półtora roku udaję grzeczną dziewczynkę...

– Udawaj dalej. Ale miej oczy dookoła głowy.



– Dzięki za radę.

W tonie Luty wybrzmiała nieskrywana irytacja. Postanowiła jednak nie lać wody, bo ta rozmowa – przynajmniej na tym etapie – i tak nie mogła przynieść żadnych konkretów. Gdybać mogła sobie w towarzystwie dzieciaków, zwłaszcza że potrzeba ich zobaczenia stała się nagle bardzo silna. Musiała to przemyśleć i wszystko sobie poukładać, a w tym czasie Szatan dowie się czegoś więcej.

– Informuj mnie na bieżąco – powiedziała i wstała od stołu.

Gdy wyszła na ganek, z głębi podwórza poniósł się głęboki pomruk. Obrazy, o których nie chciała pamiętać, powróciły i pomyślała, że ich plan – nawet jeśli wtedy wydawał się genialny – był jednak zbyt śmiały, a na tym świecie wciąż żyją ludzie, którzy marzą, aby cierpieła. Co gorsza, jeśli o tym marzą, to zapewne snują też pokrętne plany, które z czasem mogą chcieć wprowadzić w życie. I na to musiała być przygotowana.

## Rozdział 2

Zimna bryza od morza muskała jego poraną zmarszczkami twarz. Tunahan Karabina siedział w bujanym fotelu i palił fajkę, zastanawiając się nad geopolitycznymi konsekwencjami nawałnicy, która nieuchronnie nadciągała nad Europę.

Przeszłość widział w czarnych barwach. Znał dobrze każdą ze stron i wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że dobre czasy właśnie się kończą. Gdyby był egoistą, mógłby uznać, że już mu wszystko jedno, wszak on swoje życie już przeżył. Życie to było pełne zawirowań losu, radosnych uniesień, ale i zdarzeń ponurych i smutnych, nie tylko dla niego, ale też dla innych, często nieświadomych tego, że żyją w cieniu anioła stróża lub kogoś, kto jest jego przeciwieństwem, choć słów określających to drugie zawsze unikał. Widział rzeczy, które widzieli nieliczni, robił te, z których nie zawsze był dumny, był świadkiem historii, która – bardzo go to niepokoiło – powoli zaczynała zataczać koło. Tylko co mógł z tym zrobić? Dziś już nic. Dziś był tylko wrakiem człowieka, bardziej przypominał roztrzaskaną o skały galerę niż prujący wody mórz galeon pod pełnymi żaglami; popękaną, skrzypiącą, ogorzałą i zaszuszoną od palącego słońca i soli. Jemu pozostawało bujanie się w fotelu, palenie fajki i patrzanie na pomarszczoną, lśniącą czerwienią zachodzącego słońca tafelę Morza Czarnego, które to morze towarzyszyło mu od dnia narodzin i – miał taką nadzieję – będzie towarzyszyć do dnia śmierci.

– Panie Karabina. – Z zamyślenia wyrwał go głos opiekunki, uczynnej Rosjanki o imieniu Ała, o klasycznych słowiańskich rysach, choć już wysłużonych i naznaczonych niefortunnymi zrzędzeniami losu, o które w jej ojczyźnie przecież nietrudno.

– Słucham cię, moje dziecko. – Tunahan zwrócił spojrzenie w kierunku ubranej już kobiety. Na głowie miała ciepłą, własnoręcznie wydzierganą z owczej wełny czapkę, a na szyi gruby szal.

– Posłałam łóżko i przygotowałam komplet leków. Herbata już stygnie, a kolacja czeka w lodówce. Wcześniej powycierałam też kurze, zwłaszcza na kominku, bo...

– Już dobrze, dobrze – przerwał jej Tunahan. Wyciągnął dłoń, którą delikatnie ujęła, wtedy on nakrył ją swoimi czterema palcami, bo jednego nie miał, gdyż

kiedyś przydarzyła mu się pewna bolesna historia. – Wiem, że wszystko jest idealnie, jak zawsze. Poza tym spodziewam się wizyty wnuka – dodał.

– W razie czego będę pod telefonem.

– Dziękuję. A teraz zmykaj już, proszę. Nie ma co więcej tracić czasu na takiego starego pryka.

– Ależ proszę tak nie mówić, panie Karabina. Pan jest...

– Starym prykiem. – Tunahan zaśmiał się pod bujnym siwym wąsem i gestem ręki popędził opiekunkę, która choć przez chwilę się opierała, w końcu lekko dygnęła i zesła kamiennymi schodkami, a potem jeszcze kawałek do zaparkowanego samochodu marki Fiat.

Starzec odprowadził ją wzrokiem, a potem patrzył, jak uruchamia silnik, odjeżdża i w końcu znika w wąskiej uliczce pomiędzy dwoma innymi domostwami, jednymi z kilkuset usytuowanych na stromym wzgórzu południowo-wschodniej linii brzegowej Morza Czarnego, w rodzinnym Balıkcılar, gdzie Tunahan przed osiemdziesięciu sześciu laty przyszedł na świat i gdzie miał zamiar z niego odejść, jak sądził, już wkrótce.

Wiatr się wzmógł, a na północy niebo przybrało granatowy kolor. Prognozy na najbliższe dni nie były najlepsze, ale Tunahan się tym nie przejmował, bo i tak rzadko ruszał się z domu. Spojrzył z niesmakiem na stojący przy bujanym fotelu wózek inwalidzki, po czym sięgnął po oparte o poręcz kule i podniósł się do pozycji wyprostowanej. Przez chwilę wpatrywał się w dal, a gdy słońce w końcu skryło się za horyzontem, niespiesznie pokuśtykał do wnętrza chaty.

W środku było ciepło, a w kominku palił się ogień. Zajął miejsce na kanapie, odstawił kule i przyjrzał się leżącej na blacie szachownicy. Raz jeszcze przeanalizował układ pionów. Nie ruszał ich od trzech dni, od czasu do czasu próbując rozszyfrować plan wnuka. Tuncay, choć miał dopiero dziewiętnaście lat, był niezwykle bystry i potrafił tworzyć tak piętrowe natarcia, że aby rozgryźć jego plan, czasem potrzebował nie godzin, a dni.

– Na swojej piersi wychowałeś takiego szachowego potwora – mruknął do siebie, gdy po raz kolejny dostrzegł, że jego szanse na ogranie wnuka w tej partii są marne.

Tunahan upił łyk herbaty. Była ciemna i mocna, a do tego bardzo słodka, czyli taka, jaką lubił i pił od siedemdziesięciu kilku lat. W jego wieku nadmiar cukru nie był wskazany, ale tak bardzo nie przejmował się zaleceniami lekarzy. Każdy musiał na coś umrzeć, a jeśli jego przeznaczeniem było umrzeć na przesłodzoną herbatę, to trudno. Wolał tak, niż męczyć się z jakimś nowotworem albo jeszcze gorzej – alzheimerem bądź inną chorobą umysłu, który zawsze miał ostry jak brzytwa, co nieraz mu się przydało i ratowało mu życie. Tylko jak rozegrać tę partię, aby pokonać Tuncaya? Uśmiechnął się na wspomnienie, gdy ubiegłej jesieni przyglądał się pojedynkowi wnuków. Wtedy Tuncay po raz pierwszy pokonał Lutę, wcześniej proponując zaskakujący gambit królowej. Z oczywistych względów grali rzadko, ale gdy tylko nadarzała się ku temu okazja, sprawdzała młodego i nigdy mu nie odpuszczała. Gdy w końcu postawił jej mata, z uznaniem skinęła głową i mu pogratulowała, a potem razem z jej dziećmi wspólnie

poszli na lody. Pobliski park rozrywki sobie odpuściła i pomimo nacisków Tuncaya zdania nie zmieniła – w tej kwestii kuzyn nie był świadomy powodów i Tunahan miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał mu ich tłumaczyć.

Westchnął i pomyślał, że miło by było znów się spotkać w komplecie, bo rzadko się to zdarzało, a przecież rodzina jest najważniejsza i z tym nie ma co dyskutować. Miał w sumie czworo wnucząt, bo prócz Luty ze strony tragicznie zmarłego pierworodnego Ogüna, jeszcze Tuncaya, Nihata i Silę, potomstwo Darii, jego ukochanej córki, która po śmierci matki w przeciwieństwie do syna zdecydowała się wrócić z ojcem do domu rodzinnego, a potem to życie już się potoczyło swoim rytmem, znalazła męża i powiła dzieci. Dziś dwudziestosześcioletni Nihat był rybakiem, a trzy lata starsza Sila dorabiała, sprząając w hotelach, bo jej mąż był takim skąpcem, że nie dawał jej pieniędzy i musiała zarabiać na siebie sama. Ta dwójka żyła jednak własnym życiem i rzadko odwiedzała Tunahana, a w zasadzie prawie w ogóle, co innego Tuncay, najmłodszy z wnuków, trochę czupurny i nieokrzesany, bo często do domu przychodził z siniakami, ale kto w tym wieku czasem nie przyłożył innemu po gębie, zwłaszcza gdy chodziło o honor swój albo swojej kobiety. Trochę żałował, że nie ma już w sobie tej energii, a ciało stare i nieposłuszne często odmawia współpracy, bo gdyby było inaczej, to wtedy nauczyłyby wnuka kilku technik, żeby tych siniaków i zadrapań było mniej.

Z zamyślenia wyrwał Tunahana cichy zgrzyt zamka, ale stary szpieg wciąż miał słuch dobry, podobnie jak smak, węch i wzrok, choć z tym ostatnim można by polemizować. Popatrzył w kierunku wiatrołapu, z którego chwilę później wyłonił się wysoki młody mężczyzna w kurtce i czapce, zdecydowanie nie na modłę turecką, a raczej amerykańską, i to tę prosto z brooklyńskiej ulicy. Na jego szczupłej i gładko ogolonej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Cześć, dziadku – przywitał się, nachylając się nad Tunahanem. Ucałował go i rzucił na kanapę torbę z nieznaną zawartością, ale coś tam zaszeleściło i senior rodu pomyślał, że chyba znów będą grzeszyć. – Jak się czujesz? Coś ci podać albo przynieść? – zapytał.

– Dziękuję, kochany – odparł Tunahan. – Ała wszystko już przygotowała, ale na razie nie jestem głodny. Zrób sobie herbaty, to się rozgrzejesz.

– Aż tak zimno to nie jest.

Młody zrzucił z siebie kurtkę i bluzę, czapkę zostawił, po czym posłuchał rady dziadka i nastawił wodę na herbatę. Wymienili jeszcze kilka kurtuazyjnych zdań o zdrowiu i rodzinie, a gdy gorący napój był już gotowy, Tuncay rozsiadł się w fotelu i kątem oka zerknął na szachownicę.

– No i co? – rzucił z przekąsem. Dziadek założył okulary i nachylił się nad stołem.

– Gdybym ci powiedział, to...

– Dobra, dobra. Wiesz, dziadku, że jesteś w czarnej dupie.

– Tak teraz mówi młodzież? W czarnej dupie?

– To tylko takie powiedzonko. Sorki.

– Dajmy spokój. Ale na twoim miejscu nie byłbym taki pewny siebie. Nie zapominaj, że stary Tunahan Karabina był kiedyś ekspertem od wychodzenia z takich... no... czarnych dup.

– Wchodzisz na grząski grunt, dziadku. – Tuncay zaśmiał się, upił łyk herbaty i nachylił się nad szachownicą. – Ale skoro ty już o tym, to oglądałeś dzisiejsze wiadomości?

– Tak – westchnął senior rodu.

– I co o tym sądzisz?

Tuncay zbił wieżę jeden z pionów mających chronić króla. Upił herbaty i wbił spojrzenie w na wpół przymknięte powieki dziadka. Tunahan podrapał się po brodzie, bo nie miał pomysłu, jak obronić się przed kolejnym atakiem. Dwa konie niebezpiecznie czaiły się na króla, a w oddali w szachu trzymał go jeszcze goniec. Co prawda mógł zbić wieżę wnuka, ale wtedy musiałby się liczyć ze stratą swojej, a że pozostała mu tylko jedna, wołał nie wpędzać się w jeszcze większe kłopoty.

– Nie wygląda to dobrze – mruknął i ściągnął okulary. – Rosjanie od zawsze uważali Ukrainę za swoje terytorium. Nigdy, nawet po uzyskaniu przez nią niepodległości, nie zmienili swojego podejścia w tej kwestii.

– Czyli co? Myślisz, że ich zaatakują?

– Głęboko wierzę, że się nie odważą, bo to byłoby po prostu głupie. Ale jeśli chciałbyś znać zdanie starego szpiega, który pół swojego życia spędził, lawirując w świecie agentów KGB, to marnie to widzę. Konflikt narasta i w mojej ocenie nie zakończy się przy stole.

– I co wtedy?

– Bóg jeden raczy wiedzieć.

Tunahan z powrotem nałożył okulary i w końcu zdecydował się przestawić piona. Król powędrował w bezpieczniejszy sektor szachownicy, ale ten ruch w żaden sposób nie poprawiał jego kiepskiej sytuacji.

– U nas trenuje kilku Rosjan. Dużo o tym rozmawiają. – Tuncay wykonał kolejny ruch.

– Co mówią?

– Że Ukraińcy to naziści i trzeba ich najechać, a najlepiej wybić do nogi.

– Idioci.

– Mówię tylko, co gadają.

– A jakie jest twoje zdanie?

Okulary znów powędrowały na blat stołu. Tunahan podniósł wzrok na wnuka, który zaczął grzebać w uchu, następnie podrapał się po głowie.

– Sam nie wiem – mruknął niepewnie.

– To znaczy?

– No... podobno tam na wschodzie mordują Rosjan, dochodzi do ludobójstwa i tak dalej...

– To wierutne bzdury. Nie słuchaj ich.

– Jaka jest więc prawda? O co w tym wszystkim chodzi?

Tunahan westchnął i raz jeszcze zerknął na szachownicę. Przez chwilę analizował sytuację, po czym własnym koniem zbił konia wnuka, jednocześnie uwalniając gońca, który niespodziewanie zaszachował jego króla.

– Ej... – jęknął Tuncay.

– Dałeś się podejść, będąc pewnym, że masz sytuację pod kontrolą – mruknął starzec. – A teraz zróbmy sobie małą przerwę. Kolacja jest w lodówce. Podgrzej ją, proszę, i zjemy, a ja opowiem ci pewną historię.

– O przygodach z czasów, gdy byłeś szpiegiem?

– Raczej o... korzeniach. – Tunahan sięgnął po fajkę. – A teraz idź już. Od tego „wychodzenia z czarnej dupy” zdążyłem porządnie zgłodnieć.

Gdy Tunahan Karabina tłumaczył najmłodszemu wnukowi zawłość spraw rodzinnych, całkiem niedaleko, w kawiarni obok klubu sztuk walki, do którego uczęszczał Tuncay, dwóch brodatych mężczyzn piło kawę. W pewnym momencie jeden z nich pokazał rozmówcy grupowe zdjęcie i wskazał palcem młodego chłopaka w czarnym kimonie przepasanym niebieskim pasem. Drugi przez chwilę się zastanawiał, po czym znacząco pokiwał głową. Chwilę później odebrał wypchaną kopertę i nie płacąc rachunku, wyszedł z lokalu.

## Rozdział 3

**P**rzez kolejne dwa tygodnie Luta funkcjonowała, jakby znalazła się za linią wroga. Ostrożna, czujna, skoncentrowana i przygotowana na każdą ewentualność, spakowała nawet niezbędne rzeczy, aby w chwili zagrożenia móc z dziećmi zapaść się pod ziemię. Nie było to łatwe, bo aby nie wzbudzać podejrzeń, musiała zachowywać pozory. Chodziła do pracy, odbierała dzieci z przedszkola i szkoły, odwiedzała z nimi basen i sale zabaw, sama też nie zaprzestała treningów na macie. Ciągłe jednak dyskretnie skanowała otoczenie i analizowała najmniejsze oznaki mogące sugerować, że znalazła się pod obserwacją. Jedyną modyfikacją codziennej rutyny, na którą sobie pozwoliła, było zatrzymanie dzieci u siebie, gdy w międzyczasie wrócił z pracy ojciec Franka i Werki.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym, żeby zostały u mnie – poinformowała Szymona dzień po przylocie z rotacji, którą spędził na platformie wiertniczej u wybrzeży Norwegii.

– A co się stało? – W tle usłyszała głosy rozemocjonowanych kolegów. Weschnęła, bo znała je doskonale i nie miała wątpliwości, że znów grają na konsoli.

– Werka chyba złapała jelitówkę, a Franek zaczął gorączkować – skłamała.

– Covid?

– Nie wiem. Sama miałam zawroty głowy i nie najlepiej się czuję. Jak dzieciaki wyzdrowieją, to podrzucę ci je w przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu mnie nie będzie. Mówiłem ci, że lecę z chłopakami na Ibizę i...

Luta teatralnie pożałowała swojego zapominalstwa, bo oczywiście o wszystkim doskonale pamiętała, ale wzięła na siebie ten ciężar z wyraźnym zastrzeżeniem, że eksmałżonek nie będzie musiał odrabiać swojej tury po kolejnej rotacji. Szymon oczywiście nie nalegał, bo taki był z niego ojciec jak z koziej dupy trąba i na częstych kontaktach z dziećmi aż tak bardzo mu nie zależało – wolał grać na konsoli albo przesiadywać na ławeczce w parku z piwką w dłoni, ewentualnie palić zioło, co też czynił dość regularnie. Upewnił się więc telefonicznie, że chorobiska trawiące małe ciała jego pociech nie są aż tak groźne, a potem wrócił do grania w FIF-ę albo coś innego, czego nazwy nawet nie chciała znać.

Do Emila wybrała się w tym czasie tylko raz i wcale nie dlatego, żeby zaspokoić potrzebę fizycznej bliskości z mężczyzną, ale dlatego, aby uspokoić sumienie i wy badać okolicę jego zamieszkania, które z racji ich relacji czysto teoretycz-

nie też mogło znaleźć się pod obserwacją. Nie dostrzegła niczego podejrzanego, więc pomyślała, że wykorzysta sytuację, aby się odstresować. A że ostatnie dni były dla niej ekstremalnie stresujące, w łóżku wyrzuciła z siebie wszystkie skumulowane emocje.

– Co dziś w ciebie wstąpiło? – zapytał ją kochanek, gdy po drugim razie opadł zdyszany na łóżko.

– Po prostu tego potrzebowałam – odparła, opierając na ramieniu umazany tuszem policzek. Poprosiła go, aby ją spętał i upokorzył, co Emil pieczołowicie wykonał. Jej ekspresyjność podczas samego aktu jednak nawet jego wprowadziła w lekką konsternację.

– Płaczesz, bo przesadziłem, czy...

– Nie... – Uśmiechnęła się, przygryzając nerwowo dolną wargę. Wierchem dłoni wytarła z policzków łzy i przytuliła się do jego piersi. – Po prostu kilka rzeczy mi się nawarstiwiło i... zresztą nieważne...

– Powiedz mi.

– Emil...

Tak bardzo chciała mu wszystko wyjawic, wypowiedac się, zwierzyć z sekretów i dręczących ją lęków. Swoją wywód skończyła jednak na westchnięciu, po którym podniosła się z łóżka i, posławszy mu przeproszające spojrzenie, poszła pod prysznic. Emil nie nalegał. Znał ją dobrze, wiedział, że nic z tej kobiety na siłę nie wyciągnie i prędzej kaktus mu na dłoni wyrośnie, niż Luta powie coś, czego później mogłaby żałować. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy wyszła z łazienki. Miała już na sobie spodnie i obcisły top, a gdy przed lustrem doprowadziła włosy do porządku, stało się jasne, że na noc nie zostanie.

– Kiedy znów się widzimy? – zapytał.

– Gdy ogarnę swoje sprawy – odparła, zaplatając warkocz.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Emil podniósł się z łóżka i objął Lutę w pasie. Położył brodę na jej ramieniu i przez chwilę patrzyli we własne odbicia.

– Nie możesz – odparła.

– Wiesz, że...

– Wiem. Uważaj na siebie. Odezwę się.

Wyszła z bagażem wyrzutów sumienia. Miała wrażenie, że na własne życzenie psuje coś, co ma szansę powodzenia. Ale czy naprawdę tak bardzo tego potrzebowała? I czy miała prawo obarczać tego faceta własnymi problemami?

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk brzęczącego na stole telefonu. Na ten numer mogły dzwonić tylko dwie osoby. Akurat kończyła wieszać pranie, więc pospiesznie odłożyła trzymane w rękach dziecięce skarpetki i odebrała.

– Możesz gadać? – zapytał Szatan.

– Akurat mam wolne po służbie.

– No więc udało się zweryfikować tego Rączkowskiego. Zajęło to chwilę, bo facet ma wyczyszczone papiery. Nawet nie chcę wiedzieć, kto mógł przy tym grzebać, ale ten ktoś bez wątplenia dużo może.

– No i?



Luta podskórnie czuła, że sytuacja będzie się tylko komplikować. Już po kilku dniach okazało się, że wysłany pod adres zameldowania Rączkowskiego aspirant pod przykrywką dostarczyciela pizzy nie zastał go w domu. Dzięki koneksjom Gienka udało się ponowić podobną akcję kilkukrotnie, ale za każdym razem młody funkcjonariusz wracał z niczym. Na wyraźną prośbę Szatana Gienek pofatygował się na miejsce osobiście, ale i on pocałował klamkę. Kilkudniowa obserwacja, okupiona zresztą niejednym banknotem z królem Jagiełłą, też nie wykazała, żeby w kawalerce panował jakiś ruch. Gienek popytał sąsiadów, ale ci – w większości menele albo ledwo wiążący koniec z końcem emeryci – albo nie chcieli gadać, albo nie potrafili wskazać nikogo, kto mógłby tam przebywać. Rączkowski zniknął jak kamień w wodę, co gorsza, jego matka najprawdopodobniej też od dłuższego czasu tam nie mieszkała. Oczywiście istniała hipoteza, że wyjechała na dłuższy urlop albo wyemigrowała na Zachód, ale ponieważ blok stał w dzielnicy, gdzie ludziom się nie przelewało, to można było założyć, że w takim wypadku właściciel komuś by kawalerkę wynajął. Tymczasem od blisko dwóch tygodni stała zupełnie pusta, a biorąc pod uwagę szczątkowe informacje wyciągnięte od sąsiadów, prawdopodobnie taki stan rzeczy trwał o wiele dłużej.

– Gienek to jednak pies starej daty, a gdy taki pies zwęszy trop, to będzie węszył, aż znajdzie to, czego szuka – kontynuował Szatan. – Chyba wziął sobie rozgryzienie sprawy za punkt honoru, bo pogrzebał głębiej. Zaczął rozpytywać na dzielnicy, gdzieś tam posmarował, pokazał zdjęcia mordy Rączkowskiego. W końcu ktoś go rozpoznał. Podobno facet wprowadził się kilka lat temu i od razu zaczął szukać kontaktów w środowisku kiboli i narodowców. Chodził na mecze Gieksy, brał udział w tych wszystkich pseudopatriotycznych imprezach czy pochodach, regularnie uczestniczył w mszach, a wieczorami szlajał się po melinach. No generalnie swój chłop na dzielni, taki, co to przeprowadzi babcię przez ulicę, ale Żyda albo Ukrainka zapierdoli pałą w pierwszym lepszym zaułku.

– Nie brzmi to, jakby miało jakiś większy sens – skonstatowała Luta.

– No właśnie jest pewien haczyk.

– No?

– Rączkowski gadał z lekko wyczuwalnym wschodnim akcentem.

– Nazwisko raczej polskie...

– No właśnie robił wszystko, aby to ukryć. Podobno jakiś typ kiedyś zarzucił mu ukraińskie pochodzenie, pojawiły się tematy Bandery i Wołyńia, wtedy Rączkowski wpadł w szał i pobił faceta do nieprzytomności.

Luta nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Jeśli spodziewała się zagrożenia, to raczej nie ze strony jakiegoś chłystka z wydzierganym na ramieniu orłem albo kotwicą Polski Walczącej. Tacy ludzie zwykle byli mocno zindoktrynowani i raczej nie wchodziliby w kłopoty z muzułmanami, którzy z ich perspektywy – no może po Żydach, choć i z tym można by dyskutować – byli wrogiem Polski numer jeden. Facet mógł się po prostu naczytać artykułów dotyczących wydarzeń w Świebodzinie, bo był okres, że temat wałkowano w całej Polsce. Ale jeśli rzeczywiście w rozmowach Rączkowskiego i Poziomy z ust tego pierwszego padło jej nazwisko, a dzień później drugi z nich się powiesił, to

wyglądało to co najmniej podejrzenie. Tylko czy aby z Szatanem nie przesadzali? Akurat nazwisko miała specyficzne i brzmiące niemal identycznie jak słowo „karabin”, a takich podczas dyskusji o strzelaninie w masarni mogli użyć wielokrotnie. Pozioma mógł się powiesić i tyle, Rączkowski zaś skończyć wyrok i się ewakuować. Tylko dlaczego ktoś grzebał w papierach tego drugiego?

– Nie wiem już, co o tym myśleć – mruknęła do słuchawki.

– Ja tylko dmucham na zimne.

– Ten cały Gienek będzie jeszcze drążył?

– Nie bardzo ma możliwości. Te się w zasadzie wyczerpały. A jak u ciebie?

Zauważyłaś coś niepokojącego?

– Na razie jest spokój. A u ciebie?

– Władimir ostatnio stracił apetyt. I zrobił się jakiś taki...

– Cholera, Zygmunt...

– Niczego podejrzanego nie zauważyłem.

– Może jednak przesadzamy? – Luta odchrząknęła.

– Może, ale i tak nie mam co robić. Spróbuję namierzyć tego Rączkowskiego, ale niczego nie obiecuję.

– W porządku. Informuj mnie.

– Dzieciaki zdrowe?

– Zdrowe. Muszę kończyć. Pa.

Luta się rozłączyła. Przez chwilę wpatrywała się w widok za oknem. Lekko przószył śnieg, a na osiedlowych trawnikach harcowały dzieciaki. Dwóch chłopców, mniej więcej w wieku Franka, kłóciło się o to, który z nich ma wcisnąć marchewkę w głowę ulepionego bałwana. Miał już oczy i usta oraz wbite w korpus gałęzie, ale wciąż nie miał nosa. W pewnym momencie większy popchnął mniejszego i pospiesznie wbił marchew w śniegową kulę, ale zrobił to tak niefortunnie, że ta spadła na podłóże. Drugi w tym czasie zdążył wstać i zaczął wymachiwać rękoma, doszło do eskalacji wzajemnych pretensji i chwilę później obaj tarzali się po śniegu. Rozejrzała się za opiekunami chłopców, ale ich nie namierzyła. Naszła ją myśl, że nie może dłużej żyć w takim stresie. Franek dorastał, potrzebował interakcji z rówieśnikami, nawet takiej jak ta, bo przecież świat to nie bajka i czasem trzeba zawalczyć o swoje. Co z tego; był chyba jedynym dzieckiem w klasie, które nie miało prawa opuszczać placówki po lekcjach. To była jej decyzja, w pełni świadoma, choć podyktowana permanentnym lękiem o jego zdrowie i życie. Inni trzecioklasiści jednak od dawna nie musieli przesiadywać w świetlicy i Franek, choć specjalnie w tej kwestii nie oponował, bez wątplenia na tym cierpiał. Luta pomyślała, że to nie może tak dalek wyglądać. Nie może wciąż trzymać go na smyczy i panikować, gdy na chwilę zniknie jej z oczu. To nie było zdrowe i mogło źle wpłynąć na jego rozwój, tym bardziej że już teraz był w szkole postrzegany jako dziecko introwertyczne i zamknięte w sobie. Owszem, nie miał problemów z nauką, ale na przerwach nie ganiał z rówieśnikami, nie łąbusował, był raczej cichy i trzymał wszystkich na dystans.

– Chciałabym mieć samych takich uczniów – powiedziała na jednym z zebrani wychowawczyń, trzydziestokilkuletnia pulchna szatynka o ujmującym uśmiechu.

– Franek jest bardzo grzecznym dzieckiem, karnym i obowiązkowym. A do tego świetnie się uczy. Gratuluję syna.

Brzmiało sympatycznie, ale Luta podskórnie czuła, że to nie idzie w dobrym kierunku. Takie dzieciaki nie miały w życiu łatwo i często bywały odrzucane przez grupę. Znała to uczucie doskonale i bardzo nie chciała, aby Franek musiał przeżywać te wszystkie negatywne emocje, które towarzyszyły jej w szkolnych latach. Tylko jak miał znaleźć sobie kolegów, gdy wciąż trzymała go pod kloszem?

Poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Nie mogła powielać błędów matki. Sięgnęła po ostatnią parę skarpetek i powiesiła je na suszarce, po czym zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła druga po południu, więc Franek właśnie kończył lekcje. Pomyślała, że też ulepi z dzieciakami bałwana, a wieczorem porozmawia z synem i wybada, co mu w duszy gra.

## Rozdział 4

Aleksander Majski wszedł do pokoju, a chwilę później usłyszał zgrzyt zamka za plecami. Odchrząknął i podszedł do sięgającej podłogi różowej zasłony. Odchylił ją lekko i zaczął palcem o kraty. Ruch na przyległej do zielonogórskiego aresztu ulicy Łużyckiej jak zwykle był spory, a ponieważ na jednym z pasów doszło do niegroźnej stłuczki, dodatkowo utworzył się korek. Poszkodowany w zdarzeniu najwyraźniej nie mógł pogodzić się z zaistniałą sytuacją, bo mocno gestykułował i nie reagował na komendy cierpliwie próbującego go uspokoić policjanta. Poza tym życie na zewnątrz toczyło się swoim rytmem: młoda para pospiesznie maszerowała w stronę blokowiska, starsza pani o lasce dzielnie walczyła, aby nie poślizgnąć się na chodniku, a dostawca jednej z sieci dostarczających posiłki na zamówienie z ogromną żółtą torbą na plecach z trudem panował nad kierownicą roweru.

W przypadku takich jak Aleksander, uznanych przez wymiar sprawiedliwości za potencjalnie niebezpiecznych, procedury trwały trochę dłużej, więc zachował się tak jak zwykle. Włał do czajnika wodę z butelki, włączył go, a następnie położył się na małżeńskim łóżku i wbił wzrok w pomalowaną na bladoróżowy kolor ścianę. W kilku miejscach tynk był odłupany, a pod sufitem rozgościł się grzyb, ale musiał przyznać, że sprzątaczkę dbały, aby jedynym zapachem wypełniającym pokój widzeń była mieszanka, która w założeniu miała stworzyć romantyczny nastrój, choć jemu kojarzyła się co najwyżej z wonią rozpylaną przez zawieszkę w muszli klozetowej. W kącie stał jeszcze drewniany stół z wazonem ze sztucznymi orchideami – oczywiście koloru różowego – oraz na szczęście białym czajnikiem, a przy łóżku szafka z lampką, której w obawie przed przesłodzeniem atmosfery wolał nie zapalać. Nad stołem pejzaż idyllicznej wsi, który tylko działał mu na nerwy.

Wpatrywał się bezmyślnie w rozpościerające się po horyzont łąny zboża i mały kościółek w rogu obrazu, gdy zamek znów zazgrzytał i drzwi otwały się na oścież. Od razu podniósł się z łóżka i poprawił jedyną koszulę, którą posiadał i wkładał tylko i wyłącznie na tę okazję.

Zrobił trzy kroki w kierunku gościa i objął go mocnym uściskiem. Mężczyźni pokleпали się po plecach.

- Witaj, synu – przywitał się Zygmunt Szatan.
- Cześć, tato – odparł Majski.

- Jak się czujesz?
- Wciąż żyję. Usiądź.

Aleksander odebrał z rąk ojca mały foliowy woreczek z sypaną kawą. Przydziałowe z rozpuszczalną, które stały na tacce przy czajniku, nie nadawały się do niczego. Wsypał po porcji do dwóch jednorazowych kubków i zalał wrzątkiem.

– Zawsze zastanawia mnie, kto decyduje o wystroju tych mokrych pokoi – zastanowił się Szatan, odbierając kubek od syna.

– Ktokolwiek to jest, bywa w naprawdę kiepskich burdelach – odparł Aleksander. – Ale lepiej tu niż w towarzystwie klawisza. Przynajmniej mamy spokój.

– No tak...

Nadkomisarz zamieszał patyczkiem w papierowym kubku. Pomyślał, że jak zwykle palnął głupotę. Sprawę ponurej przeszłości zdążyli już sobie z synem wyjaśnić i nie lubił wracać do kwestii związanych z szeroko pojętym rynkiem usług seksualnych. Niepotrzebnie wywołał ten temat.

- Jak zdrowie? – podjął Aleksander.
- Nic się nie zmienia. Ale trzymam się i nie piję.
- To dobrze.
- A u ciebie?

– Dzień jak co dzień. Nic ciekawego, ale ostatnio wpadła mi w łapy książka, której akcja dzieje się w tym areszcie. Dasz wiarę? Mało tego, oskarżonym jest prokurator, a jeden z gadów ma nawet taką ksywkę jak ten prawdziwy. Swoją drogą, kawał z niego sukinsyna i...

- Później zapiszesz mi tytuł, ale teraz chciałbym cię o coś zapytać.
- Pytaj.

– Zauważyłeś w ostatnim czasie coś dziwnego?

Aleksander zmrużył oczy. Upił łyk kawy.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytał.

– Nie wiem, może nadinterpretuję, ale doszło do pewnej niepokojącej sytuacji w zakładzie w Wołowie. Chodzi o Poziomę.

Szatan w żołnierskich słowach opowiedział synowi o okolicznościach śmierci jego byłego podwładnego. Majski słuchał uważnie, czasem przerywał, aby zadać jakieś pytanie, ale głównie analizował przyswajane informacje. Z każdym kolejnym słowem ojca pochmurniał jednak coraz bardziej.

- I nie możecie namierzyć tego Rączkowskiego?
- Facet zapadł się pod ziemię.
- Hmm...

Widząc, że ojciec wyciąga paczkę papierosów, Majski wstał i otworzył okno. Różowa zasłonka zaczęła podrygiwać na wietrze.

– Tu też trafił taki jeden – powiedział po dłuższej chwili. – Może z miesiąc temu. Od razu zwrócił moją uwagę, bo nie wyglądał na Polaka, a do tego ma na dłoni wytatuowany półksiężyc i kilka razy przyłapałem go, jak mnie obcina.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Wołają na niego Chan, z tym że to raczej ksywka przyklejona przez innych aresztantów. Facet ma południowo-wschodnie rysy, ale raczej nie jest Turkiem.

Podpytywałem klawiszy, ale kazali mi spierdalać na drzewo.

– Wiesz, za co siedzi?

– Nie, ale wypytuje o akcję w masarni. Niby nic, bo prawie każdy, przynajmniej na początku, był ciekaw, co się tam wydarzyło, nawet gady. Ale ten gość wygląda mi podejrzanie choćby z tego powodu, że krąży wokół mnie jak sęp. Pyta innych, ale nigdy mnie.

Szatan wyraźnie się zafrasował. Facet o południowo-wschodnich rysach, z tatuażem w kształcie półksiężyca, na którego wołają Chan. Nie jest Turkiem, pojawił się miesiąc temu i interesuje się Aleksandrem oraz wydarzeniami w Świebodzinie. W kontekście tego, co wydarzyło się w Wołowie, brzmiało to co najmniej niepokojąco, jeśli by nie powiedzieć mocno podejrzanie.

– Dowiem się wszystkiego – mruknął po dłuższym namyśle. – Jeśli chodzi o nasze sprawy, to bez zmian.

– Zero?

– Dokładnie. Ten kutas zwany prokuratorem generalnym wykorzystuje cię do boksowania się z Berlinem. Podobno naciski z ich strony są coraz silniejsze, ale nie obiecywałbym sobie zbyt wiele. Gość prędzej uwali koalicję rządzącą, niż spełni prośbę Niemca.

– Akt oskarżenia wciąż jednak nie wpłynął...

– I pewnie w najbliższym czasie nie wpłynie. Ale gwarancji nie ma żadnej.

Szatan wychylił kawę do dna i wytarł usta wierzchem dłoni, a potem poprawił wąsy.

– Posłuchaj mnie, synu – podjął, gdy wstał od stołu. – Jest jak jest i cieszymy się tym, co mamy. Staram się lobbować, gdzie mogę, ale sprawa stała się polityczna, a tutaj to ja już niewiele mogę.

– Rozumiem. – Aleksander też podniósł się z krzesła. – Ale możesz im powtórzyć, że nie mam zamiaru zmienić zdania i jeśli zapewnią mi koronę, to będę zeznawał w sprawie Ozalanów.

– Powtórzę. A ty uważaj na siebie. Dowiem się, kim jest ten cały Chan, i postaram się o kolejną wizytę jak najszybciej.

Mężczyźni ponownie się uściskali i Szatan ruszył w kierunku drzwi. Zapukał i chwilę później zamek zgrzytnął. Odwrócił się przez ramię.

– Pilnuj się, synu.

– Ty też... tato.

Nadkomisarz opuścił pokój wizyt i ze wzrokiem wbitym w posadzkę pospiesznie udał się do toalety. Nie dlatego, że poczuł nagłe ciśnienie na pęcherz, ale dlatego, że za każdym razem, gdy opuszczał syna, jego oczy zaczynały robić się szkliste i za nic w świecie nie mógł nad tym zapanować.

Przemysł ogorzała twarz i ledwo powstrzymał się, aby pięścią nie rozbić lustra. Tylko czy mógł oczekiwać od życia czegoś więcej? Policzył do dziesięciu, a potem jeszcze raz. Odetchnął, odchrząknął, wytarł się papierowym ręcznikiem i opuścił budynek aresztu. Gdy przemieszczał się po dziedzińcu w kierunku bramy, nie miał pojęcia, że z za krat jednej z cel śledzi go para ciemnych, błysz-

czących oczu. Bacznie go obserwowały do momentu, gdy nieświadomy niczego zniknął za bramą aresztu. W tych oczach też szklily się łzy.

Mniej więcej w tym samym czasie w niewielkiej wsi Balikçilar dwóch brodatych mężczyzn w skupieniu wyczekiwało w samochodzie na sygnał do rozpoczęcia akcji. Plan wydawał się przygotowany perfekcyjnie i dzięki długotrwałej obserwacji wiedzieli, czego się spodziewać, ale doskonale też zdawali sobie sprawę z tego, że powierzone im zadanie muszą wykonać z najwyższą starannością. Tu nie było miejsca na najmniejszy błąd, bo człowiek, któremu już wkrótce mieli złożyć niezapowiedzianą wizytę, pomimo szacownego wieku bez wątpienia był niezwykle doświadczonym i groźnym przeciwnikiem. Doceniali go, bo byli ulepieni z podobnej gliny i wiedzieli, że Tunahana Karabiny nie można lekceważyć, nawet jeśli ledwo jest w stanie ustać na własnych nogach.

## Rozdział 5

Luta chuchnęła w dłonie. Temperatura spadła do minus dziesięciu stopni Celsjusza i w opuszczonej fermie drobiu, choć nie wiało, to wcale nie było ciepłej. Nigdy jednak nie wymawiała się złą pogodą. To miejsce było azylem, gdzie w spokoju mogła potrenować, przemyśleć pewne sprawy, zastanowić się nad kolejnymi ruchami. Wyciągnęła z tarczy ostatnie ostrza. Tylko jedno nie trafiło w cel, ale i tak była na siebie zła. Zawsze była perfekcjonistką i nie wybaczała błędów, zwłaszcza samej sobie.

Schowwała noże do kieszeni kamizelki i całość upchnęła w sportowej torbie. Do piwnicy zniosła worek, tarcze i grube liny, a opony i kilka innych bezwartościowych dla potencjalnego złodzieja gratów zostawiła na miejscu. Nikt tu nie zaglądał, choć raz, jakoś wczesną jesienią, natknęła się przy wejściu na dwie puste butelki po piwie i kilka niedopałków. Założyła, że to pozostałości po grzybiarzach, którzy najwyraźniej trochę się zagalopowali i postanowili odsapnąć.

Westchnęła, gdy zamknęła na kłódkę żelazną pokrywę. Wciąż miała trudności, aby odciąć się od tego, co wydarzyło się tu półtora roku temu. Czasem te myśli wracały i zastanawiała się, czy aby na pewno wystarczająco wyraźnie wyartykułowała trójce oprychów konsekwencje czekające ich w przypadku, gdyby któryś zaczął kłapać zębami. Pozioma i Cypis chyba zrozumieli, bo do tej pory nie stwarzali problemów, a pierwszy z nich dodatkowo uznał, że ten świat niewiele straci, gdy się z nim pożegna na stałe. Spokoju nie dawał jej ten cały Czeczen, który zniknął i znalazł się poza zasięgiem jej radaru. W sumie tego właśnie chciała, ale fakt, że ten śmieć wciąż żyje i prawdopodobnie bezkarnie hasa sobie po ulicach, trochę ją irytował. Irytację pogłębiał fakt, że nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co robi, wątpiła jednak, aby ta sytuacja dała mu do myślenia i nauczony doświadczeniem nagle podjął decyzję o powrocie na łono społeczeństwa w roli uczciwego, etycznego i regularnie płacącego podatki obywatela. Póki co musiała z tym żyć i gdyby nie sytuacja z Poziomą i Rączkowskim, pewnie aż tak by się tym nie przejmowała. Teraz jednak, gdy sprawy zaczęły się komplikować, Czeczen wciąż siedział jej w głowie.

Przerzuciła torbę przez ramię i wyszła z ruin starej fermy. Czekaa ją krótka przebieżka, bo nie ryzykowała parkowania pod samym budynkiem. Pokrywa śnieżna może nie była aż tak duża, za to droga dojazdowa pełna kolein, w których stała zamarznęta woda. Taki test dla jej starego passata wydawał się dość karko-



łomnym zadaniem, dlatego wołała zatrzymać się przy zjeździe na nieco bardziej utwardzonej drodze pożarowej. Poprawiła włosy i naciągnęła czapkę na głowę, po czym truchtem ruszyła w kierunku auta. Po dziesięciu minutach była już na miejscu. Otworzyła bagażnik i rzuciła graty, następnie pojechała na działkę, gdzie w pancерnej szafce złożyła kamizelkę taktyczną oraz kilka zabawek, które w razie zatrzymania przez policyjny patrol mogłyby wprawić funkcjonariuszy w daleko posuniętą konsternację. Wróciła do domu, gdzie czekała już na nią przyjaciółka.

– Wyżyłaś się? – zapytała, gdy Luta weszła do mieszkania.

– Tak sobie. Musiałam pomyśleć.

Franek siedział przy laptopie i niespecjalnie przejął się jej przybyciem, za to Werka od razu rzuciła się matce na szyję.

– Mamo, mam, namalowałam misia i zajączka. Popatrz, o tu! – Puściła ją i podbiegła do stołu, skąd zabrała kartki z rysunkami. Wróciła bardzo podekscytowana i od razu wręczyła je matce. – Ładne, prawda? – zapytała, obrzucając ją szelmowskim spojrzeniem.

Luta spojrzała na dzieła córki. Miś był zielono-czerwony, ale w sumie przypominał misia, za to zajączek skojarzył jej się z jeżem z przerośniętymi uszami. Rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Są przepiękne. Absolutnie wspaniałe. Chodź do mnie, moja ty mała artystko.

– Luta wyciągnęła ręce, aby przytulić córkę, ale ta chwyciła się pod boki i zrobiła groźną minę.

– Znowu zapomniałaś?

– O czym?

– Nie jestem a...tystką, tylko Bibi Kotkiem.

– No tak. Mama jest głuptasem i znowu zapomniała. No to chodź tu do mnie, mój Bibi Kotku.

Tym razem Werka objęła matkę, a ta podniosła ją do góry i kilka razy obróciła się wokół własnej osi. Mała zapiszczała z radości i zaczęła nalegać na helikopter, więc Luta chwyciła ją za rączki i zakręciła się raz jeszcze, dodatkowo symulując odgłos wirników.

– I nie mówi się atystka, tylko artystka.

– A kto to jest artystka?

– Artystka. To taka osoba, która ma talent i potrafi robić piękne rzeczy, na przykład rysować.

– Aha...

Obie jeszcze chwilę się ze sobą przekomarzały, aż w końcu Werka wróciła do rysowania, a Luta wzięła szybki prysznic. Po wyjściu z łazienki dosiadła się do Mirki, która przeglądała ulotki jednego z dyskontów. Ucieszyła się, że na stole stoi już parująca herbata.

– Wiesz, że pierś z kurczaka podrożała o cztery złote? A pomidory o dwa i pół?

– To dopiero początek, moja droga.

– Ale to naprawdę przesada. Ja rozumiem, że mamy inflację i tak dalej, ale...

– Nic na to nie poradzisz.

– Ty to zawsze potrafisz poprawić przyjaciółce nastrój. Nie dość, że muszę spłacać kredyty za tego sukina... ups... – Mirka zasłoniła usta ręką, gdy Werka podniosła na nią wzrok.

– Każdy niesie swój krzyż. Mój też zaczyna mi ciążyć.

Luta postanowiła, że na tym poprzestanie. Mirka była jej przyjaciółką od gimnazjum, ale na pewne rzeczy nie była przygotowana, wobec czego nie mówiła jej wszystkiego. A że tamta nie nalegała, to rzadko podejmowały tematy związane z jej służbą. Jeśli już, to te bardziej neutralne. A czy ci specjaliści to rzeczywiście takie ciacha? A jak sobie radzi w towarzystwie mężczyzn i czy próbują ją podrywać? A jeśli nie uprawia tam seksu, to czy używa wibratora? O tego typu kwestiach można było pogadać, a nawet pożartować, ale gdy temat niebezpiecznie zbaczał na sprawy związane z prawdziwym celem jej obecności na misjach, uciniała rozmowę. Temat dotyczący porwania córki też pojawiał się rzadko, a od pewnego czasu w ogóle. Mirka była przekonana, że ktoś rzeczywiście podrzucił ją do domu, ale nawet jeśli w jej głowie rodziły się jakieś podejrzenia, że mogło to wyglądać inaczej, nie dawała tego po sobie poznać.

– Będę się zbierała – rzuciła przyjaciółka Luty, rozprostowując kości.

– Dziękuję.

– Wiesz, że nie ma za co. Jedziesz na ten obiad do matki?

– I krzyż stał się jeszcze cięższy...

– Aż tak?

– Ech... – Luta skinęła na wchodzącego do pokoju Franka. – Powiedzmy, że to historia bez końca.

Kwadrans później dzieciaki były już ubrane w ciepłe kurtki, szaliki i czapki. Na zewnątrz musiały odwiedzić postawionego jakiś czas temu bałwana. Prezentował się niezłe, bo mróz z małymi przerwami trzymał już prawie dwa tygodnie. Gruby – bo tak został ochrzczony – był jednak ślepy, bo najwyraźniej ktoś połąkomił się na dwa wciśnięte w jego głowę kasztany. Werka nie omieszkała tego skomentować, ale Franek był na to przygotowany, więc wyciągnął z kieszeni dwa kolejne i od razu wcisnął je w otwory na oczy. Wszyscy przybili sobie piątkę, a następnie wsiedli do samochodu, który Luta musiała jeszcze solidnie odbrapać z lodowej powłoki.

Wstawiony kilka dni wcześniej nowy akumulator nie sprawiał problemów, więc samochód odpalił za pierwszym podejściem. Droga na drugi koniec miasta zajęła im nieco ponad dwadzieścia minut. A gdy weszli do bloku, okazało się, że zapach babcinych gołąbków unosił się już dwa piętra niżej.

Krystyna Karabina otworzyła im ubrana w dżinsy i sprezentowany od Mikołaja sweter w renifery. Wyściskała i wycalowała wnuki, a potem zdystansowanym całusem przywitała się z córką. W międzyczasie z salonu nieśmiało wychynął Nikos, który od prawie pół roku mieszkał u matki. Przybił piątkę Frankowi i musnął dłonią głowę Werki. Lutę takie gesty w stosunku do dzieci wciąż drażniły. Nie mogła zapomnieć i sobie z tym poradzić. Bóg jej świadkiem, że próbowała, ale choć umówili się, że przynajmniej raz w miesiącu będą spotykać się

u matki na rodzinnym obiedzie, każde takie wyjście było dla niej istną drogą przez mękę. Nie potrafiła wyłączyć emocji i przyglądać się przyrodniemu bratu, który próbował bawić się z Werką. On zapewne też nie czuł się w tej sytuacji zbyt komfortowo, ale choć bez wątplenia się starał, to trudno jej było przywyknąć do takich obrazków, bo przed oczami stawało jej wtedy wszystko to, co wydarzyło się półtora roku wcześniej. Podobno czas leczy rany, ale nie w tym przypadku. Może kiedyś, tłumaczyła sobie, ich relacje poprawią się na tyle, że tego typu wizyty przynajmniej nie będą karą. Do tej pory nie przepracowali jednak tej traumy, bo choć Nikos ponad rok odsiedział w zakładzie psychiatrycznym w Ciborzu, a dziś według wszelkich znaków na niebie i ziemi stanął na nogi, nie pił, nie ćpał i uczciwie zarabiał w jednym z magazynów dużego sklepu z obuwiem, to nie ufała mu i wątpiła, aby kiedykolwiek mógł sobie na takie zaufanie zapracować.

– Rozgośćcie się, a ja już nalewam rosół. – Krystyna uśmiechnęła się i wróciła do kuchni. Luta usiadła po przeciwległej stronie kanapy. W telewizji leciały skoki narciarskie.

– Kubacki jest trzeci po pierwszej serii – oznajmił Nikos, ewidentnie próbując przełamać lody. Lutę niewiele obchodziły jakieś skoki i nawet niespecjalnie wiedziała, kim jest Kubacki.

– To spoko. A jak w pracy?

– Dobrze. Dostałem podwyżkę.

– Brzmi niezłe.

I to by było na tyle, bo kolejne pytania, jakie jej się nasuwały, zapewne zburzyłyby tak wytrwale budowaną przez matkę atmosferę rodzinnej sielanki. Nikos najwyraźniej też szukał wybawienia, bo zapadła cisza, która już po kilkunastu sekundach zaczęła robić się nieznośna. Przerwał ją dzwonek telefonu Luty. Wyjęła aparat z kieszeni bluzy. Zerknęła na wyświetlacz. Numer kierunkowy sprawił, że przeszył ją nieprzyjemny dreszcz.

## Rozdział 6

Koła samolotu musnęły pas startowy, a następnie uderzyły o jego nawierzchnię. Delikatnie szarpnęło. Luta ocknęła się i nerwowo rozejrzała się po kabine. Werka wciąż trzymała głowę na jej kolanach, a Franek grał na smartfonie. Zamknęła powieki, pod którymi momentalnie zaczęły zbierać się łzy.

Telefon od wuja mocno ją zaskoczył, ale gdy usłyszała jego głos, od razu wyczuła, że coś się stało. Tak naprawdę trochę się tego spodziewała, bo dziadek Tunahan niedomagał już od jakiegoś czasu. Miał okresy lepsze i gorsze, ale zdrowie ma się tylko jedno, a on nigdy specjalnie o nie nie dbał. Palił i pił aż do śmierci, stare rany lekceważył, a do lekarzy nie chodził, no chyba że nie mógł wstać z łóżka albo tracił oddech.

– Doktor powiedział, że umarł we śnie – powiedział jej wuj, a raczej mąż Darii, siostry ojca, bo ciotka nie miała nic do gadania; tak ją sobie wychował. Nazywał się Ersun Müldür i był sunnickim tradycjonalistą, choć podobno radykalizował się dopiero po czasie, wiele lat po ślubie i spłodzeniu z Darią potomstwa. – Lekarze twierdzą, że jego serce po prostu się zatrzymało. Nie cierpiał.

Nie udało jej się powstrzymać łez i tyle było z rodzinnego obiadu. Dla Nikosa i Krystyny Tunahan nie był kimś ważnym, dla jej brata w zasadzie obcym człowiekiem, więc musiała radzić sobie z tym sama. Dokończyła rozmowę w pokoju Nikosa. Potem wmusiła w siebie trochę rosołu i gołąbka, aby nie wzbudzać nerwowej atmosfery, choć ta i tak była już daleka od sielanki. Pogrzeb miał się odbyć za dwa dni, co niespecjalnie ją zaskoczyło, bo muzułmańska kultura wymaga, aby chować zmarłych jak najszybciej. Krótco po powrocie do swojego mieszkania przejrzała więc loty do Turcji i znalazła łączony z Berlina przez Sztambuł do nadmorskiego Trabzonu. Z marszu kupiła bilety dla siebie i dzieci, bo w obecnej sytuacji nie była w stanie sobie wyobrazić, że zostawi je na kilka dni pod opieką kogokolwiek, następnie jeszcze tego samego wieczoru spakowała się, zorganizowała prowiant i zamówiła transport na lotnisko Brandenburg. W nocy prawie nie spała, bo w jej głowie kotłowały się ponure myśli, które wobec zaistniałej sytuacji z Poziomą przybierały coraz bardziej niepokojące kształty. Nie miała jednak wyboru. Tunahan Karabina, jej ukochany dziadek i mentor, człowiek, który wskazał jej drogę, bezwarunkowo wspierał i uratował w każdym możliwym znaczeniu tego słowa, odszedł, a ona musiała go godnie pożegnać, bo inaczej nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Po opuszczeniu samolotu i przejściu odprawy paszportowej Luta zabrała dzieci i ruszyła w umówione miejsce na parking. Tam czekał na nią Tuncay, który miał ich zabrać do oddalonego o mniej więcej godzinę drogi Rize, osiemdziesięciotysięcznego miasta portowego nad Morzem Czarnym. Stamtąd już było niedaleko do Balıkcılar, zaledwie kilkanaście kilometrów, które kiedyś zdarzało jej się pokonywać truchtem, gdy podczas pobytu w rodzinnych stronach akurat poczuła potrzebę, aby pobiegać.

Niebo było bezchmurne, a powietrze przejrzyste. Od morza wiał jednak zimny wiatr i pomimo plusowej temperatury ta odczuwalna zdawała się nie przekraczać zera, dlatego Luta zaraz po wyjściu na zewnątrz poprawiła Werce czapkę i szalik i to samo nakazała zrobić Frankowi. Tuncay czekał przy samochodzie, starej i nieco już przeżartej rdzą toyocie highlander, która pewnie miała więcej lat niż jej passat. Przywitali się, uściskali, z kącika jej oczu znów urwała się łza. Gdy kuzyn chciał wziąć na ręce Werkę, ta się zawstydziła, a następnie głośno rozplakała.

– To pewnie przez moją obitą gębę – burknął skwaszony.

– Kto cię tak urządził? – zapytała Luta. Tuncay rzeczywiście wyglądał nieciekawie. Pod oczami zielone sińce, strup na dolnej wardze, spuchnięty policzek. Wiedziała, że jest narwany, ale najwyraźniej ostatnio trafiła kosa na kamień.

– Trochę mnie poobijali na treningach. Miałem jechać na zawody, więc na sparingach szliśmy na maksa i...

– Opowiesz później. Wsiądźmy już do samochodu.

Kuzyn otworzył drzwi i aby zmazać pierwsze złe wrażenie, rzucił kilka wyuczonych fraz po polsku, a następnie wręczył dzieciom lokalne słodycze. Franek przyjął je bez gadania, a Werka trochę się opierała, ale gdy tylko ruszyli w drogę, mina rozmakowanego w baklavie brata dość szybko przekonała ją do zmiany zdania. W tym czasie Luta i Tuncay rozmawiali głównie o tym, co ich czeka w najbliższym czasie, o procedurach, pogrzebie, stypie i tych wszystkich rzeczach, które należy zrobić po śmierci członka rodziny; o samym Tunahanie mniej, jakby bez używania słów wspólnie uzgodnili, że na wspominki i historie głowy rodziny Karabinów jeszcze przyjdzie czas.

Do Rize dotarli po piątej po południu. Zrobiło się jeszcze zimniej, niemal mroźnie, bo wiatr od morza niósł ze sobą drobinki wody, które wdzierają się w każdy odkryty zakamarek, a hulało tak, że trzeba było trzymać kaptur, aby nie zsunął się z głowy. Okazało się, że ciotka niedawno przeprowadziła się na skraj miasta, to jest na zielone wzgórza, z których rozpościera się idylliczny widok na całe Rize i oblewające je Morze Czarne, a z balkonu na szóstym piętrze pejzaż jest jeszcze intensywniejszy, prawie jak z pocztówki. Luta pomyślała, że jej mąż pewnie pozazdrościł teściowi, choć według słów Tuncaya ten po prostu przeszedł na emeryturę, a że miał trochę oszczędności i chciał trochę więcej spokoju, to spełnił jedno ze swoich niewielu marzeń. Stare mieszkanie zostawił najmłodszemu synowi, bo mieściło się w głośnym centrum, prawie przy samej promenadzie, i zwłaszcza w okresie letnim panował tam okropny hałas, co dla uszu zmęczonego już niełatwym życiem portowca Ersuna Müldüra było trudne do zniesie-

nia. Przez kilka minut wspinali się więc wąskimi i nieutwardzonymi drogami na tereny nowych osiedli. W wielu miejscach wciąż trwały budowy, zatem daleko im było do estetycznych. Dziury i muldy wyrobione przez ciężki sprzęt terenowej toyocie nie sprawiały jednak większego kłopotu, a Tuncay prowadził pewnie, czasem tylko użył klaksonu albo machnął dłonią do znajomych czy sąsiadów, a może po prostu okolicznych mieszkańców, bo taka tam kultura, że ludzie często się pozdrawiają. Gdy w końcu dotarli pod blok z czerwonych pustaków, okolica zmieniła się nie do poznania, wyłoniły się przyszyryżone trawniki, sklepy, place zabaw i wuj z rodziną na parkingu pod klatką schodową.

– Salam alejkum, Luta Karabina – przywitał ją wuj. Miał ogorzałą od słońca twarz, krzaczastą siwą brodę, a na nosie okulary. Odziany był w tradycyjną, sięgającą niemal do ziemi czarną galabiję. Ciotki nie było.

– Alejkum salam, wuju – odparła Luta i ukłoniła się członkom dawno niewidzianej rodziny.

Dzieci były wyraźnie spłoszone, a Werka wciąż chowała się za jej nogą. Przedstawiła oboje z imienia, ale jeszcze bardziej się zawstydzili. Dla nich cała ta otoczka musiała wyglądać trochę upiornie, bo wujów i ciotek było więcej, głównie synów i córek Darii i Ersuna. Niektórzy ze swoimi połowicami, ale wszyscy na czarno, kobiety w hidżabach, ich pociechy grzeczne i wyprostowane, do tego ten niezrozumiały język, którym potrafiła posługiwać się tylko mama. Dodatkowo w przeciwieństwie do Tunahana i jej świętej pamięci ojca Ogüna Ersun kultywował tradycje z wszystkimi jej przejawami, co w drodze do Rize wyraźnie podkreślił Tuncay.

– Na stare lata jeszcze bardziej poszedł w religię – mówił. – Niby zawsze wierzył i regularnie chodził do meczetu, ale wiesz... no, był w miarę normalny. Kilka lat przed emeryturą nagle coś mu się przestawiło. Matce nakazał nosić hidżab, Sili robił wyrzuty, że zamiast sprzątać po biurach, powinna się zająć domem. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. Zaraz po odejściu z pracy zupełnie zdziwaczał. Teraz nie ma co robić i czas spędza głównie przed telewizorem, w kółko słuchając tej tępej propagandy, ewentualnie na dywaniku w meczecie, modląc się żarliwie do Allaha. A że nasz, tfu, jaśnie panujący prezydent chciałby wszystkim zrobić wodę z mózgu i ciśnie na wiarę, to ojciec nagle sobie wkręcił, że zostanie mudżahedinem.

– Aż tak?

– No, może przesadzam. Ojciec z nikim nie chce walczyć, ale coś tam przebąkuje o diabelskiej Ameryce i tak dalej. Ostatnio z dziadkiem prawie zupełnie przestał się widywać, mama zresztą też, bo ich rozmowy zawsze, prędzej czy później, kończyły się na polityce. A że mieli diametralnie inne zdania, to wiesz... – Tuncay zrobił zrezygnowaną minę, a chwilę później dodał: – Cholernie się cieśzę, że mam własne mieszkanie. Tyle z tego dobrego.

Luta nie utrzymywała z wujostwem zażyłych kontaktów. Nie była w stanie jednoznacznie stwierdzić, dlaczego tak wyszło, ale podejrzewała, że to wina ciotki. Niestety, nigdy nie nawiązały bliższych relacji, nigdy też do siebie specjalnie nie lgnęły. Gdy przyjeżdżała w odwiedziny do dziadka jako mała albo dora-

stająca dziewczynka, to jeszcze jakoś to wyglądało. Tunahan spajał rodzinę, ale Lutę chyba trochę faworyzował, zwłaszcza po tragicznej śmierci Ogüna. Być może dlatego, że tak rzadko ją widywał, a być może przypominała mu syna, w każdym razie przy niej na co dzień jego surowe spojrzenie łagodniało, kanciate rysy wygładzały się, a na twarzy częściej gościł uśmiech. Tunahan wpoił jej zasady, wiarę w siebie i swoje umiejętności, otworzył na świat i obudził drzemiący w niej potencjał, który później latami szlifowali trenerzy klubów sportowych, gdzie trenowała, a następnie oficerowie Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, gdzie pełniła służbę. Luta od zawsze była jego ukochaną wnuczką, spadkobierczynią pamięci wspaniałego Ogüna, esencją krwi rodu Karabinów. W przeciwieństwie do synów i córki uległej Darii, która po śmierci matki wróciła z ojcem do Turcji i tu beznadziejnie zakochała się w wychowanym w tradycyjnej rodzinie portowcu, następnie powiła potomstwo, przez co porzuciła szkołę i zajęła się domem, z czym dziadek – człowiek wyedukowany i obyty w świecie – nigdy do końca nie mógł się pogodzić.

I chyba właśnie dlatego Daria nigdy nie był jej bliska. Należały do innych światów, wyznawały skrajnie różne wartości i były całkowitym przeciwieństwem. Od najmłodszych lat czuła bijący od niej chłód i dopiero z czasem wywnioskowała, że przez ciotkę przemawia frustracja, a może i zazdrość, że to właśnie Luta, bardziej Polka niż Turczynka, jest ulubienicą Tunahana, nie są nimi natomiast Nihat, Sila czy choćby Tuncay, choć jak było naprawdę, wiedział tylko dziadek, który teraz leżał w kostnicy, a jutro, owinięty białym całunem, miał spocząć w grobie.

– Na pewno jesteście zmęczeni podróżą – powiedział wuj. – Sąsiedzi przynieśli dużo jedzenia, więc przez najbliższe dni niczego nam nie zabraknie.

– Dziadek jest tutaj?

– Jest w swoim domu. W towarzystwie córki.

Luta pomyślała, że to spotkanie może być trudne nie tylko z jednego powodu. Ale wiedziała, że to ostatnia szansa, aby ujrzeć twarz dziadka, bo dzień przed pogrzebem należy przewieźć zmarłego do domu pogrzebowego, więc zapewne już za kilka godzin, jutro zaś mężczyźni dokonają rytualnej ablucji ciała, przy której nie będzie mogła być obecna, bo według wielowiekowej tradycji tylko mężczyźni mogą obmywać ciało mężczyzny. Od tego momentu zwłoki okrywano lnianym całunem i już go nie odwijano.

Popatrzyła na dzieci. Widok zmarłego dziadka w obojgu mógłby wywołać niemalą wstrząs, ale zostawienie ich tutaj też nie wchodziło w rachubę. Franek może jakoś by to przetrwał, ale Werka wciąż była za mała. Ci ludzie byli dla niej kompletnie obcy. Nie rozumiałyby. Poza tym swoje przeżyła i Luta nie chciała ryzykować, aby trauma wróciła.

– Czy mógłbyś mnie tam zawieźć? – zagadnęła Tuncaya. Ten tylko sprawdził reakcję ojca, ale Müldür skinął ze zrozumieniem.

– Jasne – rzucił kuzyn, obracając w palcach kluczyki do stacyjki.

– Chciałabym go pożegnać.

– Chcesz jechać z dziećmi, czy...

– Pojadą z nami.

Z min zebranych kobiet można było wnioskować, że nie popierają tego pomysłu, ale niewiele ją to obchodziło. Pomyślała, że Werka z Frankiem najwyżej posiedzą z kuzynem w samochodzie. Tuncay był normalnym młodym chłopakiem. Co prawda dziś trochę straszyl wyglądem, ale miał podejście do dzieci. Przekonała się o tym kilkukrotnie, gdy przyjeżdżała w odwiedziny do dziadka. On też miał o nim dobre zdanie i choć powtarzał, że jest trochę zbyt narwany, to drzemie w nim potencjał Karabinów. I co najważniejsze, ma dobre serce.

Gdy wypakowali walizki i wuj z pozostałymi członkami rodziny zaczęli wnosić je do bloku, a Luta z powrotem wsiadła z dziećmi do samochodu, w jednym z okien pobliskiego budynku nieznacznie drgnęła jedna z zasłon. Stojący za nią brodaty mężczyzna odcharknął i splunął na posadzkę. Przez chwilę wpatrywał się w odjeżdżający pojazd, w końcu mruknął pod nosem paskudne przekleństwo i wyjął z kieszeni spodni swój smartfon. Pomyślał, że wygląda to na przerost formy nad treścią, a cała ta błazenada to tylko strata czasu. Na znak pogardy splunął raz jeszcze i wcisnął zieloną słuchawkę.



## Rozdział 7

Szatan dłonią wyskrobał z wiadra resztki paszy i usiadł na wędkarskim krzeselku naprzeciwko ryjącego w korycie Władymira. Wylał ręce w szmatę, wydlubał brud spod paznokci i zapalił papierosa. Przez chwilę przyglądał się knurowi, który pochłaniał pokarm, jakby to miał być jego ostatni posiłek.

– Co ty o tym myślisz, stary przyjacielu? – zapytał, wydmuchując dym przed siebie. Władymir uniósł łeb, zamachał uszami i z powrotem zagłębił ryj w zawartości koryta. Żarł, rozbryzgując kleistą paszę gdzie popadnie, ale Szatan nic sobie z tego nie robił. – Najpierw ten cały Rączkowski, a teraz jakiś bezimienny zasraniec. O co tu chodzi? Myślisz, że Ozalanowie coś knują?

Tym razem Władymir nie podniósł łba. Żarł dalej, od czasu do czasu radośnie chrumkając. Szatan oparł łokcie na kolanach i schował głowę w dłoniach. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, ale doświadczenie podpowiadało mu, że oba przypadki mają jakiś wspólny mianownik. Co z tego, gdy Rączkowski zapadł się pod ziemię, a o człowieku, o którym wspominał Aleksander, można było powiedzieć tylko tyle, że ma południowo-wschodnie rysy i gada jakimś dziwnym tureckim dialektem.

– Zgarnęliśmy go, gdy narobił rabanu w dyskotecze – powiedział mu kilka dni wcześniej aspirant Wojciech Szyszka. Zygmunt znał go od lat; był jednym z niewielu, których jeszcze w czasie pracy w komendzie miejskiej jako tako tolerował. Prostolinijny, uczciwy gliniarz z przewencji, jakich ze świecą szukać. Nie pił, nie kombinował, po prostu robił, co do niego należy. – Przyszedł sam, chwilę potańczył i nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, rzucił się na parkiecie na jakiegoś studenta. Ochroniarze wynieśli go błyskawicznie i tradycyjnie spuścili lekki wpierdół, ale najwyraźniej facet nie miał dość, bo po chwili wrócił z nożem. Tym razem woleli nie ryzykować i zadzwonili po nas.

– Jak się tłumaczył?

– W sumie nijak, bo gadał po swojemu. Zrozumiałem, że niczego nie pamięta. Oczywiście myśmy nie uwierzyli i zawieźliśmy go na dołek.

– Nie na wytrzeźwiałkę?

– Był trzeźwy jak szczupaczek, ale nie miał przy sobie dokumentów i nie chciał powiedzieć, jak się nazywa.

– Po jakimu z nim gadaliście?

– My po polsku, a on to ni chuja nie wiadomo. Miłek próbował coś po angielsku, ktoś inny po niemiecku, ale albo udawał, że nic nie rozumie, albo naprawdę ni w ząb nie kumał. Przetrzyliśmy go przez czterdzieści osiem godzin, a prokurator postawił zarzuty. Sędzia się nie pierdolił i wsadził go na trzy miechy. Co dalej, to nie wiem.

– Paluchy sprawdzaliście?

– No bez jaj, wiadomo. Ale chuja wyszło. U nas wcześniej nie nabroił.

– Ktoś pilotuje tę sprawę?

– Wątpię. Wiesz, jak jest. Kasy brak, ludzi też. Poza tym mamy tu swoje problemy, więc co kogo obchodzi jakiś ciapaty obszczymur. Na twoim miejscu pogadałbym z klawiszami albo dyrektorem aresztu.

Z dyrektorem nie było łatwo się umówić, ale Szatan w końcu dopiął swego. Trzy dni później ogolił się, zaczesał resztki włosów nad uszami i włożył schodzoną marynarkę, po czym lekko kulejąc, pomaszerował do aresztu. W biurze przywitał go schludnie ubrany mężczyzna po pięćdziesiątce, którego całkiem przyzwoitą aparycją burzyło wyjątkowo skurwysyńskie spojrzenie. Z Markiem Pęczakiem znali się od lat, ale za sobą nie przepadali, bo dyrektor widział w Szatanie zdegenerowanego alkoholika, a Szatan w Pęczaku oportunistę wążącego w dupę każdemu, kto w jego ocenie mógłby pomóc mu utrzymać się na stołku. Obaj w swoich ocenach się nie mylili.

– Co tak cię ten facet interesuje? – zapytał gospodarz, gdy po krótkiej wymianie nie zdań o niczym przeszli do sedna sprawy.

– Naprawdę muszę ci to tłumaczyć? – Szatan upił łyk przyniesionej przez asystantkę kawy.

– Lubię wiedzieć, co dzieje się w moim małym królestwie. A najwyraźniej, skoro się tu pofatygowales, coś jest na rzeczy...

– Po prostu chcę wiedzieć, kto to jest. Znacie już jego personalia?

Naczelnik przesunął plik jakichś dokumentów i nachylił się nad biurkiem.

– Założmy, że je znam. Niby dlaczego i na jakiej podstawie miałbym ci je ujawnić?

– Bo... – Zygmunt odchrząknął – ...grzecznie proszę.

– To mi nie wystarczy.

– Przecież znasz realia. Trzymasz u siebie Aleksandra, który zgodził się zeznać przeciwko Ozalanom. Nie mam zamiaru teraz nikogo wybielać, ale to jednak wciąż mój syn. I nagle pojawia się w twoim areszcie jakiś śniady typ, który udaje, że niczego nie pamięta, ale podobno rozpytuje o akcję w Świebodzinie. Nie wydaje ci się to podejrzanе?

– Coś sugerujesz?

Ton dyrektora stwardniał. Szatan wiedział, że Pęczak jest bardzo wyczulony na punkcie swoich prerogatyw. Cokolwiek by mówić o tym człowieku, to za jego panowania w zakładzie panował porządek i nadkomisarz nie pamiętał, aby w ostatnich latach dochodziło do poważniejszych incydentów. Samą sugestią, że w areszcie może dojść do jakiejś awantury, dyrektor mógł odebrać jako obrazę majestatu.

– No to może inaczej. – Teraz to Szatan lekko skrócił dystans. – Kiedy ostatnio miałeś za murami jakiegoś Turasa?

– A skąd wiesz, że to Turas?

– Nie wiem. Ma gębę jak Turas i wołają na niego Chan.

– Gębę ma taką jak połowa ciapatych, a ksywkę przykleili mu strażnicy. Nie oponował, bo z personelem nie chce gadać. Wiem tyle, że na spacerunku coś tam duka po angielsku, ale nic poza tym. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, to idź do prokuratora albo jego adwokata. Coś jeszcze?

– Kurwa, Marek. Na pewno wiesz coś więcej. Nigdy o nic cię nie prosiłem, ale tym razem nie mam innego wyjścia. Paluchy nic nie wykazały, więc wszyscy się na niego wysrali. Adwokat nie chce gadać, poza tym, z tego co mi wiadomo, sam nie jest w stanie nawiązać kontaktu ze swoim klientem.

– To chyba dowodzi, że mówię prawdę. Skoro nie chce gadać ze swoim adwokatem, to trudno, aby spowiadał się personelowi.

– Siedzi u ciebie od ponad miesiąca. Musiał coś chlapnąć. Jeśli nie strażnikowi, to jakiemuś złodziejowi. Wiem, że masz pełną kontrolę nad placówką. Zawsze taki byłeś i nic ci nie umyka...

– Wiem tyle, co ty. Przykro mi.

Szatan zacisnął zęby, przez które omal nie wyślizgnęła się wiązanka, która bezsprzecznie zakończyłaby tę rozmowę. Z powrotem odchylił się na krześle.

– Dobra... – mruknął i przetaił węża. Zebrał w sobie wszystkie siły, aby kolejne słowa przeszły mu przez gardło. Odkaslnął. – Czy w takim razie mógłbyś poprosić swoich ludzi, żeby nieco rozpytali po celach? Możesz mi wyświadczyć tę przysługę?

– Poprosić to ja mogę swoją żonę, aby nie przeszkadzała mi, gdy oglądam ulubiony serial. Podwładnym mogę wydać takie polecenie.

– Więc...

– Tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Dziękuję. – Szatan pokiwał głową na znak, że docenia złożoną obietnicę. – I jeszcze jedno...

– To już brzmi jak eskalacja żądań, ale... – Pęczak z wyższością uniósł prawą brew, ciężko westchnął i wymownie cmoknął – ...słucham.

– Mógłbyś przypilnować, żeby ten facet nie zbliżał się do mojego syna?

– Sugerujesz, że nie dbam w areszcie o bezpieczeństwo?

– Nie, no kurwa, Marek. Ty zawsze musisz doszukiwać się drugiego dna. Nie to miałem na myśli. Po prostu proszę cię...

– Mój zakład jest bezpieczny. Coś jeszcze, bo zaraz mam kolejne spotkanie?

– Nic. Dzięki.

finał rozmowy może nie napawał przesadnym optymizmem, ale Szatan uznał, że biorąc pod uwagę rozbuchane ego Pęczaka, to i tak poszło nie najgorzej. Owszem, liczył na więcej, ale najwyraźniej ten cały Chan nie był w ciemni bity i potrafił się kryć. Skoro nie chciał rozmawiać z przydzielonym mu adwokatem, a nawet nie złożył wniosku o tłumacza, to rzeczywiście trudno było oczekiwać, że wygada się klawiszom. Do tej pory nie ustalono też motywu, jakim się kiero-

wał, napadając na tego studenta, dlatego Zygmunt dla pewności odwiedził go na wynajmowanej stancji.

– Nie mam pojęcia, czego typ ode mnie chciał – powiedział mu chłopak. – Po prostu nagle mnie popchnął i zaczął coś furczeć, ale niczego nie rozumiałem. Trwało to krótką chwilę, bo zniemacka uderzył mnie butelką w głowę. Lekarz musiał założyć mi sześć szwów.

– Tak zupełnie bez żadnego powodu? Może poszło o kobietę albo przypadkiem go szturchnąłeś?

– Nic z tych rzeczy. Tańczyłem ze swoją dziewczyną, z którą jestem od ponad trzech lat. Ona nigdy nie widziała go na oczy.

Według prokuratury nic też nie wskazywało na to, aby chłopak miał jakieś długi czy zatargi z prawem. Piotr Rozenek był zwykłym studentem matematyki, raczej mizernej postury, w dużych rogowych okularach i fryzurze modnej w latach ery Beatlesów, który by muchy nie skrzywdził, a co dopiero startował do podejrzenie wyglądającego przybysza z Bliskiego Wschodu. Najprawdopodobniej mówił prawdę, a to oznaczało, przynajmniej na pierwszy rzut oka, że Chan zaatakował go bez konkretnej przyczyny. Mimo to gliniarzowi starej daty trudno było zaakceptować taką hipotezę bez żadnej refleksji. Według badań we krwi napastnika nie znaleziono śladów po alkoholu bądź narkotykach, a wstępna diagnoza psychiatrów (choć należy przyznać, że z racji niemożności nawiązania kontaktu z przesłuchiwanym dość powierzchowna) wykazywała brak oznak choroby umysłowej. Nic jednak nie dzieje się bez przyczyny i Szatan podskórnie czuł, że cała ta sprawa ma drugie dno. Biorąc pod uwagę słowa Aleksandra oraz śmierć Poziomy w więzieniu w Wołowie, tylko głupiec mógł zupełnie ignorować hipotezę, że obecność Chana w zielonogórskim areszcie nie jest przypadkowa. Tylko co z tego, gdy biurokracja posługiwała się absurdalnymi schematami. Mężczyzna zaatakował chłopaka, więc został zatrzymany, następnie postawiono mu zarzuty, wsadzono do aresztu, a że nie chce się bronić, to sąd pewnie przyklepie mu kilka miesięcy odsiadki, a potem wypuści na wolność z nadzieją, że Chan więcej występków nie popełni, a najlepiej wróci tam, skąd przyjechał. System takiego delikwenta pożerał, przeżuwał, trawił i wydalal i tak naprawdę nikogo nie obchodziło, co było pierwotną przyczyną zatrzymania.

Szatan poczuł na dłoni gorący oddech. Podniósł głowę i wbił wzrok w małe czarne ślepia Władymira.

– To powiesz mi czy nie powiesz? – mruknął, wtedy knur zachrumkał i radośnie zamachał uszami. Miał łeb jak silnik od traktora i gdy robił się zły, to lepiej było trzymać się od niego z daleka. Teraz jednak umorusany ryj pocieszenie wysuwał się z koryta w oczekiwaniu na porcję pieszczot. Szatan poklepał starego druha i wyciągnął z kieszeni garść cukierków na wagę. Władymir zakwiczal rozkosznie, po czym ściągnął z dłoni swego pana deser z prawdziwie świńską subtelnością.

Nadkomisarz wytarł ręce w starą szmatę, chwycił puste wiadro i wyszedł z chlewu. Spojrzał w ciemniejące niebo i przez chwilę wsłuchiwał się w docho-

dzące zza pleców odgłosy. Władimir, choć nakarmiony i zadowolony, wydawał się dziwnie niespokojny.

## Rozdział 8

W pokoju unosił się zapach kadzideł. Gdy chwilę wcześniej weszła do domu dziadka, poczuła bezbrzeżny smutek. Czuwająca nad ciałem zmarłego ciotka przywitała ją chłodno. Jej uścisk był równie zimny jak wiatr od morza, ale cokolwiek siedziało jej w głowie, jako dobra muzulmanka musiała ugościć bratanicę najlepiej jak umiała, inaczej popęłniłaby grzech – tak było zapisane w Koranie, że gościem zawsze należy się zaopiekować najstaranniej, jak to możliwe. Konwenanse nie trwały jednak długo, bo w salonie był ktoś jeszcze, wtedy Luta ściągnęła wierzchnią garderobę i nie kryjąc łez, podeszła do trumny. Wytarła policzki rękawem swetra. Przez dłuższą chwilę po prostu stała i patrzyła, ogarnięta niemocą i żalem tak dojmującym, że niemal paraliżującym. Gdy w końcu opanowała pierwszy przypływ emocji, opłótła palce na zimnej dłoni dziadka. Tunahan Karabina nie otworzył powiek. Wyglądał, jakby spał. Pomarszczona skóra w świetle świec razila bladością, mięsiste usta przybrały ciemniejszy kolor i ledwo odcinały się od bujnego wąsa, przydając zmarłemu jeszcze większej powagi. Nad odzianym w białą szatę ciałem unosiły się języki dymu, czasem delikatnie je muskały, jakby chciały obudzić zmarłego, przywrócić go do świata żywych. To jednak nie było możliwe, bo Tunahan Karabina odszedł z tego świata i już nigdy nie miał opowiedzieć jej o swoich przygodach, nigdy nie miał zagrać z nią w szachy i wypowiedzieć tych wszystkich pięknych słów, których nigdy nie szczędził, a były one mądre i szczerze i warto było ich słuchać, co do tego Luta nigdy nie miała najmniejszych wątpliwości.

Luta trwała w tym zawieszeniu, zupełnie straciwszy poczucie czasu i przetrzeni. Wypełniała ją pustka i niewysłowiony żal. Ciotka lamentowała, w kółko powtarzając te same słowa modlitwy, ale w pewnym momencie przez ten lament przebił się dochodzący zza ściany płacz córki. Dochodził z zewnątrz, co już samo w sobie świadczyło, że Werka tęskni i wyraźnie daje wujkowi do zrozumienia, że chce do matki. Luta poczuła w kieszeni wibrację telefonu. Dyskretnie wyjęła urządzenie i odczytała wiadomość: *Werka strasznie płacze. Nie wiem, co robić.*

Zamknęła powieki, bo nagle zalała ją fala ambiwalentnych uczuć, począwszy od irytacji po gwałtowne wyrzuty sumienia. Odetchnęła i odpisała: *Może przejdzie się kawalek. Zabaw ją. Franek pomoże.*

W tym momencie nie miała lepszego pomysłu, ale nie chciała psuć chwili. Jeszcze tylko kilka minut, potem już nie zobaczy dziadka, bo mężczyźni na to nie pozwolą. Dziś późnym wieczorem przyjdą i umyją ciało, rano zawiną w biały całun i zanosą na cmentarz, a tam złożą w grobie i będzie miała szczęście, jeśli w ogóle dopuszczą ją do ceremonii. Wszystko to ją tak uwierało, a teraz jeszcze Werka, która przecież mogłaby choć na chwilę przestać płakać. Nic z tego. Jak na złość znów usłyszała ją za murami.

Czuła się rozdarta, ale szloch córki tylko się wzmagił. Teatralny, ale nieustający lament ciotki tylko to uczucie pogłębiał, tym bardziej że na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Z błyszczących oczu Darii wyzierała narastająca irytacja, a może nawet coś więcej i Luta zdała sobie sprawę, że tak właśnie jest, że ciotka spiorunowała ją wzrokiem, bo w takie miejsca przecież nie zabiera się małych dzieci, zwłaszcza zmęczonych całodniową podróżą rozkapryszonych czterolatek. Zabolalo ją, bo sama z trudem panowała nad własnymi emocjami i nie tak wyobrażała sobie pożegnanie z dziadkiem. Tylko jaki miała wybór?

Po raz ostatni nachyliła się nad Tunahanem i pocałowała go w czoło, następnie przyłożyła dłoń do jego klatki piersiowej i zacisnąwszy usta, szybkim krokiem oddaliła się od trumny. Pospiesznie wytarła łzy, zmusiła się do uśmiechu i wyszła na taras. Tuncay robił, co mógł, ale Werka wydawała się nie do opanowania. Wyrывała się z jego objęć i darła się wniebogłose, w kółko wołając mamę. Luta przyspieszyła kroku i odebrała ją z rąk kuzyna. W jego oczach dostrzegła ulgę, ale i poczucie klęski, więc kiwnęła głową na znak, że niepotrzebnie się biczuje i zaczęła uspokajać córkę. Gdy ta wczepiła się w jej włosy, oczy Luty znów się zaszklily.

– Chodźmy do samochodu – rzuciła i odwróciła się w kierunku wyłożonej kamyczkami ścieżki. Franek był kilka metrów z przodu i niespecjalnie przejęty całą sytuacją bawił się wśród przydomowych tui. Trochę ją to zirytowało, zwłaszcza że syn nie zareagował na jej wołanie. W pewnym momencie szarpnęła go za rękaw kurtki, ale już po chwili tego pożałowała, bo przecież nic złego nie zrobił, a ona dała się ponieść negatywnym emocjom.

Gdy w końcu wsiedli do samochodu i Tuncay włączył silnik, okazało się, że Werka zasnęła jej na ramieniu. Postanowiła nie sadzać jej w foteliku i już miała powiedzieć, żeby kierowali się prosto do domu, ale wtedy Franek wypalił, że chce do toalety, bo wstrzymuje pęcherz już od długiego czasu i zaraz się zesika.

– Wytrzymasz – rzuciła w nerwach i na jej znak ruszyli, ale chwilę później byli zmuszeni się zatrzymać, aby Franek jednak się załatwił. Pod blokiem oboje spali już twardym snem.

– Nikt nie mówił, że będzie lekko – rzekł Tuncay, zerkając w tylne lusterko, i Luta nie była pewna, czy to był sarkazm, czy coś innego.

– Pomożesz mi z Frankiem? – zapytała zrezygnowanym tonem.

– Pewnie.

Opuścili pojazd i zabrali dzieciaki. Z Werką nie było większego problemu, bo spała jak zabita, ale Franek przez sen zaczął jęczeć i biadolić. Tak ostatnio miał, że jak zasypiał, to gadał przez sen nie wiadomo o czym i trudno było go wybu-

dzić. W drodze na górę Lutę nachodziły wyjątkowo ponure myśli, a świadomość, że zaraz będzie musiała spędzić wieczór w towarzystwie rodziny, sprawiła, że odechciało jej się już wszystkiego z pogrzebem włącznie. Nie miała jednak innego wyboru. Ta kultura wymagała poświęceń i musiała dać się ugościć, gdyż inaczej zachowałyby się niestosownie i wuj z ciotką mogliby poczuć się urażeni. Nie chciała ryzykować niepotrzebnych scysji; była tu sama, dodatkowo w oczach religijnej rodziny bez wątpienia uchodziła za czarną owcę, a może nawet dziwadło, bo jak to tak, że kobieta może być żołnierzem, chodzić w spodniach i na pogrzeb przylatywać bez męża, za to z dziećmi, a przecież ich ojciec żyje i ma się dobrze. Tuncay trochę podniósł ją na duchu, że aż tak źle być nie powinno; już o tym z ojcem rozmawiał i wzięli na nią poprawkę, więc jakoś ten wieczór powinna przetrwać bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym.

Trzy godziny spędzone z rodziną minęły nawet znośnie. Luta najpierw ułożyła dzieci na małżeńskim łóżku wuja, bo właśnie swoje jej zaoferował. Na szczęście były skonane – najpierw podróż, a potem tyle emocji, więc Werce na śpiocha założyła pieluchę, a Franka nawet nie przebierała. Gdy już upewniła się, że śpią twardym snem, wymknęła się do łazienki, wzięła prysznic, włosy zaplotła w gruby warkocz i wcisnęła się w czarną suknię po kostki, którą nazywała pogrzebową, bo tylko na pogrzeby ją wkładała. Wszystko to zajęło jej ponad godzinę, więc zostały dwie, może trzy, aby usiąść przy stole i zjeść to, co przynieśli sąsiedzi. Ta kultura miała taki zakaz, że najbliżsi zmarłego nie mogli przez jakiś czas gotować, ale jak długo, tego nie wiedziała, gdyż niejednolicie do tego podchodzono w różnych częściach kraju. Kolacja była skromna, ale smaczna, królowały *pide* z baraniną i kurczakiem oraz chałwa w najróżniejszej postaci, wszystko to zapijali słonym ajranem w dużych szklanicach z uchami, przez cały ten czas naprzemiennie modląc się i wspominając seniora rodu. Luta sporo pamiętała, co rodzina przyjęła z uznaniem, a ciotka znalazła dla niej czarny jedwabny hidżab, który był konieczny, aby zakryć włosy podczas ceremonii pogrzebowej.

Tuż przed północą kobiety zaczęły sprzątać ze stołu, a mężczyźni wyszli na balkon, gdzie jeszcze jakiś czas rozmawiali i palili papierosy. Luta wykorzystała ten moment, aby się ulotnić, szybko umyła zęby i położyła się obok Werki. Córka tradycyjnie leżała rozkopana i z na wpół otwartą buzią cicho pochrapywała, przykryła ją więc pod szyję ciepłą kołdrą, bo wszystko wskazywało na to, że ma przytkany nos i chyba się przeziębila, to zaś nie wróżyło nic dobrego na następny dzień. Długo nie mogła zasnąć. Myślami wciąż była przy Tunahanie, swoim ukochanym dziadku, mentorze, przewodniku, człowieku, który stworzył ją na nowo, dostrzegł i wydobył z niej to, co najlepsze, a dziś już nie żył, leżał w trumnie, jutro zaś spocznie w ziemi i w niej już pozostanie.

Gdy w końcu usnęła, śniła straszne sny, w których widziała ból, cierpienie i śmierć; ona w centrum tego wszystkiego, z krwią na rękach, ze łzami w oczach, wokół pożoga, spienione fale i bijące pioruny. Przebudził ją płacz córki, więc szybko o nocnych marach zapomniała, nieświadoma, że nocne mary to tylko



żałosna igraszka umęczonego umysłu, a prawdziwy koszmar czai się tuż za rogiem.

\* \* \*

Od morza wiał mroźny wiatr, a nad głowami szybowały mewy. Ich skrzek wpisywał się w ponurą atmosferę żalobnego konduktu, który wąską ścieżką sunął wolno w górę zbocza, gdzie mieściła się niewielka nekropolia. Był czas, że Luta lubiła to miejsce. Gdy jako dziecko przyjeżdżała do dziadka na wakacje, czasem odwiedzała cmentarzyk sama. To był jej azyl, mogła po prostu popatrzeć na rozpościerającą się po horyzont, błyszczącą w promieniach słońca tafłę Morza Czarnego, przemyśleć rady dziadka, przyswoić je, zrozumieć świat. Siadała wtedy przy skromnym grobie z białą tabliczką, odgarniała liście, pielila ziemię wokół mogiły i zastanawiała się, jak mogła wyglądać Anastasia Karabina, wielka miłość Tunahana, jej babcia, której nigdy nie miała okazji poznać, bo ta zmarła dwa lata przed jej narodzinami, jeszcze w Odessie, gdzie ojciec poznał matkę i gdzie zaczęła się jej własna historia.

Dziś pejzaż u stóp żalobnego konduktu wyglądał dużo bardziej ponuro. Wzburzone morze mieniło się odcieniami szarości, na niebie kotłowały się chmury, a na horyzoncie od góry do dołu ciągnęły się smugi kolejnych fal deszczu, ten zaś nieuchronnie zbliżał się do lądu, a więc i do nich, tak jakby ktoś zdolny do panowania nad siłami natury z pełną premedytacją i w najdrobniejszych szczegółach przygotował cały pogrzebowy anturaż. Posępny i melancholijny nastrój udzielił się wszystkim. Mężczyźni i nieliczne kobiety lamentowali, dzieci płakały, a Werka nic z tego nie rozumiała, była przerażona tłumem brodatych postaci w czarnych galabijach, wczepiała się paluszkami w hidżab matki, bo Luta musiała go założyć na głowę, aby móc uczestniczyć w ceremonii. Niosła ją na rękach, bo córka od rana była niesforna, do tego zakatarzona i trochę pokasływała, zresztą Franek też wyglądał na osłabionego i nastrój miał fatalny. Próbowała im wytłumaczyć, że muszą być dzielni, a pożegnanie dziadka jest dla niej bardzo ważne i gdy dorosną, to zrozumieją dlaczego, ale dzieciaki świat wciąż postrzegały inaczej i głównie marudziły. Werka nie chciała jeść, prawie ciągle płakała i nie odstępowała mamy na krok, Franek był bardziej wyciszony, ale jakiś taki opryskliwy i nieuprzejmy, jakby miał do niej pretensje, że ludzie umierają, a ich krewni muszą ich pożegnać i pochować. Posępna atmosfera nie pomagała, podobnie jak ponure zawodzenie żalobników oraz hulający po zboczu wiatr i szybujące w jego prądach mewy.

Luta spojrzała w niebo. Ciemne chmury zbierały się na horyzoncie od rana, ale teraz wisały już prawie nad ich głowami. Poprawiła córce czapkę i poczuła, że jej oczy znów zasnuwają się warstwą łez. Wtedy Werka zaczęła głośno kaszleć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Tuncay, który szedł obok Luty.

– Sam widzisz – mruknęła, próbując uspokoić córkę. Rano dała jej syropu, który wygasił objawy, ale te najwyraźniej całkiem nie ustąpiły. – Kochanie, wytrzymasz jeszcze chwilę? – zapytała.

– Nie! – krzyknęła Werka. – Chcę do domu! Do domu!

Luta przytuliła córkę mocniej, poprawiła szalik i raz jeszcze naciągnęła jej czapkę na uszy. Od rana biła się z myślami, czy zabierać ze sobą dzieci. Widziała pogodę za oknem, a one były podziębione. Chwilę się zastanawiała, a wuj przekonywał ją, że lepiej będzie, jak zostaną pod opieką Meryem, zaprzyjaźnionej sąsiadki, która zgodziła się zaopiekować najmłodszą dziaćką na czas ceremonii pogrzebowej. Co z tego, gdy Franek i Werka kategorycznie odmówili, zaczęli płakać, Werka zaś wpadła w amok jeszcze gorszy niż pod domem Tunahana. Szlochała tak żarliwie, że ledwo łapała oddech, do tego jeszcze się rozkaszała, przez co omal się nie udusiła. Czas gonił, wszyscy powoli się zbierali, więc Luta podała jej syrop, następnie oboje ciepło ubrała i wsiała z Tuncayem do samochodu, w nadziei że niebo nie zwali im się na głowy i Werka z Frankiem jakoś tę ceremonię przetrwają. Teraz nadzieja ulatywała z każdym kolejnym krokiem, bo córka kasłała i grymasiła, a Franek ciągnął ją za rękaw puchowej kurki i też bąkał pod nosem, że jest zimno, zaczyna padać i w ogóle „to ile ten pogrzeb będzie jeszcze trwał?”.

Czuła na sobie kilkanaście par oczu. Wszystkie świdrowały ją pełnym wyrzutem spojrzeniem. Co ona tu robi? Dlaczego przyszła w towarzystwie rozkapryszonych maluchów? Jak śmie zakłócać święty obrządek? Zwykle nie przejmowała się zdaniem innych, ale teraz czuła się z tym fatalnie. Z kilku powodów, w każdym razie nie tak miało wyglądać pożegnanie z ukochanym dziadkiem. Nie знаła większości tych ludzi, a tak naprawdę prawie nikogo. Stosunkowo blisko była tylko z Tuncayem, reszta rodziny, zwłaszcza ta dalsza, była jej zupełnie obca. Sąsiedzi tym bardziej, a oni w kondukcje przeważali. Prawie sami mężczyźni o surowych obliczach, długich brodach i poznaczonych głębokimi zmarszczkami licach, co rusz zerkali na nią spod gęstych brwi, znacząc ją piętnem bluźnierczynie urągającej powadze świętej ceremonii. Nie miała wątpliwości, że zdecydowana większość z nich wyznaje konserwatywne poglądy. Mogła to przewidzieć, bo Balıkcılar to przecież mała wieś, a takie wsie rządzą się swoimi prawami, także w Polsce. Werka nie pomagała, bo zaczęła krzyczeć, że boli ją gardło, a Franek, że chce mu się siku. Gdy z nieba spadły pierwsze krople, a silny podmuch sprawił, że z głowy córki spadła czapka, Luta poczuła, że musi zareagować. Szturchnęła Tuncaya, który się po nią schylił.

– Dasz mi kluczyki do samochodu? Zawiozę dzieci do domu – zapytała szepem, wyraźnie poirytowana.

– Jesteś pewna? – Kuzyn przekazał Lucie czapkę. – Kondukt zaraz dotrze na miejsce i...

– I imam najpierw będzie musiał się nagadać. Wróć, zanim skończy. Może się chwilę spóźnię, ale zdążę.

– Znasz drogę?

– Mniej więcej.

Tuncay wychylił się ponad głowy żałobników. Do cmentarza było jeszcze z dwieście metrów. Spojrzał w niebo i z powrotem na Lutę. Zagryzł dolną wargę, jakby się mocno wahał.

– Sam je zawiozę – odparł po chwili namysłu. – Znam skrót przez tunel, który jest teraz w remoncie. Pracują tam moje ziomki, więc mnie przepuszczą.

Wiatr zadał z taką siłą, że Werka panicznie krzyknęła. Luta przytuliła ją do piersi, chroniąc przed zacinającym deszczem.

– Jesteś tego pewny? – zapytała z wahaniem.

– Wszyscy będą zadowoleni. Jak się trochę spóźnię, to też nic się nie stanie. Ojciec wie, że nie noszę tych sztywnych przemów imamów.

– Pojedziemy razem.

– Ty zostań. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Ja w najgorszym wypadku będę mógł odwiedzać grób dziadka na co dzień. Ale jak pojedę skrót, to raczej zdążę. Jeśli nie na samą ceremonię, to przynajmniej na moment, gdy będą składać dziadka w grobie.

Luta przez krótką chwilę analizowała słowa kuzyna. Dał jej wybór, bo choć w tej sytuacji nie było dobrych rozwiązań, to jego oferta wydawała się jedyną rozsądną. A dzieci? Cóż, Franek miał już tyle lat, że w końcu powinna zacząć od niego wymagać. Musiał w końcu wyjść z tej skorupy i stanąć na wysokości zadania.

– Chodźmy – rzuciła i cała czwórka wymknęła się z żałobnego konduktu, po czym pospiesznie zeszła ścieżką na niewielki parking. Luta wsadziła Werkę do fotelika, zapięła pas, w międzyczasie swoje miejsce zajął Franek. Wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego. Odchrząknęła i złapała z synem kontakt wzrokowy. – Pojedziecie z wujkiem do domu – oznajmiła. – Tam wujek zostawi was pod opieką pani Meryem i wróci na pogrzeb. Rozumiesz?

– Że co? – zapytał, szeroko otwierając oczy.

– To, co słyszysz, synu. Masz już prawie dziewięć lat. Zaopiekujesz się siostrą, a ja niedługo wrócę. Poradzisz sobie.

– Mamo... – Na jego twarzy wykwitł grymas przerażenia.

– Musicie być dzielni. Masz tu lizaki i żelki. Werka je uwielbia. – Luta wcisnęła Frankowi w garść słodczyce i spojrzała na skołowaną córkę. Chyba nie do końca rozumiała, co się dzieje. – Słuchajcie się wujka. Mama pożegna dziadka i wkrótce do was wróci. Kocham was – dodała i zamknęła drzwi.

Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz, gdy usłyszała przeciągły, przytłumiony krzyk córki. Wołała ją, a gdy Tuncay ruszył, dostrzegła przez spryskaną deszczówką szybę jej wyciągnięte rączki. Na ułamek sekundy serce jej pękło i pomyślała, że zachowała się jak wyrodna matka. Przez krótką chwilę walczyła jeszcze z samą sobą, aby nie pobiec za samochodem, ale w końcu odetchnęła, odwróciła się i truchtem podążyła w kierunku wolno sunącego konduktu żałobnego.

To przecież tylko dwie godziny, powtarzała sobie. Może nawet mniej. Luta Karabina nie miała pojęcia, że srogo myli się w obu przypadkach.

## Rozdział 9

Tuncay zjechał zwirową drogą na nieco szerszą asfaltówkę i włączył się do ruchu. Nerwowo przetarł czoło, bo nagle zdał sobie sprawę, że porwał się z motyką na słońce. Za plecami trwała istna apokalipsa. Dziewczynka nieustannie wołała mamę, chłopak próbował ją pocieszyć, ale zapięty pasem nie był w stanie nawet jej przytulić. Najgorsze, że Tuncay prawie nic z tego nie rozumiał i sam bał się odezwać, aby sytuacji jeszcze bardziej nie zaognić.

Obliczył, że do domu dotrze w niecały kwadrans. Nie chciał jednak ryzykować zbyt brawurowej jazdy, bo po pierwsze, pogoda nie sprzyjała, a po drugie, nie wyobrażał sobie, aby coś mogło stać się dzieciom w czasie, gdy wziął na siebie ciężar zaopiekowania się nimi.. Dwa kilometry przed tunelem Weronika na szczęście trochę się uspokoiła. Przytuliła mocno pluszowego pieska i tylko cicho pochlipywała. W tylnym lusterku dostrzegł, że Franek trzyma ją za rączkę.

– Mama byłaby z ciebie dumna – zwrócił się do chłopaka po angielsku.

– Jak? – zapytał Franek.

– *Proud*. Znasz to słowo?

– *Proud*?

– To znaczy, że *happy* i że jesteś *good boy*. Dbasz o siostrę. *Good boy*.

Sam nie był orłem z angielskiego, ale znał podstawy i jako tako potrafił się dogadać. Franek najwyraźniej zrozumiał, bo na jego twarzy wykwitł grymas, który mógłby sugerować, że słowa wujka sprawiły mu radość. Tuncay też się ucieszył, bo udało się przełamać lody, a młodszy krewny dodatkowo poczuł wiatr w żaglach i zaczął tłumaczyć coś skołowanej i przerażonej siostrze. Nic nie rozumiał, ale ton Franka świadczył, że poczuł na barkach odpowiedzialność i najwyraźniej ta rola przypadła mu do gustu. Obserwował w tylnym lusterku, jak chłopak wyciąga kolejne żelki i robi śmieszne miny, a następnie wręcza słodczyce siostrze. Z początku odmawiała, ale w końcu wzięła, a przez jej twarz przemknął krótki uśmiech. Tuncay też się uśmiechnął i instynktownie docisnął pedał gazu. Raz jeszcze zerknął w tylne lusterko.

– Tuncay?

Franek wyciągnął w jego kierunku lizaka. Kierowca podziękował i odebrał go z rąk chłopca, ale nie zaczął go odwijać, tylko odłożył obok przekładni skrzyni biegów. Przeszył go delikatny dreszcz, gdy w oddali za tylną szybą dostrzegł dwa czarne SUV-y. Nie miały włączonych świateł i przez ograniczoną widoczność

trudno było je dostrzec. Jednak tam były. I w stałej odległości podążały za jego wysłużoną toyotą.

Przełknął ślinę, a na jego skroniach pojawiły się krople potu. Nie był święty i miał na pieńku z kilkoma groźnie wyglądającymi typkami. Ale kto w dzisiejszych czasach nie miał wrogów? Ogromna inflacja, wysokie bezrobocie, brak perspektyw. Gdyby miał ogarniętych rodziców, to może wkręciliby go do jakiegoś kurortu, najlepiej na południowej riwierze, gdzie co roku walą tabuny turystów z całego świata. Ogolić ich z euro czy dolarów to dla każdego szanującego się Turka bułka z masłem, bo ci ludzie zwykle nie mają pojęcia o realiach i za najgorsze gównno płacą jak za zboże. Ojciec był jednak emerytowanym rybakim, który zaczynał przypominać wojującego fanatyka, a matka uległa kurą domową, która nie miała nic do gadania i większość czasu spędzała przy garach. Tacy jak Tuncay musieli więc radzić sobie sami i albo dorabiali na jakichś fuchach, albo kręcili na boku. A jeśli zaczynasz kombinować, to musisz się liczyć z tym, że możesz komuś nadepnąć na odcisk.

Usłyszał za plecami śmiech Weroniki. W tylnym lusterku dostrzegł, że wrócił jej humor i przekomarza się z bratem, który, aby ją rozbawić, stroi głupie miny. Podłapała i też zaczęła pajacować.

– Wujek?

Tuncay obrócił się przez ramię.

– Słucham?

W odpowiedzi Franek ścisnął dłońmi policzki, wypchnął z ust język i zaczął kręcić głową na wszystkie strony, jakby udawał wariata. Werka eksplodowała głośnym śmiechem.

Wujek też się zaśmiał, ale jego uśmiech zgasł, gdy w tylnym lusterku znów ujrzął dwa SUV-y. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przecież już jakiś czas temu minęli znaki ostrzegające o pracach drogowych. To była ślepa uliczka i tamci kierowcy musieli je zauważyć. Dlaczego więc nie zawrócili, skoro wiedzieli, że tunel jest nieprzejezdny? Pomyślał, że przecież też mogli znać pracujących w nim robotników, ale szybko się otrząsnął. Dziadek Tunahan już dawno temu wyleczył go z wiary w takie zbiegi okoliczności.

Lało jak z cebra. Krople wściekle biły o dach starego highlandera, wypełniając wnętrze niepokojącym szumem, a wycieraczki zbierały wodę z coraz większym trudem. Tuncay pogłośnił radio, w którym leciał akurat jeden z francuskich raperskich kawałków. Zerknął przez ramię i zapytał pasażerów, czy muzyka się podoba, ale dzieciaki były zajęte sobą i chyba nawet nie zauważyły zmiany. Przynajmniej tu zapanował spokój, pomyślał i sięgnął po lizaka. Przez chwilę mitrężył się, szarpiąc ciasno zawinięty papiererek, przez co stracił koncentrację i omal nie staranował barierek ochraniających wjazd na budowę. Przyhamował gwałtownie, a siła odśrodkowa wszystkich lekko rzuciła do przodu.

– *Sorry, sorry* – przeprosił, ale najwyraźniej dzieciakom się spodobało, bo jeszcze bardziej się rozkręciły. Franek, a następnie Werka powtarzali namiętnie jedno słowo, które akurat znał: „jeszcze”.

Dziwny ten język. Taki szeleszczący. Nie był to jednak najlepszy moment, aby roztrząsać tego typu kwestie. Czas gonił, a on stał w miejscu. Przelączył prędkość wycieraczek na najwyższą i rozejrzał się po placu budowy. Przed tunelem stała koparka, ale w środku nie dostrzegł nikogo. Zerknął w tylne lusterko. Dwa czarne SUV-y nie zawróciły i z wolna się do niego zbliżały.

Delikatnie wcisnął gaz, slalomem ominął barierki i wjechał na nieubita jeszcze drogę. Wyminął koparkę, kilka betonowych słupków, jakieś beczki i stertę gruzu, by znaleźć się w kiepsko oświetlonym tunelu. Krople przestały walić o karoserię, dzieciaki też zamilkły, jakby wyczuły, że czas skończyć to harcowanie. Nagle zrobiło się niepokojąco cicho. Tuncay włączył długie światła, ale wtedy przed maskę wyskoczył mu jakiś facet w roboczym uniformie. Krzyczał coś i nerwowo wymachiwał rękami, w końcu umownym gestem nakazał kierowcy opuścić szybę. W nozdrza natychmiast uderzył go charakterystyczny zapach wylewanej masy bitumicznej.

– Nie poznajesz ludzi? – zapytał, gdy szyba opadła całkowicie.

– Tuncay? – zapytał mężczyzna w świeżym drelichu.

– Przepuście mnie? Sytuacja awaryjna.

– Ale co się dzieje? – Mężczyzna zajrzał przez otwarte okno do wnętrza pojazdu.

– Wiozę do domu dzieciaki kuzynki. Dziś pogrzeb dziadka i... – Cmoknął nerwowo. – Nie mam teraz czasu tłumaczyć, w każdym razie muszę jak najszybciej dostać się do domu ojca w Rize. Przepuścisz mnie?

– Poczekaj...

Mężczyzna wyprostował się i wyjął z kieszeni krótkofalówkę. Odwrócił się plecami i zaczął trajkotać w tym swoim dziwnym dialekcie, którego Tuncay prawie nie rozumiał. Güneş może nie był jednym z jego najbliższych kumpli z maty, bo w klubie pojawił się stosunkowo niedawno, ale przez te kilka miesięcy zdążyli się poznać i pomimo problemów z komunikacją całkiem nieźle się dogadywali. Teraz jednak mruczał coś tam do tej krótkofalówki, a czas uciekał. Tuncay spojrział na tarczę zegarka, a następnie w tylne lusterko. Przynajmniej SUV-y zatrzymały się przed wjazdem na teren budowy. W końcu kolega klepnął go w ramię.

– Pierwsze sto metrów na wprost, ale potem zjedź na drugi pas. Zresztą chłopaki cię pokierują.

– Dzięki, stary!

– Nie ma za co.

Tuncay ruszył, a pod oponami zachrzęściło rozsypane na płytach kruszywo. Znowu spojrział w tylne lusterko. Dzieci wpatrywały się w przednią szybę w milczeniu, a Werka kilkakrotnie zakasłała i mocniej przytuliła pluszowego pieska. Już chciał rzucić jakimś żartem, aby nieco rozluźnić napiętą atmosferę, gdy dostrzegł z tyłu dwa jasne punkty.

– Co, do chuja? – mruknął w swoim języku.

Oba SUV-y nie dość, że wjechały na teren budowy, to jeszcze włączyły długie światła. W tylnym lusterku wydawały się oślepiające. Tuncay znowu poczuł ukłucie lęku. Delikatnie przyspieszył, minął dużą frezarkę i jakieś maszyny, których

nie potrafił nazwać, kilka opartych o skałę łopat, potężny młot i pozwijane kable, aż w końcu w świetle jego reflektorów pojawił się kolejny robotnik w srebrno-pomarańczowym uniformie z elementami odblaskowymi. Miał kask, a na nim zarzucony kaptur; w zębach trzymał odpalonego papierosa, jego twarz kryła się jednak w mroku. Tuncay na wszelki wypadek machnął mu w geście pozdrowienia i skrzywił w stronę, którą facet mu wskazał. Drugi pas był już utwardzony, ale nieprzejezdny. Tuncay zmarszczył brwi i przyhamował. Kilkanaście metrów przed nimi drogę tarasował im walec drogowy. Wtedy reflektory stalowego potwora rozbłysły.

Tuncay przez chwilę wpatrywał się w lśniący od plam świeżej masy bitumicznej bęben walca. Wciąż musiał być nagrany, bo parował niczym dyszący olbrzym.

– Ej! – krzyknął Tuncay, ale odpowiedziała mu cisza. Wyłączył radio i wystawił głowę przez otwartą szybę. – Przepuście nas, bo nie mamy jak zmienić pasa – zawołał, układając dłonie w niewielką tubę.

Znowu odpowiedziała mu cisza, którą nagle przerwał syk powietrza. Para unosząca się nad walcem rozpieczęła się na chwilę, jakby maszyna ciężko sapnęła. Nerwowo przełknął ślinę. Oślepiające światło reflektorów walca stało się uciążliwe, a wypełniający tunel warkot silnika jego toyoty irytujący, jak nigdy wcześniej. Postanowił wycofać się i zapytać faceta, który go tu skierował, bo może jednak źle skręcił albo...

Wcisnął wsteczny, ale gdy tylko cofnął kilka metrów, za plecami pojawił się kolejny błysk. Dwa SUV-y właśnie zamykały mu drogę odwrotu. Tuncay poczuł, jak po kręgosłupie spłynął mu lodowaty dreszcz.

– Co się dzieje? – zapytał łamanym angielskim Franek.

– Nic takiego – odparł wuj, po czym nerwowo omiół wzrokiem najbliższą okolicę. Po lewej skała, po prawej betonowe bariery, z tyłu blokujące odwrót SUV-y, a na wprost parujący walec drogowy. Przełknął ślinę, wytarł pot z czoła i drżącą dłonią sięgnął do schowka po swój smartfon.

Gdy ekran rozbłysnął niebieskawą poświatą, niepokojącą ciszę przerwał ponury jęk dieslowskiego silnika. Powiało grozą i Tuncay pomyślał, że to nie dzieje się naprawdę. Telefon wypadł mu z dłoni, a stalowy olbrzym sapnął, zatrzęsł się, w końcu silnik wskoczył na obroty i zawył niczym monstrum z najgłębszych piekielnych czeluści.

Chwilę później z umieszczonego przy kabinie wydechu buchnęły kłęby dymu, a potężny bęben z wolna zaczął się toczyć w ich stronę.

## Rozdział 10

Wokół otwartego grobu wyrósł las czarnych parasoli. Kobiety musiały trzymać je mocno, bo kolejne podmuchy co rusz wystawiały liche konstrukcje na próbę. Wiatr targał materiałem luźnych męskich galabii i wiązanych na głowie kobiecych hidżabów, a deszcz siekł skrywane pod nimi twarze. Wszyscy jednak, jak jeden mąż, wsłuchiwali się w modlitwę intonowaną przez lokalnego imama, przyjaciela Tunahana Karabiny, który w ten ponury i ciemny dzień już zaraz miał spocząć w głębokim dole.

Luta nie znała wszystkich tekstów, ale były bardzo powtarzalne, więc dość szybko je przyswoiła. Czasem tylko otwierała usta i zastanawiała się, czy aby na pewno dziadek tak wyobrażał sobie własne pożegnanie. Nie był religijny i chyba nawet nie wierzył w Boga. Sam islam traktował raczej jako tradycję mającą na celu spajanie rodziny i w szerszym kontekście całego społeczeństwa. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek się modlił. Może po swojemu, bo czasem się zamyślał, zawieszał, pogrążał w zadumie, jakby podróżował pomiędzy światami, innymi wymiarami, prawie zawsze ze swoją ulubioną drewnianą fajką w ustach, prezentem od samego prezydenta, gdy odchodził na zasłużoną emeryturę. Obecnego nie znosił, bo Tunahan gardził wszystkimi fundamentalistami, którzy przedkładali wiarę nad rozsądek, często dodatkowo wypaczając sens kolejnych wersetów Koranu i wykorzystując stare zapiski do włączania ludziom tych wszystkich dyrdymałów o konieczności powrotu do korzeni, dżihadzie czy roli kobiety w obecnym świecie.

– Ten człowiek robi to tylko po to, aby ogłupić społeczeństwo, a potem chwycić za mordę, wytarmościć i sprowadzić do roli usługowej masy zindoktrynowanych głupców, którzy przyjmą ten afront z najwyższą pokorą, a potem jeszcze za niego podziękują, i to będzie koniec nowoczesnej Turcji, tak sędzę, Lutuś, tak sędzę – zwykł mawiać, gdy wypił sobie szklaneczkę whisky albo polskiej wódki, którą wnuczka zawsze mu kupowała na lotnisku w sklepie bezcłowym.

Teraz jego owinięte białym całunem ciało leżało w trumnie i już zaraz miało zostać z niej wyjęte i w tym całunie ułożone w ziemi, aby mogło znów się z nią zespolić, tak jak jest zapisane w Koranie. Ten moment zbliżał się nieubłaganie, bo wyznaczeni mężczyźni już szykowali się do pochówku, a Luta stała obok i patrzyła raz na nich, a raz za zegarek, bo Tuncay już powinien wrócić, ale wciąż go nie było.



Deszcz nadal siekł niemiłosiernie, a kobiety lamentowały, czas zwolnił jeszcze bardziej. Luta przyglądała się, jak ciało dziadka niknie w grobie, a potem kolejni mężczyźni zagarniają garściami ziemię i wysypują ją wedle tradycji do grobu, aby odejść i dołączyć do swoich kobiet i dzieci. Ona nie miała nikogo, Werka i Franek pojechali z Tuncayem, który wciąż nie wrócił. Mogła tylko patrzeć i pielęgnować pamięć o dziadku, ronić kolejne łzy, choć nawet to przychodziło jej z trudem, bo w jej sercu prócz dogłębnego żalu zadomowił się niepokój, który szumiał jej w głowie i narastał z każdą kolejną minutą niczym fala zbliżająca się do brzegu.

Daleko nad horyzontem niebo rozświetliła pajęczyna błyskawic, a po kilku sekundach poniósł się grzmot, wtedy nie wytrzymała i wycofała się, następnie dyskretnie wyjęła smartfon i napisała do kuzyna wiadomość: *Wszystko w porządku?*

Jeden z mężczyzn zmierzył ją surowym wzrokiem, ale nic nie powiedział, przeczesał dłonią brodę i położył ją na ramieniu kilkunastoletniego syna. Nie znała go, nawet nie miała pojęcia, czy należy do rodziny, tym bardziej poczuła się jeszcze bardziej obco. Ręce drżały jej z zimna, choć miała wrażenie, że w piersi robi się coraz cieplej, a serce bije dwa razy szybciej. Poczuła suchość w gardle i z trudem przełknęła ślinę, jej oddech przyspieszył, a gdy niebo rozdarła kolejna błyskawica, zrozumiała, że od kwadransa się oszukuje, bo dziadek już leżał w grobie, a Tuncaya jak nie było, tak nie ma. Wyciągnęła smartfon, ale nie było na nim żadnej wiadomości zwrotnej, co gorsza, wysłana przez nią nie dotarła do nadawcy, choć ikonka wskazywała, że zasięg jest wystarczający.

Gdy usłyszała echo policyjnych syren, poczuła potężny ucisk w klatce piersiowej i nie bacząc na lamentujących żałobników, wybiegła z tłumu, następnie przedarła się pomiędzy grobami na skraj urwiska, skąd widać było prawie całą wieś i drogę, którą dotarli na cmentarny parking. Widok kawalkady radiowozów, za którymi pędziły dwie karetki pogotowia, sprawił, że ugięły się pod nią nogi. Wtedy poczuła wibrację telefonu. Natychmiast odebrała wiadomość.

*Teraz jesteście kwita. H.O.*

Z ust Lutosławy Karabiny wyrwał się krzyk, który chwilę później został zagłuszony przez kolejny grzmot.

\* \* \*

– Puść mnie, sukinsynu! – warknęła Luta i wyrwała się jednemu z próbujących ją zatrzymać policjantów. Drugi, który chciał jej zagrozić drogę, już po sekundzie leżał z twarzą w kruszywie i dopiero trzeci sprawił, że się zatrzymała. Spojrzała wprost w lufę wycelowanego w nią pistoletu. Dłoń filigranowego funkcjonariusza drżała, jakby broń ważyła nie kilogram, a co najmniej pięć razy więcej. – Tam są moje dzieci – syknęła. – Muszę je zobaczyć. Przepuść mnie, bo za siebie nie rękę.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedział mundurowy. – Proszę się cofnąć poza taśmę, bo...

– Jestem ich matką, do jasnej cholery! Gdzie one są? Muszę je zobaczyć!

– Proszę wycofać się poza...

– Przepuść ją – przerwał mu głos zza pleców. – Ja się nią zajmę.

Policjant powoli opuścił broń i schował ją z powrotem do kabury. Spojrzał z pokorą na wysokiego mężczyznę z okazałym wąsem i tak szerokich barach, jakby ostatnie dwadzieścia lat życia przepracował w tartaku, nosząc bele drewna. Komisarz skinął na znak, że docenia jego poświęcenie, a następnie złapał za przedramię próbującą przemknąć obok Lutę.

– Pani poczeka... – mruknął.

– Ani mi się śni – odwrękła. – Tam są moje dzieci. Rozumie pan? Jestem ich matką i chcę je zobaczyć. Potrzebują mnie.

– Pani się przedstawi.

Luta zacisnęła zęby. W głowie szalała burza z piorunami, ale musiała choć trochę opanować emocje. Inaczej mogła tylko pogorszyć sprawę. Odetchnęła.

– Nazywam się Lutosława Karabina. W tym samochodzie jechał mój kuzyn Tuncay Müldür oraz dwójka moich dzieci: czteroletnia Weronika i ośmioletni Franciszek.

– Przepraszam: jak?

– To polskie imiona. Czy może mnie pan już puścić?

– Pani pokaże dokumenty.

– Szlag by to... – zaklęła po polsku i zaczęła grzebać w kieszeni skrytych pod suknią dzinsów.

– Pani mówi po turecku, bo...

– Proszę bardzo. – Luta wręczyła mu swój paszport. Policjant rozłożył dokument i drapiąc się po kilkunastym zarostku, zaczął weryfikować tożsamość Karabiny. – Czy to wystarczy? – zapytała. – Proszę mnie przepuścić, bo wiem tylko tyle, że doszło do wypadku. Nikt nie chce mi nic powiedzieć. A tam najpewniej są moje dzieci. Muszę zobaczyć. Proszę...

– Pani dzieci tu nie ma.

– Jak to nie ma? – Luta wbiła spojrzenie w ciemne oczy gliniarza. Jej skołatane serce zabiło jeszcze mocniej. Facet kłamał, a przynajmniej nie mówił całej prawdy.

– Pójdzie pani ze mną. Porozmawiamy i...

– Pierdol się! – syknęła po polsku i gwałtownie wyrwała do przodu.

Komisarz nawet nie zdążył zareagować, choć nabywszy doświadczenia w pracy na riwerze, akurat ten zwrot zrozumiał całkiem dobrze. Gestem ręki powstrzymał jednak podwładnego, który znów wyjął z kabury pistolet. Spojrzał za Lutą i odpiął mu z pasa krótkofalówkę, po czym poinformował o zaistniałej sytuacji podkomendnych znajdujących się na miejscu zdarzenia.

– Wezwij jakichś psychologów. Przydadzą się – rzucił w kierunku tego, który się zgłosił, następnie wyjął z kieszeni kurtki papierosa, przypalił go, zaciągnął się i ciężko odetchnąwszy, żwawo ruszył za niknącą za barierkami uciekiniarką.

Te sto metrów do miejsca, gdzie błyskały koguty radiowozów i karettek, wydały jej się drogą krzyżową. Biegła sprintem, mimo to miała wrażenie, że porusza się jak żółw. W głowie szalały tysiące myśli. Co on im zrobił? Czy porwał jej dzieci? A może je skrzywdził? Wiadomość, która została wysłana z telefonu Tuncaya, nie pozostawiała złudzeń co do autora. H.O. – te inicjały mogły należeć tylko do jednej osoby.

Jakim sposobem zdołał ją tak podejść? Dlaczego nie zauważyła czyhającego niebezpieczeństwa? Śmierć jej dziadka nie mogła być przypadkiem. Hakan Ozalan bez wątpienia świetnie się do tej akcji przygotował. Tylko skąd wiedział, że była główną odpowiedzialną za wycięcie w pień jego najlepszych ludzi? Czy ten pierdolony Mustafa mógł się wygadać, czy jego ojciec sam dotarł do prawdy?

Chryste! Jej czaszka pulsowała od najczarniejszych scenariuszy, w tym tego, który przyprawiał ją o największy lęk. Czy zobaczy dzieci? Czy będą całe i zdrowe? Co, do jasnej cholery, znaczyło, że „teraz jesteśmy kwita” oraz „pani dzieci tu nie ma”?

Po drodze minęła dwóch policjantów, ale żaden z nich nawet nie próbował jej zatrzymać. Coś krzyczeli, ale nie zwróciła na nich uwagi. Widziała radiowozy i karetki, wóz straży pożarnej, błyskające koguty, ludzi w uniformach, czuła w nozdrzach odstręczającą mieszankę woni spalenizny, benzyny i gorącej masy bitumicznej. Po policzkach ciekły jej łzy, słyszała swój własny oddech i szaleńczo bijące serce. Nie dbała już o nic. Ani o swoje zdrowie, ani o konsekwencje tego, że po drodze powaliła na ziemię policjanta i pewnie będzie miała z tego powodu poważne nieprzyjemności. Liczyły się tylko dzieci. Tak bardzo pragnęła zobaczyć je całe i zdrowe.

Gdy dotarła do pierwszej większej grupy, dostrzegła, że umundurowani policjanci są już odwróceny w jej stronę. Naliczyła ich co najmniej sześciu. Tworzyli solidny mur i nie miała najmniejszych wątpliwości, że zostali przygotowani na jej przybycie. Jeszcze dziesięć kroków, pięć. Żaden nie wyciągnął broni, ale ustawili się w pozycjach sugerujących, że będą próbowali ją zatrzymać i nie zawahają się użyć siły.

Dzieci, pomyślała. Tylko to się liczy. I niech się dzieje wola nieba.

Instynktownie wybrała, a następnie napała na wąską szczelinę pomiędzy dwoma z nich. Poczowała uderzenie, następnie szarpnięcie, ktoś chwycił ją za włosy, czyjeś ręce objęły ją w talii, jeszcze inne zakleszczyły się na udach. Krzyknęła, próbując się wyrwać, i siłą rozpędu sforsowała pierwszą zaporę, ale nie utrzymała równowagi i upadła. Chwilę później przygniotło ją dwóch rosnących mężczyzn. W ustach poczuła śmierdzące kruszywo, a na karku dobrych sto kilogramów żywej wagi.

– Puśćcie mnie! – syknęła. – Tam są moje dzieci! Moje dzieci!

– Stul pysk!

Jęknęła, gdy ktoś wykręcił jej przedramię, a na nadgarstku zatrzasnęła się stalowa obejma kajdanek. Chwilę później coś chrupnęło w drugim łokciu i jej dłonie zostały unieruchomione. Dyszała wściekle i była na siebie zła, że przeliczyła.

To była Turcja, nie Polska. Poczła gwałtowne szarpnięcie i jej ciało uniosło się w górę. Stanęła na nogach.

– I po co ci to było? – zapytał jeden z funkcjonariuszy. Miał końską szczękę, lekkiego zęza i sprawiał wrażenie wyjątkowego skurwysyna.

Luta wypluła z ust resztki kruszywa.

– Tam są moje dzieci, debilu! – warknęła i wyciągnęła szyję w próbie rozeznania się, co dzieje się na miejscu wypadku. Niestety, oprócz spowitego oparami dymu walca, nie dostrzegła nic prócz grupy mężczyzn, którzy właśnie przebierali się w jednorazowe białe uniformy. Przełknęła ślinę. Dlaczego tu byli? Z nadzieją spojrziała na karetki, ale jeden z ratowników właśnie zatrząskiwiał tylne drzwi. –

Powiedzcie mi, proszę, gdzie są moje dzieci – rzuciła spokojnym tonem. – Chłopczyk i dziewczynka. Osiem i cztery latka.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, ale nie doczekała się odpowiedzi. Wyraz na ich twarzach sprawił, że po kręgosłupie ponownie spłynął jej lodowaty dreszcz. Wzdrygnęła się.

– Gdzie one są? – zapytała, omiatając kolejne twarze. Każdy z mężczyzn niemal od razu odwracał wzrok.

W tunelu nagle zrobiło się gorąco jak w piekarniku. Pot zalał jej oczy, a potem całą twarz. Strach i lęk zaczęły przeobrażać się w panikę. Miała wrażenie, że zaraz eksploduje.

– Jak pani dzieci były ubrane?

Luta знаła ten głos. Należał do postawnego komisarza, który przeglądał jej dokumenty.

– Córnka nosiła czapkę ze Sky z *Psiego patrolu*, takim pieskiem. Szalik i kurteczka granatowe, białe rajstopki i ciemne spodenki – zaczęła wyliczać, nie bacząc na spływające po policzkach łzy. Przesztawała panować nad emocjami. –

Syn miał na głowie czarną wełnianą czapkę z ośmiornicą, ubrany był w czarne dżinsy i granatową puchową kurtkę. Gdzie są moje dzieci? Proszę mi powiedzieć prawdę. Gdzie one są?

Mężczyzna odetchnął ciężko, po czym wyjął zza pazuchy spory plastikowy worek. W środku znajdował się kawałek brudnego, bezkształtnego materiału. W kilku miejscach przebijał kolor bordowy.

– Czy to czapka pani córki?

Luta zaczęła drżeć. Materiał w worku strunowym był poszarpany, a do tego nadpalony i mocno splamiony krwią oraz smołą. Nie przypominał już czapki, bardziej kawałek upačkanej szmaty z wyszytą buźką uśmiechniętej Sky. Chciała odpowiedzieć, ale odebrało jej dech, a struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Poczła, jakby zaczęła zapadać się w ciemną, bezkresną otchłań, zrobiło jej się słabo, próbowała choćby poruszyć głowę, przytaknąć, ale zmroziła ją sama myśl o odpowiedzi, jakiej mógł udzielić wyczekujący jej reakcji policjant. Co, jeśli potwierdzi? Co wtedy powie?

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, chowając dowód z powrotem za pazuchę, po czym nie czekając na odpowiedź, gwizdnął na siedzącego w pozycji embrionalnej ratownika. Nie zareagował, więc wysłał po niego jednego ze swoich ludzi.

– Rozkujcie ją – rozkazał. – A panią zapraszam do karetki. Tam dadzą pani coś na uspokojenie. Przykro mi...

– Ale... – wyjąkała i powiodła wzrokiem za komisarzem. Patrzył w miejsce, gdzie skupiło się kilku mężczyzn szczerze odzianych w białe uniformy. Klęczeli i dłubali w podłożu. – Nie... – szepnęła. – Nie, proszę, nie...

Gdy usłyszała szcęk zamka, a jedna z obejm puściła, ostatkiem sił wyrwała się z objęć zaskoczonych funkcjonariuszy i w kilku susach doskoczyła do pochylających się nad jezdnią techników. Stała jak wryta, gdy na asfalcie dostrzegła coś jeszcze.

Przy wciąż parującym bębnie walca drogowego leżała osmolona miazga. Metal, szkło, plastik, tapicerka, wszystko to sprasowane niemal do zera, obficie podlane spaloną benzyną, olejem i krwią.

Z początku po prostu zaniemówiła, a przez jej umysł przemknęła irracjonalna myśl, że patrzy na jakąś wielką, upiorną, wciąż parującą pizzę. Dopiero gdy świadomość wróciła, a jej wzrok zatrzymał się na wystającym z blaszanego gąszczu okopconym rękawku malutkiej kurteczki, Luta Karabina wydała z siebie nie-ludzki ryk. Chwilę później runęła w czarną, nieprzeniknioną otchłań.

# Rozdział 11

**K**orytarze aresztu zawsze wypełniał ten sam bukiet obrzydliwych woni. Na pierwszy plan wysuwał się spalony olej z kuchni, na drugi pot, a na trzeci chemikalia do mycia podłóg.

Aleksander Majski zdążył się już do nowych warunków przyzwyczaić. Nie miał innego wyjścia. Wyperfumowane pokoje luksusowych burdeli zamienił na cuchnącą grzybem celę, skórzane obicia foteli na śmierdzącą pryczę, a fantazyjnie podawane krewetki w tempurze na gumowate parówki z ziemniaczaną papką i burakami. Zastanawiał się, czy wszyscy jemu podobni przystosowują się do nowych warunków równie szybko. Po upadku z tak wysokiego konia wielu z pewnością przechodziło taką transformację niełatwo, u niektórych bez wątpienia pojawiały się myśli samobójcze, on zaś – i to go trochę zaskoczyło – przywykł do tej sytuacji nadspodziewanie szybko. Miał sporo czasu na przemyślenia, więc korzystał z nadarżającej się okazji i przez ponad rok zdążył kilkakrotnie przeanalizować całe swoje życie, począwszy od pierwszych przeblysków pamięci po akcję w podświebodzińskiej masarni. Jakkolwiek by jednak podawał w wątpliwość formułowane na tę okazję tezy dotyczące szeroko pojętego egzystowania na tym niesprawiedliwym padole, wynik, jaki otrzymywał, zawsze wychodził taki sam. Wszystko to było chuja warte.

Jeszcze niedawno to on decydował o ludzkim życiu. Był panem życia. I śmierci. Mieszkał w najdroższych apartamentach i hotelach, stołował się w najwykwintniejszych restauracjach i jeździł najlepszymi samochodami. Mógł uprawiać seks, kiedy chciał i z kim chciał, a na podorędziu zawsze czekało kilka niezwykle atrakcyjnych kobiet gotowych spełnić jego każdą, nawet najbardziej wyuzdaną zachciankę. Miał nawet swój prywatny helikopter i gdyby tylko zapragnął, zapewne mógłby sobie sprawić mały odrzutowiec. Teraz jednak nie miał nic poza szczoteczką do zębów, kilkoma książkami i tym, co nosił na dupie. Jego życie też zmieniło się diametralnie i polegało obecnie głównie na leżeniu, jedzeniu, wydalaniu i spaniu. I myśleniu o tym, co stracił, a co zyskał, o tym, co błahe, a co ważne, o wszystkim i o niczym. Tym, co go nurtowało najbardziej, był fakt, że o dziwo aż tak bardzo nie tęsknił za starym życiem. No, gdyby miał być ze sobą całkiem szczerzy, to czasem przemykały mu przez głowę myśli, że miło by było zjeść sushi albo zrobić po mieście rundkę sześcioletkonnym ferrari. Nie potrzebował tego jednak tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Nauczył się cie-

szyć z małych rzeczy: ciszy, spokoju, niedzielnego kotleta schabowego, dobrej książki, czystej muszli klozetowej i gorącej wody pod prysznicem. Nic jednak nie wprawiało go w tak dobry nastrój, jak widzenie z ojcem.

Czy to dlatego, że w ich żyłach płynęła ta sama krew? A może dlatego, że całe jego życie było jednym wielkim kłamstwem, a on przez długie lata nieświadomie płaszczył się przed ludźmi odpowiedzialnymi za śmierć jego matki i siostry, którym ci ludzie dzień po dniu wylupywali oczy, obcinali palce, uszy, nosy i języki, aby potem w kawałkach przesyłać kurierem jego ojcu, którym i on kiedyś gardził, bo tak mu wpojono. Każdy jego dzień, każda minuta, każdy jego oddech przez dwadzieścia pięć lat były jedną wielką pierdoloną kpina.

Z zamyślenia wyrwał go szcęk zamka. Aleksander podniósł się z pryczy i spojrzął na wiszący na ścianie zegar. Zbliżała się pora obiadowa. Westchnął i podszedł do drzwi, które chwilę później się otworzyły i w progu stanął rosy strażnik, na którego wołali Mumin.

– Co dziś na obiad? – zapytał z wyraźną ironią w głosie.

– Comber z jelenia w sosie z rydźów – odparł strażnik.

– Zapowiada się pysznie.

Mumin najwyraźniej nie był dziś w humorze, bo nic więcej nie powiedział, tylko wręczył mu tackę z żarciem i zamknął celę. Aleksander postawił ją na stole i usiadł na krześle. Na talerzu miał porcję ziemniaczanego purée, średniej wielkości mielonego i kapkę mizerii, do tego kubek z kompotem z wiśni. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w lichego posiłek, nie mogąc opędzić się od natrętnych myśli, w końcu jednak wbił widelec w kotlet, odkroił kawałek mięsa i włożył go do ust. Smakował nie najgorzej, choć już przy pierwszym kęsie musiał wyciągać spomiędzy zębów pojedyncze chrząstki. Popił wszystko kompotem i pomyślał, że przynajmniej nie musi patrzeć i słuchać, jak żrą inni. Smród resztek z kuchennych kotłów, niemytych ciał i pierdów, który wydobywał się z innych cel, czasem przypominał go o mdłości. Od zawsze lubił jeść sam i fakt, że od miesięcy znajdował się w izolatce, bardzo sobie cenił. Gdy skończył, położył się na pryczy, po czym zamknął oczy i zapadł w drzemkę. Rozsunął powieki, dopiero gdy znów usłyszał zgrzyt zamka.

– Wstawaj, wypiska! – ryknął Mumin, ale widząc powolne ruchy aresztanta, dorzucił: – Chciałeś zrobić zakupy, to się, kurwa, sprężaj, bo...

– Już, szefie, już...

Aleksander zwlókł się z pryczy, zabrał tackę z naczyniami i sztuczkami, a następnie, już na korytarzu, postawił ją na skrzypiącym wózku prowadzonym przez jednego ze złodziei.

– Comber z jelenia był pyszny – oznajmił złośliwie Majski. – Rydze tylko jakieś takie trochę...

– Zamknij ryj i ustaw się w kolejce – przerwał Mumin i skierował się do kolejnej celi.

Majski stanął za wytatuowanym typem z wyraźnie wklęsłą czaszką, następnie wszyscy, po dołączeniu jeszcze kilku innych aresztantów, gęsiego ruszyli do więziennego sklepiku. Po drodze wsłuchiwał się w rozmowy towarzyszków niedoli.

Większość z nich była zwykłymi ludźmi, którzy albo popełnili jakieś głupstwo, nie myśląc o konsekwencjach, albo po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Złodzieje, ćpuny, żule, alimenciarze i drobne oprychy, które dla zabawy albo z chęci szybkiego zarobienia na flaszkę wódki przypadkowemu przechodniowi rozbili głowę. Prawdziwych bandytów było w tym towarzystwie jak na lekarstwo i gdyby uczciwie miał osadzić się w hierarchii tu obecnych, to z dużym prawdopodobieństwem mógłby celować w miejsce na podium. Cała ta podła zgraja też zdawała sobie z tego sprawę, więc ludzie traktowali go z szacunkiem, a że nie był specjalnie gadatliwy, to trzymali się od niego z daleka. Na spacerniaku nie zagadywali i raczej go unikali, tak samo jak on ich. Podobnie w łaźni. Wchodził, robił swoje i wracał do celi. Co z tego, gdy od jakiegoś czasu miał wrażenie, że wiecznie ma obok siebie towarzysza. Tym razem Chan też na niego zerkał. Stał kilka metrów dalej i wyglądał na dziwnie podekscytowanego.

W korytarzu panował spory harmider. Słysząc było niezbyt wysublimowane dysputy, głupie dowcipy i odgłosy z pobliskiej kuchni. Ktoś rozprawiał o lidze angielskiej, ktoś inny o niesprawiedliwości tego świata, a szczerbaty dziadga z bokerskim nosem wygrażał, jaki to spuści wpierdol swojej starej, gdy w końcu go wypuszczą. Ci ludzie byli bardzo monotematyczni i rzadko potrafili zagaic rozmowę, która mogłaby traktować o czymś innym niż dupa albo szmalc. To tylko utwierdzało Aleksandra w przekonaniu, że Kirył Tuchmanow, stary kumpel z uczelni, miał świętą rację. Bez względu na zajmowane miejsce na drabinie społecznej świat każdego, w mniejszej lub większej skali, kręcił się wokół tych dwóch rzeczy: dupy i szmalcu.

Kolejka do sklepiku, gdzie towar wydawała otyła strażniczka z okularami jak denka od słoika, zawsze ciągnęła się jak te z czasów PRL-u za mięsem albo papierem toaletowym. Procedury były jednak nie do przejścia, a gdy dodatkowo któryś z aresztantów próbował wyklócać się o dostępne na koncie pieniądze, wszystko dodatkowo się przedłużało. Aleksander ustawił się za szczupłym mężczyzną o rysach twarzy sugerujących IQ na poziomie żaby i ze wzrokiem wbitym w jego wąskie barki krok po kroku posuwał się do przodu. Wtem poczuł na karku czyjś ciepły oddech.

– Aleksander Majski? – zapytał mężczyzna z wyraźnym akcentem w głosie.

Zmroziło go, bo w tych słowach wybrzmiewało coś więcej niżli jego imię i nazwisko. W nich czaiła się groźba.

– A kto pyta? – odparł pytaniem na pytanie. Nie odwrócił się jednak, wodził wzrokiem za strażnikami, którzy jak na złość wyparowali.

– Aleksander Majski? – powtórzył mężczyzna za plecami.

– Nie znam.

– Ty jesteś Aleksander Majski...

– Spierdalaj.

Aleksander wstrzymał oddech i zrobił krok do przodu. Wtedy usłyszał za plecami delikatny świst powietrza. Zanim zdążył zareagować, poczuł rozlewające się na szyi ciepło.



Spróbował się obrócić, ale nagle zwiotczały mu nogi i osunął się na kolana. Chan kłuł jego szyję z prędkością maszyny do szycia. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Krew tryskała jak z fontanny, plamiąc wszystko wokół, a gdy w końcu runął na podłogę, zrobiło się całkiem ciemno. Usłyszał coś, czego absolutnie się nie spodziewał, a chwilę później zawył alarm. Wtedy znów poczuł na twarzy ciepły oddech.

– Pozdrowienia od Hakana Ozalana – wyszeptał mu do ucha napastnik, po czym wykrzyczał te słowa jeszcze kilkakrotnie, tak aby usłyszeli je wszyscy obecni.

Zanim dopadli go strażnicy, Chan sam rozerznął sobie gardło. Tego już jednak Aleksander nie widział. Instynktownie walczył o powietrze, nie zdając sobie sprawy, że przy każdym wdechu coraz szybciej topi się we własnej krwi.

\* \* \*

Mniej więcej w tym samym czasie pewien brodaty mężczyzna z piwem w dłoni siedział rozparty w fotelu i wpatrywał się w ekran telewizora. Wiedział, że ogląda propagandę, ale to nic w jego postrzeganiu świata nie zmieniało. To, co robił, robił dla pieniędzy. Jak wszyscy.

Gdy zadzwonił jego telefon, niespiesznie sięgnął po leżące na blacie urządzenie. Spojrzał na wyświetlacz i przytknął je do ucha. Przez chwilę z uwagą słuchał przekazywanych informacji, po czym rozłączył się i niechętnie przeniósł wzrok na skuloną w klatce kobietę. Wyglądała jak każde tatarskie ścierwo. Chuda, brudna, brzydka jak noc. Przez chwilę się jej przypatrywał, w końcu westchnął i gwizdnął w kierunku uchylonych drzwi. W progu natychmiast pojawił się inny mężczyzna. Miał około trzydziestki i nosił wojskowe spodnie oraz spocony T-shirt.

- Zabierzcie tę dziwkę – rzucił oschle brodac.
- Co mamy z nią zrobić?
- Co chcecie.
- Czy... – zaczął niepewnie podkomendny.
- Tak. Oby nie za długo. I na koniec pozbądźcie się ciała.
- Dziękuję w imieniu wszystkich chłopaków.

Brodaty mężczyzna nie odpowiedział, tylko machnął ręką i z powrotem sięgnął po otwarte piwo. Upił i zapalił papierosa. Uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał, że szef będzie zadowolony.

## Rozdział 12

Płyta lotniskowa była pokryta cienką warstwą świeżego śniegu. Niewielkie płatki leniwie opadały na skrzydło samolotu, który kończył kołowanie i zaraz miał zatrzymać się przy kołnierzu dla podróżnych. Gwar we wnętrzu narastał, a gdy wybrzmiał sygnał odpięcia pasów, wszyscy na hura rzucili się do wyciągania podręcznych toreb, walizek i plecaków.

Luta nawet nie drgnęła.

Wpatrywała się w przestrzeń za oknem, walcząc z niekontrolowanym zalewem ponurych myśli. Wciąż nie otrząsnęła się z szoku po stracie Franka i Werki. Ich już nie było, ot tak, wylatywała z nimi, a teraz już ich nie było. Wizja tego, co ujrziała na miejscu zbrodni, nie opuszczała jej ani na moment. Wbiła się w jej umysł niczym zatruty cień, powoli sącząc toksynę do krwiobiegu i przypominając o tym niekończącym się koszmarze. O fatalnej decyzji, o winie, którą za to wszystko ponosiła, ona i jej matka, i ten cholerny Nikos, bo przecież od tego pieprzonego rodzinnego wyjścia do parku to wszystko się zaczęło. Dziś zaś nastąpił koniec, Werki i Franka już nie było, nawet fizycznie, bo to, co zostało z ich małych ciałek, było tylko sprasowaną kupą organicznej materii, wszak trudno mówić nawet o mięśniach i kościach – wszystkie one zostały zmiażdżone i zmasakrowane do tego stopnia, że nie miały w sobie nic ludzkiego.

– Oszczędzimy pani widoku – poinformował ją komisarz prowadzący śledztwo, ten sam barczysty facet z wąsem, który na plakietce oficjalnego munduru miał napisane Metecan Korkmaz. – Nasz patomorfolog przeprowadzi sekcję i przekaże pani wyniki – dodał z grymasem bólu na twarzy, bo i on czuł ból, widząc matkę, która straciła dwoje dzieci.

Jego słowa do niej nie docierały. Siedziała w gabinecie blada jak marmur, ze wzrokiem wbitym w ścianę, nieobecny, prawie martwym. Powtórzył to kilkakrotnie, zanim w końcu spojrzała w jego stronę, myśląc i nie myśląc, tonąc w oceanie żalu i goryczy, cierpienia, pretensji i wyrzutów sumienia. Nie zaoponowała, a komisarz Korkmaz podsunął jej dokument, który tylko omiotła wzrokiem, po czym go podpisała, bo zaraz po sekcji postanowiła szczątki dzieci skremować, aby nie wieść samolotem tych potwornie zmasakrowanych ciał, jeszcze niedawno tak pięknych, niewinnych, rozkwitających z każdym dniem, potem nieprzypominających już niczego, co ludzkie, dziś tylko prochów w dwóch trzymany pod pokładem urnach, bo takie były te bezduszne przepisy, że inaczej się nie dało.

To, co ujrzała po dotarciu do pracujących techników, wystarczyło, aby podjąć taką decyzję, nawet jeśli sama kremacja jest w świecie islamu zakazana. Ta miążga blachy, gumy, smoły i ludzkich szczątków nie przypominała niczego, a już na pewno nie Franka i Werkę, jej dwa największe szczęścia, których już nie było i pozostał po nich jedynie dojmujący, wżerający się w duszę i ciało żal. To była jakaś upiorna aberracja rzeczywistości, absurd w najczystszej postaci, wszak to ona podjęła tę decyzję, będąc zirytowana, w nerwach, w emocjach, które stępiły jej matczyne instynkt. To ona, Lutosława Karabina, wsadziła własne dzieci do samochodu kuzyna i zostawiła je tam, odprowadzając wzrokiem pojazd, słysząc płacz przerażonej córeczki, w szybie widząc jej małe rączki wyciągane do niej, do matki, podłej suki, bo inaczej już nie potrafiła o sobie mówić ani myśleć, takim właśnie była potworem.

To ja je zabiłam, to moja wina, to ja, to ja, to ja. Te słowa wciąż wybrzmiewały jej w głowie, kłuły i rżnęły okrutnie, każdego dnia, w każdej godzinie, a może nawet i minucie, ale taka była właśnie prawda: to ona z własnej woli wsadziła dzieci do tego samochodu, a potem odeszła, obojętna na wołanie córki i jej wyciągnięte rączki. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego? Nie miała pojęcia, nie rozumiała. A teraz miała tylko te dwie małe urny, a w nich prochy i nic więcej, tylko prochy, ich prochy.

– Proszę pani. To już koniec podróży. – Głos stewardesy brzmiał, jakby dochodził z oddali, mimo to wyrwał Lutę z letargu. Po całym ciele rozlała się fala dreszczy, a oczy znów wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach i szyi. Obok stał były mąż, ojciec Franka i Werki, i patrzył na nią wzrokiem, za którym kryła się nieskończona pretensja, a do tego żal, złość, gniew i nienawiść, bo na pewno nie współczucie i miłość.

– Już wylądowaliśmy. Musimy wyjść – powiedział, a ona, wytarłszy policzki z łez, podniosła się z fotela, wyjęła ze schowka plecak i poszła za nim, niczym bezmyślny zombie, a może i trup.

Nic z odprawy paszportowej nie zapamiętała, dopiero moment, gdy znów dotknęła urn i wtedy się rozkleiła. Wrócili jego samochodem w kompletnej ciszy. Oboje wiedzieli, że jedno słowo może rozpętać lawinę oskarżeń, choć i ten moment już nastał, jeszcze w Turcji, krótko po przylocie Szymona, który poznawszy prawdę, nie utrzymał emocji na wodzy i wyrzucił jej wszystko, wychłostał słowami niczym podłą bładź. Wtedy Luta zrozumiała, że bezpowrotnie ją znienawidził. Musieli wspólnie przetrwać jeszcze kilka dni, zorganizować pogrzeb, włożyć urny do grobów, a potem jakoś dalej żyć bez dzieci i siebie, ale jak, to tego Luta nie wiedziała, bo dla niej życie już się skończyło, była tylko całunem złych wspomnień, żalu, rozpaczy, powłoką bez duszy, niczym więcej.

Cztery kolejne dni minęły, jakby ich nie było, i tak też o nich myślała, że tych dni nie ma, przynajmniej dla niej, dla niej już nie było niczego, ani matki, ani brata, ani całego świata. Nic z tego okresu nie pamiętała, ale chyba zrobiła, co trzeba, i pogrzeb zorganizowała, jakieś papiery podpisała i termin ustaliła. Ceremonia była skromna, bo rodzina z Turcji nie przyleciała. To była jej decyzja, bo jeszcze w Rize wybuchł potworny konflikt i wszyscy zaczęli obrzucać się wza-

jemnie oskarżeniami, zwłaszcza że ciała Tuncaya nie odnaleziono, nie było go w zmiądzonym przez walec samochodzie, kuzyn zniknął jak kamfora, wyparował i nikt nie wiedział dlaczego, a stąd już niedaleko do podejrzeń, że mógł mieć w tym wypadku, a raczej zbrodni, jakiś udział. Luta sama nie wiedziała, w co wierzyć. Nie potrafiła przestawić się na logiczne myślenie, żałoba po stracie dzieci przytłoczyła ją w takim stopniu, że nie była w stanie oddzielić prawdy od fałszu i bezpodstawnych oskarżeń od faktów. To jeszcze nie był ten czas. Czas na rozliczenie miał przyjść, choć aż tak często o tym nie myślała. Czuła jednak obecność tego, co załęgło się w jej sercu i powoli zamieniało je w kamień albo bryłę lodu, kawałek po kawałeczku oplatało je niczym trujący bluszcz w oczekiwaniu na odpowiedni moment, aby wyjść z ukrycia i pokazać swoje szkaradne oblicze, bo bez wątpienia było szpetne, jak cały ten cholerny i niesprawiedliwy świat, w którym przyszło jej żyć, a teraz cierpieć katusze. Ale wtedy to jeszcze nie był ten czas, wtedy był czas na łzy i żałobę.

\* \* \*

Cmentarz pokrywała cienka warstwa białego puchu, a na ośnieżonych konarach okolicznych buków i dębów krakały wrony.

Luta odebrała ostatnie kondolencje i jeszcze przez chwilę stała nad świeżo usypanymi grobami, sama jak palec, w towarzystwie tych kraczących wron i ośnieżonych mogił, i szumu przejeżdżających przyległą do nekropolii ulicą Wrocławską samochodów. Goście zdążyli się rozejść, przyjaciele też, wszyscy z ustami pełnymi frazesów o tym, że może na nich liczyć i prosić o każdą pomoc. To było tak głupie, że nawet tego nie komentowała. Jak oni mogli jej pomóc? No jak, byli dla niej bezwartościowi, nawet koledzy z jednostki, którzy akurat mieli wolne i pofatygowali się na pogrzeb, choć przecież nie musieli i tego od nich nie oczekiwała; ich też nie miała prawa prosić o tę pomoc, nawet jeśli takie zapewnienia składali. Tak naprawdę nie chciała widzieć nikogo, zwłaszcza byłego męża, ojca Franka i Werki, jemu nie mogła spojrzeć w twarz. Matka i brat się nie narzucali, byli, bo byli, na pewno cierpieli, ale znali ją na tyle dobrze, aby nie naciskać, więc zaraz po ceremonii zeszedł Lucie z oczu. Emil również od początku czuł się zakłopotany, nie do końca wiedział, jak się zachować, nie miała więc skrupułów i go odtrąciła, gdy kochanek próbował ją przytulić; nie tego od niego oczekiwała i potrzebowała. I chyba tylko Szatan rozumiał targające nią emocje. On nie udawał, nie poklepywał po plecach i nie opowiadał dyrdymałów o bólu, który nosi w sercu. Szatan po prostu odstał swoje, zrobił niechlujny znak krzyża, a potem zapalił papierosa i odszedł, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, że i tak wkrótce się zobaczą, pewnie prędzej niż później, bo pewne kwestie trzeba było w końcu omówić i rozstrzygnąć.

Wzdrygnęła się, gdy w tle rozległy się odgłosy przejeżdżającej karetki. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów. Podczas ceremonii pogrzebowej tłumiała emocje. Na wszelki wypadek założyła ciemne okulary, ale i tak zdołała powstrzymać łzy. Teraz jednak czuła, że wszystko wraca ze zdwojoną siłą.

Żal, smutek, gorycz, ból, pretensje i urazy – wszystkie one zaczęły wypełniać ją niczym wielki balon napęczniony helem. Zagryzła zęby i zacisnęła pięści z taką siłą, że wbiła sobie paznokcie w skórę. Nie pomogło i w końcu pękła. Padła na kolana twarzą do podłoża, wyjąc przeraźliwie, jej łzy mieszały się z grudkami świeżo nasypanej ziemi. Chwytała ją w garści i pozwoliła, aby płacz odebrał jej resztki godności. To było absolutnie rozdzierające duszę doznanie, przerażająco dojmujące, jakby ktoś nieustannie wyrwał jej serce, bez ustanku, raz za razem, bez litości. Łkała nieprzerwanie, dopóki starczyło jej sił i łez, a gdy już wszystkie wypłakała, podniosła się z kolan i raz jeszcze spozjrzała na otoczone wieńcami krzyże.

Przetarła brudną dłonią policzki, dodatkowo rozmazując sobie na twarzy resztki ziemi, wtedy usłyszała dwa głosy.

Jeden przemówił z wewnątrz i należał do tego, co się w niej załęgło, a drugi niósł się zza pleców i bynajmniej nie należał do kogoś, kogo chciałaby zobaczyć. Oba zwracały się do niej po imieniu.

Przełknęła ślinę, czując, że wzbiera w niej kolejna fala emocji. Tylko jeden człowiek mógł podejść ją tak blisko bez jej wiedzy. Zacisnęła jednak zęby i powoli się odwróciła. Spojrzała w twarz postawnemu mężczyźnie z długą blizną przecinającą brew, nasadę nosa i kawałek policzka.

– Co tu robisz? – zapytała hardo.

– Spłacam dług.

Górna warga Luty uniosła się w nerwowym grymasie, a chwilę później jej pięść wylądowała na szczęce przybysza. Mężczyzna przyjął cios i lekko zachwiał się na nogach, zrobił krok w tył i chwycił się za podbródek. Potarł go, po czym podniósł wzrok na Karabinę.

– Nie wyszłaś z formy – mruknął, wycierając palcem krew z dolnej wargi. – Dlatego tu jestem i chcę ci pomóc.

– Pierdolisz...

– Zanim zaczniesz mnie lżyć, przyjmij moje kondolencje. I chodźmy gdzieś usiąść. Chciałbym o tym pogadać.

\* \* \*

W cichej i prawie pustej o tej porze winiarni Bachus było chłodno, a oświetlane żółtawym światłem ceglane ściany tylko to wrażenie pogłębiały. To właśnie tu matka planowała stypę, ale Luta wyraźnie zaprotestowała. Nie chciała widzieć nikogo, zwłaszcza jej i przyrodniego brata, poza tym kogo niby miałyby na taką stypę zaprosić? Przecież nie kochanka czy przyjaciół z jednostki, a tym bardziej z maty, tylko po to, aby zeżreć rosół i schabowego, w posępnej atmosferze milczenia albo pokątnych szeptów – to wydawało się jej kompletnie pozbawione sensu. Ale i tak tu była, nie wiedząc czemu, po prostu wsiadła do samochodu i niczym zaprogramowany robot obrała kierunek do centrum miasta, zaparkowała przy deptaku i przyszła tu, pod ratusz, do tej ponurej winiarni Bachus. Teraz trzymała w dłoniach kubek gorącej zimowej herbaty z owocami i goździkami, zasta-

nawiając się, jak zacząć tę rozmowę z człowiekiem, którego kiedyś kochała jak brata, a potem szczerze znienawidziła.

– Mów, co masz mówić – rzuciła w końcu tonem oschłym, pogardliwym.

Mężczyzna podrapał się po kilkudniowym zarostcie, koszulka na bicepsach napięła się mocniej niż zwykle.

– Nie jestem tu, aby wracać do przeszłości. Chociaż kiedyś byliśmy...

– Właśnie, Borys, byliśmy. Jeszcze raz pytam, co tu robisz?

Świdrowała wzrokiem rozmówcę i nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Borys Morozow był mężczyzną, z którym łączyło ją wiele, ale równie wiele ich dzieliło. Siedem lat w jednostce JWK, potem cztery na misjach, zawsze razem, ramię w ramię, zwłaszcza gdy nad głowami świstały kule wroga. Potem to wszystko się pochrzało, ale to nie był czas, aby teraz do tego wracać.

– Znam cię na tyle dobrze, że powiem wprost. – Mężczyzna upił łyk piwa. – Jestem twoim dłużnikiem i chcę spłacić dług.

– Nic mi nie jesteś winien.

– Oboje wiemy, że nie masz racji. Uratowałeś mnie w każdym możliwym znaczeniu tego słowa. A potem po prostu odeszłaś.

– Do brzegu, Borys.

– Wiem, że tak tego nie zostawisz. Średnio rozgarnięty żołdak po zapoznaniu się z tematem potrafiłby dodać dwa do dwóch. Dlatego nie zaprzeczaj, że to, co wydarzyło się półtora roku temu, to nie twoja robota. Taki gnój w tej masarni mogła zrobić tylko jedna osoba.

– Co to ma do rzeczy?

– Znam cię, Luta. Może nawet lepiej niż ty siebie. A to, że szlajałem się po Afryce, nie znaczy, że nie pilnowałem własnego podwórka. Porwanie twojej... – Mężczyzna zawahał się. Tęczówki rozmówczynie zadrżały. – Było o nim głośno. Zadbaliś, aby to poszło szeroko, a gdy zobaczyłem w sieci twoje zdjęcie, od razu wiedziałem, że weźmiesz sprawy w swoje ręce. Chciałem przyjechać, możesz mi wierzyć lub nie, ale wiesz, jak to działa. To nie obóz harcerski. Nie puściliby mnie z dnia na dzień. Robiłem, co mogłem, ale zanim ci jebani biurokraci wydali decyzję, załatwiłaś sprawę.

Luta siedziała z parującym kubkiem w dłoniach i przysłuchiwała się słowom Borysa. W jej głowie wciąż kotłowały się tysiące myśli i trudno jej było skupić się na przekazie, mimo to próbowała, bo uderzył we wrażliwe tony. No bo co zrobiła nie tak? Jeśli mówił prawdę i sam do tego doszedł, to znaczyło, że albo plan Szatana nie był wcale taki idealny, albo ona go spieprzyła, pozostawiając za dużo śladów. Wszak jeśli „średnio rozgarnięty żołdak” mógł dotrzeć do prawdy, to tym bardziej szczególnie dotknięty śmiercią swoich ludzi, zwłaszcza zaś syna Yusufa, szef jednej z największych organizacji przestępczych w Europie, Hakan Ozalan. Ostatecznie zagryzła zęby i postanowiła mu nie przerywać. Morozow kontynuował:

– Przez jakiś czas zastanawiałem się, jak udało ci się z tego wymiksować, ale gdy media zaczęły drążyć i powychodziły te sprawy z masarnią i świniami, zacząłem łączyć kropki. Sprawdziłem też tego Szatana i jego synalka. I jestem

pewny, że się z nimi dogadałaś. Nie wiem jak, ale na pewno mieli w tym swój udział. Ostatni incydent w areszcie i obecność starego na pogrzebie tylko to potwierdza. Pozostawała kwestia samych Ozalanów...

– Nawet jeśli to wszystko jest prawdą, to co z tego? – zapytała, nachylając się nad blatem. – Myślisz, że jak dostałeś przepustkę, to ja machnę ręką na to, co odwaliliś? Powiedz, ilu niewinnych ludzi tam zabiłeś? Ile na tym zarobiłeś?

– To cios poniżej pasa.

– Jak boli, to spierdalaj.

– Nie dałaś mi dokończyć.

– To kończ i spierdalaj.

Borys odwrócił wzrok i zacisnął zęby. Usłyszała, jak przeskakują kostki w jego zaciskanych pod stołem pięściach, na skroniach wypełzły niebieskie żyły.

– Rozmawiałaś z kimś jeszcze? – zapytał, próbując zapanować nad emocjami.

– Niby z kim?

– Z resztą chłopaków.

– Jaką resztą chłopaków? – prychnęła. – Albo bredzisz, albo naprawdę masz bardzo krótką pamięć. Naprawdę myślisz, że po tym, co wydarzyło się w Qal'a-i-Najil, mam jakikolwiek glejt, aby prosić ich o pomoc?

– Jak nie zapytasz, to się nie dowiesz.

– Przestań kpić. Spaliłeś wszystkie mosty. I mam już dość tej rozmowy.

– Twoja duma kiedyś cię zabije.

– Duma... – Luta z niedowierzaniem pokręciła głową. – Ty nie wiesz, co to duma, Borys. Spieprzyłeś wszystko. A teraz przyłazisz tu, żeby co? Żeby mnie dręczyć? Nauczyłeś się tego u nich? Wracaj do tych bandytów i więcej mi dupy nie zawracaj.

– Już dla nich nie pracuję.

Luta cofnęła się, cmoknęła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Przestali płacić czy po prostu wyjebali cię na zbity pysk? – zapytała.

– To temat na dłuższą rozmowę. Ale odszedłem sam.

– Mam w to uwierzyć?

– Do pewnych rzeczy trzeba dorosnąć. Ty powinnaś to rozumieć najlepiej.

– Pieprz się, Borys. Pieprz się. Wychodzę.

Gdy tylko ręka Luty wylądowała na torebce, dłoń Morozowa zacisnęła się na jej nadgarstku. Instynktownie spięła się, aby mu odwinąć, ale ostatecznie ustąpiła. Spojrzała mu w oczy. Na ich dnie tlił się bezbrzeżny żal.

– Poczekaj, proszę – powiedział, a ona, zaskoczona własną reakcją, z powrotem opadła na krzesło. – Znamy się nie od dziś, więc proszę, daj mi szansę. Pięć minut i jeśli uznasz, że więcej nie chcesz mnie widzieć, to przysięgam, że to będzie nasza ostatnia rozmowa. Na tyle chyba zasługuję.

– Pięć minut – bąknęła.

Borys nerwowo potarł zarosnięte policzki i bliznę na skroni, następnie głęboko odetchnął, odchrząknął i zaczął mówić:

– Nie jestem z siebie dumny, ale świat też nie jest sprawiedliwy. Wiesz o tym, Lutka. Wie o tym każdy, kto kiedykolwiek widział wojnę na własne oczy. Nie

chcę się teraz wybielać. Zrobiłem, co zrobiłem. Odwaliło mi, ale wiesz o tym dobrze, gdybym wtedy postąpił inaczej, to te skurwysyny pewnie dziś hasałyby po berlińskich czy paryskich dzielnicach jako biedni uchodźcy. Poniosło mnie, przyznaję, ale czy naprawdę zrobiłem coś złego? Ile razy o tym gadaliśmy? To byli mordercy. Zwyrondnialcy. Zwykłe śmieci. Po prostu wymierzyłem sprawiedliwość, jakkolwiek to brzmi. Pozbyłem się śmieci, a zostałem ukarany jak za ludzi. I to surowo. Co więc miałem zrobić? Pójść na kasę do jebanej Biedronki?

– Ja znalazłam normalną pracę...

– Miałaś męża, zaszłaś w ciążę... – Mężczyzna ugryzł się w język.

– Do brzegu, Borys, bo naprawdę nie mam ochoty na te wspominki. Czego ty chcesz?

– Pomóc.

– Niby w czym?

– W zajebaniu Ozalanów.

Luta nerwowo zarechotała, ale zaraz spoważniała. Wytarła łzę, która w końcu urwała się z kącika oka. Pociągnęła nosem.

– Oferujesz mi pomoc w zniszczeniu klanu Ozalanów?

– Wiem, że w Turcji nie doszło do wypadku. To ich robota, prawda? Incydent w areście też wpisuje się w ten schemat. Dowiedzieli się, a teraz się mszczą.

– Borys... – westchnęła Karabina. – Czy ty wiesz, co ty w ogóle mówisz? Dziś pogrzebałam moje dzieci i... – Słowa utknęły jej w gardle.

– Dlatego tu jestem, Luta. Przecież cię znam. Ty nie odpuszczisz. Nie odpuściłaś wtedy, więc teraz tym bardziej. Nie masz nic do stracenia. Tak jak ja. Chcę ci pomóc.

– Ty... nie wiem... – Skrzywiła się. – Ty szukasz odkupienia?

– Słacam dług wobec rodziny.

– Rodziny... – prychnęła Luta. – Co ty, kurwa, wiesz o rodzinie, Borys?

– Nazywaj to, jak chcesz. Ja tak naprawdę zawsze miałem tylko ciebie. I wierz lub nie, ale przez te ostatnie lata nie było dnia, abym nie myślał o tym, co się stało pod Dżalalabadem. Wszystko się wtedy spierdoliło. To znaczy... ja wszystko spierdoliłem...

– Zaczyna się robić sentymentalnie, a mi wystarczy emocji. – Luta skinęła na przechodzącą obok kelnerkę. Zapłaciła za siebie, powoli podniosła się z krzesła i włożyła kurtkę. – Przemyślę, co powiedziałeś. Od dziś będę miała na to dużo czasu.

– Nie weźmiesz mojego numeru?

– Dowiesz się, gdy podejmę decyzję.

Już miała odejść, gdy poczuła szarpnięcie. Borys znów trzymał ją za przedramię, ale tym razem uścisk był inny, delikatny, niemal czuły. W jego oczach tliła się przejmująca gorycz.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedział. – Ci dranie muszą ponieść karę.

Luta wyczekała momentu, aż stary przyjaciel poluzuje uchwyt, i nie komentując jego ostatnich słów, wyszła z lokalu. W drodze do domu ponownie usłyszała



drugi głos, ten z wnętrza. Brzmiał niczym echa przeszłości, a jego szkaradne słowa były dla niej ukojeniem.

## Rozdział 13

**B**orys Morozow był mężczyzną na wielu płaszczyznach niepozornym, ale w tym, czym się zajmował na co dzień, bardzo skutecznym. Urodził się w Żaganiu, jako syn byłego wysokiego rangą oficera stacjonujących podówczas na tym terenie wojsk ZSRR, Wiaczesława Morozowa, półkrwi Rosjanina, półkrwi Ukrainca, który pochodził z niewielkiej wsi w Donbasie, oraz Marianny Wisławskiej, Polki z dziada pradziada, choć korzenie jej rodziny sięgały Kresów Wschodnich, a dokładnie Wołynia. Od najmłodszych lat wychowywano go na świadomego swojego pochodzenia człowieka, do czego dużą wagę przykładał zwłaszcza ojciec, który wbrew obiegu opinii przeciętnego obywatela Polski wcale nie był żadnym polskiej krwi żołdatem Armii Czerwonej, ale mądrym i rozsądnym człowiekiem wykonującym powierzone mu zadanie obrony państw Układu Warszawskiego przed potencjalnym zagrożeniem ze strony Paktu Północnoatlantyckiego. Trudna miłość, w której szpony wpadł, poznawszy na jednym z dancinów piękną blondwłosą Mariannę, dodatkowo utwierdziła go w przekonaniu, że w obliczu tak potężnego uczucia nie liczy się ani pochodzenie, ani wpojone w szkole oficerskiej wartości, które z racji wrodzonej przekory w samotności i tak często kwestionował. Nieuchronność tego, co miało się wydarzyć krótko po tym, jak Marianna zaszła w ciążę, sprawiła, że jeszcze przed urodzeniem syna zaczęła szukać możliwości, aby osiąść w Żaganiu na stałe. Wniosek, który wysłał do dowództwa, o dziwo, krótko po przyjściu na świat Borysa został zaakceptowany, a w czasie chaosu, jaki nastąpił w okresie wycofywania się wojsk rosyjskich z ziem polskich, Wiaczesław Morozow dzięki znajomościom i twardo wynegocjowanej sumie pieniędzy postarał się, aby jego papiery przypadkiem się zapodziały, a następnie na dobre zniknęły. I tak, gdy mały Borys powoli wyrastał z pieluch, a wiatr zmian wiał już pełną mocą, rodzina Morozowów osiadła w nieodległej Zielonej Górze, z której pochodziła Marianna.

– Jesteś obywatelem świata – powtarzał mu ojciec, który za wszelką cenę chciał uchronić syna przed szykanami ze strony rówieśników. Sam w dzieciństwie często musiał mierzyć się z niechęcią i tak naprawdę do tej pory nie potrafił jasno się określić, bo w Rosji zawsze traktowali go jak Ukrainca, w Ukrainie jak Rosjanina, a w krajach na Wschód od Bugu po prostu Ruskiego. – Ucz się pilnie, szanuj bliźnich i nigdy nie poddawaj się w dążeniu do postawionego celu. Wtedy,

prędzej czy później, osiągniesz wszystko, co sobie założyłeś. Świat się zmienia i dla młodych ludzi staje otworem. Nie zmarnuj tej szansy.

Borys od najmłodszych lat wykazywał się ponadprzeciętną dojrzałością i ilorazem inteligencji wyraźnie przekraczającym średnią rówieśników w klasie, to natomiast dość szybko przełożyło się na ostracyzm ze strony kolegów. Jego imię i nazwisko też nie pomagało w pokonaniu pierwszych przeciwności losu, bo tak się złożyło, że Borys podjął naukę akurat krótko po transformacji ustrojowej, która dodatkowo napędzana niechęcią do wszystkiego, co do tej pory łączyło się z Wielkim Bratem ze Wschodu, przeniosła się też na ulice, w tym do szkół.

– I co, Rusek? Podwijaj kieczę i spierdalaj ze swoimi do ruskiego miru – wołał lider grupy, która dokuczała mu najmocniej. Marcin był wyższy i silniejszy od większości rówieśników, a do tego przesiąknięty ideałami solidarnościowymi i podobno, bo o tym krążyły tylko legendy, jego prawdziwy ojciec zaraz po jego urodzeniu został zakatowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Tłumaczenia, że nie jest Ruskiem, tylko Polakiem, nic nie dawały. Dowody, że urodził się w Żaganiu, jest katolikiem, ma polski paszport, a na apelach i zajęciach z muzyki zawsze najgłośniej śpiewa z pamięci *Mazurka Dąbrowskiego*, na nic się zdawały, bo w tym wieku to nie było istotne, a przecież ktoś w klasie musiał być ofiarą, którą można było dręczyć, choćby z nudów.

Pierwsze lata w szkole podstawowej były jeszcze znośne, kolejne już nie, a w gimnazjum, które mieściło się w innym skrzydle budynku, zaczęło się piekło. Borys większość czasu spędzał, kryjąc się w toaletach albo innych rzadko uczęszczanych zakamarkach, mimo to zaciskał zęby i nikomu o tym nie mówił, zwłaszcza ojcu, który w tym czasie zmagał się już z ciężkim nowotworem płuc, w związku z czym nie chciał mu dokładać zmartwień, bo ten z każdym kolejnym dniem zdawał się schnąć niczym niepodlewana roślina. Umarł, gdy Borys miał czternaście lat, wtedy chłopak zamknął się w sobie jeszcze bardziej, co oczywiście nie pozostało bez odzewu, bo rówieśnicy dostrzegli tę zmianę i natychmiast ją wykorzystali, jeszcze bardziej utrudniając mu życie. Wtedy, gdy był już na granicy wytrzymałości, wydarzyło się coś, co zmieniło jego życie.

– Czego od niego chcecie, frajerzy? – usłyszał dziewczęcy głos, gdy leżał skulony i trzymał się za brzuch za garażami. Zerknął spod napuchniętej powieki na grupkę dręczących go wyrostków. Kilka metrów dalej stała wysoka dziewczyna o kruczoczarnych włosach, ze sportową torbą na ramieniu.

– A ty się nie wpierdalaj! – warknął przywódca łobuzów, na którego wołali Kapucyn. Raz jeszcze kopnął Borysa w brzuch, a potem obrzydliwie splunął jej pod nogi. – No co? Ty też chcesz dostać w łeb?

– Uważaj, bo to ta Lu-to-sła-wa – zaszydził Gruby, jeden z oprawców, którego nienawidził najbardziej.

– Ta, co trenuje kicka? – włączył się do rozmowy Miki.

– I co z tego, że trenuje – zachnął się Kapucyn. – To przecież baba. Chyba na ostatnim treningu za mocno w łeb dostała i coś jej się pod kopułą popierdoliło. Ale za to chętnie bym ją wyruchał. Lubisz na ostro? – Ostatnie słowa skierował bezpośrednio do dziewczyny z torbą.

Ta omiotła towarzystwo wzrokiem i zrzuciła torbę z ramienia.

– Macie pięć sekund – oznajmiła, nie spuszczając wzroku z Kapucyna. Ten zjadliwie zarechotał i obraził ją w wyjątkowo szpetnych słowach, a Gruby napiął klatkę jak kogut i ruszył w jej kierunku. Reakcja była błyskawiczna i Gruby już po chwili leżał na ziemi, podobnie jak stojący obok niego mniej postawny Miki, a na końcu Kapucyn, który nie tylko został powalony przez dziewczynę, ale dodatkowo pech chciał, że upadając, wyszorował twarzą fragment trawnika, na którym akurat leżała świeża psia kupa. – Któryś jeszcze? – zapytała dziewczyna, wymownie wbijając spojrzenie w tych, którzy póki co nie znaleźli się w jej zasięgu. Zrobili krok w tył i tylko pokręcili głowami. – No to teraz mam tu kilku świadków, że Kapucyn uwielbia żreć psie gówno – zwróciła się do dyszącego przy ziemi lidera bandy. – Tkniecie tego chłopaka jeszcze raz, to o twoich upodobaniach kulinarnych dowie się cała szkoła. A przy okazji nakopię ci do dupy jeszcze raz, tym razem przy wszystkich.

Od tego momentu świat Borysa zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Dziewczyna nie tylko pomogła mu się pozbyć piętna ofiary, ale też namówiła, aby udał się z nią do klubu, w którym sama trenowała. Zaprzyjaźnili się, bo mieli sporo wspólnych doświadczeń, począwszy od nie do końca polskiego pochodzenia, a skończywszy na trudnych relacjach z rówieśnikami. W pewnym momencie Borys zaczął się w niej podkochiwać, a po jednym z treningów, podczas powrotu przez park, nawet zniemacka ją pocałował. Luta szybko jednak sprowadziła go na ziemię, tym razem nie dosłownie, po prostu wytłumaczyła mu, żeby nie robił sobie żadnych nadziei, bo po pierwsze, jest za młody, a po drugie, nie w jej typie. Borys przełknął więc gorzką pigułkę i z szacunku dla przyjaciółki zrezygnował z umizgów, znalazł sobie dziewczynę i tak jakoś to życie się toczyło, tym razem już normalniej, na jego własnych zasadach. Z czasem wywiązała się między nimi specyficzna, przyjacielsko-braterska nic porozumienia, taka trochę wspólnota bratnich dusz, która choć nie miała prawa znaleźć ujęcia w łóżku, to świetnie sprawdzała się na każdym innym polu, więc gdy Luta po zdaniu matury zdecydowała się kontynuować karierę w mundurze Wojska Polskiego, Borys dwa lata później poszedł za nią jak w dym. Potem testy do Jednostki Wojskowej Komandosów, pierwsza rotacja w Iraku, pierwsza misja, pierwszy trup; potem już regularnie świstające kule, krew, ogień, upał, smród, ból, cierpienie, często niewinnych kobiet i dzieci, bo bandyci z Państwa Islamskiego nie znali litości; to słowo było im zupełnie obce. Siedem lat wspólnego wojowania umknęło niemal niepostrzeżenie, prawie zawsze razem, ramię w ramię. On był jej oczami i uszami, ona zwykle naciskała na spust. Pewnego dnia wszystko się jednak zmieniło. To wtedy Borys nie unióś ciężaru, po prostu nie wytrzymał psychicznie i zrobił coś, czego zrobić nie powinien, choć to też kwestia dyskusyjna, bo pewnie wielu by mu przyklasnęło.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał telefonu. Spojrzał na wyświetlacz, po czym odebrał i przytknął urządzenie do ucha.

– Jestem – rzucił oschle.

– I jak? Wejdzie w to? – zapytał głos po drugiej stronie.

- Tak myślę.
- To za mało.
- Potrzebuje czasu.
- Przyspiesz decyzję. Powiedz jej, że mają Tuncaya.
- Będzie chciała porozmawiać z tobą osobiście.
- Powiedz jej, że ze względów bezpieczeństwa rozmawiam tylko z tobą. Jest żołnierzem sił specjalnych, więc powinna zrozumieć.
- A jeśli nie?
- Przekonaj ją.
- W takim razie mogę potrzebować dowodu.
- Wtedy wyślę zdjęcie, ale... – mężczyzna po drugiej stronie zrobił krótką pauzę – ...pokaż jej w ostateczności. To jednak duże ryzyko.
- W porządku.
- Coś jeszcze?
- Nie.
- Bez odbioru.

Połączenie zostało przerwane, mimo to Borys smartfona nie odłożył, tylko mocno ścisnął go w garści. Przez chwilę intensywnie myślał, zaklął pod nosem, w końcu wstał, podszedł do lodówki i wyjął piwo. Otworzył jedno i wypił na raz pół butelki, po czym z powrotem przysiadł w fotelu i włączył telewizor. Akurat leciały wiadomości, w których prezydent Rosji po raz kolejny odgrażał się Ukrainie, odmawiając jej państwowości i nazywając jej obywateli nazistami. Nie brzmiało to dobrze i doświadczenie podpowiadało mu, że wojna jest nieuchronna, pytanie tylko, jak będzie intensywna i jaką skalę przybierze. Pomyślał, że to ostatni moment, aby dobrać się do skóry klanowi Ozalanów i Luta na pewno też o tym wie, potem może być różnie, bo służby zaczną szaleć i zrobi się gnój.

Czterdzieści osiem godzin, pomyślał. Tyle da jej na podjęcie decyzji, a jeśli nie, to skorzysta z planu B. Plan B, choć ryzykowny, na pewno ją przekona.

## Rozdział 14

— **W**chodzisz w to?  
— Tylko po to żyję.

Luta kiwnęła głową ze zrozumieniem. Pytanie zadała dla zasady, bo odpowiedź chciała usłyszeć głośno i wyraźnie. Nie miała jednak wątpliwości, że będzie ona pozytywna, wszak na tym świecie nie istnieje nic gorszego niż człowiek, który nie ma nic do stracenia. Teraz było ich dwoje.

Szatan zamieszał łyżeczką w kubku z kawą. Za oknem zrobiło się już całkiem ciemno, choć Luta na wszelki wypadek zasłoniła wszystkie żaluzje. Też tylko dla zasady, bo tak naprawdę już było jej wszystko jedno. Wcześniej nigdy nie spotykała się z Zygmuntem u siebie, ale teraz nie musiała martwić się o bezpieczeństwo. Zresztą wątpiła, aby to ona znalazła się na celowniku. Ten, kto zaplanował morderstwo jej dzieci, chciał, żeby żyła. I latami cierpieła katusze.

Przez chwilę obserwowała nadkomisarza, który przesadnie długo mieszał łyżeczką w kubku z kawą. Z trudem panował nad drżeniem ręki, więc pozwoliła mu zapalić papierosa. I znów – kiedyś nigdy by się na to nie zgodziła w jej własnym mieszkaniu, a teraz to już nie miało żadnego znaczenia.

– Kto pierwszy? – zapytała, gdy się zaciągnął.

– Mów – odparł, wypuszczając dym nosem.

Luta w najdrobniejszych szczegółach opowiedziała swoją historię. Na wspomnienie o dzieciach kilkakrotnie łamał się jej głos, ale nie uroniła żadnej łzy. Moment najbardziej intymnej słabości miała już za sobą. To nad grobem wypląkała sobie oczy.

Sprawa wydawała się stosunkowo prosta. Hakan Ozalan w jakiś sposób musiał dowiedzieć się o jej udziale w masakrze pod Świebodzinem. Zdołał ją namierzyć, co było dość zrozumiałe, bo stracił w masarni najstarszego syna i czeredę swoich najlepszych ludzi. To musiało uderzyć w reputację klanu i zachwiać jego pozycję w branży. Dlaczego jednak nie uwierzył swojemu najmłodszemu synowi? Mustafa miał być dla nich gwarancją bezpieczeństwa, ale najwyraźniej nie posiadał daru przekonywania i ojciec zaczął węszyć. Wspólnie z Szatanem zgodzili się, że raczej nie zdradził, bo tak bezpardonowa napaść równałaby się wysadzeniu całego klanu w powietrze. Trochę na zasadzie wzajemnego gwarantowanego zniszczenia, które podczas zimnej wojny powstrzymywało przed głupimi pomysłami USA i ZSRR. Tu też nie byłoby zwycięzców. Ty zaatakujesz nas, to my

wypuścimy do sieci film, który zetrze rodzinę Ozalanów z powierzchni ziemi. Taka hańba była niezmywalna i bez wątpienia rozsądziłaby klan od środka. Sam Hakan też musiał to wiedzieć, więc nawet gdyby zrozumiał, że został przez syna oszukany, zapewne dwa razy by się zastanowił, zanim postanowiłby podnieść rękę na Szatana czy Lutę. Tymczasem nie dość, że zaatakował, to zrobił to w najbardziej wyrafinowany i absolutnie bestialski sposób, uderzając w niewinne dzieci.

Gdzieś zatem musieli popełnić błąd i pierwszy trop prowadził do więzienia w Wołowie. To stamtąd do ich uszu dotarły pierwsze sygnały, że dzieje się coś niepokojącego.

– Pozioma, Cypis i Czeczen. To oni wydają się najsłabszymi ogniwami w tym całym planie – skonstatowała Luta. – Pierwszy powiesił się w niejasnych okolicznościach w więzieniu w Wołowie, drugi dalej siedzi, trzeci nie wiem. Tylko... – Przygryzła dolną wargę. – W zasadzie to jakie to ma teraz znaczenie?

– Ty mi powiedz.

– Żadne, Zygmunt. W tej chwili naprawdę gównu mnie to obchodzi. Nawet jeśli to któryś z nich dogadał się z Ozalanami, to niewiele to zmienia. Poza tym i tak nie jesteś w stanie namierzyć tego Rączkowskiego, mam rację?

– Chłop wyparował, a jego papiery zniknęły. To co najmniej dziwne i możemy w ciemno zakładać, że jego obecność w więzieniu nie była przypadkowa i facet w jakiś sposób jest powiązany ze śmiercią Poziomy. A jeśli to prawda, to mamy problem, bo to oznacza, że stoi za nim ktoś naprawdę mocny.

– Wystarczyłoby, żeby Hakan skorumpował jakiegoś urzędasę albo wynajął dobrego hakera...

– W sumie... – Szatan upił kawy. – Pogrzebię jeszcze w tym temacie, choć niczego nie obiecuję. Mnie dręczy inna sprawa.

– Jaka?

– Masz zaufanie do tych kolegów z klubu?

– Ja już nie ufam nikomu, kto ma coś do stracenia.

Nadkomisarz przyjął to jako swoistą formę zawołowanego komplementu. Pomyślał, że lepiej nie mogła tego wyrazić.

– Zatem?

– Wątpię, ale to sprawdzę. Jeden z nich miał kontakty z Ozalanami, bo gdy mieszkał w Berlinie, kilka lat trenował w należącym do nich klubie sztuk walki Die Wölfe. Był jednak dziś na pogrzebie razem z żoną i synami. Zauważyłabym, gdyby zachowywał się nienaturalnie.

– A reszta?

– Wypytam ich. A teraz opowiedz mi o tym, co wydarzyło się w areszcie.

Szatan odchrząknął, jakby w gardle stanęła mu nie rybna ość, ale świńskie żebro. Odstawił kubek z kawą i zapalił kolejnego papierosa.

– Już jakiś czas temu Aleksander zwrócił mi uwagę na tego człowieka – zaczął. – Mówili na niego Chan i podobno węszył w sprawie Świebodzina. Dziwny przypadek, bo po tym, jak wlał na dyskotecę jakiemuś studentowi, a potem z nożem w rękę zaatakował ochroniarzy, nawet nie próbował się

w sądzie bronić. Odmówił składania zeznań, tłumacząc się nieznaną języka, a gdy przysłano mu tłumacza, to w ogóle zamilkł.

– Przypomina sprawę Rączkowskiego...

– Owszem, z tą różnicą, że tego faceta nie szło nawet zidentyfikować. No i rysy twarzy wyraźnie wskazują, że prawdopodobnie pochodzi z Bliskiego Wschodu. Nikt do końca nie ustalił, z którego kraju, ale nagrania wskazują, że posługiwał się jakimś dziwnym dialektem tureckim.

– Tych dialektów jest w Turcji od groma, ale chętnie posłucham.

– Postaram się załatwić jakieś nagranie. W każdym razie on by się wpisywał, ale Rączkowski...

– Zostawmy na razie Rączkowskiego. Co dokładnie wydarzyło się w tym areszcie?

Szatan odetchnął ciężko, a przez jego twarz przemknął nerwowy grymas. Wrzucił niedopałek do przyniesionej na tę okazję szklanki z odrobiną wody na dnie i niemal natychmiast odpalił następnego papierosa. Opowiedział ze szczegółami to, co udało mu się ustalić. Nie było tego wiele, bo dyrektor więzienia zabronił swoim pracownikom poruszać ten temat, a raport przekazany policji Szatan uważał za nie do końca wiarygodny.

– Co było w nim napisane? – naciskała Luta.

– To, co zwykle. Suche fakty. Chan podszedł do Aleksandra i po wymianie kilku zdań zaatakował ręcznie zrobionym ostrzem. Cholera wie, skąd je miał, ale załatwienie takich fantów za kratkami to nie problem. Zdążył zadać dwanaście ciosów, więc mocno go poharatał. Potem po angielsku zaczął się wydzierać, że przesyła pozdrowienia od Hakana Ozalana, a na koniec sam rozorał sobie gardło.

– To pokazuje, że stary wciąż ma wiernych żołnierzy gotowych zginąć w imię klanu.

– Na to wygląda. – Szatan łyknął kawy. – Na szczęście Aleksander żyje. Pomimo że atak wyglądał makabrycznie, to jakimś cudem Chan poważnie nie uszkodził tętnicy. W przeciwieństwie do swojej własnej.

– Co masz na myśli?

– Aleksander leży już na oddziale chirurgii ogólnej. Co prawda wciąż nie wybudzono go ze śpiączki farmakologicznej, ale jego stan podobno się poprawił. Pozwolili mi go zobaczyć. Wykaraska się z tego. Z Chanem natomiast jest gorzej, bo wciąż znajduje się na OIOM-ie...

– Czyli od nich też zbyt wiele się nie dowiemy...

– Załatwię dostęp do akt, ale najpierw muszą tego Chana poskładać do kupy, a potem przenieść z OIOM-u. Tylko to też może potrwać...

Luta zamknęła oczy i przetarła dłonią spocone czoło. Pomimo tego, że wyłączyła kaloryfery, to miała wrażenie, że w mieszkaniu jest gorąco jak w rozgrzanym piekarniku. Poprawiła kilka kosmyków, które przykleiły się do jej policzków.

– A ten cały, jak on miał... ten turecki komisarz? – ciągnął Szatan.

– Korkmaz.

– Oni prowadzą tam jakieś śledztwo?



– Nie powiedziałam im o wiadomości od Hakana. – Luta odetchnęła i z powrotem wbiła wzrok w rozmówcę. – Oczywiście pytali, czy mam jakieś podejrzenia, ale udałam głupią. Zresztą byłam w takim stanie, że... – Zamilkła na chwilę, ale zaraz znów podjęła: – Ostatecznie nie uznano tego za wypadek, bo po pierwsze, nie odnaleziono ciała mojego kuzyna, a po drugie, pracujący wówczas na zmianie robotnicy wyparowali.

– Próbowałaś ich szukać?

– Nie. Mówiłam ci. Byłam w totalnej rozszypce, a potem na głowę zwałił mi się jeszcze ojciec Franka i Werki. Zresztą po złożeniu zeznań przykleili mi ogon. Mogłabym popełnić tylko jakieś głupstwo.

– Czyli jednak mają jakieś podejrzenia.

– Na razie nikomu nie postawiono zarzutów, ale wiem, że Korkmaz przepętał większość rodziny i tych, którzy znali Tuncaya. Swoją drogą, to dodatkowo zaogniło relacje między nami. Tak czy siak, myślę, że jego zniknięcie potraktował jak ucieczkę, a co za tym idzie, swoiste przyznanie się do winy. Nawet jeśli w jego ocenie był to tylko zwykły wypadek.

– A ty co myślisz?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Świadomość, że Tuncay mógłby być w to w jakiś sposób zamieszany... – Jej głos znów zaczął się łamać. Zakłęła, aby do reszty się nie rozkleić. – Korkmaz podobnie obszedł się z robotnikami pracującymi podówczas w tunelu. Wiem, że wystawił za nimi nakaz aresztowania.

– Masz z nim jakiś kontakt?

– Wymieniliśmy się telefonami.

Luta wyszperała z portfela wizytówkę prowadzącego sprawę i położyła ją na stole. Szatan wklepał do swojego smartfona dane tureckiego kolegi po fachu, ale nic więcej nie dodał. Przez dłuższy czas po prostu milczeli. W końcu gość wrzucił niedopałek do szklanki z wodą. Rozległo się ciche skwierczenie.

– Chyba czas najwyższy zapytać o plan... – podjął w końcu Szatan. – Ja bym od razu dopieprzył z grubej rury i wpuścił do sieci film z Władymirem. Berlin zamieni się w piekło i sami się pozarzynają, a wtedy...

– Nie, Zygmunt. Ten film to był tylko straszak.

– Nie rozumiem...

– Jeśli go wypuścimy, to odkryjemy wszystkie karty. Trzeba to załatwić tak, żebyś miał w talii jakiegoś asa na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Żebyś JA miał asa? – Szatan spojrzał na Lutę spod byka. – Co ty chcesz zrobić, Luta?

– To, co powinnam była zrobić już dawno temu...

– Ale sama nie masz szans! Przecież nie pojedziesz do Berlina i nie wybijesz ich wszystkich do nogi.

– Tak się składa, Zygmunt, że dokładnie to planuję zrobić. Może nie sama, ale właśnie tak to sobie wyobrażam. Wybiję tych skurwysynów do nogi.

## Rozdział 15

Oparła się o ścianę, przykucnęła i sięgnęła do kieszeni po energetycznego batona. Wypluła gumę i wgrzyzła się w czekoladowy miąższ.

– Z takim rozpoznaniem to my daleko nie zajedziemy. Ktoś za to beknie – rzuciła, odpinając hełm. Wytarła pot z czoła.

– Stachu może z tego nie wyjść – mruknął Borys, wyciągając z pochwy wojskowy nóż. Luta powiodła za nim wzrokiem i zatrzymała go na dziurawych spodniach na wysokości jęgo łydki.

– Ciebie też trafili? – zapytała, popijając batona wodą z menażki.

– Tylko drasnęli. To nic.

– Pokaż to.

Luta wyjęła własny majcher i rozcięła spodnie. Przyjrzała się ranie kolegi. Obficie krwawiła, ale rzeczywiście nie była poważna. Kula zaledwie prześlizgnęła się po mięśniu. Wyciągnęła podręczny zestaw pierwszej pomocy i najpierw oczyściła ranę, a następnie zakleiła i owinęła bandażem.

– Będziesz żyć – rzuciła i klepnęła Borysa w pośladek.

– Dzięki.

– Powiedz lepiej, kiedy po nas przylecą?

– Najbliższa baza jest na przedmieściach Dżalalabadu, więc zejdzie im z pół godziny, może trochę więcej.

– Gdzie reszta chłopaków?

– Dwóch pilnuje Stacha, reszta obstawiała okna. Pozostaje mieć nadzieję, że zanim bandyci się pozbierają, nas już tu nie będzie.

– I tak, kurwa, w kółko...

– Taka robota.

Luta oparła głowę o ścianę. Schowała paperek po batonie do kieszeni spodni i ciężko westchnęła. To jednak nie był czas na odpoczynek. Otrzymali rozkaz przetrząśnięcia budynku. Nic nie wskazywało na to, aby był zamieszkały, ale w tej branży lepiej było dmuchać na zimne. Wtedy coś gruchnęło, a na głowy posypały im się drobinki tynku.

– Oni są jak karaluchy – mruknęła, z powrotem zakładając na głowę hełm. – Myślisz, że już je wytepiłeś, to zaraz wyleżą z innej nory...

– Przerzucili się na moździerz – rzucił Borys, delikatnie wychylając się przez niewielki otwór okienny. – Wałaj ze zboczy, ale raczej na wiwat. Niech zajmą się

nimi jankesi. Idziemy?

Luta skinęła. Rozkaz przyszedł wczoraj. Wywiad amerykański otrzymał informację o szykowanym ataku terrorystycznym, który planowała nowo powstała komórka fundamentalistów z Państwa Islamskiego w Qal'a-i-Najil, niewielkiej wiosce wciśniętej pomiędzy góry północno-wschodniego Afganistanu. Oddział Luty, jako że stacjonował w pobliskim Dżalalabadzie, został wysłany, aby dokonać rozpoznania i zabezpieczyć przedpole dla oddziału Delta Force, który miał dokonać szturm na budynek jednego z prominentnych przywódców. Ale ktoś nawalił, bo wróg był nadzwyczaj dobrze przygotowany na ich przybycie. Zaatakowali, jeszcze zanim drużyna Luty zajęła odpowiednie pozycje, więc dowódca zarządził wycofanie się do opuszczonego budynku szkoły. W jej murach bronili się od blisko godziny, na szczęście udało się odeprzeć atak. Nie obyło się jednak bez strat, bo dwóch żołnierzy zostało rannych, w tym jeden, Miron Stachowski, poważnie. Kula trafiła go w szyję i choć ostatecznie udało się zatamować krwotok, to jego życie wisiało na włosku.

Luta zerknęła na zegarek. Zakłęła pod nosem, bo jankeskiej kawalerii niespecjalnie się spieszyło. Gdy chwilę później znów zatrzęsy się ściany, razem z Borysem ruszyli w kierunku piwnic. Klatkę schodową wypełnił stukot żołnierskich butów, a w nozdrza Luty i Borysa wkradł się smród uryny i skisłych śmieci. Przesiedli, próbując oddychać ustami, ale wtedy z mroku poniósł się dźwięk, który sprawił, że zmysły na powrót się wyostrzyły. Spojrzeli po sobie wymownie, po czym Luta włączyła radio i półszepem poinformowała resztę ekipy, że usłyszeli kobiecy głos.

– Potrzebujecie wsparcia? – zapytał kapitan Żywuski. – Bandyci chwilowo odpuścili i możemy kogoś przysłać.

– Damy sobie radę. Bez odbioru – odparła i się wyłączyła.

Przyłożyła palec do ust, a następnie dwoma wskazała kierunek, w którym powinni się udać. Wzięła w dłonie karabinek, włączyła zintegrowaną latarkę i powoli, próbując omijać trzeszczące pod podszwami przeszkody, zaczęli skradać się ciemnym korytarzem. Stąpali ostrożnie, taksując wzrokiem ceglane ściany i zaśmieconą podłogę. Nie było to łatwe, bo wszędzie leżało potłuczone szkło, zużyte puszki i stare gazety, a pomiędzy tym wszystkim biegały szczury. Borys jednemu z nich przypadkiem nadepnął na ogon, przez co gryzoń wydał z siebie paskudny pisk.

– Ćśśś... – szepnęła Luta, czując spływające po skroniach krople potu.

Odgłosy wybuchów zostały stłumione przez piwniczne mury i nagle zapadła niemal martwa cisza. Luta słyszała swój oddech i przyspieszone bicie serca. Z każdym krokiem smród zgnilizny stawał się bardziej intensywny, w końcu przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że wali trupem. To nie wróżyło niczego dobrego.

Mozolnie sprawdzali kolejne pomieszczenia. Większość z nich była pozbawiona drzwi, najpewniej zostały wyrwane z zawiasów, w innych dało się je uchylić. Tylko jedno, na samym końcu, wciąż miały klamkę i solidny zamek. Przełknęła ślinę, gdy dostrzegła, że spaceruje po nich kilka tłustych much. Zatrzymały

się i przywarli plecami do przyległych ścian. Wstrzymali oddech i przez chwilę wsłuchiwali się w gęstniejącą ciszę. Ledwo słyszalny szept i odgłos szurania utwierdził ich w przekonaniu, że nie są sami.

Kim była kobieta, której jęk usłyszeli kilka minut wcześniej? I czy była tam sama?

Smród stał się niemal nie do wytrzymania. Mieszanek gnijącego mięsa i spalenizny sprawiała, że żołądek niemal wywracał się na drugą stronę. Nie mogli dłużej czekać. Luta gestem nakazała, aby Borys przykucnął i spróbował otworzyć drzwi. Mocniej chwyciła karabinek, odetchnęła i skinęła, że jest gotowa. Kompan położył dłoń na klamce i powoli napał. Wtedy rozległ się huk i drzwi poszatkowała seria z automatu.

Luta przylgnęła do ściany jeszcze mocniej. Kolejne serie obróciły stare drzwi w ser szwajcarski, a gdy usłyszała zgrzyt wymienianego magazynku, grzmotnęła drzwi kopniakiem. Borys natychmiast odnalazł cel. Krótka seria powaliła przeciwnika, zanim zdążył przeładować, ale wtedy rozległy się kolejne strzały i donośne „Allahu Akbar”. Odczekała jeszcze kilka sekund, po czym wychyliła się i puściła długą serię, trafiając krzykacza w brzuch i dając Borysowi szansę, aby wślizgnął się do środka. Kilka sekund później było już po wszystkim. Bilans: trzy trupy i dwóch rannych. Skomleli, trzymając się za rany, gdzie dosięgły ich kule. Borys zajął się krępowaniem, a Luta szybko obskoczyła wszystkie zakamarki. Z początku adrenalina była tak silna, że nie do końca kontaktowała, ale wystrój pomieszczenia nie pozostawiał złudzeń, do czego służyło ostatnie pomieszczenie w piwnicy szkoły.

Katownia.

Gdy wiązka światła z jej karabinka spoczęła na ponadmetrowej kupie zwłok, nie wytrzymała i zwymiotowała. Kilkanaście, kilkadziesiąt? Osmolone, wykastrowane, zdekapitowane, wały się w rogu pomieszczenia niczym upiorne składowisko zepsutych manekinów. Część z nich przypominała lalki z pourywanymi rączkami, obok pod ścianą te rączki i głowy, poukładane jak drewno na opał, wszystko to obsiadłe świecącymi w strumieniu światła pancierzami tłustych much.

– Skurwysyny – zaklęła i ponownie opróżniła trzewia. – Chryste, kurwa mać. Chryste Panie...

Gdy kątem oka dostrzegła przy ścianie jakiś ruch, ostatkiem sił skierowała nań laser swojego karabinka. Mała rączka zasłoniła się przed oślepiającym światłem. Obok dwie inne filigranowe postaci skuliły się do pozycji embrionalnej. Gdy ujrzała ich twarze, jej wnętrzościami znów szarpnęły spazmy. Poczowała silny ból brzucha, pot na czole, na skroniach, plecach. Karabinek wypadł jej z dłoni. Zrobiło się całkiem ciemno. Koszmarnie ciemno. Krzyknęła i rozwarła powieki.

Mrok był gęsty jak zupa. Na twarzy czuła posklejane strąki, zimny pot zalewał jej oczy, cała drżała. Znów torsje, ale nie miała czym wymiotować. Zaciśnęła palce na mokrej pościeli i wychyliła się z łóżka. Z ust trysnęła tylko żółć. Zerwała koldrę i skuliła się – łapiąc się za brzuch.

Zawyła żałością, gdy uświadomiła sobie, że to tylko zły sen. Zły sen, który po przebudzeniu przeobraził się w jeszcze gorszy koszmar. Jak ma z tym żyć? Czy to

w ogóle jeszcze możliwe? Jak budzić się i funkcjonować w tym pojebanym świecie po tym, co jej zrobili?

Przed oczami znów stanęły jej twarze dzieci z tamtej piwnicy. Pod ścianą katowni kulili się przerażeni Franek i Werka.

Poczuła, jakby jakaś potężna siła uwięziła jej serce w stalowym uścisku. Jęknęła i napięła wszystkie mięśnie, po czym z jej ust wyrwał się przeciągły krzyk rozpaczny. W końcu opadła z sił; adrenalina puściła, zaczęła cicho łkać.

Pomyślała, że Borys miał całkowitą rację i zrobił wtedy to, co zrobić należało. Teraz ona też zrobi to, co należy. I nikt ani nic jej przed tym nie powstrzyma.

## Rozdział 16

**N**iebo jak na złość było błękitne niczym laguna na Bora-Bora. Luta miała wrażenie, że sprzysiągł się przeciwko niej cały świat. Wszędzie widziała spacerujące rodziny, harcujące w śniegu dzieciaki i dziesiątki ulepionych bałwanów. Próbowwała nie myśleć, ale te obrazy mimowolnie atakowały ją niemal z każdej strony, na każdej ulicy i placu zabaw. Sen, który miała wczoraj, dodatkowo rozjątrzył targające nią emocje, dlatego zaraz po zjedzeniu lichego śniadania kupiła kwiaty i pojechała na cmentarz.

Spędziła tam godzinę, rozmyślając o tym, co powinna zrobić. Tak naprawdę wiedziała, ale chciała otrzymać oficjalne przyzwolenie. Od dziadka, od dzieci, od samego Boga? Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to tani wybieg, trochę jak wiara w pechową liczbę trzynaście czy przecinające ulicę czarne koty, mimo to chciała usłyszeć głos, który jeszcze mocniej by ją zmotywował. Czy go usłyszała? Może tak, a może tylko to sobie wyobraziła, w każdym razie zaraz po opuszczeniu nekropolii wsiadła do swojego rozklekotanego passata i upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi, pojechała wprost na działkę.

Zardzewiałe zawiasy bramki zaskrzypiały, gdy napała na poluzowaną klamkę. Zamknęła ją za sobą, dodatkowo zawijając kawałek drutu robiący za kłódkę. Szła wąską ścieżką, wsłuchując się w skrzypienie śniegu pod podeszwami i krakanie wron i kruków obsiadających altanki i drzewka owocowe. Gdzieś w oddali słychać było warkot crossowego motocykla i trzask pękającej pod naporem śniegu gałęzi.

Po dotarciu do murowanego, pomalowanego na wściekle niebieski kolor domku wyciągnęła klucze i otworzyła dwie solidne kłódkę. To był pomysł Franka, który swego czasu zafascynował się bajką o smerfach i chciał przerobić chatkę na podobną do zamieszkiwanej przez ulubione skrzaty. Westchnęła na wspomnienie wspólnego malowania ścian. Pamiętała to, jakby wydarzyło się wczoraj. Upaćkaną niebieską farbą twarz syna, uśmiechniętą od ucha do ucha, szczęśliwą. I ten wielki pędzel, który ledwo trzymał w dłoniach, mimo to machał nim tak zawzięcie, jakby od tego miała zależeć cała jego przyszłość. Miał wtedy trzy i pół roku, bo Luta akurat była w piątym, może szóstym miesiącu ciąży z Werką, a jej związek z Szymonem powoli zaczynał się sypać. Chyba dlatego wybrała się wtedy z synem na tę działkę, aby odetchnąć i przemyśleć sprawę, zastanowić się, czy jeszcze w ogóle jest sens to ratować. Teraz już niczego nie dało się naprawić. Nie

takiego zła. Takie zło można było tylko pomścić, a samych sprawców zniszczyć, zrujnować i unicestwić, po prostu wymazać, jakby ich nigdy nie było.

Tylko czy kiedykolwiek znajdzie ukojenie? Czy jeśli jakimś cudem odesłę na tamten świat wszystkich tych, którzy maczali palce w śmierci jej ukochanych dzieci, to będzie mogła dalej żyć? Wątpiła w to, ale to teraz nie miało żadnego znaczenia. Teraz należało działać.

Wzdrygnęła się, gdy za chałupą usłyszała odgłos skrzypiącej huśtawki ogrodowej. Dopiero wtedy dostrzegła, że na śniegu, wzdłuż ścian domku, odznaczają się już częściowo zasypane ślady po czyichś butach. Odruchowo chwyciła leżący przy wiadrze młotek i mocno zacisnęła na trzonku swoje lekko zmarznięte palce.

– Nie chciałem cię zaskoczyć – poniosło się zza winkła. Luta poluzowała uścisk. Wyjrzała zza ściany i spojrzała na nieproszonego gościa. – Musisz skupić się na celu. Normalnie już byś nie żyła.

– Takiś pewny siebie... – syknęła.

– Wiesz, że mam rację...

Luta nie zaprotestowała. Trudno było z tym polemizować. Borys miał wystarczająco dużo czasu, aby odesłać ją na tamten świat przynajmniej kilka razy. Szkoda, pomyślała. Może nie musiałyby wysłuchiwać tego pierdolenia.

– Zrobisz jakiejś herbaty? – rzucił, chuchając w zgrabiące dłonie. – Czekam na ciebie od wschodu słońca i boję się, że złapię wilka.

– Skąd to przekonanie, że podjęłam decyzję? – Luta odrzuciła młotek pod ścianę domku.

– Nie przyszłabyś tu, gdyby było inaczej. Mam rację?

– Jeśli ja straciłam czujność, to ty jesteś zbyt pewny siebie. To też może cię kiedyś zgubić.

– Na razie działa. – Borys wymownie zapukał w okno za plecami. – To co? Może obejrzymy te twoje zabawki? – zapytał.

– Swoich nie masz?

– Tego nie powiedziałem.

Śnieg pod jego podeszwami lekko zaskrzypiał, gdy podnosił się z ogrodowej huśtawki. Luta obróciła się i skierowała wprost do drzwi. Minęło tyle lat, a on wciąż potrafił ją zaskoczyć. Może rzeczywiście znał ją lepiej, niż chciałyby to przyznać przed samą sobą?

Weszli do skromnie urządzonej chatki. Z zewnątrz nie wyglądała zbyt okazale, ale to była solidna, murowana konstrukcja, dodatkowo chroniona alarmem. Nie mogło być inaczej, skoro w ukrytym pod podłogą sejfie trzymała cały swój arsenał. Borys usiadł na plastikowym krzeselku, a ona wlała do czajnika wody i postawiła go na podręcznej gazowej kuchence. Gdy zapłonął ogień, lekko go podregulowała i przygotowała dwa kubki, do których włożyła po jednej torebce earl greya. Oparła dłonie o blat szafki.

– Wiesz, w co się pakujesz? – zapytała, odwracając głowę w kierunku Borysa.

– Wiesz, że nie powinnaś zadawać takich głupich pytań? – Borys wyciągnął spod kurtki wojskowy ząbkowany nóż i zaczął obracać go w palcach.

– Nie przedrzeźniaj mnie. Traktuję to poważnie.

– Ale najwyraźniej mnie niekoniecznie. To on? – Borys skierował ostrze na przytwierdzone do wyłożonej boazerią ściany zdjęcie wiekowego mężczyzny o południowych rysach twarzy. Miał długą brodę i nosił elegancką białą marynarkę.

– Jedno z niewielu, jakie mu zrobiono. Dostałam je od Szatana, żeby przypominało mi o...

Nie dokończyła, gdy usłyszała świst i ostrze wbiło się dokładnie w środek czoła postaci na zdjęciu. Nóż jeszcze przez chwilę rezonował, wydając odgłos przypominający bzyczenie upierdliwego insekta.

– Chcesz go dopaść? Pozwól mi ci pomóc.

– Ten klan jest...

– Wiem, wiem, wiem, że to ogromna organizacja, ble, ble, ble. Ale to jak w wojsku. Pozbądź się oficerów, a szeregowi rozpiezchną się jak karaluchy. Dorwij dowódcę, a cały batalion pójdzie w rozsypkę. Nic prostszego.

– Mówisz tak, jakby to było takie proste. A my nie jesteśmy w wojsku. To stolica Niemiec, a nie góry Afganistanu.

– Jeśli nie masz nic do stracenia, to jaka to różnica?

Woda w blaszanym czajniku się zagotowała i Luta zalała wrzątkiem oba kubki. Nie sięgnęła po cukier, bo oboje nigdy nie słodzili. Postawiła je na stoliku i usiadła na krzeselku po drugiej stronie blatu.

– A ty nie masz? – zapytała. – Niczego do stracenia?

– Czy kiedykolwiek miałem?

– Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie – warknęła, wyraźnie poirytowana. – Nie masz kobiety? Dzieci? Przyjaciół? Chociaż jakiejś dupy, którą byz-kasz i nie chciałbyś, aby stała się jej krzywda?

– Myślisz, że z taką facjatą jakaś by mnie zechciała?

Luta westchnęła. Borys był najbardziej irytującym facetem, jakiego znała, ale najwyraźniej te siedem lat, kiedy się nie widzieli, wpłynęło na niego jeszcze gorzej. Nie mogła mu jednak odmówić dystansu do samego siebie. Nigdy nie należał do pięknych, ale teraz z powodzeniem mógłby startować do roli psychopaty w jakiejś produkcji gore klasy C. Pociągnęła i lekko wykrzywiona twarz, wąsko osadzone oczy kryjące wyjątkowo skurwysyńskie spojrzenie, przypalona skroń i ciągnąca się od czoła blizna, która przecinała prawą brew, nasadę nosa i pół lewego policzka, bez wątplenia nie dodawały mu uroku. Pokażne kalafiory na uszach i uśmiech, który odsłaniał zęby z połową dziąseł, jedynie dopełniały obrazka człowieka, który w ciemnej uliczce mógłby robić za potwora z bagien, a w filharmonii za karykaturę Frankensteina.

– Zrobiłem pierwsze rozpoznanie – oznajmił, gdy upił łyk herbaty. – Wiem, gdzie urzędują, gdzie się bawią, gdzie chodzą na dziwki. Zdobyłem nawet adres, pod którym najczęściej przebywa sam Hakan Ozalan.

– Skąd masz takie informacje?

– Gdybyś od początku traktowała mnie poważnie, to...

– Po prostu powiedz.

Borys podrapał się po nieogolonej brodzie.



– Tak się składa, że znam kogoś, kto z nimi handluje.  
– Brzmi jak wypełniona gównem kloaka.  
– Klócić się nie będę, ale w obecnej sytuacji to kontakt na miarę złota. Poznałem go w Syrii, gdzie... zresztą co ci będę gadał. Wiesz, co tam się działo i tak naprawdę dzieje się do tej pory. Facet nie jest wzorem do naśladowania, ale może się przydać.

– Poczekaj... – Luta skrzywiła się i uniosła dłoń na znak protestu. Przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle powinna kontynuować tę dyskusję.

– Nigdy nie zabiłem nikogo, kto na to nie zasługiwał – oznajmił Borys, jakby wyczuł, że zaraz rzeczywiście mogą skończyć spotkanie. – Nie jestem dumny ze wszystkiego, co tam robiłem, ale nie brałem udziału w tym syfie, który zresztą jest w mediach często wyolbrzymiany.

– Przestań pieprzyć – warknęła. – To bandycka jednostka. Służyłeś w niej, więc godziłeś się z tym, co robią.

– I tak, i nie. Luta, kurwa! Bycie najemnikiem nie od razu przekreśla człowieka. Ty myślisz, że taki amerykański Blackwater liczy się z każdym cywilem? Że najpierw strzelają w powietrze?

– Ale akurat ty musiałeś wybrać tych choler...

– A co ja mogłem z takimi papierami? I z takim pochodzeniem? Dzięki tobie nie trafiłem do pułda, ale i tak w każdej zachodniej firmie jestem spalony. Do tego mój stary był ruskim pułkownikiem, który podczas zimnej wojny odpowiadał za plany wyrąbania atomówkami korytarza do jebanego Londynu. Gdzie niby miałem się zahaczyć?

– Usprawiedliwiasz się.

Borys zamknął powieki i zacisnął zęby. Musiał ochłonać.

– Liga to elitarny oddział, Luta. Elita elity – powiedział po dłuższej chwili. – Zajmowaliśmy się różnymi rzeczami, ale nie tymi, które teraz sobie wizualizujesz. I dla jasności, nie jestem święty, ale nie ze wszystkim się zgadzałem. Bo taka jest wojna. Sama doskonale wiesz, że świat nie był, nie jest i nigdy nie będzie sprawiedliwy. Wykonywałem rozkazy, ale jeśli zabijałem, to tylko tych, którzy sobie na to zasłużyli. Właśnie takich sukinsynów, jak ci z Qal'a-i-Najil.

Luta odchrząknęła z niesmakiem. Wspomnienie tego, co wydarzyło się w Qal'a-i-Najil, było tak odstręczające, że na samą myśl znów skręcało ją w trzewiach. Choć minęło tyle czasu, ten koszmar przez lata powracał nieustannie. Ostatni raz ubiegłej nocy.

– Musiałem jakoś zarobić na życie, a że umiem tylko w wojnę, to wybrałem tych, którzy na ten czas wyglądali obiecująco. I przede wszystkim nie pytali o przeszłość. – Borys podniósł się z krzesła i podszedł do zdjęcia przywódcy klanu Ozalanów. Wyszarpał nóż i przejrzał się w jego błyszczącym ostrzu. Spojrzał na Lutę. – A teraz, jeśli już sobie wszystko wyjaśniliśmy, to czy możemy wrócić do tego, jak zajebać bandę tych kozojebców? – zapytał.

Luta wbiła wzrok w starego przyjaciela. W jego oczach wciąż tlił się ten sam żar. Czy miała prawo go oceniać? Byłaby hipokrytką, wszak sama wybrała kamasze i przez ponad cztery lata zabijała bez mrugnięcia okiem. Czy każdy jej cel

zasłużył sobie na to, aby skończyć z kulą w głowie? Czy znała tych ludzi, popełnione przez nich grzechy, motywy, które napędzały ich do działania? Czy wiedziała, czego pragną, o czym marzą i kogo wychowują? Owszem, zdarzało się, że nachodziły ją różne myśli, czasem, w samotności, zastanawiała się kto, gdzie i dlaczego. Ale tak naprawdę odpowiedź była dużo prostsza. Nie znała i nie wiedziała o nich prawie nic, co najwyżej tyle, ile powiedziano jej na odprawie przed akcją. A przecież często analizowano jedynie liderów, których należało wyeliminować. Reszta tych, którzy nawinęli się pod oko jej lunety, była tylko pionkami na szachownicy. Wydech, strzał, trup, brzęk spadającej łuski. I tak w kółko. Luta wykonywała rozkazy. Nic więcej. Taka wojenna moralność, której nie zrozumie nikt, kto na wojnie nie był. Jedyna furтка, aby usprawiedliwić się przed samą sobą po każdym pociągnięciu spustu.

Wojna rządzi się swoimi prawami, pomyślała. A jeśli chce wszczać swoją prywatną, to będzie potrzebować wsparcia. I lepszego skrzydłowego niż Borys na pewno nie znajdzie.

– Czyli jak za starych dobrych lat? – zapytała, unosząc wzrok.

– Jak za starych dobrych lat – powtórzył za nią.

– Dzięki, Borys.

Mężczyzna przewrócił oczami.

– Skończ to cikliwe pierdolenie i lepiej pokaż swoje zabawki. Chcę wiedzieć, z czym do ludzi.

Gdy Lutoslawa Karabina otwierała schowek pod podłogą, gdzieś w Polsce pewien mężczyzna odebrał telefon. Wysłuchał z uwagą słów swojego szefa i spojrzął na zegarek. Cmoknął niepysnie i pomyślał, że te jebane ciapuchy do niczego się nie nadają. Do Zielonej Góry powinien dotrzeć w ciągu dwóch godzin. Potem dokończy to, co zostało spartolone.

## Rozdział 17

Zygmunt Szatan otrzepał poły marynarki z nieistniejących paproszków i naciśnął klamkę. Dwóch pilnujących drzwi policjantów odprowadziło go wzrokiem. Znał ich z widzenia, ale to tyle, bo rzadko się z kimś spoufalał, zwłaszcza z kolegami po fachu. W ich ocenie był pewnie kimś pomiędzy legendarnym mścicielem a zapijaczonym upadłym gliną, ale akurat obie te opcje w tej sytuacji działały na jego korzyść. Zamknął za sobą drzwi, w wolnej dłoni ściskając bukiet świeżych czerwonych róż. Przez chwilę patrzył na leżącego i podpiętego do rurek syna, po czym odłożył kwiaty na szafkę, wyjął z wazonu te już podeschłe, wymienił wodę i wstawił nowe.

Sam się sobie dziwił, że robi to z taką pieczołowitością, niemal pietyzmem. On i kwiaty przez ostatnie ćwierć wieku mieli ze sobą tyle wspólnego, co ryba po grecku z Grecją, ale wydawało mu się, że wypada, tak po prostu, przynieść świeże kwiaty, wstawić je do wazonu, posiedzieć, a gdy Aleksander w końcu się wybudzi, to zamiast obdrapanych niebieskich ścian zobaczy czerwone róże. Głupie to, pomyślał, głupie, banalne i oklepane, zapewne też kompletnie bez sensu, ale jakoś nie potrafił inaczej, bo choćby jego syn miał te róże w głębokim poważaniu, to jednak lepiej, żeby stały, niż żeby ich nie było.

Podszedł do łóżka i zerknął w kartę pacjenta. Niewiele z tego rozumiał, ale też nic się od wczoraj nie zmieniło, a lekarz prowadzący mówił, że jest dobrze i powinno być lepiej, potrzeba tylko czasu. Sięgnął po stojące pod ścianą krzesło i przystawił je do łóżka. Usiadł i przez kolejny kwadrans wpatrywał się w nieruchomą twarz syna, którego jeszcze nie tak dawno nie było, a przynajmniej nie istniał w jego świadomości. A teraz był, tylko co z tego, skoro siedział za kratkami z marnymi szansami na wyjście na wolność w przewidywalnej przyszłości. Aleksander Majski to przecież bandyta, Szatan sam widział, jak w bestialski sposób zabija młodą kobietę, widział to dokładnie w tej burzy straszliwej, jak rottweiler ją zębiskami szarpał, a potem syn dobił ją dwoma strzałami w klatkę piersiową i głowę.

Jak ma z tym żyć? Jak o tym zapomnieć? Przecież takie obrazy zostają w głowie do śmierci, no chyba że człowieka dopadnie jakiś alzheimer albo starcza demencja, to może wtedy znikną.

Myśli o Aleksandrze nie opuszczały go ani na chwilę, podobnie jak myśli o tej biednej dziewczynie, która przecież tkwi w tym horrorze, jeszcze straszliwszym,

niewyobrażalnym dla normalnego człowieka, który nie przeżył takiej straty, bo co może być gorszego od straty dziecka? Jaki ten świat jest popieprzony, myślał, patrząc na swego syna bandytę, którego przewrotny los mu przywrócił i którego tak kochał. Aleksander był żywą pamięcią o żonie i córce, tak okrutnie zamordowanych przez Hakana Ozalana i jego synów, zwłaszcza Yusufa, rzeźnika z Berlina, który teraz robi za nawóz, bo tyle z niego zostało, po tym jak przeleciał przez jelita Władymira. Tylko czy to coś zmieniło? Czy Szatan w związku z tym poczuł jakkolwiek ulgę? Czy wyrządzone zło zostało pomszczone? Gówno zostało, pomyślał i zacisnął pięści. Prawda była taka, że nie, i że takie zło nigdy pomszczone nie zostanie, zło tylko się tą nienawiścią karmiło, a teraz znów zatriumfowało i w grobach leżą dwie kolejne niewinne istoty. Niech to chuj, zaklął w myślach, to nie tak miało być, wszystko to przez niego, śmierć tych dzieciaków to jego wina, bo to on wpadł na ten jebany pomysł z Władymirem i wykorzystał tę kobietę instrumentalnie, tylko po to, aby nasycić swoją niepohamowaną żądzą wendety.

Westchnął ciężko i pomyślał, że lepiej by było, gdyby umarł, wcześniej wzięwszy całą winę na siebie, przyznałby się wszem wobec, że to on zabił Yusufa, oddał go Władymirowi na pożarcie, a na koniec strzeliłby sobie w łeb i wtedy dzieciaki może by żyły. Teraz już za późno. Teraz to Luta, ta wspaniała i dzielna kobieta, troskliwa matka, tkwi w tym horrorze, w którym on tkwił ponad ćwierć wieku. Żyje tylko po to, aby zabijać, mścić się, karmić zło, którego i tak nie wypełni, bo dzieci nigdy z grobu nie zmartwychwstaną, taki ten świat niesprawiedliwy.

Oj, Szatan, głupi stary chuj jesteś, ironizował w myślach. Chciałeś oszukać przeznaczenie, a ono z ciebie zadrwiło tak okrutnie i teraz do końca twego nędznego życia będą cię gnębić wyrzuty sumienia, pewnie też nawiedzać duchy tych biednych dzieci, duch ich matki również, bo gdy ona zginie, co akurat było bardzo prawdopodobne, to na pewno nie odpuści i nocą będzie do ciebie przychodzić, aby o tym przypominać.

– Co mam zrobić, synu? – zapytał, czując spływające po policzkach łzy. – Powiedz mi, co powinienem zrobić? I czy to się kiedyś skończy?

Aleksander nie odpowiedział. Leżał nieruchomo, a ciszę wypełniał dźwięk aparatury podtrzymującej życie. Jego klatka piersiowa powoli unosiła się i opadała, ale nic poza tym, tak jakby spał spokojnym snem, tylko z tymi rurkami w nosie i lekko rozchylonych ustach, z wenflonem w żyłę i czujnikami przytwierdzonymi do skóry, tam gdzie serce.

Szatan wytarł łzy, dotknął dłoni syna i wstał, wciąż bez pomysłu, jak tę sytuację rozwiązać, bo tak mu się wydawało, że była patowa. Odszedł od łóżka, stanął przed drzwiami, kilka razy odetchnął i nacisnął klamkę.

– Dzięki, panowie – powiedział do pilnujących sali policjantów i lekko utykając, ruszył niemal pustym o tej porze korytarzem w stronę wyjścia z oddziału. W drzwiach prawie wpadł na wysokiego mężczyznę o idealnie przystrzyżonej brodzie, w ciemnym płaszczu i butach ze skóry.

– Przepraszam – mruknął facet, ale to jego „przepraszam” było jakieś inne.

Szatan zrobił jeszcze trzy kroki, ale przystanął i się obrócił, bo to „przepraszam” brzmiało naprawdę dziwnie, jakby mężczyzna seplenił, a na takiego, co mógłby seplenić, nie wyglądał. Przez chwilę zastanawiał się, co mogło zwrócić jego uwagę, w końcu postanowił się cofnąć, bo przez głowę przemknęła mu wyjątkowo niepokojąca myśl. Te rysy twarzy były znajome. Nie znał faceta, ale miał wrażenie, że już gdzieś go widział. Serce zabiło mu mocniej. Wyjrzał zza winkla. Mężczyzna stał jakieś piętnaście metrów dalej i czytał jakieś wywieszone na ścianie ogłoszenia, następnie dyskretnie zerknął na koniec korytarza, gdzie przed salą siedziało dwóch pilnujących Aleksandra policjantów.

Szatan przełknął ślinę. Musiał się upewnić, ale przecież nie miał broni. Wycofał się, klnąc pod nosem. Przywarł do ściany, czując, jak na skronie występują mu krople potu. Wyjął smartfon, odblokował, wtedy drzwi się zniemacka otworzyły i facet w płaszczu wyszedł do holu. Posłał Szatanowi kurtuazyjny uśmiech i skierował się wprost do windy. Nacisnął guzik, nastąpiło ciche „ping” i mechanizm ruszył. Pierwsze piętro, drugie, trzecie, w końcu czwarte i drzwi windy się rozsunęły.

Mężczyzna wszedł do środka, Szatan za nim, drzwi się zamknęły. Znowu „ping” i wgrany głos oznajmił, że pojedą na parter. Tylko co teraz, gdy facet stoi za jego plecami?

– Nie lubię ciasnych pomieszczeń – powiedział nadkomisarz, bo tylko to wpadło mu do głowy, a chciał jakoś zagaić rozmowę, aby usłyszeć akcent. – Kiedyś zatrzasnąłem się w takiej jeszcze mniejszej. Siedziałem w niej z pięć godzin...

– Każdy z nas się czegoś boi – odparł mężczyzna.

– A pan? Pan się czegoś boi?

Drzwi akurat się rozsunęły, w poczekalni na parterze siedziało kilka osób, raczej w mocno dojrzałym wieku, pod ścianą dyskutowało dwóch lekarzy, na prawo przy windzie sprzątaczką z wózkiem wypełnionym przyborami do pracy minę miała nietęgą. Szatan zrobił krok do przodu, ale na tym poprzestał. Mężczyzna próbował precyzyjnie się obok, ale nadkomisarz zatarasował szczelinę swoim ciałem.

– Co pan? – obruszył się nieznajomy i wtedy ich spojrzenia się spotkały.

– Co pan tu robi, panie Rączkowski? – zapytał Szatan.

– Pierdol się pan!

Mężczyzna napał ciałem na Szatana z niespodziewaną energią. Nie wyglądał na aż tak silnego, mimo to jednym ruchem ręki przestawił go jak manekina. Widząc to, sprzątaczką aż odskoczyła, w ostatniej chwili schodząc mu z drogi.

– Łapać go! – krzyknął nadkomisarz, ale nikt nie zareagował. Wszyscy w osłupieniu odprowadzali wzrokiem pospiesznie oddalającego się mężczyznę. Szatan pozbierał się i ruszył za nim, ale już po kilku krokach coś chrupnęło mu w krzyżu i upadł, jakby nagle stracił czucie w nogach. – Kurwa mać! – warknął, najpierw z bólu, a potem z bezsilności. Chwilę później facet zniknął za drzwiami.

– Nic panu nie jest? – zapytał młody lekarz, który jako pierwszy zjawił się w pobliżu Zygmunta.

– Ten człowiek...

– Proszę się nie ruszać. To może być kręgosłup. Zajmiemy się panem.

Szatan próbował oponować, ale każdy ruch sprawiał, że zamiast mówić, klął albo jęczał z bólu. Po chwili miał już liczniejsze towarzystwo, które nijak nie chciało słuchać o mężczyźnie w płaszczu. Poczł się jak niedołężny dziadyga. W końcu odpuścił, bo zdał sobie sprawę, że dokładnie tak właśnie wygląda – jak stary, niezdarny, zapijaczony dziad. Gdy w końcu ktoś podstawił wózek inwalidzki, pomyślał, że naprawdę powinien wtedy strzelić sobie w łeb. Nakarmił Władymira, napisał liścik do Hakana, a potem „pach” i do piachu. Wtedy dzieci Luty wciąż by żyły, a ten świat może byłby odrobinę lepszy...

## Rozdział 18

Luta i Borys wkroczyli do sali szpitalnej i od razu podeszli do łóżka, na którym leżał Szatan. Nadkomisarz spróbował się podnieść, ale gdy tylko uniósł się na łokciach, z powrotem runął na poduszkę.

– Starość nie radość – jęknął, nie spuszczać wzroku z mężczyzny w czarnej puchowej kurtce. – Kim jest ten jegomość, jeśli można spytać?

– Przyjaciel ze starych lat – rzuciła Luta, dyskretnie zerkając na pozostałych pacjentów. Na łóżku pod oknem leżał facet koło czterdziestki z zagipsowaną nogą na wysięgniku, a naprzeciwko niego wysuszony dziadek z ręką na temblaku. Ten drugi bacznie ich obserwował. – Dasz radę się stąd ruszyć? – zapytała.

– Jak mi podstawicie wózek...

Borys, niczym zaprogramowany robot, chwycił stojący pod ścianą wózek inwalidzki i podstawił pod łóżko. Pomógł pojękującemu Szatanowi podnieść się do pozycji siedzącej, a następnie wspólnie z Lutą przetransportowali go na siedzisko. Nadkomisarz nie omieszkał rzucić kilku bluzgów skierowanych do samego siebie.

– Tym razem zostaniesz na miejscu – oznajmiła Luta, gdy Borys w końcu pchnął wózek w kierunku drzwi wyjściowych.

– Co ty nie powiesz? – Szatan przekręcił głowę, aby przyjrzeć się jej kompanowi. – Z tą mordą wyglądasz mi na kogoś, kto powinien mnie dobrze zastąpić – zwrócił się do Borysa.

– Co ty nie powiesz? – przedrzeźnił go żołnierz, szczerząc zęby.

Wyjechali z pomieszczenia i od razu natknęli się na pielęgniarkę, która w ostrych słowach zaprotestowała, ale Szatan zagroził, że jeśli dalej będzie się pieklić, to po prostu wyjedzie na tym wózku i już nie wróci. Poddała się, bo zdążyła poznać charakterek swojego podopiecznego i doskonale rozumiała, że stary glina wcale nie musi rzucać słów na wiatr. Chwilę zajęło im znalezienie miejsca, gdzie nie wodziły za nimi ciekawskie spojrzenia. Zjechali aż do podziemi szpitala, gdzie Szatan w końcu mógł zaryzykować zapalenie papierosa. Luta z Borysem przysiedli na żebrowanej ławce.

– Rozumiem, że mogę przy nim mówić otwarcie – rzucił, zaciągając się mocno. Odetchnął z ulgą, czując przyjemne drapanie w krtani.

– Tak. Borys idzie ze mną.

Szatan raz jeszcze na spokojnie przyjrzał się mężczyźnie. Nie wyglądał na inteligenta, raczej zabijakę spod budki z piwem, ewentualnie członka jakiejś grupy ultrasów pozujących przed kamerami na wiernych kibiców zbierających datki na powstańców warszawskich, a poza ich zasięgiem lejących każdego napotkanego w ciemnym zaułku geja albo Żyda. Uczciwie musiał przyznać, że gdyby kogoś takiego zatrzymał podczas policyjnej akcji, facet z miejsca trafiłby na listę głównych podejrzanych. No, zmitygował się, może nie w przypadku oszustw podatkowych.

– Czy on o wszystkim wie? – upewnił się.

– Wie – odparła Luta. – Co gorsza, sam się wszystkiego domyślił...

– Co zresztą, znając Lutkę, akurat nie było specjalnie trudne – dodał Morozow.

– Hmm... – Szatan popatrzył na Lutę, która tylko wzruszyła ramionami, a następnie na jej kompana. Uznał, że nie ma sensu drążyć tego tematu. – Jak chcecie to zrobić? – zapytał.

Luta w żołnierskich słowach przedstawiła Szatanowi plan działania. Nie był zbyt skomplikowany i ograniczał się do wyeliminowania całego klanu, krok po kroku, od szeregowych żołnierzy po głowę rodu. Brzmiało to nieco abstrakcyjnie, ale nadkomisarz nauczył się, aby nie lekceważyć tej kobiety. Zresztą, czy nie brzmiało irracjonalnie dostarczenie Yusufa w objęcia Władymira? Tak naprawdę chyba sam nigdy w to nie wierzył i trzymał knura tylko po to, aby od czasu do czasu potapać się w swoich upiornych wizjach. A jednak, gdy zaistniały sprzyjające okoliczności, udało się taką randkę zorganizować.

Dzisiaj sytuacja wyglądała inaczej z kilku względów. Po pierwsze, plan nie musiał być aż tak wyrafinowany, bo tu już nie chodziło o ratowanie czyjejś skóry. Tym razem wszystko sprowadzało się do fizycznej eliminacji przeciwnika. Po drugie, Luta nie miała absolutnie nic do stracenia. Szatan widział to w jej oczach. Miał niepokojące wrażenie, że patrząc w jej źrenice, przegląda się w lustrze. Dostrzegał w nich trupa. Siebie samego, upokorzonego, udręczonego, złamanego psychicznie, gotowego na śmierć, podświadomie pragnącego jej bardziej niż cegokolwiek na świecie. Wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny i rozumiał, że człowiek pozbawiony woli życia szybko może przepoczwaczyć się w bezlitosną bestię, a gdy dodatkowo jest uzbrojony w tak zabójcze umiejętności – ewoluować w maszynę do zabijania. Czasem zastanawiał się, dlaczego Hakan Ozalan zdecydował się na tak ryzykowny krok. Z jednej strony mógł zrozumieć, że pałał żądzą zemsty, wszak sam to przerabiał, ale z drugiej – dlaczego nie skupił jej bezpośrednio na nim? Dlaczego tak brutalnie uderzył w Lutę? Przecież musiał wiedzieć, że atakując ją w najczulszy możliwy punkt, może sprawić, że otworzy puszkę Pandory. Czy był aż tak pewny siebie?

– I tak po prostu chcecie pojechać do Berlina i wszystkich pozabijać? – zapytał, gdy Luta skończyła perorować.

Karabina wzdygnęła ramionami, jakby cała ta akcja nie różniła się od wyjścia na wieczorną partię kreggli.

– Generalnie plan do tego się sprowadza – przyznała.

– Hakan będzie na wasz przyjazd przygotowany...



– Hakan to jebany tchórz, który chowa się za bandą swoich kundli – włączył się do rozmowy Borys. – Wystarczy go wywabić z kryjówki, a wtedy pójdzie z górki.

Szatan znów przeniósł wzrok na Borysa. Facet go drażnił. Podczas ostatniej rozmowy Luta pobieżnie opowiedziała mu o nim, ale nawet jeśli był świetnie wyszkolonym żołnierzem, to ta jego cwaniacka maniera działała mu na nerwy. Był zdecydowanie zbyt pewny siebie i nawet jeśli zdążył sobie w życiu postrzelać, to najwyraźniej sporo z tej nauki poszło w piach. Poza tym w całym tym syfie coś mu nie pasowało. To wszystko jakoś do końca się nie kleiło. Być może przesadzał, ale ten narwany typ jak w soczewce skupiał w sobie wszystkie jego wątpliwości i skłamałby, gdyby przyznał, że w jego ocenie jest człowiekiem godnym zaufania. Ale czy Luta mogłaby się tak pomylić?

– Możesz zostawić nas na chwilę samych? – zapytał.

– Borysowi można ufać.

– Nie o to mi chodzi – skłamał Szatan. – Po prostu chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

Borys pociągnął nosem, cmoknął i posławszy Lucie dwuznaczne spojrzenie, oddalił się i zniknął za rogiem. Wyraźnie nie był zadowolony, ale Szatan miał to w dupie. Za stary był, aby brać wszystko w ciemno i nie zadawać trudnych pytań. Odczekał, aż stukot butów ucichnie na tyle, aby mieć pewność, że jego słowa nie dotrą do uszu żołnierza.

– Czy twoja decyzja jest ostateczna? – zapytał.

– O co ci chodzi, Zygmunt? – Na twarzy Luty malowało się zniecierpliwienie. To tylko utwierdziło Szatana, że powinien z nią tę sprawę przedyskutować.

– Nie chciałbym podważać twoich kompetencji, ale moim zdaniem działasz zbyt pochopnie – oznajmił. – Nie zrozum mnie źle. Wiem, co przeżywasz, ale uważam, że powinnaś to wszystko raz jeszcze przemyśleć.

– Przemyślałam wszystko.

– Przysięgåłś zemstę za wszelką cenę. A to co innego.

– Co ty pierdolisz? – Usta Luty wygięły się w podkowę. – Jeśli chcesz się wycofać, to mów wprost. Nie mam nic przeciwko.

– Przestań! – syknął. – Nie słyszysz samej siebie? Luta, do cholery! Działasz pod wpływem impulsu. Wiem, jak to wygląda. Gdy zabili moich bliskich, też byłem gotów sam pojechać do Berlina. Miałem gdzieś, czy zginę. Nic się dla mnie nie liczyło, zwłaszcza własne bezpieczeństwo. Miałem tylko nadzieję, że zanim mnie dopadną, to zabiję jak najwięcej Ozalanów. – Szatan zgasił peta w wyłupanej dziurze w ścianie. – Sam nie wiem, co sprawiło, że ostatecznie tam nie pojechałem. Może zabrakło mi odwagi, może liczyłem na pomoc Cyryla, a może po prostu zrozumiałem, że to nic nie da. Nieważne. Dziś wiem, że gdybym podjął inną decyzję, to pewnie skończyłbym w maszynie do mielenia mięsa.

Mina Luty wyrażała więcej niż tysiąc słów. Była wyraźnie skołowana i znie-smaczona, ale tym razem nie przerwała mu w pół zdania.

– Nie przeczę, że masz wszystko, aby dopaść nawet samego Hakana. Tylko...

– Szatan odpalił kolejnego papierosa – ...nie dostrzegasz, że cała ta sytuacja

jest... dziwaczna?

– Dziwaczna? – Luta zacisnęła zęby. – Śmierć moich dzieci nazywasz, kurwa, dziwacznością?

– Uspokój się. Sama zobacz, że nigdy się tak nie zachowywałaś. Jesteś kłębkiem nerwów. Wściekasz się z byle powodu. Jedno źle dobrane słowo i już się grzejesz. Nie taką cię poznałem i nie taka jesteś, gdy działaś z zimną krwią.

Luta przymknęła powieki. Czowała wzbierającą złość. Nie chciała kolejnej awantury, ale nagle zdała sobie sprawę, że Szatan nie mówi tego dlatego, że chce ją przed czymś powstrzymać. Robił to w dobrej wierze, bo rzeczywiście działała zbyt impulsywnie. Nie była sobą.

– Kontynuuj... – wyszeptała.

– Mówiąc „dziwaczna”, mam na myśli to, że to się po prostu nie klei. No bo dlaczego wciąż nikt się do nas nie odezwał? Mustafa musi już robić pod siebie, a przecież milczy. Dlaczego, jeśli zakładając, że to decyzja jego ojca, Hakan nie uderzył bezpośrednio we mnie, tylko zadał sobie tyle zachodu, aby uderzyć w ciebie? Pomyślałaś, jak skomplikowana musiała być ta operacja pod względem logistycznym? Aby najpierw ściągnąć ciebie do Turcji, bo zakładam, że śmierć twojego dziadka też nie była przypadkowa, a potem przygotować całą tę inscenizację?

– Na brak pieniędzy i możliwości klan pewnie nie narzeka...

– Nawet jeśli tak, to pomyśl, jak długo to wszystko trwało. Tego nie załatwia się w dzień czy dwa. Hakan musiał to planować miesiącami. Tylko po to, aby uderzyć w jedną jedyną kobietę i zapijaczzonego gliniarza. A ty chcesz po prostu pojechać do Berlina i, ot tak, dopaść lidera największej organizacji mafijnej w Europie? – Szatan obrócił się przez ramię, bo gdzieś w odmętach piwnicy poniósł się odgłos kroków. – Ale nawet nie o to chodzi, Luta. Zrobisz, co zechcesz. Nie mam wpływu na twoje decyzje. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego Hakan sam wystawił się na strzał. Po pierwsze, jeśli w końcu zrozumiał, z kim ma do czynienia – a to, jakie podjął środki ostrożności, świadczy, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę – musiał się liczyć z tym, że będziesz szukać zemsty. Po drugie, jeśli w tym samym czasie w areszcie napuścił na Aleksandra tego całego Chana, a ten na całe gardło wykrzyczał, że przesyła pozdrowienia od Hakana, nie mógł nie wziąć pod uwagę, że ta sprawa odbije się w szerszych kręgach, wszak mój syn stał się dla tego cynicznego sukinsyna prokuratora generalnego kartą przetargową w rozmowach dotyczących praworządności na szczeblu unijnym. Po trzecie, kim jest ten cały Rączkowski, bo facet pasuje do Ozalanów jak krzyż do półksiężycy. Z tego, co udało mi się ustalić, to wygląda na jakiegoś jebanego naziola, któremu bliżej do Ruskich niż do muzułmanów. A jednak przyszedł tu, aby się rozeznąć i dokończyć dzieła. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. No i ten wschodni akcent...

Luta przygryzła dolną wargę. Musiała przyznać, że rzeczywiście pewne fakty kleiły się co najwyżej średnio. I to nie tak, że ich nie widziała. Ona, mając w głowie jeden cel, najzwyczajniej w świecie je bagatelizowała.

– W końcu po czwarte... – Szatan niemal wyszeptał ostatnie słowa. – Nie dziwi cię, że nagle, po latach, pojawia się twój stary kumpel, który sprzedał się bandytom, aby teraz oferować ci bezinteresowną pomoc w zajebaniu zgrai innych bandytów?

– To nie to samo – zaprotestowała. – Borysa w to nie mieszaj. Nie znasz go.

– Tylko mówię...

– Jesteś uprzedzony. To specyficzny gość, ale...

Luta zamilkła, gdy w korytarzu znów rozległ się stukot żołnierskich butów. Narastał do momentu, gdy zza rogu wyłonił się Borys.

– Już się nagadali? Bo zdążyłem nawet machnąć dwójkę – zagał, szczerząc zęby.

– Nagadali się – odparła Luta. Spojrzała w oczy Szatana. – Dzięki, że się o mnie martwisz, ale na to już trochę za późno – powiedziała. – Podjęłam decyzję, ale obiecuję, że przemyślę twoje słowa.

– Chciałem tylko...

– Doceniam – przerwała. – A teraz opowiedz nam raz jeszcze o tym Rączkowskim. Chcę wiedzieć, co to za śmieć i jak go dopaść. Bo co do jednego, to masz absolutną rację. Ten chujek nie pasuje do tej układanki ani trochę.

## Rozdział 19

**W** luksusowym apartamencie znajdującym się tuż nad Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud panował półmrok, a powietrze wypełniał zapach wonnych kadzideł. Mustafa Ozalan leżał na prywatnym stole do masażu, nie myśląc o niczym.

Dłonie dwóch kobiet, które go masowały, były ciepłe i delikatne. Poruszały się po jego ciele płynnie niczym oceaniczne fale, dając swemu panu oczekiwaną rozkosz. Katarzyna i Waleria były jego ulubionymi sukami. Miały naturalnie jędrne ciała, ekstraordynaryjne krągłości i włosy tak jasne jak słońce nad Bosforem. Uwielbiał je i był dla nich dobry. Karmił je, ubierał, dawał dach nad głową i oferował bezpieczeństwo, bo nikt poza nim nie miał prawa ich dotknąć, a nawet na nie spojrzeć. Potrafiły docenić przychylność i łaskę swego dobroczyńcy. Zawsze były na jego każde skinienie, nigdy nie wymawiały się bólem głowy i spełniały kaprysy Mustafy z uśmiechem na ustach, szepcząc mu do ucha czułe słowa, tonem prawie modlitewnym, bo tak im kazał.

Ostatnio wieczory spędzał głównie w ich towarzystwie. Kiedyś, owszem, miał wielkie ambicje, ale po tym, jak spotkał na swojej drodze tych dwoje Polaków, jego świat skurczył się do rozmiaru cuchnącego, obrzydliwego chlewu, w którym wbrew swojej woli spędził dwie najdłuższe godziny swojego życia. Czasem zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła wymazać z pamięci to ponure doświadczenie, ale za każdym razem, gdy zamykał powieki, z mroku wyłaniał się ubłocony ryj Władymira. Ostateczną decyzję, aby zrezygnować z ambicji, podjął, gdy podczas rodzinnej debaty nad przyszłością klanu w uszach zaczęły mu dzwięczeć znajome pomruki, które podczas najbardziej doniosłej przemowy ojca przeobraziły się w ogłuszającą kakofonię ekstatycznych świńskich kwików. Na czoło wystąpiły mu krople potu, ręce zaczęły się trząść, a w gardle poczuł suchość gorszą niż piaski Sahary.

– Dobrze się czujesz, synu? – zapytał wówczas Hakan Ozalan.

– Tak, ojcze. To znaczy nie do końca. Przepraszam, ojcze.

Wstał i pospiesznie opuścił salon, po czym natychmiast skierował się do toalety, gdzie w iście odrażający sposób opróżnił trzewia, samemu się przy tym paskudząc niczym zwierz. Nie wrócił. Zrozumiał, że pewien etap jego życia już się zakończył, a żałosne próby zdobycia szacunku seniora rodu mogą tylko wzbudzić jego podejrzenia co do wciąż niejasnych okoliczności śmierci starszego brata

i jego ludzi. Owszem, robił wszystko, aby uwiarygodnić przekaz o ataku Cyryla Majskiego, ale w oczach ojca widział brak przekonania. Hakan przytakiwał, mruzczał pod nosem o hańbie i zemście, ale musiały nim targać wątpliwości, których jako szef jednej z największych organizacji mafijnych w Europie nie mógł się wyzbyć, ot tak, w ciemno biorąc słowa świadka za pewnik, nawet jeśli tym świadkiem był jego własny syn. Z racji problemów, które cała ta sytuacja wywołała, najpierw należało jednak zewrzeć szeregi, odzyskać zaufanie klientów i odbudować łańcuchy dostaw. To trwało, ale nie mogło trwać wiecznie i Mustafa podskórnie czuł, że ojciec prędzej czy później wróci do tematu.

Dlatego wolał zaszyć się w cieniu. Robił, co mu kazano, ale starał się nie wychylać. Sporo czasu spędzał w szwajcarskich lub francuskich Alpach, gdzie w takich miejscowościach jak Sankt Moritz czy Chamonix dogadywał transporty z rosyjskimi odpowiednikami z Moskwy, gdyż z racji dość skomplikowanej sytuacji wokół Aleksandra Majskiego Hakan zdecydował się chwilowo pominąć pośredników w Polsce. Przebywanie w tychże kurortach, okazjonalnie w Moskwie, brzmiało nieźle, ale tak mógł myśleć tylko ktoś, kto nie znał klanowej hierarchii i panujących wewnątrz rodziny układów, a te można było zacieśniać, tylko będąc blisko ojca, w samym Berlinie, w sercu organizacji, zwłaszcza że nieuchronnie zbliżał się czas wyboru następcy. Senior rodu był już po zawale i z trudem trzymał się na nogach, więc wydawało się oczywiste, że w końcu komuś musi władzę przekazać. Mustafa czasem zastanawiał się, czy Hakan nie chce uśpić jego czujności, wszak banicja wśród przywykłych do ekstremalnie hedonistycznej egzystencji rosyjskich oligarchów mogłaby stępić zmysły każdemu, nawet tak przywykłemu do luksusów najmłodszemu synowi Ozalanów. To jego zastanawianie się niewiele dało, bo i tak uległ pokusom, ale nawet wtedy, gdy dopinał kolejną transakcję, a następnie wypijał kieliszek drogiego szampana i wciągał do nosa porcję kokainy, niechętnie zdawał sobie sprawę, że to i tak niczego nie zmieni, bo za rogiem, tym czy tamtym, czai się Władymir i film z ich wspólnych harców, który jest w rękach tej jebanej parki Polaczków. To zaś oznaczało tyle, że jego życie i tak jest gównem warte.

Za jakie grzechy?, myślał, gdy leżał pijany albo naćpany. Może właśnie za to, bo przecież wszystkie te używki są w islamie niedozwolone, ale skoro on i tak już jest potępiony na wieki, przecież to nic już nie zmieni. Tak czy siak, nie było już o co kruszyć kopii. Dziś Mustafa nie potrzebował już uwagi ojca i pogodził się z faktem, że został odsunięty na boczny tor, a to Emre, a nie on, zostanie namaszczone i po śmierci seniora rodu stanie na czele klanu Ozalanów. Jemu pozostawało trwanie w hedonizmie, z Katarzyną i Walerią, dwoma niewolnicami, które nawet staremu piernikowi Hakanowi pewnie by drąga na bacznosc postawiły, ale o ojcu już nie chciał myśleć, bo tylko psuło mu to nastrój.

Tak właśnie, uśmiechnął się pod nosem. Chuj z tym ojcem, ważne, że ma swoje wierne suki, które go teraz masują, a potem zrobią to, co sobie wymyśli, wszak pokój zabaw tuż obok, a tam wszystkie pasy, sznury, pejcze i kajdany, oj tak, dziś zajmie się nimi należycie.

Katarzyna i Waleria dalej robiły swoje, wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Mustafa westchnął ciężko, bo wyraźnie nakazał, aby mu nie przeszkadzać.

– Szefie? – poniosło się z holu.

– Czego? – warknął.

– Ważna sprawa jest.

Mustafa machnął ręką i Waleria wytarła dłonie w ręcznik, następnie odeszła od stołu i otworzyła drzwi. Postawny mężczyzna w czarnej koszuli rozpiętej pod szyją spuścił wzrok i wkroczył do apartamentu.

– Mów. Tylko szybko – rozkazał Mustafa.

– Otrzymałem informację, że w areszcie w Grünbergu ktoś zaatakował Aleksandra Majskiego. Żyje, ale...

– Że co?

Mustafa zerwał się ze stołu, jakby ktoś wylał mu na pośladki gorący ołów. Zarzucił na ramiona szlafrok, próbując przetworzyć przekazaną mu informację. Kątem oka dostrzegł w ciemnym rogu kształt świńskiego ryja. Wzdrygnął się, a przez ciało przemknął nieprzyjemny dreszcz.

– Mów dalej – nakazał.

– Został zaatakowany przez człowieka, który podobno powołał się na koneksje z klanem. Mówią, że wykrzyczał pozdrowienia od samego czcigodnego Hakana Ozalana.

– To niemożliwe...

– To potwierdzone informacje.

Nasiąknięte wonnymi kadzidłami powietrze stało się jeszcze gęstsze. Mustafa nerwowo zamrugał i gestem ręki kazał obu kobietom natychmiast opuścić pomieszczenie. Zamknął oczy. Poczul, że jego klatka piersiowa zaczyna płonąć, a żar rozlewa się po reszcie ciała. Co teraz powinien zrobić? Jak zareagować? Przecież jeśli ten cały Szatan postanowi...

Nie, to niemożliwe, pomyślał i czym prędzej doskoczył do stojącego przy biurku laptopa. Pospiesznie przejrzał pocztę elektroniczną i kilka stron, które mogły mieć interes, aby puścić w eter film z chlewu. Z ulgą przyjął fakt, że póki co nie ma po nim najmniejszego śladu. Wtedy zniecka uderzyła go kolejna myśl. Błyskawicznie wklepał w wyszukiwarkę nazwy kilku zielonogórskich mediów, dopisując frazę „Karabina”. Omal nie zsunął się z krzesła, gdy ujrzął wyniki. Zdjęcia z cmentarza, bijące po oczach tytuły o śmierci porwanej niegdyś dziewczynki, próśby o uszanowanie prywatności, których oczywiście nikt nie respektował. No i informacja sugerująca, że do śmiertelnego wypadku doszło w Turcji. To nie mógł być niefortunny zbieg okoliczności.

Mustafa poczul, że jeśli zaraz nie wciągnie kreski, to albo eksploduje, albo zemdleje. Zerwał się z krzesła i podbiegł do zdobionego pojemnika, w którym trzymał kokainę. Chwycił leżącą obok złotą łyżeczkę i nałożył trochę proszku, a następnie przystawił do nosa. Jednym silnym pociągnięciem wessał wszystko, a następnie nałożył sobie drugą porcję i zrobił to samo, tyle że drugą dziurką. Ścisnął nozdrza i odchylił głowę. Przez chwilę czekał, aż poczuje działanie narkotyku. Dopiero wtedy zerknął na wyraźnie skołowanego podwładnego.

– Jedź do bazy i spróbuj się wywieźć, czyja to robota – rozkazał.

– Do naszych...? – upewnił się bandyta.

– Najlepiej do burdeli na Neukölln. O tej porze ludzie pewnie się zabawiają, więc może i będzie łatwiej coś z nich wyciągnąć. Ale zrób to dyskretnie. Mój ojciec najwyraźniej postanowił działać na własną rękę, nie mając pojęcia, w co się pakuje. I jeszcze jedno... – Mustafa przystawił palec wskazujący do nosa. Zmrużył oczy i ciężko odetchnął. – Wywiedz się wszystkich szczegółów na temat napadów na Majskiego i śmierci tych dzieciaków. Skoro do ataku doszło w Turcji, to ustalenie detali nie powinno być trudne. Zleć to komuś, a sam jedź do Neukölln.

– Tak jest, szefie.

Mężczyzna skinął, okręcił się na pięcie i wyszedł. Mustafa przez dłuższą chwilę stał w szlafroku, analizując kolejne ruchy. Sytuacja stała się ekstremalnie skomplikowana i musiał natychmiast reagować. Tylko co powinien zrobić?

Sięgnął po smartfon i odszukał odpowiedni numer. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wyświetlacz, w końcu zacisnął palce na obudowie i rzucił urządzenie na sofę. Aparat odbił się od skórzanego obicia i wylądował na podłodze. Turek doskoczył do niego i w nagłym ataku agresji postanowił rozdeptać, ale w ostatniej chwili się opanował. Padł na kolana i schował głowę w dłoniach, a gdy emocje ustąpiły, z powrotem wziął smartfon do ręki.

Nacisnął zieloną słuchawkę. Rozmówca odebrał po czwartym sygnale. Nie odezwał się jednak ani słowem. Mustafa poczuł się zbity z tropu.

– Pan Zygmunt Szatan? – zapytał drżącym głosem. Przez kilka sekund ze słuchawki niósł się tylko chrapliwy oddech.

– Pomyliłeś numer – odparł głos po drugiej stronie. – Ale...

Mężczyzna zawiesił głos. Mustafa pomyślał, że to „ale” zabrzmiało wyjątkowo złowieszczo. Wtedy ze słuchawki poniósł się kobiecy głos.

– Zabiliście mi dzieci... – syknęła kobieta. – Teraz wszyscy gorzko tego pożalujcie.

– To nie ja – rzucił Mustafa Ozalan. – Przysięgam, pani Karabina, że nie miałem z tym nic wspólnego i...

Połączenie zostało zerwane. Mustafa zadrżał, a chwilę później poczuł, jakby ktoś chwycił w garść jego jelita, a następnie pomału zaczął wiązać je w supeł. Jęknął, a smartfon wypadł mu z dłoni. Wtedy poczuł na sobie czyjeś palące spojrzenie. Powoli odwrócił się przez ramię i z przerażeniem odkrył, że w zacienionym rogu pomieszczenia kryje się znajomy kształt świńskiego ryja.

\* \* \*

Gdy w luksusowym apartamencie nad Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud przy ulicy Unter den Linden w Berlinie najmłodszy syn Hakana Ozalana, Mustafa Ozalan, walczył z nawiedzającymi go demonami przeszłości, w szpitalu przy ulicy Zyty w Zielonej Górze Lutosława Karabina próbowała zapanować nad

gorejącym gniewem i zbierającymi się w kącikach oczu łzami. W końcu oddała smartfon Szatanowi i skinęła na siedzącego obok kompana.

– Już czas – powiedziała.

– Będą na was czekać – mruknął Szatan.

– Będą czekać na mnie – odparła.

Nadkomisarz westchnął i poprawił się w szpitalnym łóżku. Spojrzał na Lutę z mieszaniną podziwu i rozgoryczenia.

– Nie odwiodeć cię od tego, prawda? – zapytał.

– A czy ja próbowałam to zrobić?

– Hmm...

– Więc znasz odpowiedź. – Luta zerknęła na dyskretnie obserwującego ich starszego chudzielca z ręką w temblaku. Nachyliła się nad Szatanem. – Pilnuj spraw i nie daj się zabić. Rączkowski drugi raz tu nie przyjdzie, więc powinieneś być bezpieczny. Ja będę się meldować co sześć godzin. Gdybym po siedmiu się nie odezwała, zrób z filmem to, co uważasz za słuszne.

Przez twarz Szatana przemknął rzadko spotykany grymas. Jakby w ciągu ułamka sekundy postarzał się o kilka lat. Zaciśnął palce na jej nadgarstku i przeniósł wzrok na stojącego obok Borysa. Luta odczytała aluzję i wymownie zerknęła na kompana, który ledwo zauważalnie skinął i wyszedł z sali. Dopiero wtedy dostrzegła, że skorupa pęka, a w oczach starego gliniarza zbierają się łzy.

– Luta... – zaczął. – Ja... ja... Jesteś wspaniałą kobietą i...

– Byłam, Zygmun. Może kiedyś byłam...

Chwilę później odsunęła się od łóżka. Szatan poluzował uścisk i już nic więcej nie powiedział. Długo nie odwracał wzroku, gdy drzwi się za nią zamknęły.



## Rozdział 20

W niewielkim lokalu panował nieustający harmider, a w powietrzu unosiła się mieszanka woni pieczonej baraniny i potu. Panoszący się za barem sprzedawcy z niespotykaną wprawą rznęli mięso i upychali warzywa, które następnie zgrabnie zawijali w potężne tortille.

– Numer dwadzieścia trzy – poniosło się zza lady.

Borys podniósł się z krzesła i kolebiąc się z boku na bok niczym przepalony marihuaną squaters, podszedł po odbiór zamówienia. Chrząknął, chwytając w dłonie owinięte w aluminiową folię kebaby, wyszczerzył się do sprzedawcy i zostawił na ladzie dwadzieścia euro. Tym samym cwaniackim krokiem wrócił do stolika. Luta wstała i wzięła z jego rąk rulon długi jak jej własne przedramię.

– Przynajmniej nie zdechniemy głodni – powiedziała, otwierając drzwi.

Luta nie odpowiedziała i wyszła z lokalu. Ulica tonęła w świetle latarni, a na skrajach chodników ciągnęły się metrowe hałdy zgarniętego przez pług śniegu. Berlin wydał jej się brudny, brzydki i niegościnnie. Silny podmuch mroźnego wiatru tylko to wrażenie pogłębił, więc wolną ręką poprawiła kołnierz długiego czarnego płaszcza. Dotknęła połyskującej obejmy przymocowanej do imitującej obrozę opaski na szyi. Oprócz tego miała na sobie przypominające wojskowe buty na koturnie i skórzane spodnie, na przedramionach zaś sznurowane rękawice po łokcie. Całości gotyckiego wizerunku dopełniały ekstrawagancko skołtunione włosy, dodatkowo mocno spryskane modelującym sprayem, oraz silny czarny makijaż i trzy kolczyki: jeden w nosie i dwa w dolnej wardze. Gdy wzięła pierwszy kęs, pomyślała, że naprawdę trzeba mieć nie po kolei w głowie, aby na co dzień nosić takie żelastwo w ustach.

– Dobry pomysł z tym *gothic girl* – przyznał Borys, wgryzając się w swojego kebaba. Podszedł do niej i chwycił ją za rękę. – Gdybym był wścibski, to zapytałbym, skąd u ciebie w domu takie rzeczy, ale...

– Więc lepiej nie pytaj.

– Ale...

– Zamilcz.

Posłała kompanowi oszczędne spojrzenie. Borys miał na głowie czapkę z daszkiem i wielkie bordowe okulary. Poza tym niespecjalnie odbiegał wizerunkowo od Luty, bo ubrany był w skórzaną ramoneskę z niezliczoną ilością niepotrzebnych zamków i klamr oraz czarne lakierowane dzinsy o niestandardowym

kroju, przypominające trochę skóry, które na co dzień noszą motocykliści. Pod spodem czarna bluza z kapturem i kilka rzeczy, których oczy przeciętnego przechodnia nie musiały widzieć. Do tego wszystkiego czarne głany i kolczyki w nosie, który sprawiał, że w jej oczach wyglądał jak niewydarzony byk rozpłodowy.

– Ja musiałem to na biegu kupić, więc... – powiedział, popijając kebab kawą z papierowego kubka.

– Milcz, powiedziałam.

Przeszli przez ulicę i usiedli na ławeczce, gdzie udając parkę podstarzałych zakochanych hipsterów, dyskretnie obserwowali drzwi lokalu. W środku siedziało trzech osiłków Ozalanów.

– Lokal Bursa Kitchen. To tam lubią jeść ludzie klanu. Znajdziecie go w centrum Neukölln – przekazał im kilka godzin wcześniej tajemniczy kontakt Borysa.

Z początku nie chciała angażować w to dodatkowego człowieka, ale Borys był nieustępliwy.

– To facet, któremu uratowałem spod gruzów żonę i dwuletniego syna – mówił. – A wiesz, jacy oni są. Mogą cię okłamywać, ograbić i zedrzeć z ciebie ostatni grosz, ale dług wdzięczności to u nich rzecz święta. Teraz Can ma okazję go spłacić.

– To mnie nie przekonuje – kontrowała Luta.

– Ciebie to nic nie przekona, ale... – Borys odkasznął. – Robiłem z nim też różne interesy, z których nie jestem dumny. Pamiętasz kryzys imigracyjny?

– Zarabiałeś na tym...

– Powiedzmy, że wiem o nim rzeczy, które obecnie mogłyby mu poważnie zaszkodzić.

– Słucham.

– Już wtedy pracował dla Ozalanów, ale dorabiał na boku. I to grubo. Naprawdę chcesz znać te szczegóły?

– Chcę się z nim spotkać. Nie ufam mu. Po prostu.

– Ostrzegłem mnie, że na to na pewno się zgodzi. I wybacz, ale tego na nim nie wymuszę. Ale podejrzewałem, że będziesz się upierać, więc trochę dokręciłem śrubę. I dziś przesłał mi zdjęcie, które powinno sprawić, że zmienisz zdanie.

Na to wspomnienie Luta omal nie ugryzła się w język. Przełknęła spory kęs kebaba i popiła colą zero. Najgorsze było to, że sama nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć. Zdjęcie związanego i pobitego Tuncaya było mocnym dowodem, że tajemniczy kontakt ma u Ozalanów wystarczające dojsćcia, ale generowało też nieprzewidziany problem. W ostatnich dniach sprawa zniknięcia kuzyna kompletnie przestała ją interesować i tak bardzo skupiła się na planowaniu wendety za śmierć Werki i Franka, że informacja o tym, że trafił w ręce Ozalanów, zupełnie zbiła ją z tropu. Niestety, Tuncay był jej kuzynem...

Ostatecznie postanowiła, że za wszelką cenę musi zdusić w sobie wyrzuty sumienia. Inaczej cały plan zemsty posypałby się jak zamek z piasku. Skupiła się więc na konkretach, a Can wyglądał na wiarygodny kontakt, w związku z czym uznała, że musi zaryzykować i zaufać staremu przyjacielowi, który nawet jeśli

bywał irytującym megalomanem, to jednak znał się na ludziach i wiedział, jak w takich sytuacjach postępować.

Nie myśl o Tuncayu...

– Wychodzą – rzucił w eter Borys.

Obje podnieśli się z ławeczki. Luta wyrzuciła do śmietnika resztkę kebaba i wytarła rękę w chusteczkę. Chwyliła za rękę Borysa i teatralnie wtuliła się w jego ramię. Morozow wygrzebał z kieszeni kluczyki do swojego wozu i nie spuszczać wzroku z trójki mężczyzn, doszedł do zaparkowanego na chodniku jeepa wranglera. Wsiadł do środka i jeszcze przez kilkadziesiąt sekund obserwowali dyskutujących drabów. Wszyscy wyglądali niemal tak samo. Skórzane kurtki, džinsy i średniej długości brody, wszyscy też palili papierosy i ostro gestykulowali, jakby się kłócili. W końcu wsiadł do czarnego SUV-a i włączył się do ruchu. Borys też odpalił silnik i odczekał chwilę, ruszył za nimi.

Pomimo tego, że pogoda nie zachęcała do wieczornych spacerów, ulice Neukölln tętniły życiem. Wbrew obiegowej opinii nie wszyscy mieszkańcy charakteryzowali się bliskowschodnimi rysami twarzy. Luta dawno nie była w tej części Berlina, ale zaskoczyła ją liczba obecnych w tej dzielnicy Polaków. Nie miała problemu z wyłowieniem ich pośród innych nacji, zresztą nabyła tę umiejętność jeszcze podczas służby, gdzie z dokładnością dochodzącą do dziewięćdziesięciu procent potrafiła odróżnić Turka od Kurda, Kurda od Irakijczyka czy Afgańczyka od Pakistańczyka. Z Polakami było podobnie. Na pierwszy rzut oka była w stanie ocenić, czy ma do czynienia z krajanem, czy na przykład z Czechem, Holendrem czy Duńczykiem. W Neukölln zdecydowanie drugą nacją po Turkach byli właśnie Polacy.

Minęli kilka przecznic, trzymając się w bezpiecznej odległości za śledzonym mercedesem. Gdy w pewnym momencie pojazd skręcił w wąską uliczkę rozdzielającą dwie kamienice, przejechali jeszcze około pięćdziesięciu metrów wzdłuż zasłoniętego blachą falistą placu budowy i zatrzymali się na pierwszym wolnym miejscu. Przez kilkanaście sekund obserwowali uliczkę, po czym wysiedli z wozu. Luta zarzuciła na głowę kaptur płaszcza, to samo uczynił partner i upewniwszy się, że niczyje oczy ich nie śledzą, ruszyli wzdłuż ogrodzenia. W pewnym momencie zatrzymali się przy dziurawym łączeniu fragmentów prowizorycznego muru i udając, że z zainteresowaniem czytają przylepione na blasze ogłoszenie dotyczące koncertu jakiegoś śniadego rapera, zajrzeli na plac budowy. W dole znajdowały się uzbrojone fundamenty konstrukcji, której kilka wybudowanych już ścian sugerowało, że w przyszłości może stanąć tu market albo magazyn. Obok stał dźwig i trzy przyczepy. W dwóch z nich paliły się światła, a przy trzeciej zaparkowano SUV-a, którego śledzili od knajpy z kebabem.

– Akurat po jednej – mruknął Borys z zadowoleniem. Luta dyskretnie zerknęła na zegarek.

– Jest dwudziesta druga pięćdziesiąt. Poczekamy do północy. Jeśli do tej pory się stąd nie ruszą, to znaczy, że pewnie piją, ćpają albo ruchają. Damy im się rozkręcić, wtedy łatwiej będzie ich zaskoczyć.

– Brzmi jak plan.

– W międzyczasie obejdźmy teren. Dawaj rękę.

Borys złapał jej dłoń i ruszyli wzdłuż ogrodzenia. Minęli je, następnie uliczkę, do której wjechał SUV, w końcu na niewielkim skrzyżowaniu skręcili w lewo i obeszlili od zewnątrz całą kamienicę. Ta część dzielnicy wydawała się niemal wymarła. Po drodze natknęli się tylko na grupkę trzech chłopaczków popalających w bramie trawkę i starszego mężczyznę z psem. Jedynymi odgłosami dochodzącymi z budynków mieszkalnych były te przywodzące na myśl rodzinną awanturę albo kibicowanie jakiemuś zespołowi. Borys zerknął w internet i rzeczywiście, okazało się, że akurat trwa mecz Herthy Berlin, a gospodarze prowadzą dwa do jednego. Poza tym żadnych lokali czy otwartych sklepów. Bez wątpienia dzielnica zaliczała się do tych mniej uczęszczanych przez turystów i raczej wyglądała na taką, która trąci patologią. Uznali to za dobry znak, bo w takich miejscach zwykle można pozwolić sobie na więcej. Ludzie żyją tu z dnia na dzień i średnio obchodzi ich coś poza ich własnym kwadratem, a gdy już dojdzie do jakiegoś przestępstwa, pytani przez władze, najczęściej udają ślepych i głuchych. Nie dostrzegli też ulicznych kamer, co w Berlinie było rzadkością, i wszystko wskazywało na to, że na placu budowy też nie są zamontowane. Borys upewnił się w tej kwestii, gdy po obejściu całej kamienicy znaleźli się po drugiej stronie zamkniętego terenu. Tam też znajdowało się ogrodzenie, dodatkowo przysłonięte blachą falistą. Zauważyli, że jej fragment dało się odgiąć na tyle, aby przecisnąć się tam, gdzie siatka była dziurawa. Nie ulegało wątpliwości, że to robota jakichś dzieciaków, dla których takie miejsca często służyły za place zabaw. Borys skorzystał z okazji i – udając, że oddaje mocz – dokładnie zlustrował teren, po czym oboje, wciąż trzymając się za ręce jak para zakochanych, wrócili do samochodu.

W środku siedzieli nieco ponad pół godziny, omawiając plan działania. Nie był zbyt wyrafinowany. Należało zakraść się do przyczep i unieszkodliwić znajdujących się w środku mężczyzn. Jakkolwiek nie mogli sprawdzić dokładnej ich liczby, to jednak przyczepy były niewielkie i mogli zakładać, że biorąc ich z zaskoczenia, powinni sobie z nimi poradzić bez większych problemów. Założyli tłumiki, w pochwach poupychali noże, do podręcznych plecaków zapakowali najpotrzebniejsze rzeczy i pięć minut po północy opuścili pojazd.

O tej porze zdecydowana większość okien była już ciemna. Zaledwie w kilku w zasięgu wzroku wciąż paliło się światło. Na wszelki wypadek przez szparę w ogrodzeniu raz jeszcze sprawdzili teren, a następnie, nie dostrzegając większego zagrożenia, skręcili w boczną uliczkę. Minęli dwa zaparkowane dostawczaki, wypełnione po brzegi śmiećkami i drewniane białe-czerwone barierki informujące o tym, że to plac budowy, po czym przecisnęli się przez niedomkniętą bramę wjazdową. Luta pomyślała, że te chłystki albo są wyjątkowo pewne siebie, albo jej nie docenili. Pozostawała jeszcze wersja, że są nieświadomi potencjalnego zagrożenia, ale tak naprawdę każda z opcji brzmiała dobrze.

Bezszelstnie zakradli się do dwóch przyczep i przywarli do ściany jednej z nich. Nadstawili uszu. W środku dało się słyszeć męskie głosy i rubaszne śmiechy. Naliczyli cztery różne, a słowa, jakie Luta zdołała wyłowić z rozmów, sugerowały, że mężczyźni grają w karty.

Luta pokazała cztery palce, a następnie zrozumiałym gestem wytłumaczyła, czym są zajęci. Borys skinął, że bierze ich na siebie, i pokazał, że za minutę wejdzie do środka. Nie musieli nawet szeptać, bo znali się jak łyse konie i potrafili porozumiewać się bez słów. Sama przemknęła więc wzdłuż przyczepty w stronę drugiej, gdzie również dała sobie kilkanaście sekund na zweryfikowanie zagrożenia. Najwyraźniej miała więcej szczęścia, bo z wnętrza sączył się tylko dźwięk telewizora i donośne chrapanie. Złapała kontakt wzrokowy i dała znać Borysowi, aby się wstrzymał. Podkraśla się pod drzwi. Delikatnie nacisnęła luźną klamkę – z cichym skrzypnięciem ustąpiły. Zajrzała do środka. W niebieskawej poświacie telewizora dostrzegła śpiącego na kanapie mężczyznę. Wślizgnęła się do wnętrza przyczepty, upewniła się, że nie ma nikogo więcej, a potem bezszelestnie podeszła do pochrapującego gospodarza. Zaszła go od tyłu i zbliżyła usta do jego ucha.

– Puk, puk – szepnęła, ale jedynie zacharczał i chrapał dalej. Westchnęła i pstryknęła go w ucho, wtedy mężczyzna przebudził się i niemrawo podniósł głowę. Natychmiast to wykorzystała i owinęła prawą rękę wokół jego szyi, drugą chwytając za jego głowę swój własny bark. Napięła mięśnie i ścisnęła łokcie, odcinając dostęp tlenu, i po trzech sekundach facet odpłynął, nie wydając z siebie nawet jednego dźwięku. Natychmiast wyciągnęła z plecaka taśmę i zakleiła mu oczy i usta, następnie dla pewności owinęła ją kilkukrotnie wokół jego głowy, a potem równie szybko ciasno spięła trytytkami ręce i nogi. Zerknęła w ekran telewizora, po czym z powrotem wymknęła się na zewnątrz. Pokazała Borysowi, że zdołała oczyścić teren i przyjdzie mu w sukurs. Chwilę później oboje byli już pod drzwiami drugiej przyczepty.

Zgodnie przyznali, że tym razem sytuacja wymaga mniej wysublimowanego rozwiązania. Wyjęli broń, na „trzy” otworzyli drzwi i wparowali do środka. Mężczyźni nie zdążyli się zorientować w sytuacji i gdy tylko ujrzeli intruzów,zymane w rękach karty pofrunęły w górę, a mózgi dwóch z nich przyozdobiły zasłonki przy oknach. Pozostali dwaj nie odważyli się sięgnąć po pistolety. Instynktownie podnieśli ręce do góry.

– Kim jesteście? – zapytał po niemiecku krępy facet z grubymi i gęstymi brwiami. Drugi, wyraźnie szczuplejszy, z szeroko otwartymi oczyma zerkał na spływającą mu po policzku krew.

– Waszym kozmarem – odparła po turecku Luta.

– Już nie żyjecie. Nie wiecie, z kim zadarliście i...

– Ble, ble, ble – przerwała mu Luta. – Lepiej wytrzymaj sobie z gęby mózg swojego kompana, a potem z rękami za głowę obaj grzecznie połóżcie się na podłodze. Jutro niedziela, więc budowa zamknięta. Mamy na pogaduchy całkiem sporo czasu.

## Rozdział 21

N adkomisarz Zygmunt Szatan leżał na szpitalnym łóżku i przeglądał w telefonie artykuły w lokalnych mediach. Na razie informacja z ataku w areszcie nie wypłynęła, co uznał za niemały cud. Sam nie był przekonany, czy powinien się z takiego obrotu sprawy cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Zgłoszony pionowi kryminalnemu incydent w szpitalu też nie wzbudził zbyt wielkiego zainteresowania. Co prawda znajomy komisarz Edward Małaszyński wysłał do niego jakiegoś posterunkowego, który spisał zeznania, ale wyglądało to tak, jakby ta sprawa kompletnie go nie zainteresowała. Pół dnia zastanawiał się, czy powinien naciskać, bo miała jednak dwie strony medalu. Jego niepokój wzbudzał fakt, że ktoś sprytniejszy mógłby po jakimś czasie połączyć wizytę Rączkowskiego ze śmiercią Poziomy, a Poziomę z Lutą. Śmierć jej dzieci byłaby już zbyt oczywistą koincydencją. Ostatecznie postanowił wybać Małaszyńskiego osobiście. Zadzwoił do niego i pod groźbą przyjazdu na komendę na wózku wymógł na nim, żeby ten pojawił się w szpitalu.

Odłożył laptop, gdy wybiła czternasta. Znał Małaszyńskiego nie od dziś i szanował za wiele cech charakteru. Jedną z nich była punktualność. Wtedy drzwi do jego sali się otworzyły i stanął w nich średniego wzrostu mężczyzna w dwurzędowym płaszczu. Przywitał się i ściągnął wierzchnie okrycie, po czym wziął w dłoń krzesło i przysiadł obok łóżka, na którym leżał Szatan.

– Szpitalne żarcie chyba ci służy – bąknął, rozglądając się po sali.

– Za to ty nie wyglądasz – odparł Szatan. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem cię nieogolonego.

Małaszyński potarł pokryty kilkuniedniowym zarostem policzek.

– Dołożyłeś mi roboty – powiedział, wzdychając. – Niby środek zimy, a ludziom odwalilo. Pobicia, napady. Akta kolejnych spraw piętrzą się jak Mount Everest, a do tego jeszcze ta akcja w areszcie i twoje zgłoszenie. Mów, czego chcesz, Zygmunt, bo naprawdę jestem uwalony robotą po pachy.

– Co z tym Chanem?

– Ty chcesz rozmawiać o Chanie czy o tym całym... Rączkowskim?

Chwila zawahania upewniła Szatana, że Małaszyński nie ruszył tematu. Gdyby było inaczej, nazwisko tego zbira na pewno by mu się w pamięci utrwaliło.

– Obie sprawy mogą się łączyć. Czytałeś w ogóle to, co powiedziałem temu małolatowi?

– Szczerze? Przejrzałem. Chciałem do tego usiąść dziś albo jutro.

– Przynajmniej nie ściemniasz... – Szatan prychnął i spróbował się podnieść. Ból w krzyżu wyraźnie ustąpił i poprawił zakres ruchów do niezbędnego minimum. – To jak z tym Chanem? Uda się wam go przesłuchać?

– Jego stan się ustabilizował, ale pewnie jeszcze sporo wody w Wiśle upłynie, zanim będziemy mogli go przesłuchać. Na razie przenieśli go z OIOM-u na normalny oddział. Chyba nawet leży w tym samym skrzydle co ty.

– Hmm...

– Ale wróćmy do sedna. Coś tak się uparł na tego Rączkowskiego?

– Moim zdaniem facet przyszedł tu, aby dokończyć dzieło. To znaczy zabić Aleksandra. I boję się, że może wrócić. Upredziłeś o tym ludzi, którzy go pilnują?

– Wiedzą, że mają być czujni.

– A ten Chan...

– Miało być o Rączkowskim. Dlaczego uważasz, że chciał zabić Majskiego?

Ta rozmowa w zasadzie już nie miała większego sensu. Małazyński nawet nie dotknął tematu, więc jej kontynuowanie miało się z celem. Trochę to Szatana rozczarowało, ale znał te robotę na wylot i był w stanie zrozumieć, że sprawy dodatkowo się skomplikowały. Oczywiście mógł go nakierować, jednak na ten moment to było zbyt ryzykowne. Małazyński był dobrym gliną, któremu w każdym innym przypadku mógłby zaufać, ale ta sytuacja była wyjątkowa. Nie chciał wpuścić Karabiny w kłopoty, bo i tak miała ich pod dostatkiem.

Pomyślał, że teraz musi skierować rozmowę na inne tory. Przeniesienie Chana stwarzało nowe możliwości, a bez wątplenia teraz to niedoszły zabójca Aleksandra był tym, który może wnieść do sprawy najwięcej.

– Prowadziłem prywatne śledztwo – powiedział, aby zyskać na czasie. – Aleksander to mój syn. Chyba to rozumiesz...

– No i...

– Powęszyłem i okazało się, że może mieć kontakty z Ozalanami. Tylko że trudno mi tobie cokolwiek mówić, skoro jeszcze nie tknąłeś tematu.

– Powiedz, co wiesz, a ja zobaczę, co da się z tym zrobić.

– Wiem tyle, że facet ma mocne plecy, bo pomimo szemranej reputacji i krótkiej odsiadki w Wołowie jest praktycznie czysty. Spróbuj wrzucić go na bęben, to się przekonasz.

To lawirowanie nie brzmiało zbyt wiarygodnie, ale Szatan miał nadzieję, że Małazyński połknie haczyk. Problem polegał na tym, że nie był w ciemni bity. Wszak w pewnym sensie nadkomisarz sam go wychował.

– O co ci chodzi, Zygmunt? – zapytał policjant, marszcząc czoło. Jeśli choć na chwilę połknął przynętę, to teraz już nie było wątpliwości, że wypluł ją razem z haczykiem. – Przyszedłem do ciebie, bo chciałeś pogadać o tym całym Rączkowskim, a ty mi tu rzucasz jakieś ochłapy. Gadasz ogólnikami, kręcisz, kłuczysz. No co ty? Starego psa próbujesz wywieść w pole? Bo jeśli tak, to wybrałeś sobie najgorszy moment. Poza tym nie znoszę, jak ktoś ze mną pogrywa. Nawet ty...

– Nie pogrywam z tobą. Po prostu... – Szatan otworzył szufladę i wyjął z niej paczkę papierosów. – Może wyjdziemy na zewnątrz?

– Możesz mnie odprowadzić do wyjścia.

– Podasz kule?

Małazyński schylił się i podniósł leżące pod łóżkiem kule. Podał je Szatanowi, który zsunął się z materaca i nie bez problemów wsunął stopy w kaptcie. Jęknął, prostując się, a chwilę później omal nie upadł, gdy przeniósł cały ciężar ciała na lewą nogę. Komisarz podał mu rękę, ale Szatan odmówił i powolnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

– Czuję się jak stary, nikomu niepotrzebny chuj – bąknął, gdy wyszli na korytarz.

– Emeryci podobno tak mają.

– Spierdalaj.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Mijając pokój pielęgniarek, nie obyło się bez rugania ze strony pani Basi, która nie omieszkała nawtykać pacjentowi, że jest niepoważny, nieodpowiedzialny i zamiast pomykać po szpitalu, powinien leżeć w łóżku. Szatan tradycyjnie przekupił ją czekoladką i pani Basia dłużej ich nie niepokoiła.

– Po prostu boję się o syna – powiedział, gdy wyszli z oddziału. – Można powiedzieć, że tutaj po raz pierwszy go zobaczyłem. To znaczy tego Rączkowskiego.

– Tutaj? – zdziwił się Małazyński.

– No nie dosłownie. Dwa piętra wyżej. Rozkład pomieszczeń i korytarzy praktycznie się nie różni, więc tłumacząc ci poglądowo. Coś mnie tknęło, bo wydawało mi się, że już gdzieś widziałem tę twarz. Facet mnie minął i zatrzymał się jakoś w połowie korytarza. Zakładałem, że spodziewał się jakiejś ochrony, więc chciał tylko wy badać teren. Udał, że czyta jakieś ogłoszenia, a potem zawrócił do windy.

– Tyle wiem od będących wtedy na służbie posterunkowych.

– Poszedłem za nim i wsiedliśmy do windy. Tam upewniłem się, że to on. Tylko co mogłem zrobić? Nie miałem broni, a facet wydawał się postawny i silny, a jeśli do tego jest zabójcą pracującym na zlecenie Ozalanów, to pewnie też profesjonalistą. Postanowiłem zadziałać dopiero na oczach świadków. Zapytałem wprost, co tu robi i czy nazywa się Rączkowski. Wtedy mnie przepchnął, coś chrupnęło i tyle. Facet zbiegł.

Małazyński słuchał uważnie, ale nawet kompletny amator mógłby dostrzec, że jego irytacja zaczyna rosnąć wykładniczo. Szatan też w końcu się poddał. Wymownie uniósł brwi.

– Mów wprost, czego chcesz, bo dłużej tego pierdolenia nie zniosę – rzucił komisarz.

– Pozwól mi zobaczyć Chana – wypalił Szatan.

– Wykluczone.

– Dłaczego?



– Kurwa, Zygmunt. Znamy się nie od dziś, więc chyba nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Spójrz na mnie. – Szatan teatralnie wbił palec wskazujący w swoją pierś. – Myślisz, że byłbym w stanie mu coś zrobić? Ledwo chodzę, tak naprawdę ledwo żyję. Nie daj się prosić...

Małaszyński westchnął ciężko. Z Szatanem znali się od niepamiętnych lat. To właśnie on wprowadzał go w arkana tej profesji. Może trudno go było nazwać jego mentorem, ale bez wątpienia wiele go nauczył. Ich drogi w pracy krzyżowały się wielokrotnie i pomimo faktu, że sporo z prowadzonych śledztw można by zapisać na ich wspólne konto, to wobec obojętności starszego kolegi głównie on zbierał pochwały i nagrody, a w przypadku zdarzających się czasami wtop to właśnie Szatan zbierał za niego ciężki. Dziwna to była relacja, bo stary gliniarz nigdy niczego w zamian nie oczekiwał, tak jakby zupełnie bezinteresownie przyjął na siebie rolę swoistej tarczy chroniącej młodszego kolegę przed niepowodzeniami. Nigdy też nie zbliżyli się do siebie na tyle, aby móc nazywać się przyjaciółmi, mimo to zawsze się szanowali i nawet gdy Szatan zaczął się staczać, w robocie potrafili znaleźć wspólny język. Dziś zaś głównie dzięki jego protekcji stanął na czele wydziału kryminalnego; wszak po legendarnej już akcji w masarni pod Świebodzinem i wykryciu powiązań byłego już naczelnika Zbigniewa Kurowskiego z grupą przestępczą Cyryla Majskiego to Zygmunt mógł rozdawać karty. Mimo to zrezygnował z oferowanego stanowiska i poszedł na emeryturę, jednocześnie publicznie postulując, aby na czele wydziału kryminalnego stanął właśnie Małaszyński.

– Pójdziemy tam razem – rzekł w końcu komisarz. – Dam ci trzy minuty, ale na tym koniec.

– To chciałem usłyszeć.

Weszli do windy, ale zamiast wcisnąć „parter”, palec Małaszyńskiego powędrował na guzik z czwartym piętrem. Szatan skinął na znak, że docenia pomoc, ale resztę drogi do sali, w której leżał Chan, pokonali w milczeniu. Dwóch policjantów pilnujących wejścia nie dyskutowało i już chwilę później obaj stali nad podłączonym do rurek mężczyzną o południowo-wschodnich rysach. Był gładko ogolony, twarz miał delikatną, pozbawioną ostrości i blizn cechujących ludzi, których życie nie oszczędzało, i Szatanowi przemknęła myśl, że w ogóle nie pasuje do wizerunku jednego z bandytów Ozalanów. Miał zrobioną tracheotomię, a powyżej przytwierdzono spory opatrunek. Jego klatka piersiowa miarowo unosiła się i opadała w takt charakterystycznego pikania aparatury medycznej.

Szatan nachylił się nad mężczyznę, czując na sobie palący wzrok Małaszyńskiego. Nie planował żadnego odwetu. Po prostu chciał go zobaczyć, być może uchwycić coś, co mogłoby go nakierować lub w jakiś sposób pomóc w rozgryzieniu tej nieoczywistej sytuacji. Tym większe poczuł rozczarowanie, bo zamiast odpowiedzi w jego głowie narosło jedynie więcej pytań. W pewnym momencie jego wzrok przykuły wystające spod pościeli dwa palce. Uchwycił materiał i odsłonił całą dłoń.

– Wystarczy – oznajmił Małaszyński.

– Poczekaj...

Szatan złapał środkowy palec, na którym widniał dyskretny tatuaż. Wyglądał jak jeden z tych, które więźniowie dziergają sobie własnoręcznie, ale gdy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł, że wzór nijak ma się do tych znanych ze środowiska grypsujących, tym bardziej symboli związanych z islamem. Przypominał kanciastą literkę „M” z dwiema zewnętrznymi nieco krótszymi nogami, wszystkie zaś jej nóżki były zakończone krótkimi poziomymi kreskami. Nigdy takiego znaku nie widział i choć już miał na końcu języka, aby zapytać o to Małaszyńskiego, to w ostatniej chwili zrezygnował.

Obok stanął komisarz. Zygmunt odchrząknął, skinął i chwilę później obaj policjanci opuścili szpitalną izolatkę. W drodze do swojej sali Szatan nie mógł przestać myśleć o tatuażu. Miał przecucie, że to może być ważny trop, a że zawsze ufał instyktowi, to z każdym krokiem narastało w nim przekonanie, że ten łatwy do przeoczenia symbol ma istotne znaczenie. Być może, pomyślał, nawet kluczowe.

## Rozdział 22

Poczuła na ramieniu dłoń przyjaciela.

– Wstawaj. Nie ma czasu – rzucił krótko, ale miała wrażenie, że opadła ze wszystkich sił. Tak jakby ten widok wyssał z niej całą życiową energię.

– To trzeba zameldować. Chryste Panie... – jęknęła, próbując powstrzymać kolejne torsje.

Borys szarpnął ją w górę. Podniosła się, ale nogi wciąż miała jak z waty. Mieszanka fetoru gnijących ciał, odchodów, świeżej krwi i prochu z każdym oddechem wypełniała jej płuca, jakby chciała je od środka rozerwać na strzępy. Miała wrażenie, że w powietrzu nie ma tlenu. W klatce piersiowej czuła gorejący żar, a w uszach wciąż dźwięczało jej echo wystrzałów i wrzasków rannych. Niepewnie rozejrzała się po piwnicy i pospiesznie przetrzała piekące oczy. Z głębi pomieszczenia wciąż niosły się ich jęki.

– Dasz radę? – zapytał, a ona skinęła. – Łączność tu nie sięga, więc idź na górę i zamelduj, co się stało. Ja ich przypilnuję.

Przytaknęła i zebrawszy się w sobie, ruszyła w stronę podziurawionych od kul drzwi. Gdy wybiegła z piwnicy, poczuła się, jakby właśnie wydostała się z samego piekła. Zrobiła jeszcze kilka kroków, po czym oparła się o ścianę i wzięła kilka głębszych wdechów. Tu powietrze wydawało się czystsze, jakby napełniało płuca życiem, a nie śmiercią. Jej ciało przeszła fala silnych dreszczy, po których poczuła przypływ sił. Poprawiła głośnik i zameldowała swoją pozycję, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi, więc przytknęła broń do ramienia i ruszyła wąskim tunelem w stronę schodów. Słyszała chrzęst pokruszonych cegieł i śmieci pod podeszwami butów, swój płytki oddech i bicie serca. Miała wrażenie, że to wszystko nie jest prawdziwe, tak jakby nagle znalazła się w jakiejś niezwykle realistycznej grze komputerowej. Mijała kolejne pomieszczenia pospiesznie, ale droga ciągnęła się niemiłosiernie. Korytarz nagle wydłużył się o kilkadziesiąt metrów. Targały nią skrajnie ambiwalentne uczucia. Wyszła z piekła, ale zostawiła w nim Borysa. Dlaczego? Przecież mieli trzymać się razem. I jeszcze te dzieci. Powinna je zabrać, ale je tam zostawiła. Pomyślała, żeby zawrócić, ale w świetle czołówki dostrzegła stopnie schodów. Zawahała się, w końcu postanowiła wejść na górę. Nie chciała tam wracać. Nie chciała wracać do piekła.

– Kos. Tu mewa. Słyszycie mnie?

W radio dało się słyszeć jakieś trzaski, w końcu kilka pourywanym sylab. Pokonała jeszcze parę stopni.

– Kos. Tu mewa. Słyszycie mnie?

– Tu kos. Co u was? Odbiór.

– Natrafiliśmy na pięciu bandytów. Możecie zejść do piwnicy? Odbiór.

– Potrzebujecie wsparcia? Odbiór.

– Zostali zlikwidowani. Trzy trupy i dwóch rannych, ale... – zawahała się.

– Zabierzcie ich na górę. Znow zaczęli walić, więc jesteśmy trochę zajęci.

Odbiór.

– Ale... – Słowa utknęły jej w gardle. – Musicie tu przyjść. Musicie to zobaczyć.

– Mewa? Wszystko w porządku? Odbiór.

– Tak. Nie. Kurwa, nie! Nic nie jest w porządku! Wyślij tu kogoś, Grzechu, bo to... to...

– Mewa? Gdzie wrona? Odbiór.

– Borys tam został. Pilnuje tych sukinsynów. Chryste, Grzechu. Niech ktoś tu, kurwa, zejdzie.

Przez dłuższą chwilę radio milczało. Pokonała jeszcze kilka stopni, wtedy znów dało się słyszeć trzask, a w jej słuchawkach wybrzmiał głos dowódcy.

– Wracaj do niego. Chłopaki już do was idą. Odbiór.

– Zrozumiałam, ale... – Znow się zawahała. – Sam powinieneś to zobaczyć.

Odbiór.

– Zrozumiałem. Rób swoje. Bez odbioru.

Na myśl, że musi tam wrócić, omal znów nie zwymiotowała. Rozkaz był jednak jasny i ewidentnie – co uświadomiła sobie ułamek sekundy później – wypowiedziany w sposób, w którym wybrzmiewał wyrzut, a może nawet przygana. Nigdy nie zostawiaj swojego partnera samego, zwłaszcza za linią wroga. To była jedna z podstawowych zasad, które wpajano im do głów na każdym szkoleniu. A jeśli tam było jeszcze jedno pomieszczenie? Jakiś ukryty zakamarek, w którym chował się jeszcze jeden z tych zwyrodnialców? Byli tylko ludźmi i zawsze mogli coś przeoczyć, zwłaszcza gdy ich umysły zostały wystawione na tak ciężką próbę.

Zakłęła szpetnie i ruszyła schodami w dół, następnie korytarzem pomiędzy gruzami, przemykającymi szczurami i gryzącym w gardło wszechobecnym pyłem. Z głębi niosły się wrzaski rannych, a odrażający fetor z każdym krokiem coraz bardziej dławił oddech. Czuła go, nawet łapiąc powietrze przez usta. Wdzierał się w płuca, niemal wżerał w skórę. Nie to jednak sprawiło, że w jej klatce piersiowej znów rozlał się piekielny żar. Gdy w końcu wpadła do piwnicy, a wiązka światła z jej czołówki spoczęła na kompanie, Luta zamarła.

Borys klęczał przy jednym ze spętanych mężczyzn, trzymając w dłoni skrważone ostrze. Ofiara była zbryzgana krwią i panicznie wiała się na podłodze, jakby walczyła o życie. Luta wstrzymała oddech, gdy zdała sobie sprawę, że to nie tylko wrażenie, a gulgot wydobywający się z rznętego gardła wcale nie jest ilu-

zją. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydusić choćby słowa. Po prostu patrzyła.

W końcu coś chrupnęło, a piwnicę wypełnił zgrzyt ostrza ryjącego o beton. Przełknęła ślinę, gdy Borys odwrócił się w jej stronę. W świetle latarki ujrzała jego wyszczerzone zęby i poprzecinane siatką czerwonych żyłek gałki oczne. Twarz miał zbryzganą świeżą krwią, która spływała mu po nosie, policzkach i wszystkich bliznach, przez co przypominał oszalałego z głodu zombie. Nic nie mówił, tylko też po prostu na nią patrzył. Wtedy z mroku wyłoniła się jego dłoń, a w niej odcięta głowa jeńca, która – o zgrozo! – wciąż poruszała powiekami.

Poczowała, że jej nogi znów robią się miękkie jak z waty. Chciała coś powiedzieć, krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle, a plecy i oczy zalał lodowaty pot. Zamknęła powieki, a gdy wstrząsnęła nią seria dreszczy, gwałtownie je otworzyła.

– Luta? – Głos był niczym drapanie ostrzem po szybie. – Wszystko w porządku?

Otworzyła oczy jeszcze szerzej, a jej palce instynktownie zacisnęły się na przedramieniu Borysa. Stary kompan trzymał dłoń na jej ramieniu, drugą drapiąc się po nieogolonej brodzie.

– I czy mogłabyś zabrać ten majcher z moich jaj? – zapytał ostrożnie, opuszczając wzrok na jej drugą dłoń. W niej trzymała swój nóż, którego ostrze delikatnie napierało na materiał jego spodni tuż przy prawej pachwinie.

Luta poluzowała uścisk i powoli odsunęła broń. Odetchnęła, wciąż czując pulsującą w żyłach adrenalinę.

– Nigdy więcej się tak do mnie zakradaj – powiedziała.

– Miałaś koszmar i...

– Koszmar, Borys, to jest tu i teraz.

– Przepraszam...

– Ty już lepiej nic nie mów. I daj mi chwilę, okej?

Borys uniósł obie ręce w geście poddania i odszedł kilkanaście kroków od samochodu. Luta powiodła za nim wzrokiem do momentu, gdy chuchnął w dłonie i zaczął robić pompki. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na chwilę słabości. Do kącików jej oczu niemal natychmiast napłynęły łzy, które pospiesznie wytarła wierzchem dłoni. Schowała nóż i ściągnęła kaptur, aby poprawić skołtunione po nocy włosy, po czym otworzyła drzwi i wyszła z samochodu.

Poranek był wietrzny i mroźny.

Luta przeciągnęła się i z powrotem nałożyła kaptur na głowę. Spała zaledwie dwie godziny, choć miała wrażenie, jakby nie zmrużyła powiek. Wszystko, od momentu gdy w płataninie stali i stygnącej masy bitumicznej zobaczyła kurteczkę Werki, zlewało jej się w jeden upiorny, niekończący się koszmar, który dodatkowo odnawiał się za każdym razem, gdy budziła się z krótkiego, zazwyczaj pełnego majaków snu. Teraz to uczucie wydawało się jeszcze bardziej dojmujące, gdyż z każdą sekundą zdzierającą z niej senną pajęczynę uświadamiała sobie, jak bardzo się przeliczyła.

Prawie całą poprzednią noc spędzili na próbach rozgryzienia, jak dostać się do Hakana Ozalana, ale mieszcząca się na obrzeżach Berlina rezydencja okazała się małą fortecą. Garść informacji mogących pomóc w jej zdobyciu uzyskali od pojmanych w przyczepie ludzi bez większych problemów, ale na miejscu okazało się, że operacja wymaga dużo lepiej dopracowanego planu. Naliczyli przynajmniej dwudziestu klanowych żołnierzy, koczki z psami, kamery i dwie policyjne suki, co do których nie było pełnej jasności, czy to skorumpowani policjanci, czy patroli wysłane w pobliże domu Ozalana, aby mieć go na oku. Ustalenie tego niewiele zmieniało, bo według wszystkich znaków na niebie i ziemi jakakolwiek próba sforsowania zabezpieczeń skończyłaby się dla nich tragicznie. We dwójkę mogli sobie co najwyżej popatrzeć, więc ostatecznie postanowili wycofać się i po krótkiej drzemce na jednym z setek okalających drogi dojazdowe do stolicy Niemiec leśnych parkingów z czystą głową podejść do tematu raz jeszcze. Pewne było jedno – wchodzenie razem z drzwiami musieli wykluczyć, bo było równoznaczne z samobójstwem.

Uznali natomiast, że nie muszą się dłużej kryć. Hakan musiał wiedzieć, że wypowiedział Lucie otwartą wojnę, a ona podjęła rękawicę i łatwo mu nie odpuszczi, w związku z czym zostawili w przyczepie na placu budowy cztery zdekapitowane ciała, w tym dwa dość mocno oprawione. Tymi najbardziej przyziemnymi rzeczami zajął się Borys, który szczerząc dziąsła, zgłosił się na ochotnika. Podziękowała mu w duchu, bo wciąż jednak miała opory. Dostał więc wolną rękę i zadanie wykonał profesjonalnie, używając do tego swojego żołnierskiego noża z ząbkowanym ostrzem. Podszedł do tego jak do krojenia świątecznego karpia. Spokojnie, metodycznie, precyzyjnie. Głowy oddzielał z taką łatwością, jakby robił to na co dzień, i Luta nawet nie chciała sobie wyobrazić, a tym bardziej drążyć, że ma w tym doświadczenie, co – biorąc pod uwagę formację, w której po opuszczeniu JWK służył jako najemnik – wcale nie musiało być tezą wyssaną z palca. Aby rozjuszyć Hakana jeszcze bardziej, cztery czerepy ułożyli na talerzach i polali je sosem barbecue.

– Co z piątym? – zapytał, gdy ukończył swoje upiorne dzieło.

– Zostawimy go przy życiu, ale nie może wiedzieć o twojej obecności – odparła, zerkając na zastawiony stół. – Przekaze informację Hakanowi. Niech wie, że teraz to on jest zwierzyną.

Do drugiej przyczepy wróciła sama. Mężczyzna leżał w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, jęcząc pod nosem i daremnie próbując uwolnić dłonie z trytytek. Usłyszawszy skrzypnięcie otwieranych drzwi, znieruchomiał i na chwilę zamilkł, a gdy Luta w końcu przemówiła, na jego skronie wystąpiły kropelki potu, co przy aurze panującej na zewnątrz i niekoniecznie wystarczająco ogrzewanym wnętrzu przyczepy mogło świadczyć tylko o jednym. Postanowiła, że wykorzysta sytuację i trochę go jeszcze psychicznie podreży, a że nauczona doświadczeniem знаła poziom tak inteligencji, jak i wiary w te wszystkie religijne zabobony najniżej sytuowanych w klanowej hierarchii zbirów Ozalana, postarała się, aby uwierzył, że jest kimś więcej niżli – co też mu wyraźnie zakomunikowała – szukającą zemsty matką. Z początku udawał, że strach wcale go

nie obleciał i nawet powtarzał te same brednie co reszta tych, z którymi zaczy-  
nała, ale gdy ucieła mu wszystkie palce u rąk, perspektywa mężczyzny wyraźnie  
się zmieniła. Wyłupienie oczu ostatecznie przekonało go, że do jego spokojnej  
przyczepy zawitała nie kobieta z krwi i kości, ale postać z dziecięcych koszma-  
rów, a która, to już trudno było ocenić, bo szlochając i błagając o litość, wymienił  
ich co najmniej kilka.

– Wszystko w porządku? – zaczepił ją Borys, gdy oparta o nadkole wpatry-  
wała się w zamyśleniu w ścianę lasu.

– Tak – odparła, ale w jej tonie próżno było szukać przekonania.

– To wsiadaj do samochodu. Pojedziemy coś zjeść.

Luta złapała się na tym, że poczuła wobec Borysa obrzydzenie. Nie mogła  
oprzeć się myślom, że nocna akcja nie wzbudziła w nim żadnych emocji. Ją aż  
skręcało w trzewiach, choć robiła wszystko, aby to ukryć. Nie to, żeby tamtych  
śmieci żalowała, ale miała wrażenie, że – choć niechętnie się do tego przed samą  
sobą przyznawała – nawet czując tak skrajną nienawiść do tych ludzi, robi coś  
złego. On nie przejawiał żadnych skrupułów, tak jakby wojna kompletnie wyjało-  
wiła go z wyższych uczuć. Nic nie powiedziała, gdy po powrocie do samochodu  
i przejechaniu kilku przecznic spokojnie wbił w nawigację adres, a następnie się-  
gnął do schowka po batona białkowego i zaczął jeść, jakby przed chwilą nie odrą-  
bał czterech głów ludziom, tylko ubił na ramieniu upierdliwego komara.

Czy był po prostu skupiony na zadaniu, czy wojna rzeczywiście odcisnęła na  
nim tak dojmujące piętno? A może to ona zachowywała się nieprofesjonalnie?  
Może za bardzo przyzwyczaiła się do normalnego życia, po prostu się zasiedziała  
i patrzyła na świat z perspektywy rozpieszczonego cywila, który każde niechciane  
pierdnięcie musi skonsultować ze słono opłacanym psychoterapeutą? Wsiadając  
na fotel pasażera, postanowiła nie drążyć tematu, tym bardziej że w obecnej sytu-  
acji ta jego bezduszna i brutalna rutyna tak naprawdę działała tylko i wyłącznie  
na jej korzyść.

Na stację benzynową zajechali o brzasku. Poszli do toalety, a następnie zamó-  
wili po ciepłym posiłku, który oboje popili mocną kawą. W międzyczasie Luta  
włączyła telefon, który służył jej na co dzień, i łapiąc lokalne wi-fi, zaczęła prze-  
glądać najnowsze newsy. Nie spodziewała się, że temat czterech trupów w ogóle  
wypłynie, wszak Ozalanowie takie sprawy byli zmuszeni załatwiać po cichu,  
gdyż ewentualna wrzawa medialna mogłaby sprawić, że na wizerunku organizacji  
znów pojawiłaby się trudna do ukrycia rysa. Nie mogli sobie pozwolić, zwłaszcza  
po tak bolesnym ciosie, który przydarzył im się w masarni pod Świebodzinem,  
aby ktokolwiek ponownie podważył ich autorytet, tym bardziej na ich terenie.  
Tak zuchwały atak na ludzi klanu nie tylko by go podważył, ale samego Hakana  
sprowadził do roli nieudacznika i bez wątpienia nie pozostałby bez mniejszych  
bądź większych implikacji w światku, w tym na polu prowadzenia interesów  
z i tak już dość sceptycznie nastawionymi do współpracy kontrahentami. Pozosta-  
wiony przy życiu zbir miał tę ponurą wersję uwiarygodnić, bo trudno było sobie  
wyobrazić, aby szefowi tak potężnej organizacji mafijnej zależało na tym, aby

rozdmuchiwac informację o tym, że jego klan właśnie otrzymał siarczysty policzek od... kobiety.

Nie dostrzegła żadnych niepokojących sygnałów i wtedy stwierdziła, że w końcu otworzy WhatsApp. W ostatnich dniach spłynęło do niej kilkadziesiąt wiadomości, których z różnych powodów nie miała zamiaru nawet odczytywać. Tym razem, przeżuując kolejne kęsy omleta, postanowiła się z tym zmierzyć, choćby po to, aby oczyścić umysł i na chwilę uciec myślami od krwawych wydarzeń ubiegłej nocy.

Większość wiadomości należała do przyjaciół i znajomych. Ograniczały się do kondolencji i zapewnień, że również cierpią, nie mogą się z tym pogodzić, a Luta zawsze i wszędzie może na nich liczyć. Nie znosiła tych wszystkich dętych obietnic, zwłaszcza że w obecnej sytuacji brzmiały co najwyżej groteskowo. Ci ludzie nie byli w stanie pomóc jej w absolutnie żaden sposób, a ich deklaracje nie były warte funta kłaków. Gdy już miała wyłączyć smartfon, jej uwagę przykuła wiadomość od kolegi z czasów, gdy pracowała na platformach wiertniczych w Norwegii. Tomasz Czachowski, ksywa „Czacha”, był jednym z tych, za którymi ciągnęła się dość ponura przeszłość. Nigdy nie ukrywał, że niegdyś obracał się w towarzystwie ludzi, którzy regularnie współpracowali z „kontrahentami” w Berlinie. Odczytała ją z uwagą: *Lutka... jasna cholera. Nie wiem, co napisać. Palce mi drżą i nawet nie wiesz, jak mi przykro. Chłopakom też, ale dopiero teraz się dowiedzieliśmy, bo przez sztormy na robocie tracimy zasięg. Jestem na Hanse- nie, ale chyba zjeżdżamy szybciej, bo i tak nie da się robić. Jeśli tylko będziesz potrzebować jakiegoś wsparcia albo pomocy, to wal jak w dym. Znasz mnie i wiesz, że to nie tylko słowa. Pomogę, jak tylko będę mógł. Ściskam mocno!*

Przy tej wiadomości się zatrzymała. Przełknęła kęs omleta i popiła kawą, po czym zaczęła omiatać wzrokiem opustoszałe o tej porze dystrybutory z paliwem. Spojrzała na logo Shella i poczuła silny dyskomfort, bo nagle zdała sobie sprawę, że jej myśli kierują się w wyjątkowo niebezpieczne rejony. Kiełkujący pomysł nagle zaczął obrastać jednak kolejnymi detalami i ekspresowo nabierać coraz bardziej realnych kształtów. W pewnym momencie odpaliła aplikację pogodową i sprawdziła najbliższe dni. Przygryzła dolną wargę, gdy przed oczami stanęła jej majestatyczna platforma wiertnicza.

– Wymyśliłaś coś? – zapytał Borys, któremu nie umknął ten przyпіływ nachalnej ekscytacji. Luta spojrzała mu w oczy. Jej źrenice drżały.

– Mam pewien pomysł, ale... – Zrobiła krótką pauzę i rozejrzała się po stacji. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. – Muszę zadzwonić – rzuciła i wahając się tylko ułamek sekundy, nacisnęła zieloną słuchawkę przy napisie „Czacha”.

Po trzecim sygnale nabrała wątpliwości, ale po czwartym w głośniku rozległ się znajomy głos. Był miękki, melodyjny i nijak nie pasował do właściciela, który dodatkowo brzmiał, jakby dopiero co się obudził.

– Cześć, Lutka.

– Cześć.



– Jestem... kurczę, czekaj chwilę... – Dała mu kilka sekund. – Przepraszam, ale dopiero co otworzyłem oko. Przepraszam, że wcześniej się nie odezwałem, ale...

– Nie musisz za nic przeproszać – przerwała mu. – Ale jeśli rzeczywiście chciałbyś pomóc, to może będziesz miał ku temu okazję.

– Kurczę, Lutka. Mówisz i masz.

– Jesteś sam?

– W celi na campie.

– Stord?

– Tak.

– Hansen stoi na wodzie?

– Tak, ale... nie rozumiem... chcesz przyjechać?

– Możliwe.

– Może to i dobry sposób, aby się odciąć i...

– Nie o to chodzi.

– Więc o co?

Luta podniosła wzrok na Borysa. Siedział wsparty na łokciach i z coraz większym zainteresowaniem przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie. Widziała w jego oczach, że jeszcze nie łapie, ale bez wątplenia wzbudziła w nim trudną do zamaskowania ciekawość.

– Z tego, co mówisz, wnioskuję, że Hansen jeszcze nie wypłynął na pełne morze i stoi w jakimś fiordzie, mam rację? – kontynuowała.

– Godzinę łodzią od stoczni. Wciąż trwają ostatnie poprawki. Barka przy pływa za miesiąc, chociaż chodzą słuchy, że zrobimy co najmniej jedną rotację więcej, niż planowano.

– A teraz wszystkich ściągnęli na ląd, bo idzie duży sztorm, czy tak?

– Pogoda jest do dupy od wielu dni. Wiało tak, że urywało łeb. No nie szło robić, a teraz to już w ogóle. Hansena zabezpieczyli i zwieźli wszystkich na ląd, bo z zachodu idzie jakaś naprawdę jebitna burza. Fale mają sięgać nawet dziesięciu metrów, więc platforma będzie jak spławik i nie ma mowy, aby ktoś został na pokładzie.

– Ewakuowali z platformy cały personel?

– Zamknęli ją w pizdu do środy włącznie, dlatego mamy luz. Jutro mają dać znać, czy nas przetrzymają, czy jednak wyślą do domu. Ale ja, kurczę, wciąż nie rozumiem, dlaczego o to pytasz...

– No to posłuchaj uważnie, bo będziesz musiał coś dla mnie zrobić.

– Kurczę, Lutka. Nie wiem, co planujesz, ale możesz na mnie liczyć. Znasz mnie i wiesz, że słowo „Czaszeczki” jest święte.

– Wiem, Tomek, wiem. Dlatego idź przemyj gębę zimną wodą. Chcę, żebyś był w pełni świadomy tego, o co cię zaraz poproszę...

## Rozdział 23

**M**ustafa Ozalan próbował zachować stoicki spokój, ale na jego twarzy malował się strach. Obrzucił swojego człowieka surowym spojrzeniem.

– Otwórz je – rozkazał.

Murat powoli rozpiął zamek pierwszej z dwóch skórzanych toreb. Przy drugiej zahaczył o foliowe opakowanie, ale szarpnął mocniej i już chwilę później obie prezentowały pełną zawartość. Cztery skrwawione głowy upchnięte w foliowe worki były bardzo czytelną wiadomością. Mustafa przełknął ślinę, a jego usta zacisnęły się w linię..

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? – wycedził przez zęby.

– Raczej nie, szefie.

– Raczej nie?

– Dziś niedziela, szefie, więc budowa zamknięta i...

– Kurwa mać!

Pięść Mustafy huknęła w blat biurka z taką siłą, że aż zadudniło. Turek chwycił się za nadgarstek, jęcząc z bólu, ale chwilę później jednym zamaszystym ruchem strącił szklankę z whisky, pojemnik na długopisy i dwa skoroszyty z dokumentami. W końcu chwycił niewielką lampkę, wyrwał kabel i cisnął nią przed siebie, omal nie trafiając stojącego naprzeciwko Murata. Ten uchylił się delikatnie, ale pozostał na miejscu. Gdy w pomieszczeniu rozległ się brzęk pękających kryształów, Mustafa oparł dłonie o biurko i zamilkł. Trwał tak przez dłuższą chwilę, po czym puścił plugawą wiązkę przekleństw i skopał własne biurko, a gdy w końcu ochłonął, sięgnął do szuflady i wyjął pudełeczko z kokainą. Tym razem nie skorzystał ze złotej łyżeczki, tylko rozsypał na białce zawartość i pospiesznie utworzył dwie grube ścieżki. Przysiadł na krześle, nachylił się i wciągnął je do nosa, korzystając z wygrzebanego z kieszeni banknotu. Niemal od razu poczuł silne uderzenie narkotycznego haju. To był bardzo mocny towar, prosto z Kolumbii, niemieszany, zamawiany specjalnie dla niego. Odchylił głowę i ścisnął nos, aby nie wydmuchać resztek, następnie odgarnął opadłe na czoło włosy i z powrotem wbił wzrok w Murata.

– Kto to zrobił? – zapytał.

– Nie jestem pewien, ale kimkolwiek jest, znajdziemy go i przyprowadzimy do pana, szefie.

– To ona... – Mustafa wstał i podszedł do barku. Wyjął szkło i nalał whisky z karafki. – To ona. Ta pieprzona suka. Jestem tego pewien. – Wypił do dna i polał raz jeszcze. – Ona naprawdę chce wojny. Ona myśli, że może... naprawdę myśli, że może... kurwa...

Mustafa zarechotał z niedowierzaniem i przechylił szklanicę, następnie odsta-  
wił ją i zaczął chodzić od ściany do ściany niczym rozjuszony niedźwiedź w za-  
małej klatce. W pewnym momencie gwałtownie przystanął i wbił wściekły wzrok  
w Murata.

– Znajdziemy ją, szefie – wyjąkał jego człowiek. – Przyprawdę ją do pana  
osobiście, *inshallah*.

– *Inshallah, inshallah*, gównu, a nie *inshallah!* – warknął Mustafa. – A jak Bóg  
nie da, to mi jej, kurwa, nie przyprowadzisz?

– Przepraszam, szefie. Nie to...

– Zamknij się!

Mustafa podszedł do biurka i ręką przesunął Murata, który natychmiast ustąpił  
miejsca. Złapał worek i wyciągnął z pierwszej torby wciśniętą w folię głowę.  
Przyjrzał się jej z bliska, skrzywił się z pogardą, po czym wsadził z powrotem do  
środku.

– Przez telefon wspominałeś, że była ich piątka... – rzekł, nieco już spokoj-  
niej.

– Buraka zostawiła przy życiu, ale wyłupiła mu oczy i obcięła wszystkie palce.  
Stracił dużo krwi i chyba bredzi od rzeczy.

– To znaczy?

– Wciąż powtarza w kółko jedno i to samo.

– Co on, do kurwy nędzy, powtarza?

– Mówi, że nawiedziła go... *ghula*.

Zabobonni idioci, pomyślał Mustafa. Rozumiał, że w bajki o pustynnych  
duchach, wiedźmach czy innych stworach mogą wierzyć małe dzieci, ale najwy-  
raźniej tępota jego ludzi nie znała granic. Przeszło mu przez myśl, żeby strzelić  
Murata w pysk, tak dla zasady, ale ostatecznie zrezygnował z pomysłu. Kokaina  
nieco rozjaśniła mu głowę, a ta podpowiadała mu, że należy zacząć działać. I to  
natychmiast!

– Gdzie Burak?

– Zawiozłem go do magazynu. Nie chciałem, żeby ktoś go zobaczył, bo...

– Dobra, dobra... – Mustafa machnął dłonią. – Mówił coś jeszcze?

– No... nie bardzo. Wciąż bredził tylko o tej *ghuli*.

– Chuj z nim. Czego dowiedziałeś się na temat tego, co wydarzyło się w Tur-  
cji?

– Póki co tyle, że doszło do wypadku, w którym zginęły dzieci tej kobiety.  
Podobno wpadły pod walec.

– Hmm...

Taka wersja sprawdziłaby się w przypadku Yusufa, który lubował się w tak  
ekstremalnych i widowiskowych egzekucjach, ale starszy brat już dawno nawoził  
ziemię Szatana. Myśl, że przeleciał przez jelita Władymira, chwilowo poprawiła

Mustafie humor, wszak nie był już jedynym z Ozalanów, z którego po śmierci będą rzeź, gdy stawi się w bramach rajy. Ostatecznie jednak szybko wrócił do rzeczywistości.

Czy to zatem sprawa ojca, zastanowił się? Czy sam Hakan Ozalan mógł wydać rozkaz, aby rozwalcować dzieci tej dzdiry? Mustafa czuł się skołowany. Trudno mu było w to uwierzyć, bo to do ojca kompletnie nie pasowało. Z jednej strony, owszem, był surowy i bezwzględny, jak na szefa takiej organizacji przystało, ale nie załatwiał spraw w ten sposób. Jego filozofia rządzenia opierała się na współpracy biznesowej i unikaniu rozgłosu, zemsta zaś, nawet jeśli konieczna, była zwykle załatwiana na chłodno i po cichu. Z drugiej, jeśli dotarł do tego, że jego ukochany syn został tak potwornie upodlony, a następnie żywcem pożarty przez knura, mogły mu puścić wszelkie hamulce. Poza tym był już stary, do tego po zawale, ledwo chodził i tak naprawdę bliżej mu było do piachu niż do rządzenia klanem. Czysto teoretycznie mógł nie unieść tego ciężaru i najzwyczajniej w świecie popaść w obłąd, zwłaszcza że w ostatnim czasie prawie nie opuszczał swojej rezydencji i nie dało się ocenić, w jakiej formie psychicznej się znajduje.

Mustafa skrzywił się z niesmakiem, gdy uświadomił sobie, że nie widział go od miesięcy. To zaś oznaczało tylko jedno. Ojciec uznał, że najmłodszy syn nie rokuje i szanse na to, że kiedyś przekaże mu stery organizacji, są bezpowrotnie stracone.

A może zobaczył film? Może Szatan i Karabina mu go wysłali, obwarowując to warunkami, których ostatecznie nie spełnili? Może wiedział o wszystkim od początku i stąd od czasu akcji w masarni traktował go tak szorstko? Nie, to bez sensu, skarcił się w myślach. Przecież kłamał, lawirował, a ratując samego siebie, ordynarnie poświęcił Yusufa, tym samym wystawiając na szwank honor całej organizacji. Ojciec nigdy by mu takiej zdrady nie wybaczył i nawet jeśli w jakiś pokrętny sposób milczeniem próbowałyby ratować dobre imię Ozalanów, na pewno nie pozwoliłyby mu prowadzić interesów z Rosjanami. I w końcu, dlaczego ta kobieta postanowiła wejść do gniazda os i wywołać otwartą wojnę, zamiast po prostu wgrać film do sieci? O co tu, kurwa, chodziło?

– Kto prowadzi śledztwo w sprawie tego... wypadku? – zapytał Mustafa, upijając kolejny łyk whisky.

– Nie jestem pewny, czy tam jest prowadzone jakieś śledztwo...

Mustafa ponownie wzbil wzrok w swojego podwładnego.

– Jak to, kurwa, nie jesteś pewien? – warknął.

– A przynajmniej w kierunku no... zabójstwa. Miałem mało czasu, szef wybaczy. Wiem tyle, że ciała tych dzieciaków już po tygodniu zostały zwrócone matce, a ta poddała je kremacji i zabrała do Polski. Nie zgłosiła podejrzenia przestępstwa, więc uznano to za wypadek drogowy, choć podobno wysłano jakieś listy gończe. Sprawę prowadzi niejaki Metecan Korkmaz, raczej bez powiązań z rodziną. Jeśli mam drążyć temat po cichu, to może to potrwać.

Coraz więcej pytań i zero odpowiedzi. Mustafa nie wyobrażał sobie, aby organizując tak logistycznie wymagającą akcję, ojciec nie dogadał się z miejscowymi policjantami. Hakan Ozalan tak po prostu nie działał, bo wszystko zawsze musiał

mieć pod kontrolą. I dlaczego ta cała Karabina nie zdecydowała się walczyć o sprawiedliwość? Może jednak miała swoje podejrzenia, że Korkmaz został skorumpowany? A może jest, tylko ten debil Murat nie potrafi dotrzeć do prawdy? W całym tym galimatiasie nic nie trzymało się kupy, ale co najgorsze, żadna z opcji nie pozwalała myśleć, że Mustafa wyjdzie z opresji bez szwanku. Każda ścieżka tak naprawdę prowadziła do czołowego zderzenia z rozpędzonym pociągami, który w zależności od obranej drogi przyjmował formę rozczarowanego i zarazem wściekłego ojca, dyskredytującego go i w zasadzie kończącego doczesny żywot filmu z Władymirem, albo... skrwawionej twarzy tej rozjuszonyj wiedźmy. Na samo jej wspomnienie ogarniał go paniczny lęk. Cicha jak kot, szybka jak kobra, bezwzględna jak lwica walcząca o swoje młode. Była jak ten pustynny duch, jak ta upiorna *ghula*. Z łatwością wyeliminowała wszystkich jego ludzi, później tych przysłanych wraz z Yusufem. Zarzynała ich, jakby nie byli wyszkolonymi żołnierzami Ozalanów, a jedynie baranami posłanymi na rzeź. Zresztą do dziś dźwięczały mu w uszach jej słowa w chlewie. Zrób to, zwróciła się do Szatana, a potem wyszła, zostawiając go sam na sam z ryjącą w błocie ciemnością.

Mustafa poczuł, że znów skręca mu wewnątrz. Wciąż czuł ten smród, sły-szał ten kwik. Ta trauma była nie do zniesienia, ta kobieta zaś już na zawsze się z nią łączyła. Złapał się na tym, że po stokroć bardziej boi się jej niż gniewu własnego ojca. Ona równała się Władymir. Władymir równał się...

Nie myśl o tym, skarcił się w myślach. Nie mógł do tego wracać. Musiał działać.

– Idź i zbadaj temat Korkmaza. Chcę wiedzieć wszystko, co dotyczy wydarzeń w Turcji – rozkazał i gestem dłoni pozbył się swojego człowieka. Gdy wyszedł, Mustafa dopił whisky i – tym razem już przy pomocy swojej złotej łyżeczki – podał sobie do nosa kolejną porcję kokainy. Rozsiadł się w fotelu, próbując ogarnąć tłoczące się pod czaszką myśli. W końcu podjął decyzję – jedyną, która przy ogromnej furze szczęścia mogła prowadzić do sensownego rozwiązania i która wbrew pozorom mogła uczynić wiele dobrego. Wyjął telefon i wybrał wyszukany numer. Odczekał kilka sygnałów. Chwilę później w głośniku poniósł się chrapliwy baryton.

– Słucham...

– Dzień dobry, panie Szatan – przywitał się głosem tak miękkim i naturalnym, na jaki go było stać. – Ostatnio źle zaczęliśmy, ale bardzo zależy mi na wyjaśnieniu pewnych spornych kwestii. Czy możemy porozmawiać?

– Czyli już się z wami przywitała... – mruknął.

– Owszem. Ale ja nie o tym. Chciałbym nawiązać współpracę. Korzystną dla nas wszystkich.

– Po tym, co zrobiliście jej dzieciom, nie sądzę, aby chciała negocjować.

– Nie zrobiliśmy, panie Szatan. Nie my. Ja nie miałem z tym nic wspólnego i biorąc pod uwagę znaną nam obu sytuację, zakładam, że jest pan w stanie dać wiarę moim słowom. Podejrzewam natomiast, że w jakiś niewytłumaczalny sposób prawdę odkrył mój ojciec, który postanowił działać bez konsultacji ze mną.

– Hmm...

– Zatem do rzeczy. – Mustafa nie tracił czasu. Odkasznął i powiedział: – Jestem w stanie pomóc wam w wystawieniu brata Emre i finalnie samego Hakana. Zabijecie ich, a potem dacie mi spokój. To chyba uczciwa oferta, czyż nie?

Serce Szatana przyspieszyło niczym japoński Shinkansen. Żar rozlał się po całym jego ciele, a na skronie i czoło wystąpiły krople potu. Czy właśnie usłyszał, że Mustafa Ozalan jest gotów oddać w jego łapska samego Hakana? Oczami wyobraźni ujrzał starego zakutego w dyby, na kolanach, nagiego, w tym samym chlewie. Świadomość, że mógłby dokonać ostatecznego aktu zemsty, rozpałała go do czerwoności.

– Proszę mówić – powiedział i niemal natychmiast sięgnął do szuflady po paczkę papierosów. Pomyślał, że wystarczy tego dobrego i czas opuścić tę zatęchłą szpitalną salkę. Mijał już trzeci dzień od wypadku w windzie i Władimir zapewne zaczynał robić się głodny.

## Rozdział 24

W kuchni unosił się zapach przepalonych zasłonek i mocnej kawy. Te pierwsze pożółkły od papierosowego dymu już dawno temu, podobnie jak zużyta, dziurawa cerata, którą pokryty był stary dębowy stół. Na podłodze w oczy kłuły plamy po kawie albo czymś, o czym Luta nawet nie chciała myśleć, w zlewie zaś piętrzyły się niemyte od wielu dni naczynia.

– Mów – rzuciła, gdy Szatan w końcu z trudem usadowił się na krześle. Odczekała, aż zapali papierosa.

– Mustafa wyszedł do nas z ofertą – powiedział, wypuszczając dym nosem. – Twierdzi, że nie ma nic wspólnego ze...

– Śmiercią Franka i Werki – dokończyła za niego. – Mów otwarcie, bo już mnie drażni to udawanie. Moje dzieci nie żyją. Przyjęłam to do wiadomości.

Szatan znów się zaciągnął i posłał krótkie spojrzenie Borysowi. Ten nie zareagował w żaden sposób. Po prostu na niego patrzył i to spojrzenie było wyjątkowo wkurwiające. Niby nic nie znaczyło, ale nadkomisarz miał wrażenie, że mówi więcej niż tysiąc słów. Nie potrafił tylko tego rozszyfrować, co irytowało go bardziej niż pierdolenie kolejnych politycznych nominatów na stanowisko komendanta miejskiego.

– Zatem Mustafa twierdzi, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią twoich dzieci – powtórzył Szatan, z powrotem przenosząc wzrok na Lutę. – Oczywiście nie ma na to żadnego dowodu, ale ja jestem mu skłonny uwierzyć. Sam był zdziwiony, że jeszcze nie upubliczniliśmy filmu, a to wiadomo... – Nadkomisarz zawiesił głos. – To byłby koniec jego, a najprawdopodobniej także i całego klanu Ozalanów. I jeśli mam być szczerzy, to wciąż nie rozumiem, dlaczego tego jeszcze nie zrobiliśmy, bo...

– Bo taką podjęłam decyzję – ucięła.

– Może powinnaś ją przemyśleć. Czy nie lepiej przyjąć wroga na własnym terenie? Jestem przekonany, że Hakan nie zniósłby takiego upokorzenia i pewnie ruszyłby na nas całymi swoimi siłami. Mnie to już wszystko jedno, więc wystarczyłoby, abym zabił tyłu, ilu byłbym w stanie. Ty też nie masz już nic do stracenia, więc...

– Mam matkę i brata. Są, jacy są, ale to rodzina. Poza tym przyjaciele, ojciec Franka i Werki. Mam wymieniać dalej?

– Czyli ten film to był blef?

– As w rękawie, ale... – Luta nerwowo oblizwała wargi. – Może skupmy się na tym, co powiedział Mustafa. Co dokładnie ci zaoferował?

– Chce wystawić nam brata i ojca. I niespecjalnie się zdziwiłem, bo to cwany chujek jest. Wie, że ojciec jest stary i schorowany i długo nie pożyje. Kolejny zawał może go zabić. Wie też, że Hakan już spisał testament i nie ma w nim miejsca dla najmłodszego syna, co mnie akurat nie dziwi, bo oboje mamy świadomość, że Mustafa to zwykły pozer, a nie kandydat do przejścia największej organizacji mafijnej w północnej Europie. Ale... – Szatan upił kawy i posłał obojgu wymowne spojrzenia – ...ten chłopak, cokolwiek by o nim mówić, jest jednak ambitny. To, że bez mrugnienia okiem sprzedał nam Yusufa, wystawia mu w tej materii całkiem niezłą laurkę.

– Sugerujesz, że chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu?

– Jeśli jeszcze jakiś czas temu swoją pozycję przyjmował z pokorą, to teraz nadarzyła się okazja, aby przejąć władzę. Pod nieobecność Karema i Yusufa, którzy byli szykowani, aby sprawować kontrolę nad klanem, pozostał mu jeden rywal: Emre. I chce nas wykorzystać, bo jeśli to dobrze rozegramy, możemy pozbyć się brata, a następnie ojca. Jeśli po tym wszystkim ten ostatni nie zejdzie na kolejny zawał.

– To by się nawet kleiło. – Luta rzuciła Borysowi zaczepne spojrzenie. Ten przeciągnął językiem po zębach, jakby chciał wydlubać spomiędzy nich kawałek zalegającego jedzenia.

– Brzmi sensownie, ale zbyt... banalnie.

– Pozostaje kwestia Tuncaya. – Luta ponownie skierowała wzrok na Szatana. – Pytałeś o niego?

– Nie. On też nic nie wspominał.

– To akurat świadczy na jego korzyść, ale... – Luta się zamyśliła, po czym znów skupiła uwagę na Borysie. – Możesz skontaktować się ze swoim człowiekiem? Mógłby wywiedzieć się, czy jest coś na rzeczy.

– Mogę spróbować.

– To spróbuj.

– Teraz?

Borys uniósł brwi i głośno wypuścił powietrze.

– Mamy swój kod, więc to może chwilę potrwać. Oddzwoni w momencie, gdy będzie czuł się absolutnie bezpiecznie.

– To pisz do niego, a ty, Zygmunt, mów dalej. Jak Mustafa chce nam wystawić Emre i Hakana?

– Z ojcem może być problem, bo rzadko wychodzi z domu, a do tego jest pilnowany nie gorzej niż Kaczor podczas kolejnej miesięcznicy smoleńskiej. Za to Emre to pies na baby. Podobno jest seksoholikiem, który regularnie, a w zasadzie prawie codziennie jeździ po swoich klubach i wybiera sobie kolejne laski. Zwykle kilka, ale zawsze inne i nigdy nie łamie tej zasady. Potem zabiera je do swojej limuzyny i wozi się po mieście, bzykając je na wszystkie możliwe sposoby. Mustafa twierdzi, że to taki jego fetysz, bo lubi miejsca publiczne, a ruchanie



z widokiem na zatłoczone ulice kręci go najbardziej. Wiecie, no, takie zboczenie, jak nie wiem, wążanie znoszonych gaci czy cudzych pierdów.

Luta nie skomentowała ostatnich słów, ale od razu przed oczami stanęły jej ewentualne możliwości. Znała się na facetach i wiedziała, czego oczekują. Całe życie spędziła pośród nich, czy to w klubowej szatni, w wojsku, jeżdżąc w konwojach, czy przesiadując pod dekiem platform wiertniczych. Wszyscy zawsze gadali o tym samym, dzięki czemu nasłuchiwała się o tych wszystkich trójkątach, głębokich gardłach, analach czy dominacjach. Sama miała dość wysublimowane potrzeby i potrafiła zrozumieć, że znalezienie partnera będącego w stanie spełnić wszystkie oczekiwania nie jest wcale takie łatwe. Wiedziała też, że każdy facet, nawet jeśli nazywa się Emre Ozalan i ma w zasadzie nieograniczone możliwości pozyskiwania kolejnych obiektów seksualnych, nigdy nie przepuści okazji, gdy trafi mu się kobieta gotowa spełnić jego najbardziej wyuzdane zachcianki nie tylko dlatego, że chce mu się przypodobać albo po prostu jest do tego zmuszona, ale dlatego, że pragnie tego najbardziej na świecie. W oczach seksoholika nawet szara myszka, gdy dostrzegął w jej oczach pasję, stawała się wtedy gwiazdą wieczoru, a taki facet nie tylko w przenośni zaczynał myśleć drugą głową. Pomyślała, że gdyby tylko wiedziała, gdzie Emre danego wieczoru będzie urzędował, oczarowanie go nie byłoby dla niej wielkim wyzwaniem.

– Ubicie Emre to byłaby bardzo mocna wiadomość dla Hakana – powiedziała, zerkając zaczepnie na Borysa.

– Nie zgadzam się – zaprotestował.

– To mogłoby się udać. Hakan, jeśli na miejscu nie padłby trupem, wysłałby za nami wszystkich swoich ludzi. Tylko trzeba działać szybko, bo okienko pogodowe zamknie się najpóźniej pojutrze rano.

– Czy ja o czymś nie wiem? – Szatan zgasił peta w popielniczce.

– Powiedzmy, że i my mamy plan – mruknęła Luta.

– To zbyt niebezpieczne – wtrącił Morozow. – Nie puszczę cię samej. Nie będę miał żadnej kontroli. Jeśli Emre cię przejrzy, to ci nie pomogę.

– Nie zabije mnie, a przynajmniej nie od razu. Zresztą nie przejrzy mnie. Akurat w te klocki jestem całkiem dobra.

– Ej! – zachrypiał Szatan. – Możecie mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

– Powiedz mu – rzucił Borys.

Luta wbiła wzrok w gospodarza. W jej przekrwionych ze zmęczenia oczach tliło się coś, co sprawiło, że przeszły go ciarki. Dałby sobie rękę uciąć, że przez chwilę zamiast dwóch ciemnobrązowych źrenic zapłonęły dwa rozżarzone węgle.

– Dzwon do Mustafy. Teraz to ja sobie z nim pogadam – rozkazała tonem, który nie dał Szatanowi żadnego wyboru. Znał ją nie od dziś i wiedział, że już podjęła decyzję. Jakakolwiek by ona była.

Gdy wykręcał numer do Mustafy, przez głowę przemknęła mu ulotna myśl, aby jeszcze wrócić do tematu Chana, ale widząc determinację Luty, ostatecznie postanowił odłożyć ją w czasie. Zygmunt Szatan nie miał pojęcia, że popełnił kardynalny błąd, a jego decyzja będzie bardzo brzemienna w skutki.

## Rozdział 25

**G**łęboki bas dudnił z taką mocą, że rezonował jej w żołądku. Luta spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia, więc mogła spodziewać się Emre Ozalana praktycznie w każdej chwili. Po raz kolejny dyskretnie omiotła wzrokiem parkiet i poupychane pod ścianami skórzane boksy dla gości. Pociągnęła słomką bezalkoholowe mojito, unikając zalotnego spojrzenia młodego barczystego mężczyzny w czarnej koszuli. Bar, przy którym siedziała, był już mocno zatłoczony i co rusz musiała odganiać potencjalnych absztyfikantów. Bywali nachalni i naprawdę nieznośni, ale to tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że jej wieczorowy image robi wrażenie. Miała na sobie odsłaniający pępek purpurowy lateksowy top, który z pełną premedytacją rozpięła do połowy, aby uwydatnić podniesiony stanikiem biust, połyskującą spódnicę podkreślającą jej szerokie biodra i jędrne pośladki, a na nogach należące do kompletu kozaki za kolano na wysokich szpilkach. Na szyi i przedramionach połyskiwała tania pozłacana biżuteria i kilka naprędcze wydzierganych tymczasowych tatuaży z sercami, węzami i napisami w alfabetach dla przeciętnego człowieka ni w ząb nieczytelnych. Drapieżny makijaż i blond peruka z dwoma psotnymi warkoczami przewiązanymi żółto-niebieskimi kokardami dopełniała wizerunku młodej, głupiej i diabelnie napalonej dziewczuchy, która dla kilkuset euro byłaby w stanie sprzedać nie tylko własne ciało, ale i matkę z całym dobrodziejstwem inwentarza.

– Nie mam pewności, że Emre nie wie o pani istnieniu, bo z oczywistych względów nie podejmowałem tego tematu z ojcem, tym bardziej nie mogę zagwarantować, że pani nie rozpozna – tłumaczył przez telefon Mustafa. – Ale wiem jedno. To człowiek opętany seksem i bez dwóch zdań jest to jego słaby punkt.

Postanowiła zaryzykować. W życiu wielokrotnie musiała przywdziewać różne maski, i to nie tylko podczas upojnych wieczorów z Emilem. Służby specjalne też wydatnie się do tego przyczyniły; wszak bycie strzelcem wyborowym często operującym za linią wroga wiązało się z możliwością utknięcia na obcym terenie, to zaś zmuszało każdego kandydata na to stanowisko do nabycia absolutnie kluczowych umiejętności pozwalających na błyskawiczną zmianę wizerunku. Czasem takie ewolucje bywały naprawdę spektakularne, gdyż od nich zależało, czy dany delikwent zdoła wtopić się w tłum i przeżyje, czy zwróci na siebie uwagę i zostanie schwytany. Podczas szkoleń wbijano im to do głowy na okrągło, a psycholo-

gia, zagadnienia dotyczące zachowań behawioralnych czy mowy ciała były nie mniej ważne od celnego oka. No i makijaż, który przecież też potrafił czynić cuda.

Strój, który kilka tygodni wcześniej kupiła, aby zrobić niespodziankę Emilowi, na taką akcję nadawał się idealnie. Pojechała więc z Borysem do swojego mieszkania i przez blisko dwie godziny ślęczała przed lustrem. Gdy finalna przemiana ostatecznie się dokonała i Luta spojrzała w swoje odbicie, nie miała już wątpliwości, że Emre – zwłaszcza jeśli rzeczywiście jest seksoholikiem – musi łyknąć przynętę.

– Musi, nie musi – przyhamował ją Borys. – Sam bym cię nie poznał, ale pamiętaj, aby nie lekceważyć zagrożenia. Człowiek, który jest szykowany na głowę takiej organizacji mafijnej jak klan Ozalanów, nie może być kompletnym idiotą.

– Poradzę sobie.

– Zawsze to powtarzasz, ale nawet Luta Karabina może popełnić błąd. Ja zresztą też kiedyś myślałam, że jestem królem świata. Życie udowodniło mi, że się myłę.

– Nie przypominaj mi tego teraz i skup się na robocie – ucięła, po czym wsunęła kozak na uzbrojoną w niewielki nóż łydkę. – Widać coś? – upewniła się, robiąc kilka kroków, a następnie stając okrakiem naprzeciwko starego kompana.

– Widać to, co trzeba – odparł, wbijając wzrok w jej dekollet.

– Zatem zrób jakieś żarcie i w drogę.

Postanowili działać natychmiast, bo plan w dużej mierze był uzależniony od pogody, poza tym wiadomość, którą zostawili na budowie, w obecnej chwili stała się bardziej ciężarem aniżeli czymś, co mogło dać im przewagę w przyszłości. Szczęśliwie spełniła swoją rolę, dzięki czemu otworzyły się nowe możliwości, które mogły jednak szybko wyparować, jeśli informacja o śmierci ludzi Mustafy dotarłaby do najwyższej instancji. W tym przypadku wszystko wskazywało na to, że deadline kończy się w poniedziałek nad ranem, czyli w godzinę powrotu robotników do pracy.

– Jego ulubiony klub to The Flame – zdradził Mustafa. – Należy do niego i mieści się w samym centrum Neukölln. Zwykle odpoczywa tam w każdy niedzielny wieczór, bo jest mniej ludzi, a laski wiedzą, że mogą liczyć na jego uwagę.

– Przychodzą specjalnie dla niego?

– Wiedzą, że choć jest wymagający, to całkiem dobrze płaci. Nie traktuje ich jak tanich kurew, bo akurat ta działka należy do mnie. Wie pani, taki podział obowiązków...

– Skup się na konkretach.

– Zatem, cóż... Nawet pani sobie nie wyobraża, co są w stanie zrobić młode kobiety, żeby zaistnieć. Wszyscy wokół wiedzą, że Emre pośredniczy w branży pornograficznej, a wiele Rosjank, Ukrainek czy choćby Polek, które teraz robią karierę w Ameryce, zaczynała właśnie w The Flame. Robi to dyskretnie, bo ojciec oficjalnie tego nie pochwała, ale po pierwsze, kasa to kasa, a po drugie,

takie ekskluzywne damy do towarzystwa, jeśli oczywiście się sprawdzą, o czym decyduje sam Emre, często są wysyłane jako prezenty rosyjskim oligarchom lub szejkom w Arabii Saudyjskiej czy Zjednoczonych Emiratach Arabskich. To lukratywna działalność. Potrafi otworzyć wiele drzwi, zacieśnia stosunki i sprzyja dopinaniu grubszych interesów. Co jednak najważniejsze, mój brat nagminnie podsuwa kobiety różnym oficjelom, w tym politykom. To dlatego Ozalanowie są tacy mocni. Ojciec ma haki na połowę Reichstagu i tak naprawdę z dnia na dzień mógłby udupić każdą partię, począwszy od szeregowych posłów, a kończąc na ludziach trzymających teki ministerialne.

Brzmiało wiarygodnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę pozorne działania Niemców, którzy chcieli na polskich służbach wymusić uzyskanie zeznań od Aleksandra Majskiego. Ta sprawa mogła być już rozwiązana dawno temu, ale ciągnęła się jak flaki z olejem i tak naprawdę utknęła w martwym punkcie. Najpewniej gdyby Ozalanom zależało na uciszeniu potencjalnego świadka koronnego, już dawno znaleźliby sposób, aby się go pozbyć, jednak dopiero teraz zdecydowali się na tak bezpardonowy i w sumie prostacki atak na Majskiego. To świadczyło tylko o tym, że mogli dokonać go już wcześniej, a motywacja bez wątpienia była inna i dotyczyła szeroko zakrojonej zemsty.

– Jesteś kosmicznie zajebista i chętnie zobaczyłbym cię bez tych fatalaszeków – usłyszała chwilę po tym, gdy zorientowała się, że znów ktoś wepchnął się pomiędzy nią a dwie dyskutujące przy drinkach Azjatki. Obrzuciła mężczyznę pogardliwym spojrzeniem. Mówił czystym angielskim i z zewnątrz wyglądał nawet całkiem atrakcyjnie, ale źrenice wielkie jak pięciocztówki nie pozostawiały wątpliwości, że naćpał się jak koń wyścigowy.

- Spieprzaj – odburknęła w tym samym języku.
- Laleczka potrafi wierzyć?
- Powiedziałam: spieprzaj.
- No dobra już, dobra.

Przez moment dostrzegła, że jego dłoń przesunęła się po białce, ale na szczęście odpuścił. Do momentu kontaktu z Emre musiała udawać i nawet w przypadku problemów z takim potencjalnym ancymonem nie mogła się odkryć. Nie było to łatwe, bo ciało reagowało instynktownie, a wyuczone latami treningów odruchy wydawały się niemal bezwarunkowe. Musiała się jednak pilnować, bo dzięki odważnej, nawet jak na berlińskie standardy, kreacji wzbudzała dość powszechne zainteresowanie lokalnych samców i najmniejszy błąd mógł kosztować ją utratę skrzętnie uszytej legendy. Wciąż też nie mogła przestać myśleć o tym, że Emre może być wtajemniczony w plan Hakana, a co za tym idzie, prawdopodobnie zna jej rysy twarzy. Owszem, makijaż, jaki sobie zaserwowała, przeobraził ją w istotę pomiędzy podstarzałą Pippi Langstrump a ochoczą uczennicą z japońskiej mangi, mimo to niepokój jej nie opuszczał. Nie zamierzała się jednak wycofać. Brała pod uwagę wszystkie możliwości, w tym tę, że zostanie rozpracowana, jeszcze zanim przystąpi do działania. Opcji było kilka, od tych najbardziej sprzyjających, w których mogła liczyć na pomoc czekającego w odwodzie Borysa, po ostateczną katastrofę, którą będzie musiał ratować Sza-

tan. I to właśnie dlatego nie chciała ujawniać filmu. Zawsze wychodziła z założenia, że musi mieć asa w rękawie, a wydawało się, że nagranie igraszek Mustafy z Władymirem przynajmniej dla samego klanu Ozalanów ma większą siłę rażenia niż bomba atomowa. To było zabezpieczenie, którego mogła użyć w ostateczności.

W pewnym momencie w sali nastąpiło wyraźne poruszenie. Bas lekko ucichł, a na połyskujący parkiet włączono więcej sztucznej pary. Większość z bawiących się osób nawet nie dostrzegła tej drobnej zmiany, mało tego, płasząc się w takt muzyki goście unieśli dłonie w górę i łapiąc energetyczny kawałek, wpadli w jeszcze głębszy trans. Luta pociągnęła przez słomkę resztę zielonkawego napoju i zsunęła się z hookera, po czym dyskretnie obserwując krzątających się w okolicy pustej dotąd głównej łoży kelnerów, ponętym krokiem ruszyła na parkiet. Znalazła sobie miejsce i zaczęła ruszać biodrami w takt muzyki, nie spuszczając wzroku z obsługi, która pospiesznie zaczęła znosić na stoły powsadzane w łoż butelki z drogimi alkoholami oraz najróżniejsze przysmaki, począwszy od zwykłych paluszków po fantazyjnie podane sushi. Pomyślała, że Ozalanowie wychodzą z tego samego założenia, co większość arabskich szejków, którzy zdecydowanie nie grzeszą skromnością, do tradycji mają stosunek co najwyżej ambiwalentny, a hipokryzją mogliby obdzielić co najmniej kilka meczetów. Gdy w pewnym momencie ujrzała, jak dwa języki ognia z wolna suną, a następnie po zewnętrznym obramowaniu oplatają całą łożę, nie miała już wątpliwości, że tak starannie i drobiazgowo szykowany anturaż jest przygotowywany dla gościa specjalnego. Poczowała ukłucie niepokoju, ale szybko je odrzuciła. Od teraz musiała dać z siebie wszystko.

\* \* \*

Borys siedział w samochodzie i nerwowo stukał palcami o deskę rozdzielczą. Nie podobał mu się plan Luty. Od początku stawał okoniem, próbował ją przekonać do zmiany zdania, ale uparła się, że załatwi to sama. Co gorsza, nie miał z nią żadnego kontaktu, a to zaczynało wyprowadzać go z równowagi. Jak miał jej pomóc, gdyby Emre jednak się połąpał?

– Jego ochroniarze sprawdzają wszystkie kobiety pod kątem sprzętu elektronicznego – oznajmił Mustafa. – Mój brat może i jest seksoholikiem, ale nie głupcem. Wie, że gdyby taki film albo chociaż ścieżka dźwiękowa z jego harców wypłynęły do sieci, to mógłby mieć sporo nieprzyjemności. Oczywiście to mało prawdopodobne, ale wbrew pozorom brat jest bardzo ostrożny.

Brak kontaktu w czasie rzeczywistym był zmorą podczas każdej akcji i niemal natychmiast generował piętrzące się problemy. Mając oczy i uszy szeroko otwarte, wyspecjalizowana jednostka często była w stanie wykryć większość zagrożeń, zanim wróg zdołał się zorientować, że jest w niebezpieczeństwie. Zwykle wychodziła obronną ręką z walki z wielokrotnie przeważającymi siłami, często bez strat własnych. To był klucz. Dobra komunikacja, która pozwalała reago-

wać błyskawicznie. Bez niej siła rażenia spadała przynajmniej o połowę. Tak jak teraz.

– Nie panikuj – uspokajała go Luta. – Nawet jeśli coś pójdzie nie tak, to mamy film. Nie zabiją mnie. Wątpię, aby spadł mi choć włos z głowy. Hakan dobrze wie, że zadał mi ból, który nijak ma się do tego, który mógłby zadać mi podczas tortur. Zresztą po co miałyby to robić, jeśli odebrał mi wszystko?

– Jeszcze nie poznałeś się na tych kozojebcach? – naciskał. – Oni są zdolni do wszystkiego. Nie myślą jak my i inaczej postrzegają świat. Nigdy nie wiesz, co im strzeli do głowy.

– Klamka zapadła. Idę tam sama, a ty możesz mnie co najwyżej ubezpieczyć.

– To przynajmniej pozwól, że będę miał na ciebie oko w środku.

– Twoja gęba od razu przyciągnie uwagę ochroniarzy. Zwłaszcza gdybyś wyszedł z klubu zaraz po nas.

Nie było sensu kopać się z koniem, więc odpuścił, co nie znaczyło, że się z tym pogodził. Zależało mu na niej, szanował ją, może nawet żywił jakieś uczucie, ale postanowił, że nie będzie wchodzić Lucie w paradę. Była zdeterminowana jak nigdy wcześniej i naprawdę przestało jej zależeć. Na czymkolwiek, także na własnym życiu. Już nie wspominała dzieci, a nawet jeśli ten temat został przypadkowo poruszony, w kącikach jej oczu próżno było szukać perlących się łez. W jej źrenicach zagościł za to permanentny mrok, tak jakby wyzbyła się uczuć, przeszła jakąś wewnętrzną przemianę, a jej jedynym pragnieniem stała się zemsta na Ozalanach, choćby miała ścigać ich do samego piekła.

Pomyślał, że oboje już je poznali. Byli tam. Piekło wcale nie było im obce. Ale tak on, jak i ona tej bitwy nie wygrali. Z tą różnicą, że ona zdołała się z tej piekielnej otchłani jakoś wyrwać, a on w niej pozostał. I do tej pory taplał się w smole.

Z zamyślenia wybił go widok przechadzającego się po masce ptaka. Nie znał się na tych stworzeniach, ale podejrzewał, że to kruk albo gawron, bo był duży, czarny i źle mu z oczu patrzyło. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Ptaszysko miało czarne źrenice i wcale nie zamierzało być tym, który pierwszy odwróci wzrok. Zerwało się do lotu dopiero w momencie, gdy poczuło podmuch powietrza od mijającego ich konwoju trzech czarnych pojazdów. Borys wzdrygnął się lekko, jakby wybudzony z transu. Jego spojrzenie powędrowało na migoczący czerwono-żółtym światłem neon The Flame, następnie na parkujące pod samym wejściem SUV-y. I długiego jak autobus rolls-royce'a.

– Mam nadzieję, że diabli nie przysłali cię na przeszpiegi – mruknął, przenosząc wzrok w miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej mościło się ptaszysko. Uśmiechnął się pod nosem. W cienkiej warstwie śniegu na masce pozostało tylko czarne pióro i kilka śladów po trójpalczastych łapkach.

\* \* \*

Luta miała wrażenie, że jej serce bije w rytm transowej muzyki. Wokół dym, lasery, rozpalone ciała. Kilkukrotnie musiała odpierać ataki napalonych chłop-

ców, w większości młodszych od niej, przy okazji posyłając co jakiś czas powłóczyście i wymowne spojrzenia w stronę ognistej łoży. Uwagę Emre skupiła już na wejściu. W połyskującym ciemnym garniturze wyglądał jak młody bóg. Idealnie przystrzyżona broda podkreślała silnie zarysowaną szczękę, a ciemne, głęboko osadzone oczy skrzyły się odbitym światłem szalejących w powietrzu laserów. Bez wątplenia był wysportowany, bo sylwetka, nawet jeśli skryta pod skrojoną na wymiar marynarką, prezentowała się imponująco. Na nadgarstku połyskiwała tarcza złotego zegarka, a na palcach kilka kamieni, których wartość z pewnością przekraczała wszystko, co Luta zarobiła przez całe swoje życie. Dostrzegł ją niemal natychmiast, wtedy obróciła się, eksponując szerokie biodra i krągłe pośladki, lubieżnie przeciągnęła dłońmi po wąskiej talii, po czym odwróciła się w jego stronę i nieznacznie rozchyliwszy usta, na krótko złapała z nim kontakt wzrokowy. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło, aby upewnić się, że to on, jemu samemu zaś dała do zrozumienia, że właśnie patrzy na kobietę wyjątkową, niepospolitą, ale i zdeterminowaną zdobyć to, co sobie założyła. Bez względu na cenę.

Ostatecznie wraz z czwórką swoich ludzi skierował się do łoży, gdzie wszyscy rozsiadli się wygodnie i zaczęli biesiadować. Najpierw w ruch poszła szisza, następnie alkohol i kolorowe przekąski. W pewnym momencie pomyślała, że nie zrobiła na nim zbyt dużego wrażenia, a on zainteresował się dwoma nachalnymi lafiryndami, które po prostu weszły do okupowanego przez mężczyzn boksu, jakby nie miały żadnego wstydu. Musiała przyznać, że były nawet zgrabne, ale na tych wysokich szpilkach poruszały się jak oskubane z piór gęsi. Co z tego, gdy miejsca na kanapach się rozstały, a one dosiadły się, od razu prężąc swoje silikonowe biusty i naszpikowane botoksem usta. Gdy jedna z nich położyła nogę na kolanie podwładnego Ozalana, a ten pożądliwie zaczął ją masować, Luta zaklęła w myślach. Obróciła się plecami, ale gdy znów zerknęła w stronę łoży, dostrzegła świdrujący ją wzrok Emre.

Przez następne dwa utwory wiała się na parkiecie niczym syrena kusząca upatrzonego przy burcie marynarza. Czują na sobie jego wzrok, który palił ją coraz silniej, w końcu postanowiła zaryzykować i wykonała w jego stronę zapraszający gest. Nie liczyła, że przyjdzie, i rzeczywiście nie zareagował, ale chwilę później szepnął coś do ucha jednemu ze swoich ludzi, który niemal od razu wstał z kanapy i ruszył w kierunku parkietu. Odwróciła się, udając, że nie jest zainteresowana, ale wciąż kontrolowała każdy jego ruch. Dała mu odstać swoje na skraju parkietu, w końcu jednak nieśmiało się uśmiechnęła i pozwoliła mu zaprosić się do łoży.

– Pan Ozalan będzie zaszczycony, jeśli zechce pani potowarzyszyć mu tego wieczoru – oznajmił po angielsku krępy Turek o kalafiorowatych uszach. Facet bez wątplenia spędził na macie wiele godzin i nie wyglądał na takiego, który padłby po pierwszym uderzeniu w szczękę.

– Czyżby? – zapytała, siląc się na wschodni akcent.

– Pan Ozalan prosił, aby przekazać, że jeśli pani przyjmie jego zaproszenie, dołoży wszelkich starań, by poczuła się pani jak w niebie – dodał z kompletnie

niepasującą do niego emfazą.

– W takim razie przyjmuję zaproszenie. – Luta uśmiechnęła się i pozwoliła zamknąć szorstkie palce na swojej dłoni, a następnie dała się poprowadzić do łoży. Wchodząc do środka, posłała przelotne spojrzenia dwóm znajdującym się w środku blondynkom. Mowa ich ciała ewidentnie zdradzała, że nie są jej obecnością zachwycone. Przeniosła wzrok na Emre, który wstał, wyciągnął dłoń i powitał ją, jakby była co najmniej damą któregoś z francuskich dworów. Pomyślała, że sukinsyn potrafi czarować i z jeszcze większą przyjemnością odbierze mu to, na czym zależy mu najbardziej.

– Jest pani olśniewająca – powiedział po angielsku, a ona nie zamierzała wyprowadzać go z błędu i udając speszoną, podziękowała typowo wschodnim „senkju”. – Jak się pani nazywa?

– Jestem Ołena. Pochodzę z Ukrainy.

– Tam rodzą się najpiękniejsze kobiety na całym świecie i... – Zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie. – Mam nadzieję, że moja matka i siostry tego nie słyszą.

Luta wykonała gest, jakby zasuwiała wyimaginowany zamek spinający jej usta i znów lubieżnie się uśmiechnęła. Poczowała się pewniej, bo nic nie wskazywało na to, że ją rozpoznał czy miał jakiegokolwiek podejrzenia.

– Pan jest chyba jakąś ważną osobistością... – zaczęła, próbując nienachalnie polećtać jego ego. – I do tego bardzo przystojnym mężczyzną.

Usta Emre wykrzywiły się w grymasie, który trudno było przyporządkować do jakiejś emocji. Lucie skojarzył się z cierpkim, cynicznym uśmiechem. Skinął na kelnera, który zmaterializował się niczym duch, kłaniając się im w pas. Wybrała szampana i chwilę później oboje stuknęli się kieliszkami z nieśmiertelnym „na zdrowie”, które wypowiedziała, zaciągając.

– Pani dobrze wie, kim jestem, jak mniemam – powiedział, gdy wypili. Objął ją ramieniem i Luta poczuła, jak skręca ją w trzewiach. Musiała jednak zachować kontrolę.

– Może... – rzuciła zaczepnie, choć przemknęła jej myśl, że ją przejrzał. – A może nie...

– Załóżmy, że nie...

Przez następne trzy kwadranse flirtowali jak dwoje potencjalnych kochanków. Emre miał wszystko, aby każda głupia dziewczucha zakochała się w nim po uszy już pierwszego wieczoru. Był szarmancki, elokwentny, a jego angielski płynny i bez akcentu. Rozmowa się kleiła, choć Luta z pełną premedytacją udawała, że nie wszystko rozumie, popełniając typowe błędy językowe. Poruszyli kilka tematów, które z biegiem czasu zaczęły orbitować wokół seksu i możliwości, jakie Emre oferuje kobietom „zdecydowanym i wiedzącym, czego chcą od życia”. Luta podjęła ten wątek, z czasem się w nim rozsmakowała, wyraźnie sygnalizując, że jest zainteresowana kontynuowaniem wieczoru na zasadach, które co prawda nie zostały wyartykułowane na głos, ale ewidentnie wybrzmiewały pomiędzy słowami na tyle wyraźnie, aby nikt nie miał wątpliwości, do czego to wszystko dąży. Wciąż jednak czuła niepokój, że ją przejrzy, że jakimś gestem czy nieopatrznie



rzucenym słowem się zdradzi. Miała nieodparte wrażenie, że niektóre wypowiedziane przez nią kwestie brzmią sztucznie, ale pocieszała się tym, że niegrammatyczne mówienie i wschodni akcent przykrywają te drobne niedoskonałości. Kluczem było umiejętne skierowanie rozmowy na temat seksu, najlepiej ostrego i brudnego. I to się udało. Ucieszyła się, bo Emre połknął przynętę i nie nabrał żadnych podejrzeń. Chyba...

Drugi kieliszek szampana nieco zawrócił jej w głowie i postanowiła nie przedłużać. Bała się tego, bo sama myśl, że naprawdę będzie musiała się do niego zbliżyć, przyprawiała ją o mdłości. Do tej pory nad wszystkim panowała, ale...

Wtedy naszła ją pewna myśl. Zdziwiła się, że dopiero teraz, ale to, co nagle zaświtało jej w głowie, brzmiało jak plan, który mógł zadziałać. Spróbuje sobie wyobrazić, że obok siedzi Emil. Tak będzie łatwiej, naturalniej. Wejdzie w swoją rolę, ulegnie mu, przekona go, że jest gotowa oddać całą siebie. Tylko czy to możliwe? Czy zdoła oszukać własny umysł? Gdy na chwilę teatralnie zamknęła powieki, przed oczami stanęła jej twarz kochanka. Poczowała ukłucie czegoś, czego się nie spodziewała. Natychmiast je otworzyła. Emre patrzył na nią podobnie, ale w jego spojrzeniu czaiło się coś wyjątkowo obrzydliwego. Chciał ją pojąć, ale nie jak kobietę. On chciał ją pojąć jak swoją własną rzecz.

Obroniła się przed tym okropnym wrażeniem, skupiając jego uwagę na wędrującej po udzie dłoni. Jeszcze przez chwilę nim manipulowała, aż podczas jednej wymiany zdań musnęła językiem jego ucho. Emre zadrżał z podniecenia.

– Pieprzyłeś się kiedyś z kobietą, która nie ma żadnego tabu? – syknęła lubieżnie.

Nie wątpiła, że pewnie miał ich na pęczki, ale jakoś musiała zacząć. Zrobiła to naturalnie. Musiał uwierzyć. Weszła w rolę.

Usłyszawszy jej słowa, Turek chwycił ją za podbródek i spojrzał jej w oczy. Przez dłuższą chwilę świdrował ją wzrokiem.

– Na dnie tych pięknych czarnych źrenic widzę czającego się demona – mruknął. – Masz w sobie demona, Ołeno? – zapytał, cedząc przez zęby ostatnie słowa.

– Siedzi tu i patrzy na swojego pana.

– Pana? – Uniósł jedną brew.

– Może i na co dzień jestem niepokorna, ale w łóżku potrzebuję silnej ręki – oznajmiła, zaciskając palce na jego przedramieniu. – Ukarz mnie za to, że śmiałam tu przyjść. Zerznij mnie jak sukę, upodlij mnie, zrób z moim ciałem wszystko, na co tylko najdzie cię ochota. Tej nocy chcę być twoją niewolnicą.

Dostrzegła, że Emre przełyka ślinę, a jego jabłko Adama nieznacznie podskakuje. Pewnie nie chciał wyjść na napaleńca, ale nie był w stanie zapanować nad wzbierającą żądzą. Tacy jak on, uzależnieni od seksu, w podobnych chwilach po prostu tracili głowę. Jej słowa wślizgnęły się do uszu niczym narkotyk, z każdą sekundą substancja rozlewała się po ciele kolejnymi falami, wprowadzając ćpuna w euforię. Widziała, jak wzbiera w nim dzika, nieposkromiona chuć, jak pęcznieje, wszędzie. Gdy w końcu spodnie w okolicy pachwiny lekko się uniosły, od razu nakryła to miejsce swoją dłonią i zacisnęła palce na nabrzmiałym penisie. Nie myślała o niczym innym, poza tym, żeby jak najszybciej opuścić łóżę. Wbiła

wzrok w jego skryte pod gęstymi brwiami oczy, które błyszcząły jak dwa rozżarzone węgle.

– Chcę, żebyś zerznął mnie w usta, a potem w dupę – syknęła. – Uwielbiam być ostro ruchana w dupę. Lubię, jak boli, i cholernie mnie to podnieca. Błagam, zróbmy to zaraz, najlepiej tu. Niech się gapią!

W pewnym momencie pomyślała, że przesadziła, ale wyraz jego twarzy sprawił, że niepokój wyparował. Po ostatnim zdaniu oczy Emre otworzyły się jeszcze szerzej, a tuż nad idealnie, jakby od linijki przyciętą brodą wykwitły ciemniejsze plamy. Oddech przyspieszył, tętnica na szyi wybrzuszyła się i Luta pomyślała, że teraz mogłaby się w nią wgrzyźć niczym lwica. Niech się gapią! Rozegrała to idealnie. Nie dała mu szans na obronę. Uderzyła w najczulszy punkt. Słaby punkt.

– Jesteś niesamowita – wydusił i tylko utwierdził ją w przekonaniu, że haczyk połknął głęboko. Wyczuła, że aż trzęsie się z podniecenia, dlatego zacisnęła palce na jego penisie jeszcze mocniej.

– Jest ogromny – mruknęła. – Chcę go poczuć w sobie. Wszędzie. Teraz!

Wtem Turek chwycił ją za nadgarstek z taką siłą, że ledwo się powstrzymała, aby drugą ręką nie uderzyć go w krtań. Wydał z siebie dziwny pomruk, niczym rozjuszony zwierz, następnie sięgnął po drinka i bez słowa wychylił do dna.

– Idziemy! – rozkazał i zerwał się z kanapy. Szarpnął ją za rękę, a ona pozwoliła się zaskoczyć, w międzyczasie puszczając mu wampowate spojrzenie. To rozuchwaliło go jeszcze mocniej, a białka jego gałek ocznych lekko poczerwieniały. Pomyślała, że paradoksalnie to ona ma go teraz w garści. I już go z niej nie wypuści.

Z klubu niemal wybiegli. Trzymał ją mocno i miała wrażenie, jakby jej nadgarstek znalazł się w imadle. Turek stał się brutalny. Ciągnął ją za sobą jak sklepowego manekina, nie zważając na to, że po drodze omal nie złamała obcasa. Zupełnie niezaskuszenie zrugął swoich ludzi, jakby to była ich wina, wściekał się z byle powodu. Wyraźnie za nim nie nadążali albo nie do końca rozumieli, co wzbudziło w szefie taką reakcję. Nikt jednak nie śmiał odezwać się słowem. Szli za swoim panem niczym psy za suką w rui. Ona zaś przy jego nodze. Jak niewolnica. Na swój sposób to było dla niej naturalne. Odegrała swoją rolę. Fachowo i wiarygodnie.

Gdy wychodzili na zewnątrz, posłała dyskretnie spojrzenie w stronę zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej wranglera. Widoczność była kiepska, bo zapadł zmierzch i prosiły gęsty śnieg, więc nie potrafiła określić, czy ktoś siedzi w środku. Mimo to upuściła torebkę i przyklekła, aby ją podnieść. Emre nie miał jednak zamiaru czekać, aż się pozbiera. Brutalnie szarpnął ją za rękę i wepchnął do swojej limuzyny.

\* \* \*

– Kurwa mać – wycedził przez zęby Borys. Omiótł wzrokiem okolice i włączył silnik.

Torebka miała być sygnałem, że wszystko jest pod kontrolą, ale to, co wydarzyło się chwilę później, wyraźnie osłabiło, jak się wydawało, jasny przekaz. Szybko przeanalizował sytuację, która w jego ocenie wcale nie była taka oczywista. Co mogło nie zadziałać? I jak powinien się teraz zachować?

Luta upuściła torebkę i przyklękła, aby się po nią schylić. Tak się umówili. To miał być znak, że panuje nad sytuacją, a Borys ma trzymać się w bezpiecznej odległości. Tymczasem facet tarmosił nią jak workiem ziemniaków, a następnie wepchnął do limuzyny, jakby była nie potencjalną kochanką, a dmuchaną lalką. Do tego ewidentnie wyglądał na rozgniewanego, a nawet wściekłego. Czyżby ją przejrzał? Tylko w takim razie dłaczego Luta upuściła torebkę? Włączając się do ruchu, Borys pomyślał, że ta wariata naprawdę byłaby do tego zdolna. Po prostu wziąć to na siebie. Pójść jak w dym i skoczyć w ogień. Zawsze taka była. Nigdy się nie cofała, a jeśli trzeba było postawić na szali własne zdrowie i życie, nie wahała się tego uczynić. Romka trafionego w kolano kiedyś wyniosła spod ostrzału na własnym garbie, a Grześkowi szyla bebechy pod gradem pocisków z moździerzy. Chłopaki z JWK za to właśnie ją kochali. Wielu z nich zawdzięczało jej zdrowie, a nawet życie. Borys chyba wszystko.

Gdy znów to sobie przypomniał, poczuł ogromne wyrzuty sumienia. Ścisnęło go w klatce piersiowej tak mocno, że aż odebrało mu dech.

– Uspokój się, do jasnej cholery – szepnął do siebie. – Skup się na robocie. Na robocie...

Zmienił pas, aby nie zgubić konwoju. Limuzyna skręciła w prawo, kierując się na południe, co go trochę zdziwiło, bo według danych o lokalizacjach najważniejszych melin Ozalanów zamiast się do nich zbliżać, oddalali się. Po pięciu minutach zorientował się, że poruszają się bez sprecyzowanego celu, po prostu kłuczają kolejnymi uliczkami, raz na północ, raz na zachód, innym razem skręcali na wschód i na rondzie zawracali. Do tego konwój jechał spacerowym tempem, aż za wolno, przez co Borys zaczął się niepokoić, że jeśli wciąż będzie trzymał się z tyłu, to w końcu ktoś zorientuje się, że ich śledzi. Spojrzał na zegarek. Od włączenia się do ruchu minęło osiem minut. Umawiali się na dziesięć. Do tego czasu Luta miała dać znak. I dała.

\* \* \*

Wgramolił się do środka jak wygłodniały zombie.

Luta oblizła wargi, choć bardziej dlatego, że kompletnie zaschło jej w gardle. Czowała się osaczona, a jego przekrwione z podniecenia oczy pałały żądzą tak potężną, jakby nie chciał jej przelecieć, a dosłownie rozerwać na strzępy. Postanowiła nie myśleć. Nie mogła myśleć, inaczej po prostu by zwymiotowała. Gdy chwycił ją za gardło, a samochód ruszył z miejsca, poczuła, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Miał niezwykle silny uścisk i najwyraźniej nie zamierzał być dla niej delikatny.

– Chcesz zostać mocno wyruchana? – warknął i splunął jej w twarz. Zamknęła oczy. – To teraz tak cię wyjebię, że wywrócisz się na drugą stronę. Rozumiesz,

szmato? – Zaciśnął palce tak mocno, że odebrało jej dech. – Rozumiesz, kurwo, czy mam ci przyjechać?

– Tak, panie – wykrztusiła.

Poluzował uścisk i rzucił ją na szeroką kanapę obitą kremową skórą. Ściągnął, a raczej zerwał z siebie marynarkę, a następnie koszulę. Spod czarnego materiału wyłoniła się wyrzeźbiona klatka piersiowa i imponujący sześciopak. Emre musiał być w formie, ale tego akurat się spodziewała. Wiedziała, że ma czarny pas w brazylijskim jiu-jitsu, wszak jako fundator i zarazem szef berlińskich Wilków musiał mieć stosowne argumenty, aby szkoleni w klubie klanowi żołnierze darzyli go szacunkiem. Nieco ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, osiemdziesiąt kilka kilogramów wagi, prawie same mięśnie, tłuszczu jak na lekarstwo. Sama dochrapała się dopiero purpury, więc na macie nie miałyby z nim większych szans.

Nie mogła tego przeciągać. Bała się, że popełni jakiś błąd, który ją zdradzi. Zbyt teatralnie legła na skórce. Zbyt sztucznie wycierała twarz z jego ohydnej śliny. Nie mogła się jednak przełamać. Nie mogła sama z siebie pocałować człowieka, który odpowiadał za śmierć jej dzieci. Ale Emre był w stanie jakiegoś amoku. Znów chwycił ją za gardło, po czym przyssał się do dekoltu. Jego język wydał jej się chropowaty jak papier ścierny, mimo to starała się odwzajemnić pieszczotę. Ugryzła go w ucho, wtedy uderzył na odlew, zaklął po turecku, ponownie splunął jej w twarz i zaczął dobierać się do zamka jej topu. Rozpiął go i brutalnie szarpnął za stanik, który lekko się rozdarł. Jej pierś wysunęła się, a on zaczął ją ssać, jakby chciał wyrwać. Nie mogła dopuścić, aby ściągnął z niej całą górę, bo pod rękawkim krył się tatuaż JWK, więc zaczęła dobierać się do jego paska od spodni. Miała plan, który chwilowo stanął pod znakiem zapytania. Nie spodziewała się aż tak brutalnego ataku, mimo to musiała reagować.

– Daj mi go. Błagam, daj mi go – wyszeptła mu do ucha, wciąż grzebiąc przy jego pasku.

Turek odtrącił jej dłonie i sam pozbył się paska, następnie zsunął spodnie i majtki. Oczom Luty ukazał się nabrzmiały penis, który Emre od razu wepchnął jej w usta. Zadławiła się, aż z oczu pociekły łzy. Walczyła, aby nie zwymiotować, ale musiała wytrzymać, bo w tej pozycji to on miał przewagę. Był bardzo brutalny i trzymając się za zagłówek, napierał mocno, aż do samego gardła. Zmusiła się, aby chwycić go za pośladki, po czym wykorzystując moment, gdy wyjął penisa, aby ostatecznie ściągnąć z kostek spodnie i majtki, zsunęła się z kanapy, dając mu do zrozumienia, że jest gotowa kontynuować na kolanach. Emre znów zaklął szpetnie, zwyzywał ją po turecku, a potem rozsiadł się wygodnie i chwycił ją za głowę.

– Patrz mi w oczy, szmato! – rozkazał i chwilę później znów poczuła go w gardle. Patrzyła, płacząc, co jeszcze bardziej go nakręciło. Dławiła się, krztusiła, ale ten skurwiel wciąż się na nią gapił. Przeszło jej przez myśl, żeby po prostu zaciśnąć szczękę, ale wiedziała, że to będzie za mało. Tylko go rozjuszy, a wtedy ją zabije. Gdy już myślała, że dłużej nie wytrzyma, Emre chwycił ją za warkocze

i niemal nadział ją na siebie. Jęknął przeciągle i odchylił głowę do tyłu. Na to czekała.

Jej dłoń powędrowała do zamka kozaka, a chwilę później w okolice jego moszny. Uniosła głowę, pozbywając się z ust członka Emre. Próbował ponownie ją docisnąć, ale wyrwała się z taką siłą, że w jego dłoniach została jedynie blond peruka z warkoczami. Zaskoczony, otworzył powieki i przez moment patrzyli sobie w oczy. W ciągu kilku sekund przez jego twarz przetoczyły się wszystkie możliwe emocje. Ostatecznie w ostrych rysach zastygł strach.

– Jeśli choćby drgniesz, wbiję ci to aż do żołądka – syknęła Luta, napierając ostrzem w okolice pod moszną. Powiedziała to po turecku, aby pozbył się wszelkich wątpliwości, z kim ma do czynienia.

– Kim ty... jesteś? – zapytał, nieco zbijając ją z tropu. Napała nieco mocniej i ostrze przebiło skórę. Emre drgnął, ale nie poruszył się więcej niż o centymetr. Z jego oczu biło już tylko przerażenie. – Poczekaj... przecież możemy...

– Czy są tu jakieś kamery? – przerwała mu.

– Nie.

– A kierowca?

– Nie...

– Widzi nas, słyszy? – doprecyzowała.

– Tylko jeśli wcisnę ten guzik.

Luta nie dała się nabrać. Nie przeniosła wzroku w miejsce, w które powędrowało jego spojrzenie. Lekko przekręciła czubek ostrza.

– Więc bardzo, ale to bardzo powoli, wciśnij ten guzik i powiedz szoferowi, że ma się kierować na południe, dokładnie na pola, gdzie budują farmę solarną. I bez numerów, jeśli chcesz zachować jaja.

Emre pokornie wykonał polecenie. Tak jak się spodziewała, szofer nie zadawał dodatkowych pytań. Przez chwilę walczyła z samą sobą, aby się nie porzygać.

– Po co tam jedziemy? – zapytał w końcu, lekko unosząc biodra.

– Nawet nie drgnij – ostrzegła, czując na palcach ciepłą krew. – A teraz weź tę perukę, otwórz okno i wyrzuć ją na zewnątrz.

I tym razem Turek nie oponował. Wiadomość, że najdrobniejszy ruch może spowodować utratę przyrodzenia, sprawiał, że działał jak dobrze naoliwiony robot. Chwilę później blond peruka z fikuśnymi warkoczami wyfrunęła z limuzyny i wylądowała pod kołami jadącego za nimi SUV-a, wzbudzając zjadliwy rechot jadących w nim żołnierzy klanu. Teraz należało podjąć decyzję, co dalej. Gdy dostrzegła, że po policzkach Emre spłynęła łza, poczuła się pewniej. Wciąż jednak nie była przekonana, co powinna uczynić. Facet najwyraźniej nawet nie podejrzewał, kim może być, co rozstroiło ją do tego stopnia, że zaczynała gubić się w domysłach. Przelotna myśl o dzieciach sprawiła, że wróciła do rzeczywistości. Po co jej było wiedzieć więcej...

– Posłuchaj, kobieto... – zaczął. – Przecież możemy się jakoś dogadać. Nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz, ale przecież... zapłacę ci tyle, ile zapragniesz. Jestem bardzo bogaty. Podaj tylko cenę, kobieto...

Pomyślała, że to chyba znak z samej góry. Kobieto. Jak ona nienawidziła tego słowa. Fakt, że tak zwrócił się do niej akurat Emre Ozalan, przekonał ją, że odpowiedzi na pytania, które chciałaby mu zadać, tak naprawdę nie mają już w tej chwili żadnego znaczenia. Po raz ostatni spojrzała w oczy Turka i bez ostrzeżenia gwałtownie wepchnęła ostrze w jego miękkie ciało.

## Rozdział 26

**B**orys otworzył okno, aby nieco przewietrzyć wnętrze samochodu. Właśnie wyjechali z obszaru zabudowanego na teren płaski jak stół. Od momentu, gdy blond peruka wyfrunęła przez okno limuzyny, minęło siedem minut. O tej porze ulice Neukölln były prawie puste, więc droga do mieszczących się bezpośrednio pod nim pól, na których budowano potężne farmy solarne, zajęła tylko chwilę. Z jednej strony działało to na jego korzyść, bo nie wystawiał się na widok zbyt długo, z drugiej, poza momentami, gdy choć na chwilę mógł się skryć za jakimś samochodem, przez zdecydowaną większość czasu był jak na patelni. Oczywiście próbował lawirować, trzymać się jak najdalej, ale szansę na wykrycie oceniał mniej więcej pół na pół. Tylko co miał zrobić? W tak trudnych warunkach inaczej się po prostu nie dało, więc gdy w końcu wyjechali na prostą drogę, zupełnie przestał się przejmować. Tak naprawdę wszystko zależało od tego, jak poradziła sobie Luta. Złapał się na tym, że jest dobrej myśli.

Gdy na horyzoncie zaczęły majaczyć migające żółte światła, było jasne, że zbliżają się do celu. Ostatni raz zerknął na fotel pasażera, gdzie leżał przygotowany do użycia sprzęt, i delikatnie docisnął pedał gazu. SUV przed nim przyhamował. Pomyślał, że połknęli przynętę, nie miał jednak wątpliwości, że teraz liczy się każda sekunda. Podjechał i zatrzymał się kilka metrów za śledzonym pojazdem. Wtedy wysiadł z niego jeden z mężczyzn. Kilkanaście metrów przed nimi droga była zablokowana. Na wąskiej jezdni stały barierki, słupki ostrzegawcze z migającym żółtymi światłami oraz mężczyzna w roboczym drelichu. Borys sięgnął po swoją beretkę i granat dymny, po czym sam otworzył drzwi. Zrobił kilka kroków w stronę mężczyzny.

– Co tam się dzieje? – zapytał po niemiecku. Człowiek Ozalanów obrócił się w jego stronę.

– Droga jest zablokowana – odparł.

– Da się przejechać?

Zauważył, co dzieje się przy pierwszym SUV-ie, i postanowił nie czekać na odpowiedź. Wycelował w głowę, a chwilę później powietrze przeszył cichy świst. Zanim mężczyzna bezwładnie gruchnął o ziemię, Borys zdążył wrzucić przez otwarte drzwi SUV-a zabezpieczony granat dymny, i nie czekając na reakcję siedzących w środku pasażerów, wsunął lufę w szparę i opróżnił cały magazynek.

– Leszcze – mruknął pod nosem i popatrzył na przód. Z okien drugiego SUV-a też wydobywał się dym, a mężczyzna w roboczym drelichu okrążał samochód z drugiej strony i dobijał siedzących w środku pasażerów.

W międzyczasie silnik limuzyny na chwilę wskoczył na wysokie obroty, ale zgasł, zanim kolubryna zdążyła ruszyć z miejsca. Borys uśmiechnął się pod nosem. Cisi i skuteczni, pomyślał. Jak zawsze.

Gdy już miał chwycić za klamkę rolls-royce'a, drzwi otwały się i z wnętrza wygramoliła się Luta. Gdy jej postać znalazła się w strumieniu światła z reflektorów stojącego za limuzyną SUV-a, aż go przytknęło.

– No co się tak gapisz? – zapytała, odgarniając z policzka przyklejony kołtun włosów.

– Wszystko okej? – zapytał.

– Nic nie jest okej, ale jeśli pytasz, czy jestem w jednym kawałku, to tak. Nie jestem ranna.

Borys widział wiele, ale widok wytaczającej się z rollsa Luty lekko nim wstrząsnął. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z wanny po brzegi wypełnionej krwią. Od stóp do głów, na niemal każdym centymetrze jej ciała ciągnęły się czerwone smugi. Lepkie włosy były częściowo potargane, a na brzuchu, twarzy i ramionach wciąż można było dostrzec ślady po palcach ofiary. Pomyślał, że musiała się z nim trochę poużerać i że właśnie tak zawsze wyobrażał sobie Nemezis – boginię zemsty.

Zajrzał do limuzyny. Odchrząknął. Jasnokremowa skóra też zmieniła kolor. Wnętrze wyglądało jak kadr z taniego horroru, w którym jakiś psychopata właśnie pokroił piłą mechaniczną swoją ofiarę na plasterki. Zwłoki Emre leżały dziwnie wykręcone, całe we krwi, a w okolicy szyi zionęło co najmniej kilkanaście ran kłutych i ciętych. Jego szeroko otwarte oczy zdawały się patrzeć wprost na niego. Odwrócił wzrok, choć nie to sprawiło, że poczuł się nieswojo. Turek miał wciśnięte w usta swoje własne przyrodzenie, a na klatce piersiowej widniał wyryty napis. Po turecku.

– Wiadomość? – zapytał, krocząc za nią w kierunku pierwszego z SUV-ów.

– Dla Hakana. Daj mi gnata i zabierz te kozaki.

Wcisnęła mu w dłoń skrwawione kozaki i drugą wyciągnęła po broń. Borys nie dyskutował.

– Co to znaczy? – zapytał, dokonując wymiany.

– Powiedziałam, że to dla Hakana.

Jej głos był inny, zachrypły i zimny niczym wieczna zmarzlina. Sam poczuł, jak po plecach spłynął mu lodowaty dreszcz.

Luta ruszyła w stronę drugiego SUV-a. Szła boso, zostawiając na jezdni krwawe ślady. Mężczyzna w roboczym drelichu zszedł jej z drogi i zrobił dwa kroki w tył. Wtedy zajrzała do wnętrza i każdemu z nieruszających się już Turków dołożyła po kulce. Chwilę później odwróciła się w stronę Mustafy Ozalana.

– Posprzątaj tu – rzuciła tonem, który mógłby zmrozić samo piekło. – Wiesz, co masz robić. Jeśli się wykazesz i wszystko pójdzie według planu, to obiecuję, że cię nie zabiję. Przypomnij też ojcu, że jeśli Tuncayowi spadnie włos z głowy,



film z Yusufem trafi na wszystkie możliwe serwery – dodała, wręczając mu niewielki pendrive. – Wiesz, co z tym zrobić. Ja czekam tam, gdzie się umówiliśmy. Zrozumiałeś?

Najmłodszy z klanu Ozalanów tylko skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale bał się otworzyć usta. Widok tej kobiety zmroził mu struny głosowe.

– Zrozumiałeś? – ponowiła pytanie, jednocześnie zbliżając się do niego na tyle, że mógł poczuć zapach wciąż niezakrzepłej krwi starszego brata.

– Tak – odparł cicho.

– Więc ogarnij ten burdel, zanim ktoś się napatoczy.

Odwinęła się na pięcie i odeszła. Borys, który w międzyczasie pojawił się obok, splunął Turkowi pod nogi.

– Nie nawal, bo będziesz następny – rzucił na odchodne i ruszył za Lutą.

Chwilę później siedzieli już w samochodzie. Borys wcześniej wrzucił kozaki do bagażnika i dał jej ręcznik, aby choć trochę wytarła się z krwi. Przez następne sto kilometrów nie przekraczał dozwolonej prędkości i prawie nie rozmawiali. Dopiero tuż za niewielką wsią o nazwie Walsleben Luta poprosiła, żeby zatrzymał się na jakimś parkingu. Borys nie oponował. Skręcił w pierwszy zjazd, minął stację benzynową i stanął jak najdalej od czterech zaparkowanych ciężarówek. Wtedy Luta otworzyła drzwi. Wytoczyła się z pojazdu, pobiegła do linii drzew, w końcu padła na kolana i zaczęła rzygać. Wymiotowała dobrych kilka minut, do momentu, gdy pozostała już tylko sama żółć. Borys podszedł do niej, dopiero gdy usłyszał jej cichy szloch. Przyklęknął i podał jej świeży ręcznik.

– Zrobiłaś to – wyszeptał.

Nic nie odpowiedziała, tylko wtuliła się w jego silne ramiona. Objął ją i mocno przycisnął do piersi, pozwalając, aby wyrzuciła z siebie nawarstwione emocje. Trwało to dłużej, niż mógł przypuszczać. Luta pękła, rozsypała się. Pomimo tego, że zdążyła przebrać się w świeży ciepły dres, trzęsła się jak galareta, mamrocząc pod nosem bez sensu. Potem jeszcze długo płakała, w końcu skuliła się w jego objęciach niczym dziecko w brzuchu matki i zgasła, jakby w jednej chwili ktoś odłączył jej prąd. Borys też w końcu uronił łzę. Byli w tym razem. Tak jak kiedyś. Dziś sprawy miały się jednak trochę inaczej...

– Musimy jechać – powiedział jej do ucha, ale nie zareagowała. Spała twardym snem, śniąc swoje własne koszmary. Borys odetchnął ciężko i unosząc ją na rękach, powoli wstał z kolan. Rozejrzał się po skąpanym w mroku parkingu. Byli sami, a wokół tylko las. Chwilę później ruszył do samochodu, otworzył drzwi, położył ją na tylnym siedzeniu i przykrył kocem.

Gdy Borys w milczeniu połykał kolejne kilometry dzielące go od duńskiego Hirsthals, przebrany za drogowca Mustafa Ozalan kończył rozstawiać dodatkowe zabezpieczenia na prostej niczym strzała drodze przecinającej rozległe pola pod dzielnicą Neukölln. Okolica była kompletnie nieuczęszczana, zwłaszcza ciemną nocą, ale choć ufał słynnemu niemieckiemu ordnungowi, wolał nie ryzykować. Upewnił się więc, że ustawione w odległości kilkuset metrów od miejsca zdarzenia ochronki z żółtymi migającymi światłami powstrzymają potencjalnych podróżnych, po czym wsiadł w samochód i pojechał do swojego apartamentu.

Krótko później otrzymał wiadomość z numeru nieżyjącego już brata. Odczytał ją i wezwał swojego zaufanego człowieka, następnie zwołał kilku innych i w trzy samochody pojechali z powrotem na pola. Kolejny numer wykręcił do ojca. Roztrzęsionym głosem oznajmił:

– Emre nie żyje, ojczec.

– Co takiego? – Głos głowy rodu zadrżał. – Jak to Emre nie żyje?

– Ona wypowiedziała nam wojnę, ojczec.

– Jaka „ona”? Co ty pleciesz, synu?

– Przyjedź tu, ojczec. Weź ludzi. Nikt spoza rodziny nie może tego zobaczyć.

Przerywając połączenie, czuł dziką satysfakcję i mocno wierzył, że ta wiadomość pošle ojca do grobu. Hakan przyjechał na miejsce i pomimo nieszczerych ostrzeżeń Mustafy postanowił jednak zajrzeć do limuzyny. Gdy jego stare oczy omiotły zwłoki syna, jego serce rzeczywiście zamarło. Ale tylko na chwilę. Gdy odczytał wyrytą na skórze wiadomość, a krótko później obejrzał przygotowany specjalnie dla niego film, znów zaczęło bić szybciej i od tej pory miało bić już tylko w jednym celu. Hakan Ozalan żył już tylko dlatego, aby dokonać okrutnej zemsty.

## Rozdział 27

— **D**laczego to zrobiłeś? – wrzasnęła, nerwowo poprawiając hełm.

Borys nie odpowiedział. Patrzył na nią przekrwionymi oczami, zbryzgany krwią, z głową jeńca, którą trzymał w dłoni za skołtunioną brodę.

– Borys, odpowiedz! Chryste... – Odwróciła się przez ramię. – Oni zaraz tu przyjdą, a ty mu... kurwa... ty mu odrąbałeś głowę.

– To śmieć, nie człowiek – odparł oschle i odrzucił czerep w stronę kurhanu z ludzkich zwłok. – Ten też musi umrzeć – dodał i przyklęknął obok drugiego jeńca. Wytarł nóż w nogawkę spodni. – On też musi zdechnąć. Musi. To śmieć. Morderca dzieci. Śmieć, nie człowiek.

Mężczyzna wił się na betonowej podłodze, jęcząc i skamłąc, ale Borys nic sobie z tego nie robił. Przygniótł go kolanem, lewą dłonią chwycił bujną brodę i odchylił głowę. Gdy już chciał zagłębić nóż w tkance przy jabłku Adama, poczuł, jak na jego przedramieniu zaciskają się czyjeś palce.

– Odjebało ci? – warknęła Luta, zakleszczając palce jeszcze mocniej. – Co ty robisz? Mordujesz bezbronnego człowieka. Czeka cię sąd wojenny. Zresztą... no, kurwa, Borys!

– To śmieć. Musi umrzeć – powtórzył.

Luta zastygła. Nie mogła dopuścić, aby zamordował kolejnego bezbronnego człowieka, nawet jeśli ten był najgorszym zwyrodnialcem, jakiego zrodził świat. Byli żołnierzami, nie bandytami, i nawet jeśli wielokrotnie w jej głowie pojawiały się myśli, aby ich wszystkich kastrować czy dekapitować, to przecież musieli trzymać się jakichś zasad. I pal licha konwencje genewskie. Tu chodziło o ich własne dusze, o to, aby sami nie zatracili się w tym oceanie okrucieństwa. Fantazje to jedno i pewnie każdy je miał, były katalizatorem doświadczanych emocji, formą odreagowania. Ale to? Mordowanie spętanego jeńca? Odrąbywanie mu głowy nożem? To nie miało nic wspólnego z człowieczeństwem.

– Jeśli to zrobisz, to staniesz się taki sam jak oni – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Już to zrobiłem – odparł, przenosząc wzrok na bezgłowy korpus.

– Popełniłeś błąd. Jakoś go naprawimy, ale... na litość boską.

– Na litość boską?! – wysyczał i zerwał się na nogi. Dосkoczył do hałdy zmasakrowanych zwłok. – Gdzie tu widzisz Boga? Może tu? – zapytał, wskazując ostrzem na skąpane w chmurze much gnijące trupy. – A może tam? – Wycelował

je w skulone z przerażenia dzieci. – Powiedz mi, gdzie ten twój Bóg? Gdzie ta jego zasrana boska litość?

– Borys... – jęknęła.

Nie miała na to odpowiedzi. Kątem oka dostrzegła, jak but oblewa jej pompowana ostatnimi skurczami serca krew z korpusu zamordowanego jeńca. Przestała stopę, ale pociągnęła za sobą krwawą smugę.

– Tu nie ma żadnego Boga, Luta – wycedził przez zęby Borys. – Ani naszego, ani ichniego. Wiesz dlaczego? Bo Bóg nie istnieje.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale” – przerwał jej. – Ten śmieć musi zdechnąć. Za każde dziecko, które osierocił. Za każdą zadaną torturę, za każdy gwałt i każdą spowodowaną śmierć. Gdyby świat był choć trochę sprawiedliwy, to facet pewnie spłonąłby za to wszystko w piekle. Ale wiesz co? Piekła nie ma. Tak samo jak nie ma nieba i tego zasranego Boga. A skoro Bóg nie jest go w stanie ukarać, to zrobię to ja.

– Jak się z tego wytłumaczysz? – Postanowiła złapać się ostatniej deski ratunku.

– Jakoś się z tego wymigamy. W końcu jesteśmy na wojnie.

– Wymigamy? – Poczowała nagły przypływ złości. Co ona miała z tym wspólnego?

– Ty też w tym siedzisz – rzucił. – Dlatego musimy dobić tego drugiego.

– Ty oszalałeś...

– Jest świadkiem. Albo on, albo my.

Ostatnie słowa Borysa wbiły się w jej umysł niczym zatrute kurarą strzały. Czas się zatrzymał, a ona zastygła. W głowie eksplodowała burza myśli. Co ona tu właściwie robi? Dlaczego tu jest? Czy naprawdę tarabaniła się te tysiące kilometrów tylko po to, aby wylądować w tej obskurnej piwnicy pełnej gnijących trupów? Aby na własne życzenie taplać się w bagnie ludzkiego szaleństwa? Nagle wszystko zaczęło falować, a odgłosy ucichły, wszystko zwolniło. Pot zalał jej oczy, w ustach czuła suchość, jakby nie piła od tygodnia. Ściany piwnicy kurczyły się, następnie wybrzuszały i wyginały w różne strony, jak gdyby Luta przekraczała granicę światów. Dokładnie tak się poczuła. Jakby nagle znalazła się w innym świecie. Równoległym do tego, w którym żyła, ale dużo gorszym, będącym jedynie jego mrocznym odbiciem. Szpetnym, podłym, odrażającym światem, który wypełniało tylko zło, w którym zamiast ludzi żyły potwory, zamiast tlenu w powietrzu wisiał jedynie trupi odór, a wszystko sprowadzało się nie do życia, a do śmierci. I to na własne życzenie...

To nie mój świat, pomyślała. A jeśli nie jest mój, to nie panują w nim moje zasady. Pomyślała też, że Borys pomylił się co do jednego. Być może Bóg nie istniał, ale piekło tak. I właśnie byli w samym jego środku.

– Zatrzymaj ich chwilę – usłyszała głos Borysa, który nagle zmaterializował się tuż przy niej. Ściany przestały falować, dźwięk znów brzmiał normalnie. Trupi odór ponownie wdarł się do jej nozdrzy, a koszmarnie bzyczenie tysięcy much stało się nie do wytrzymania. – Zajmę się tym sukinsynem, a potem dorzu-

cimy oba ciała do hałdy. Nie połąpią się – dodał i przyklęknął obok drugiego z jeńców.

Wtedy w jej słuchawce coś trzasnęło, a następnie usłyszała głos kolegi.

– Mewa? Słyszysz mnie? Mewa? Odbiór.

Skoro radio złapało fale, musieli być już blisko. Ile im zostało. Trzydzieści sekund, minuta? Wydało jej się, że z korytarza poniosły się głosy żołnierskich butów, jakiś trzask, szurzy pisk.

– Zaraz tu będą – szepnęła, bardziej do siebie niż do adresata.

Wtedy Luta zdała sobie sprawę, że w ręce trzyma swój ząbkowany nóż. Obróciła go w palcach, a przez lśniąca głownię przemknął złowieszczy refleks. Chwilę później ostrze gładko zatopiło się w miękkiej tkance, a ona poczuła na policzku rozbryzg ciepłej krwi.

– Luta! – usłyszała głos z oddali. Dochodził z daleka, jakby ponownie znalazła się na granicy światów. Ciepła krew grzała jej policzki. – Luta! Luuutka!

Otworzyła powieki, ale zaraz znów je zmrużyła. Przez okno, za którym przemykały strzeliste wiatraki, wdzierały się ciepłe promienie wstającego słońca. Przekręciła się, próbując się zorientować, gdzie jest i co się z nią dzieje. Gdy w końcu zrzuciła z siebie senną pajęczynę, usiadła i zerwała koc z kolan.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, przecierając oczy. W gardle czuła obrzydliwy posmak własnych wymiocin.

– Właśnie minęliśmy Aalborg. Trochę pospałaś, ale to dobrze – oznajmił Borys.

– Już w Danii?

– Ano.

– Kurwa mać! – Zerwała się jak rażona piorunem. – Szatan dzwonił?

Kompan odwrócił się przez ramię i wyszczerzył zęby w tym swoim dziąsłowym uśmiechu. Wyglądał jak zdjęty z krzyża, ale najwyraźniej humor mu dopisywał.

– Borysek odebrał i wyjaśnił staremu, że wszystko jest pod kontrolą.

Karabina odetchnęła z ulgą. Miała informować Szatana co sześć godzin, a tymczasem po prostu ją odcięło. Wciąż jeszcze do końca nie wyrwała się ze snu i myślała chaotycznie, ale nie miała wątpliwości, że nawaliła, wszak gdyby film z Mustafą trafił teraz do sieci, to cały plan szlag by trafił.

Sięgnęła po butelkę pepsi i przepłukała zęby.

– Do promu zostało jakieś sześćdziesiąt kilometrów, więc dobrze by było zatrzymać się gdzieś na stacji i trochę się ogarnąć – oznajmił. – Ja jestem głodny jak wilk. A ty?

– Naprawdę jesteśmy już prawie u celu? – Luta zmieniła temat. – Dlaczego mnie nie obudziłeś? Mieliśmy się zmieniać...

– Spałaś tak słodko, że nie miałem serca. Poza tym potrzebowałaś snu. Ja kimnę się na promie, a potem w drodze na Stord. Po tym, co mówiłaś o tej Norwegii, to chyba nie będę miał cierpliwości, aby prowadzić tymi krętymi drogami. Zresztą to twój teren i znasz go najlepiej.

Poprawiła rozczochrane włosy i raz jeszcze spięła je gumką, po czym przeskoczyła na przedni fotel pasażera. Upiła kolejny łyk i raz jeszcze przepłukała gardło, w nadziei że choć na chwilę zdoła oszukać umysł, który bezustannie podsuwał jej obrazy z ubiegłej nocy. Gdy poczuła, że znów zaczyna ją kręcić w brzuchu, opuściła okno, aby wpuścić trochę tlenu. Zimne powietrze owiało jej twarz, a ona na chwilę zamknęła oczy, wsłuchując się w szum wiatru i odgłosy budzącego się do życia świata. Gdy je otworzyła, przez dłuższą chwilę patrzyła na przemykające na poboczu, pokryte cienką warstwą śniegu pola naszpikowane lasem pnących się ku niebu wiatraków. Ich ramiona kręciły się tak wściekle, jakby chciały poszatkować wszystko, co przypadkiem znajdzie się w ich zasięgu. Poczuła się lepiej, zamknęła okno i wbiła wzrok w przednią szybę. Gdy naczepa jednej z jadących z naprzeciwka ciężarówek lekko się przekrzywiła, a silny podmuch z zachodu sprawił, że bujnęło nawet ich wranglerem, zdała sobie sprawę, że musi mocno wiać.

– Na wszelki wypadek sprawdziłem też prom. Dziś jeszcze pływają – oznajmił, jakby czytał jej w myślach. – W radiu mówią, że front zbliża się powoli, ale podobno jest potężny i gdy w końcu uderzy, to fale mogą sięgać nawet kilkunastu metrów.

– Brzmi pysznie... – mruknęła.

– Przypominam, że to był twój pomysł. – Borys posłał jej szelmowskie spojrzenie. – Ale szybko się pod nim podpisałeś...

– Bo mi się podoba. Ściągnąć wszystkich złoli na zaparkowaną w fiordzie platformę wiertniczą podczas sztormu dziesięciolecia? Hmm... – Teatralnie podrapał się po brodzie. – Zima, deszcz, mróz, fale jak czteropiętrowe bloki, a my na ewakuowanym spławiku. No przecież jak mógłbym przepuścić taką okazję?

– Przestań kpić.

– Nie kpię. No... może trochę. – Borys zarechotał, ale gdy zobaczył reakcję Luty, uśmiech na jego twarzy zgasł równie szybko, jak się pojawił. – Ale tak szczerze, to pomysł jest genialny. Pytanie, jak wyjdzie w praniu. W każdym razie ja nic lepszego bym nie wymyślił.

Plan był śmiały, ale teoretycznie możliwy do wykonania. Wpadła na to po odczytaniu wiadomości od „Czachy”, który wciąż pracował na Hansenie, jednej z nowo budowanych platform wiertniczych w stoczni na wyspie Stord. Sama spędziła na niej prawie dwa lata, budując rusztowania. Znała rozkład pomieszczeń gospodarczych, maszynowni, kajut, tak naprawdę każdy zakamarek i wszystkie możliwe kryjówki, wszak gdy nie było roboty, często z chłopakami musiała się ukrywać przed wścibskimi oczami nielubiących obijania się foremanów. Co prawda od ponad półtora roku na niej nie była, ale nie miała wątpliwości, że błyskawicznie by się tam odnalazła, zwłaszcza że już dwukrotnie doświadczyła podobnej sytuacji, gdy po etapie budowy w stoczni nowo powstały obiekt wypływał na testy na przybrzeżne wody. Takie przenosiny trwały często miesiącami. Sprowadzenie statków holowniczych, barek przewożących co większe moduły montowane już na wodzie czy gigantycznych dźwigów jak słynny Saipem wymagało wielu tygodni. W tym czasie na platformę wchodziłi też najróżniejsi specja-

liści, sprawdzali funkcjonalność, szukali wad albo uszkodzeń, które mogły zaważyć na bezpieczeństwie. Nigdy nie było idealnie i zawsze natrafiali na niedoróbki, które należało naprawić. Wtedy, już na platformę stojącą na wodzie, z powrotem przyjeżdżali pracownicy i ponownie spędzali na niej kilka miesięcy, dłubiąc przy poprawkach. Teraz właśnie trwał ten etap. Hansen stał na wodzie, a koledzy z firmy, w której kiedyś była zatrudniona, pracowali nad końcowym dopieszczeniem nowej dumy Shella.

– Śmierć Emre wyprowadzi Hakana z równowagi – tłumaczyła Luta na stacji benzynowej, gdy pomysł ostatecznie nabrał realnych kształtów. – Jeśli nie przekreśli się od razu, wyśle za mną całą swoją armię.

– Chcesz się całkiem odkryć?

– Inaczej go nie sprowokuję...

– Hmm...

– Poza tym gdzie niby mielibyśmy z nimi walczyć? W lesie? W mieście? Służby by na to nie pozwoliły, a wtedy Hakan urządziłby sobie na mnie polowanie. Do końca życia musiałabym oglądać się za siebie. Zresztą nie tylko ja, ale i wszyscy moi bliscy.

– Na takiej platformie nie ma jakichś zabezpieczeń? Pilnujących ją całodobowo pracowników? – dopytywał Borys.

– Normalnie są, bo pracuje się na dwie zmiany po dwanaście godzin. Ale właśnie zbliża się potężny sztorm i według Tomka...

– Jakiego Tomka?

– Czachowskiego. To taki kumpel z przeszłością. Kiedyś był zbirzem, ale swoje odsiedział i znormalniał. Bandycki honor jednak trudno wykorzenić, a tacy ludzie nie rzucają słów na wiatr. Obiecał, że pomoże, a na ile go znam, zrobi to.

– Wracając do tych platform... – Borys był coraz bardziej zaciekawiony. – Rozumiem, że idzie sztorm, ale nie słyszałem, żeby z powodów pogodowych ewakuowali platformy wiertnicze. Nie wiem, może się mylę, ale...

– Nie mylisz się – wcięła mu się w słowo. – Te, które są już podłączone do złóż, pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę i nawet jeśli pojawiają się jakieś ekstremalne warunki pogodowe, a załoga zostaje ewakuowana, to i tak ktoś zawsze musi pilnować obiektu. Zdarzało się, że podczas silnych sztormów z powodów bezpieczeństwa przerywano przesył ropy i gazu, ale i tak zawsze jakaś niezbędna grupa specjalistów tam zostaje, bo platformy znajdujące się już na pełnym morzu są dużo bardziej stabilne. Zwykle mocno przytwierdzone do dna i zabezpieczone na wypadek naprawdę silnych sztormów. Ale Hansen to zupełnie inna sprawa, bo po pierwsze, jest dopiero testowany, więc może poza kotwicami nie jest w żaden sposób przymocowany do dna, po drugie, jego konstrukcja jest dość nowatorska, bo charakteryzuje się długą na prawie trzysta metrów nogą, która działa na zasadzie stabilizatora. To taki hmm... trochę większy spławik. I w końcu po trzecie, znajduje się stosunkowo blisko linii brzegowej, a tam z racji ukształtowania dość szybko pnącego się w górę szelfu fale będą największe.

Borys podrapał się po głowie. Na temat platform wiertniczych wiedział tyle, ile naoglądał się w *Armageddonie* z Bruce'em Willisem w roli głównej. Luta jednak spędziła na nich ładnych kilka lat, a Hansena znała równie dobrze, jak własne cztery ściany. Nie ulegało natomiast najmniejszej wątpliwości, jak istotna na wojnie jest znajomość terenu. Od razu przypomniał mu się cytat wielkiego chińskiego stratega Sun Tzu, autora słynnej *Sztuki wojny*: „Dobry wojownik staje tam, gdzie nie będzie można go pokonać”.

Ten plan naprawdę zaczął mu się podobać.

– Chcesz powiedzieć, że na tej krypie nie będzie nikogo? – drążył dalej.

– Norwegowie mają świra na punkcie bezpieczeństwa, a że i tak nie jest przytwierdzona do dna, a tym bardziej podłączona do przesyłu, nikt nie będzie musiał tam zostawać. „Czaszka” twierdzi, że ta wiadomość została podana oficjalnie. Pełna ewakuacja. Hansen na te kilkadziesiąt godzin zostanie opuszczony.

– I jeśli dobrze rozumiem... – Borys wydmuchał z płuc nadmiar powietrza. – Ty chcesz tam popłynąć w czasie sztormu, przygotować się i poczekać na ludzi Ozalanów, czy tak?

– Jeszcze zanim sztorm uderzy z pełną mocą. Tomek obiecał załatwić jakąś łajbę. A co do Ozalanów, to tak. Tam na nich poczekamy, a następnie wybijemy sukinsynów do nogi.

– Skąd pewność, że przyjmą zaproszenie na ten bal?

– Zostawię Hakanowi wiadomość. Przekonam go...

Decyzja została podjęta już kilka godzin później. „Czacha” rzeczywiście się spisał i przesłał fotkę niewielkiej motorówki, która miała na nich czekać w jednej z mało uczęszczanych kei. Według prognoz fiord i przybrzeżne wody nadawały się do pływania jeszcze co najmniej do północy, więc spokojnie mogli dotrzeć do oddalonego o zaledwie kilka kilometrów od wejścia do fiordu Hansena, a że widoczność była już bardzo ograniczona, mogli to zrobić niezauważenie. Mając nad ludźmi Hakana dobre kilka godzin przewagi, mogli przygotować się na ich przyjęcie, co, biorąc pod uwagę znajomość obiektu oraz kompletny brak doświadczenia klanowych żołnierzy w działaniu na pływającym obiekcie, dawało im sporą przewagę. Luta z marszu wymieniła kilka stosunkowo prostych możliwości utrudnienia im życia już na starcie, co tylko utwierdziło Borysa, że jeśli rzeczywiście uda się ich zwabić na miejsce, to ten śmiały plan naprawdę może wypalić.

A skoro zdołała wywabić Emre Ozalana z jego własnego lokalu, zaciągnąć go do jego własnej limuzyny, a potem własnoręcznie odciąć mu kutasa razem z jajcami i wepchnąć mu do gęby, to czy dla tej kobiety istniały jakieś granice? Czy istniało dla niej niemożliwe?

Borys nerwowo przełknął ślinę. Zerknął na przyjaciółkę, która wciąż wpatrywała się w zimowy krajobraz za oknem. W bluzie dresowej z kapturem wyglądała bardzo niepozornie, jak zwykła trzydziestoparolatka, która urwała się na przejażdżkę nad morze. Wtedy przypomniał sobie drugi cytat wielkiego chińskiego stratega: „Wystarczy bowiem jeden człowiek, któremu na życiu nie zależy, by zatrwożyć tysiąc mężów”.



Ta myśl towarzyszyła mu do momentu, gdy zjechali z autostrady na wysokości miejscowości Brønderslev. Kilkaset metrów na wschód znajdowała się niewielka stacja benzynowa i stary dobry McDonald. Gdy Luta opuściła pojazd, niemal od razu do niego wróciła po gruby sweter, bo mroźny wiatr z zachodu wydawał się wyjątkowo przeszywający. Przez te siedem lat spędzonych na platformach wiertniczych była do takich warunków przyzwyczajona, ale najzwyczajniej w świecie nie chciała się przeziębici. Poza tym czuła się psychicznie wykończona. Sen pomógł, ale nie miał funkcji kasowania pamięci.

Zjedli po zestawie śniadaniowym i dokupili na wynos kilka tostów z jajkiem i bekonem, następnie udali się prosto na przeprawę promową. Wyjazd z Danii nie stanowił problemu. Owszem, zawsze mogli mieć pecha i zostać wzięci na wyrwykową kontrolę, ale przez lata pracy w Norwegii nie zdarzyło się jej to ani razu, zwłaszcza zaś mieszkującym tam na stałe kolegom z pracy, którzy aby móc zabrać jak najwięcej kłopotów z Polski, korzystali z tej formy podróżowania znacznie częściej. Cztery godziny na promie też minęły spokojnie. Trochę bujało, ale pamiętała, że pływała już w gorszych warunkach. Borys rzeczywiście przespał prawie cały ten czas. Chrapał, jakby miał chore zatoki, i przed zaśnięciem wypił jeszcze litr wódki, więc w pewnym momencie nawet się przesiadła na jedno z wolnych miejsc i najpierw przez WhatsApp zadzwoniła do Szatana, a potem też godzinę się zdrzemnęła. Znow śniła kosmary, choć tym razem były strasznie chaotyczne. Ich wspólnym mianownikiem były jej dzieci, a złana potem obudziła się w momencie, gdy jako ostatni obraz pokazało się pożegnanie na przycmentarnym parkingu. Werka miała na nim nieproporcjonalnie długie rączki, które wyciągała przez szparę w uchylonej szybie i drapała pazurami po karoserii. Po przebudzeniu pozwoliła sobie na chwilę słabości i wklejona w okienko z widokiem na wzburzone morze trochę sobie popłakała. W końcu złość i gniew przyćmił żal, a gdy ujrzała wyłaniające się z wody skały, wytarła łzy, wróciła na swoje miejsce i obudziła Borysa.

- Dopływamy – powiedziała, gdy przecierał zaspane oczy.
- Już?
- Widać ład, więc powoli możemy zbierać się do samochodu.
- Jeszcze się tylko odleję.

Rzeczywiście kilka chwil później z głośników wybrzmiał komunikat, a motor promu zmniejszył obroty. Tym razem to Luta usiadła za kółkiem, zwłaszcza że jako kierowca w pierwszej kolejności była narażona na ewentualne pytania ze strony straży granicznej. Miała lekkie obawy, bo w bagażniku było sporo broni, pewnie wystarczająco, aby oskarżyć ich o kolejny atak terrorystyczny, jak ten na wyspie Utøya, gdzie w 2011 roku prawicowy oszołom Anders Breivik przez ponad godzinę strzelał do ludzi jak do kaczek i zabił siedemdziesięciu siedmiu z nich, plus ośmiu w wybuchu w Oslo, choć dokładnych liczb nie była pewna. Pocieszała się jednak, że samochód jest sprawny i idealnie nadający się na norweskie drogi, a w systemie widnieje jako posiadaczka *fødselsnummer*, czyli stałego odpowiednika polskiego PESEL-u oraz wszystkich kursów potrzebnych do pracy

w branży naftowej, to zaś zwykle załatwiało sprawę i nikt o więcej nie dopytywał.

Okazało się, że wjazd na teren Norwegii poszedł gładko i w porcie w Kristiansandzie nikt się nimi nawet nie zainteresował, być może z powodu fatalnej pogody, bo wiatr hulał taki, że momentami prawie urywało głowę i pracownicy tylko machali rękami, aby szło sprawnie i nie robiły się zatory. Trasę do Leirvik na wyspie Stord znała na pamięć, ale na wszelki wypadek wbiła adres stoczni w nawigację, choćby po to, aby nie dać się złapać na licznych radarach prędkości. Droga minęła spokojnie i trwała nieco ponad sześć godzin, w tym musieli skorzystać z jednej krótkiej przeprawy promowej. U celu podróży wykręciła do „Czaszeczki”, jak sam zwykł o sobie mówić Tomasz Czachowski. Odebrał od razu.

– Jesteś na miejscu? – zapytał, wyraźnie przygotowany, aby podejść do tematu zadaniowo.

– Za dziesięć minut w umówionym miejscu – odparła.

Umówione miejsce znajdowało się na niewielkim, nieuczęszczanym skwerze przy samym fiordzie. To tam w wolne dni od pracy chodziła kiedyś z chłopakami łowić ryby. „Czaszeczka” stał przy samym pomoście ubrany w grubą kurtkę z kapturem, pod którym nosił obowiązkową czapkę z daszkiem. Przywitali się, poklepując się po ramionach jak starzy dobrzy kumple, którzy nie widzieli się od lat. Tomasz zachował jednak powagę, bo choć na co dzień gęba mu się nie zamykała i lubił dowcipkować, potrafił wyczuć, kiedy zachować trzeźwy ogląd sytuacji. Gdy zobaczył krzywą i pooraną bliznami twarz Borysa, który w rękach trzymał dwie napakowane po brzegi skórzane torby, tylko się w tym przekonaniu utwierdził.

– Tu masz kluczyki – powiedział i przekazał Lucie breloczek. Zerknął na bujającą się na falach zadaszoną biało-granatową motorówkę. – Łajba może nie jest pierwsza klasa, ale właściciel przysiągł, że się nie rozleci. Hansena stąd nie widać, ale nie jest daleko. Stoi za tamtą górą, nie więcej niż trzy, może cztery kilometry od brzegu – dodał, wskazując na kilka skalistych wzniesień na północnym zachodzie.

– Będę miała u ciebie dług – powiedziała Luta.

– Nie będę tego komentował – powiedział, jakby poczuł się urażony. Przeniósł wzrok na Borysa, który nie spuszczał z niego wzroku. – A z ciebie to pewnie kawał sukinsyna, co? – zagadnął, mrużąc oczy.

Morozow nie skomentował. Znał takich domorosłych kozaków lepiej niż ktokolwiek inny. Myśleli, że jeśli napadli na kilka tirów, komuś spuścili wpierdol na dyskotece i polatali w kominiarkach po mieście, to są panami świata. Owszem, facet był wielki jak tur i gębę miał równie niewyjściową, jak on sam, ale mógł co najwyżej startować na bramkarza albo łamignata ściągającego haracze dla jakiegoś podrzędnego gangusa. Zresztą Luta dokładnie tak mu go opisała, a Borys wypisz wymaluj tak sobie faceta wyobrażał.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, jak się nazywa – powiedziała w końcu Luta. – I tej rozmowy też nie było. Nas też tu nie było.

– Luta...

– Daj spokój, Tomek – przerwała mu. Wiedziała, że bandycki honor nie pozwala mu nie zaproponować dodatkowej pomocy i tak po prostu odejść. Ci ludzie byli bardzo przewidywalni. – Masz żonę i dziecko – kontynuowała. – I tak zrobiłeś więcej, niż mogłabym oczekiwać. Ale jeśli chciałbyś jeszcze pomóc, to jest rzecz, o którą chciałabym cię prosić.

– Wał śmiało – rzucił hardo.

– Chciałabym, abyś przez najbliższe godziny poobserwował okoliczne keje. I jeśli pojawią się jakieś Turasy, to po prostu daj znać.

– Turasy? – zdziwił się. – Z kim ty zadarłaś, Lutka?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Po prostu wyślij wiadomość, jak ich zobaczysz. Jeśli się uda, policz, ilu ich jest i co ze sobą przytargali. Jeśli to nie będzie możliwe, to odpuść. Poza tym się nie wychylaj, dobrze?

Czachowski zmarszczył nos i poprawił targany wiatrem kaptur. Mówiąc o Turkach, tak naprawdę nie musiała dodawać nic więcej. Szczecin od lat handlował z Ozalanami, bo byli jedyną grupą, która miała do tego prawo. Nikt inny nie mógł wchodzić im w paradę od blisko dwudziestu lat, zresztą w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych sam jako szczył najpierw woził dla nich papierosy, a potem sterydy i dragi, w końcu także kobiety przeznaczone do tamtejszych domów publicznych. Każdy mieszkaniec Szczecina, który choć liźnął przestępczego światka, zdawał sobie sprawę, kim oni są i do czego są zdolni. Odchrząknął i splunął, a silny podmuch porwał płwocinę na niespokojną powierzchnię przybrzeżnej wody.

– To już nie moja liga, ale zrobię, o co prosisz – mruknął. – Zasięg na platformie normalnie jest dobry, ale przy tej pogodzie to nie wiem.

– Po prostu wyślij wiadomość.

– Umiesz tym pływać? – zapytał, skinieniem głowy wskazując motorówkę.

– On umie – odparła Luta.

– No tak...

Silny podmuch wiatru przywiął puszkę po piwie. Przeturlała się obok nich i wpadła do wody. Tomasz obrócił się i spojrzał w stronę horyzontu. Na niebie kłębiły się coraz ciemniejsze chmury. Luta pomyślała, że pewnie jeszcze waży na szali wszystkie za i przeciw, ale najwyraźniej się pomyliła, bo w końcu objął ją tymi swoimi wielkimi grabami i zbliżył usta do jej ucha.

– Zawsze czułem, że z ciebie kawał suczy jest, ale nie wiedziałem, że aż takiej – wyszeptał. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Umiesz w komplementy. Raz jeszcze dziękuję.

Skinęła na Borysa i nic więcej nie dodając, ruszyli w stronę bujającej się na wodzie motorówki. „Czacha” odprowadził ich wzrokiem. Patrzył, jak Luta wskakuje na pokład, a następnie odbiera od kompana wypchane torby. Nie musiał zgadywać, co znajduje się w środku. Naiwny jednak nie był i wiedział, że jeśli ta szalona kobieta postanowiła wypowiedzieć wojnę klanowi Ozalanów, a do tego w jakiś sposób planowała ściągnąć ich na odciętą od świata platformę wiertniczą, to robiła to dlatego, że dobrze się do tego przygotowała. Przypomniał sobie, jak pierwszego dnia pojawiła się w pracy, a drugiego rozpląszczyła w szatni jak żabę

tego cwaniaczka Wujka. W oczach chłopaków od razu zyskała uznanie, ale nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że jest żołnierzem sił specjalnych i siedem lat spędziła w Jednostce Wojskowej Komandosów, w tym ponad cztery na misjach w Afganistanie czy Iraku. Tak naprawdę nigdy o tym nie rozmawiali, ale jej były mąż – choć tego pojąć nie mógł i jej związek z tym wypacykowanym pajacem Szymonem do tej pory pozostawał dla niego jedną z największych tajemnic wszechświata – od czasu do czasu lubił sprzedać kilka informacji na jej temat. Ona zwykle je bagatelizowała, choć przez lata jej legenda rosła, a dziś najwyraźniej miała mieć swój wielki finał.

Tomasz poobserwował ich krzątanicę na motorówce jeszcze przez chwilę, a gdy w końcu zawył silnik, naciągnął kaptur, odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę centrum miasta. Miał do wykonania jeszcze jedno zadanie i obiecał sobie, że Luty nie zawiedzie.

## Rozdział 28

Szatan gapił się na pełny kieliszek wódki jak sroka w gnat. Dwa razy przytknął go do ust, ale dwa razy odstawił. Zapach silnego alkoholu był niczym ambrozja. Walczył sam ze sobą, bo choć od dekad nie pił przez tak długi, wręcz rekordowy czas, to ostatnie wydarzenia sprawiły, że mur powoli zaczynał kruszeć. Bardzo chciał się napić. Potrzebował tego jak tlenu. Powstrzymywała go w zasadzie jedyna rzecz – odpowiedzialność względem Luty. Jej nie mógł zawieść, a urznięcie się w tym momencie mogłoby doprowadzić do zguby tak ją i jej cwaniakowatego koleżkę, jak i jego samego.

Po raz trzeci podniósł kieliszek z zapaćkanej ceraty, uniósł go na wysokość ust, po czym przepił do własnego bladego odbicia w szybie i wylał zawartość do doniczki, z której wystawał jedynie jakiś suchy badył. Wyprostował się, co było bolesne, ale przyjmowane leki powoli zaczynały stawiać go na nogi i przynajmniej mógł w miarę normalnie funkcjonować. Powąchał pachy i uznawszy, że nie jest źle, podszedł do lustra i poprawił krawat.

Zegarek wskazywał czternastą trzydzieści dwie, więc miał niecałe dwadzieścia osiem minut. Zabrał z komody kluczyki do samochodu i wyszedł z domu. Stara vectra odpaliła dopiero za trzecim razem, ale w drodze do szpitala sprawowała się bez zarzutu. Na parkingu też nie było zbyt tłoczno, więc zatrzymał się jak najbliższej wejścia i wygramolił się z pojazdu. Po załatwieniu formalności w rejestracji i kupieniu w sklepiku bukietu kwiatów przed drzwiami sali pilnowanej przez dwóch posterunkowych stanął równo minutę przed czasem. W ich oczach malowało się politowanie skrywane za marną maską obojętności. Nacisnął kławkę i wszedł do środka.

Aleksander Majski leżał na szpitalnym łóżku wciąż podłączony do szeregu rur i kabelków, a pomieszczenie wypełniały charakterystyczne odgłosy aparatury medycznej. Szatan dokuśtykał do syna, wtedy ten lekko obrócił głowę w jego stronę. Na szyi wciąż miał okazały opatrunek, a w jej dolnej części rurkę, która pozwalała mu oddychać. Jego tęczyki lekko drżały.

– Kw...iaty? – wyjęczał, przenosząc wzrok na ojca.

– Nic nie mów, synu – odparł Szatan i położył je obok wazonu, w którym stały wciąż w miarę świeże róże. – Jestem tu i cieszę się, że wracasz do zdrowia. Masz silny organizm i według doktora, który przeprowadził operację, wygrzebiesz się z tego szybciej, niż można by podejrzewać.

Nakrył swoją dłonią dłoń syna i lekko zacisnął na niej palce. Trochę oszukiwał, bo lekarz prowadzący nie był aż tak wylewny, ale fakt, że udało się wybudzić pacjenta ze śpiączki, a stan Aleksandra jest stabilny, uznał za dobry prognostyk. Przyznał też, że największe zagrożenie minęło.

– Jak się czujesz? – zapytał, wciąż lekko zestresowany.

Aleksander tylko krzywo się uśmiechnął.

– Wyjdiesz z tego – powtórzył. – Mów, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował. Może jakieś gazety albo książki. Wszystko załatwię.

– Dzięki – wychrypiał Majski.

– Boli, gdy mówisz?

– Trochę, ale... ale... to żaden ból.

– To dobrze. To dobrze...

Szatan zastanawiał się, jak poprowadzić tę rozmowę. Z jednej strony czuł się winny, z drugiej przecież nie miał żadnego wpływu na bezpieczeństwo w areszcie. Zrobił, co mógł, uczulił naczelnika, ale najwyraźniej był naiwny. Te półtora roku spokoju uspiło jego czujność. Luty zresztą też. A teraz miał nieodparte wrażenie, że w całym tym galimatiasie coś nie gra. Kim był ten cholerny Rączkowski i co mogło łączyć go z Ozalanami? Teoretycznie mógł być płatnym zabójcą, a oni mogli go po prostu wynająć, bo w stosunkowo jednorodnym polskim społeczeństwie jego rysy twarzy mniej rzucały się w oczy, ale ta jego dziwna historia, te kasowane w wyższych instancjach dokumenty, ta jego enigmatyczność nie dawały mu spokoju. On po prostu do tego nie pasował. I ten cały Chan. Człowiek zagadka. Ludzie Małaszyńskiego nie byli w stanie w żaden sposób powiązać go z Ozalanami, choć przecież wysłali jego fotografię kolegom z Niemiec, a facet wyraźnie wykrzyczał łamanym angielskim pozdrowienia od samego Hakana. Szatan nie miał pojęcia, jak obecnie wyglądają ich relacje z tamtejszymi organami ścigania, ale nie wierzył, że mając jego fotografię, żaden berliński gliniarz by faceta nie rozpoznał.

– Pamiętasz coś z momentu, gdy zostałeś zaatakowany? – zapytał, przełamując się w końcu.

– Wszy...stko – wycharczał Aleksander. Miał wyraźne problemy z artykułowaniem sylab z dwuznakami takimi jak „rz” czy „sz”.

– Wiesz, że on też leży w tym szpitalu? – Majski zmarszczył brwi. – Zaraz po tym, jak cię zaatakował, sam poderżnął sobie gardło. Ironią losu jest to, że sobie zaszkodził bardziej niż tobie. Wciąż leży w śpiączce.

Aleksander przeniósł wzrok na sufit. Zmrużył oczy, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, jakby intensywnie nad czymś myślał. Szatan zanotował, że pikanie aparatury medycznej lekko przyspieszyło.

– Wszystko w porządku? – upewnił się, a Majski nieznacznie przytaknął.

– To możż...e nie ironia losu – wychrypiał z trudem.

– Jak to?

– On... – Majski zrobił pauzę na kilka dodatkowych wdechów. – On... mnie chyba prze...praszał. Gdy... gdy... dż...gał.

Szatan nie był pewny, czy na pewno dobrze zrozumiał, więc zapytał raz jeszcze, a Aleksander potwierdził swoje słowa skinieniem głowy.

– Zanim prze...słał te pozdrowienia – dopowiedział. – Wcześ...niej mnie prze...praszał.

Brzmiało absurdalnie. Szatan poluzował krawat, bo ta informacja sprawiła, że poczuł ucisk pod grdyką. Niby dlaczego jakiś podrzędny żołnierz klanu Ozalanów miałby przeproszać faceta, którego planował zadźgać na specjalny rozkaz szefa? Życie go nauczyło, że takie zdarzenia zawsze mają drugie dno, a psi nos podpowiadał, że to może być niezwykle cenna informacja. Przez myśl przemknęła mu ta dziwna „emka”, którą Chan miał wytatuowaną na palcu. Sięgnął po leżący na stoliku przy łóżku notes i długopis, po czym trochę koślawo narysował zapamiętany symbol. Pokazał go Aleksandrowi.

– Kojarzysz to? Wiesz, co to jest?

Majski znów zmarszczył brwi, a na jego czole pojawiła się znajoma bruzda, ale po dłuższej chwili zastanowienia ostatecznie przymknął powieki i pokręcił głową. Widać było, że mówienie sprawia mu coraz większy problem.

– W porządku, synu. Nie będę cię dłużej męczył. Musisz odpoczywać. – Szatan nieco silniej zacisnął palce na jego dłoni i podtrzymując się rantu łóżka, podniósł się do pozycji pionowej. Stęknął, gdy poczuł ukłucie w krzyżu. – Jutro przywiozę ci jakieś gazety – dodał i posłałszy mu ostatnie spojrzenie, wyszedł z sali.

Na zewnątrz od razu wyciągnął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów. Zapalił, próbując poukładać myśli. Za co, do jasnej cholery, ten cały Chan przeproszał? O co tu, kurwa, chodziło?

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik, który jeszcze nie ostygł na tyle, aby próbować stawiać opór. Włączył ogrzewanie na maksa i uchylił szybę na kilka centymetrów. Nie mógł się skupić, bo schodząc ze schodków, źle stanął i znów coś mu strzeliło w krzyżu. Do tego rozboleła go głowa i zaczął pociągać nosem. Czuł się kiepsko, a gdy tylko zamykał oczy, przed oczami stawał mu ten cholerny kieliszek. Tak jakby wódka wyczuła, że jest w kiepskiej formie i postanowiła wyzwać go na ostateczny pojedynek. Albo on, albo ona.

Sięgnął po piterek, w którym trzymał tabletki. Od razu zażył majamil na ból w krzyżu i ketonal, który łykał od lat z przyzwyczajenia. Popił wodą z butelki i odchylił się w siedzeniu. Oddychał ciężko, a serce waliło mu w piersi, jakby nie próbował przez ostatnie kilka minut poskładać myśli, a skosił ręczną kosą hektar uprawy jęczmienia. Jego wzrok przykuł siedzący na ławeczce mężczyzna, który właśnie kończył opróżnić puszkę piwa. Jak on by się, kurwa, teraz napił. Był pewny, że po jednym piwie umysł wskoczyłby na wyższe obroty. Nie pamiętał już, kiedy nie prowadził prawdziwego śledztwa na trzeźwo. I przecież działało. Pił i łąpał przestępców, pił i rozgrywał przełożonych, pił i żył. Chuj, że na podwójnym gazie. Jakoś dawał radę.

Nie, nie, nie. Słumił myśli o wódce. Musiał się opanować. Kawalkiem szmaty, która leżała pod siedzeniem, wytarł pot z czoła, a potem poluzował, a w końcu ściągnął krawat. Wyjął telefon i odszukał numer Karabiny. Przez chwilę patrzył na wyświetlacz, zastanawiając się, co właściwie ma jej powie-

dzieć. Według jego obliczeń pewnie była już na miejscu i miała poważniejsze rzeczy na głowie. Zresztą, czy w tej sytuacji ta informacja coś by zmieniła? Że jakiś Chan, dźgając jego syna, go za to przepraszał? A może Aleksander bredził? Przecież to było możliwe. Człowiek na granicy życia i śmierci widzi i słyszy różne rzeczy, które wcale nie muszą być realne. Bez sensu, pomyślał. Luta miała co robić i musiała mieć czystą głowę. Pomyślał też, że jest już stary i głupi. I jeśli ta waleczna kobieta postanowiła stawić czoła całej armii klanu Ozalanów, to on może chociaż rozwikłać tę pierdoloną zagadkę, zanim zacznie zawracać jej dupę. Inaczej czas umierać.



## Rozdział 29

Fjord powoli otwierał się na pełne morze.

Na skalistych wybrzeżach próżno było szukać ciekawskich oczu. Wszyscy niestrudzenie szykowali się na nadejście niszczycielskiej burzy, która według wszelkich prognoz miała być jedną z najsilniejszych, być może nawet najsilniejszą od dekady. Pojedyncze drewniane domki o skrytych pod śniegiem czerwonych dachach, rozsiane tu i ówdzie, w większości miały już zasłonięte solidne okiennice albo pozasłaniane żaluzje, a prywatne keje i pomosty stały opustoszałe, nie licząc mew, które najwyraźniej też zaczynały pomału szukać schronienia. Na ośmiokilometrowym odcinku fiordu natknęli się tylko na jednego faceta, który – najwyraźniej spóźniony – chował swoją łajbę do przydomowego garażu na wodzie. Nawet na nich nie spojrzął, po prostu wpłynął do środka i zamknął bramę.

Widoczność była fatalna, bo choć powietrze samo w sobie wydawało się czyste, to zacinająca na w pół lodowa mżawka i rozbijające się o skały fale wypełniały je kropelkami wody tak obficie, że momentami wydawało się, że człowiek nie oddycha tlenem, a wciąga do płuc wodę. Temperatura też nie rozpieszczała i choć według prognoz było zaledwie kilka stopni poniżej zera, to porywisty wiatr sprawiał, że ta odczuwalna oscylowała wokół minus dwudziestu. W porywach wiało ponad sto kilometrów na godzinę i mimo że nie były to jeszcze warunki, które odstraszyłyby przeciętnego Norwega od wypłynięcia w morze, to świadomość, że przybrzeżne fale w spokojnym zazwyczaj fiordzie za kilka godzin osiągną nie półtora metra, ale co najmniej trzy, a może i więcej, sprawiła, że na co dzień uczęszczane wody pomiędzy poszarpaną częścią kontynentalną a wyspą Stord były teraz zupełnie opustoszałe.

Niebo nad pełnym morzem zdawało się posępnieć z każdą upływającą minutą, tak jakby jakiś zapomniany wikiński Bóg srożył się coraz mocniej, aby wkrótce spuścić ze smyczy zamieszkujące głębiny oceanu demony. Chmury kłębiły się niczym jakieś gargantuiczne robale, a daleko na horyzoncie można było zaobserwować pierwsze wyładowania atmosferyczne. Powoli zapadał zmrok, choć nieco szybciej i gwałtowniej niż zwykle.

Luta poprawiła ciepły komin, który jeszcze jakiś czas temu służył jej podczas pracy zimą. Za to zawsze chwaliła norweskie firmy. Nigdy nie oszczędzały na roboczych ciuchach i czasem zestaw, który na sobie nosiła w najbardziej nie-

sprzyjających warunkach pogodowych, potrafił kosztować nawet kilka tysięcy złotych.

– Pamiętajcie, że nie ma czegoś takiego jak zła pogoda. Pogoda jest jaka jest, tylko czasem to wy jesteście źle ubrani – tłumaczył pierwszego dnia świeżo przyjeżdżającym pracownikom norweski menedżer.

Wzięła sobie te uwagi do serca, bo choć zdarzało jej się pracować na obszarach daleko za kołem podbiegunowym przy nawet kilkudziesięciostopniowym mrozie, nigdy nie zmarzła do tego stopnia, aby mieć z tego powodu jakieś problemy zdrowotne. Dziś też była ubrana odpowiednio. Nie musiała nawet niczego kupować, bo wystarczyło z szafy wygrzebać to, co zdążyła otrzymać od firmy, a że miała kilka wciąż jeszcze nieotwartych zestawów najwyższej jakości bielizny termicznej, kalesonów, rękawic czy kominów, z okazji skorzystał też Borys i te najbardziej uniwersalne przytulił bez gadania.

Gdy wypłynęli z fiordu, fale stały się na tyle duże, że momentami przelewały się przez burtę. Wciąż nie osiągały wysokości większej niż rosły męczyzna, ale na siedmiometrowej łodzi motorowej, która swoje lata świetności bez wątpienia miała już za sobą, trzęsło, prawie jakby znalazła się w wirującym bębnie pralki. Zamontowane na platformie czerwone światła ostrzegawcze dostrzegli po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów, tuż po tym, jak okrążyli jedno z licznych skalistych wzniesień. Poza tym konstrukcja była spowita ciemnością, co oznaczało, że raczej mogą być spokojni i na miejscu nie czeka ich żadna niemiła niespodzianka.

– Przycumuj od wschodu – zawołała, chcąc przekrzyknąć wiatr. Nie była pewna, czy usłyszał, bo nawet nie zwrócił na nią uwagi, mimo to skierował się wprost na zawietrzną, gdzie znajdowała się niewielka, ubezpieczona oponami tymczasowa keja dla statków na co dzień dowożących robotników. Tu wiatr wyraźnie osłabł, a fale nie przekraczały metra, więc po kilku minutach manewrowania w końcu udało się przycumować. Luta wykorzystała moment, wyskoczyła na betonową wylewkę i czym prędzej chwyciła, a następnie obwiązała rzuconą linę wokół słusznych rozmiarów stalowego palika. Potem ponowiła manewr z dwoma następnymi i po kilku minutach wydawało się, że łajba jest w miarę bezpieczna. – Myślisz, że wytrzyma? – zapytała, gdy Borys zrzucił na brzeg torby ze sprzętem.

– Wątpię – odparł, zerkając w niebo.

– Zawsze szczerzy, co?

– Nie ma co wybiegać w przyszłość. Najpierw zróbmy swoje, a potem będziemy się martwić, jak wrócić na ląd.

Zabrzmiało dwuznacznie, trochę tak, jakby niekoniecznie spodziewał się, że w ogóle będzie dla nich jakaś przyszłość. Nie mogła się nie zgodzić, bo choć plan wciąż wydawał się całkiem sensowny, już teraz wiedzieli, że w Kristiansandzie wylądowało czterdziestu najlepiej wyszkolonych rzeźników Hakana.

– Ojciec zebrał wszystko, co ma na podporządku najlepszemu – przekazał jej Mustafa, który wykorzystał moment do kontaktu podczas pobytu w promowej toalecie. Luta z Borysem właśnie dojeżdżali do Leirvik. – To naprawdę twardzi i dobrze wyszkoleni ludzie. Też jestem wśród nich, choć dowodzenie przekazał

Batukanowi, a to były oficer tureckich służb specjalnych, wyrzucony z wojska w dwa tysiące osiemnastym za gwałty na syryjskich cywilach, gdy nasi buszowali na terenach przygranicznych. Przynajmniej kilku ma podobne doświadczenie, więc miejcie to na uwadze.

– Broń?

– Dwa bagażniki wszystkiego, co tylko można dostać na rynku. Nikt nas nie sprawdzał, ale znając ojca, to pewnie maczał w tym palce. Jest bardzo zdeterminowany, aby was dopaść.

– Nas?

– To znaczy ciebie. O twoim koledze wciąż nic nie wie. Mimo to jest ostrożny. Już cię nie lekceważy.

Czterdziestu wyszkolonych ludzi było siłą, której rzeczywiście nie można było lekceważyć. Nawet jeśli rozpisali sobie w głowach naprawdę przemyślany plan. W innych okolicznościach pewnie nie mieliby najmniejszych szans, ale tu, na opustoszałej i odciętej od cywilizacji platformie wiertniczej podczas sztormu dekady mogli Ozalanów zaskoczyć. To był jej teren, znała tu każdy zakamarek, każdą wnękę i kryjówkę, a widok wiszących pod dekiem rusztowań wlał w jej serce dodatkową nadzieję.

– Akurat jesteśmy przed rozbiórkami, więc wisi tam sporo żelastwa – tłumaczył dwa dni wcześniej „Czaszka”. – Wiesz, jak to wygląda. Te wieszaki są podobne do tych, z którymi użeraliśmy się na Borgu. Najebane wszystkiego wielopoziomowo, do tego całe wiszące klatki schodowe. No bez dwóch zdań jest tam gdzie pobiegać.

– Wszystko na łańcuchach?

– Dokładnie. No może nie wszystko, ale prawie.

Luta spojrzała w górę. Gąszcz aluminiowych korytarzy oplatał całą platformę, poczynawszy od najniższego deku aż po najwyższy punkt na wieży. Wyglądało to imponująco. Dziesiątki rozgałęzień przypominały ekstremalnie skomplikowany wielopoziomowy labirynt. Labirynt, który w kilkadziesiąt minut można było przebudować tak, żeby dodatkowo utrudnić wrogowi poruszanie się i zmusić go do obrania pożądanego kierunku. Wystarczyło skupić się na kilku kluczowych miejscach. Tam przepiąć vangę, tu skrócić pole, wyjąć podest albo blachę do łątania dziur, gdzie indziej dołożyć spirę i zamknąć korytarz albo skierować go w inną stronę. Lager był pełen zabezpieczonego materiału, więc nie musiała się ograniczać. Kilka zmyślnych posunięć mogło nie tylko zamienić bezpieczną konstrukcję w śmiertelną pułapkę, lecz także zagmatwać to kłębowisko korytarzy do tego stopnia, że człowiek bez doświadczenia mógł błyskawicznie się w nim zgubić, ale i nieświadom zagrożenia, wpaść w pierwszą lepszą dziurę i wylądować w spienionym morzu. Oczami wyobraźni już to widziała, szacowała, gdzie można będzie to zrobić najłatwiej i najszybciej. Ucieszyła się, że większość z korytarzy dodatkowo była z wierzchu okryta specjalną siatką, a tymczasowe pomieszczenia, te tuż przy deku albo pod nim, przeznaczone dla spawaczy czy elektryków, dodatkowo szczelnie osłonięte białą plandeką. W kilku miejscach, gdzie pracownicy nie przyłożyli się do porządnego zabezpieczenia, jej fragmenty powiewały jak

poszarpane żagle, gdyż pod naporem wiatru trytytki, którymi zwyczajowo moco-  
wało się plandekę do elementów rusztowań, rwały się jak mokre nici. To był raj  
dla tego, kto chciał przygotować zasadzkę i piekło dla przeciwnika, który nie zna-  
jąc realiów, zdecydowałby się wejść w tak przygotowaną pułapkę.

Na ustach Luty wykwitł grymas, który nie umknął oczom Borysa. Podeszedł do  
niej z torbami w dłoniach i powiódł za nią wzrokiem.

– Już to widzisz? – zapytał, jakby czytał jej w myślach.

– Czeka nas sporo pracy, więc nie traćmy czasu – odparła i ruszyła przodem.

Znajdujący się po drodze lager wypełniony paletami i koszami z elementami  
rusztowania był mocno oblodzony, bo uderzające w keję fale raz po raz przele-  
wały się przez niego, a mróz dokończył dzieła. Wiatr dął niemiłosiernie, wprawia-  
jąc w ruch całą wiszącą im nad głowami konstrukcję. Bujała się i trzeszczała,  
jakby zaraz cała ta masa żelastwa miała runąć im na głowy. W pobliżu klatki  
schodowej stały kontenery z narzędziami, postanowiła do nich zajrzeć. Były  
zamknięte na kłódki, ale stare i zardzewiałe, więc Borys wyjął z torby łom  
i w kilka sekund sobie z nimi poradził. Gdy uchyliła ciężkie wrota, jej kąciki ust  
znów nieznacznie się uniosły. W środku było wszystko, czego potrzebowała. Piły,  
młoty, łańcuchy, knary, szlifierki, spawarki, piaskarki, sprzęt do metalizy, a nawet  
przecinarki plazmowe, które służyły do cięcia najtwardszych materiałów. Mogła  
te narzędzia jakoś wykorzystać, gdyby miała tylko trochę więcej czasu. Postano-  
wiła, że wszystko wyjdzie w praniu i tam, gdzie to będzie możliwe, zastawi kilka  
pułapek, najpierw jednak musiała wejść na górę i ocenić sytuację, także na  
poszczególnych dekach. Pogoniła taszczącego torby Borysa i wkroczyła na  
zmontowaną z rusztowania klatkę schodową, jedyną drogę na górę. Miała  
dobrych dwanaście metrów i lekko się chwiała, ale gdy tylko zerknęła na kon-  
strukcję i jej solidne umocowanie, była pewna, że wytrzyma nawet silny sztorm.  
Co do tych wszystkich wieszaków już takiej pewności nie miała, ale tak  
naprawdę średnio ją to obchodziło, bo plan, jaki sobie założyła, akurat tę kwestię  
traktował wyjątkowo użytkowo.

Gdy znaleźli się na deku, zauważyła osłonięte miejsce w pobliżu wind. Na  
wszelki wypadek sprawdziła, czy działają, ale najwyraźniej zasilanie było odłą-  
czone. I dobrze, pomyślała. Sprawdziła klamki do kilku pomieszczeń, które  
doskonale pamiętała z czasów pracy z izolarami. Drzwi były pozamykane,  
a ponieważ wyglądały na solidne, to tym razem przestała dbać o konwenanse.  
Wyjęła swoją berettę i przestrelała zamki, a Borys dokończył dzieła z kopniaka.  
Weszli do środka. Wnętrze wypełniały labirynt rur, pomp, zaworów i najróżniej-  
szych skomputeryzowanych maszyn.

Ściągnęła komin i poprawiła włosy.

– Rozłóż i przygotuj sprzęt – powiedziała. – Ja przelecę po ruszcie i sprawdzę,  
gdzie będziemy mogli go skutecznie wykorzystać. Według Mustafy przyplłynęli  
kolejnym kursem, więc mamy jakieś trzy do czterech godzin przewagi. Wystar-  
czająco, aby przygotować dla nich kilka niespodzianek.

– Zrobi się, szefowo.

– Nie kpij.

- Po prostu jestem pod wrażeniem. Ty naprawdę budowałeś takie rzeczy?
- Praca jak każda inna. Lecę.

Luta z powrotem włożyła komin i wyjęty z torby pas z narzędziami. Racza, młotek, cęgi, do tego paczka trytytek i taśma klejąca. Tyle wystarczyło, aby w godzinę bezpieczna konstrukcja zamieniła się w śmiertelną pułapkę. Machinalnie położyła, a następnie zamknęła dłoń na raczy, jak zwykła to robić w czasie pracy, po czym wyszła na zewnątrz. Omiotła wzrokiem całą konstrukcję. Od razu wróciły wspomnienia. Na pierwszym deku pamiętała niemal każdy kąt, każde przepięrzenie, rurę, zawór, barierkę czy przepastny otwór, na którego dnie czekała się tylko śmierć. Obecnie platforma różniła się jedynie tym, że w części przeznaczony dla personelu mającego pracować już na morzu stało mniej rusztowania. To akurat nie był wielki problem, bo jej uwaga kierowała się gdzie indziej, a dokładnie na rusztowania podwieszane, czyli te, które od zewnątrz łączyły kolejne deki. To właśnie tu mogła uderzyć najmocniej i najbardziej boleśnie. Należało tylko zrobić to z głową.

Lutosława Karabina postanowiła dłużej nie marnować czasu i z raczą w dłoni żwawym krokiem ruszyła przed siebie.

## Rozdział 30

**B**atukan Calhanoglu siedział na fotelu pasażera i ostrzył nóż. Przesuwał ostrze po ręcznej osetce niemalże z namaszczeniem, wypełniając wnętrze busa szorstkim, złośliwie sugestywnym i przeszywającym na wskroś odgłosem tarcia stali o kamień. Długie na osiemnaście centymetrów czarne matowe ostrze było wykonane z najwyższej jakości wysokowęglowej stali chromowej z dodatkiem molibdenu, wanaadu i kobaltu. Tuż nad rękojeścią ząbkowane, a u szczytu główki lekko ścięte, idealnie nadające się do głębokiej i intensywnej penetracji. Według producenta było w stanie wytrzymać obciążenie na zginanie rzędu stu pięćdziesięciu kilogramów, ale Batukan potrafił nim wrywać zamki w drzwiach. Było idealne, tak do pracy, jak i do walki.

Nie zwracał uwagi na swoich ludzi, którzy w większości próbowali złapać ostatnie chwile snu. Kierowca też głównie milczał, skupiony, aby nie wykonywać gwałtownych manewrów. Batukan wyjaśnił mu to raz.

– Jeśli się zatnę, ciebie też zatnę – powiedział tonem przypominającym wpływający do portu tankowiec. – Masz jechać tak, żeby dotrzeć na miejsce. Nie szarp, nie przekraczaj prędkości. Teraz już nie musimy się spieszyć.

Gdy został wezwany przez swojego pracodawcę, z początku nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. W pewnym momencie zaczął nawet podejrzewać, że stary Hakan Ozalan popadł w obłąd i bredzi.

– Jedna kobieta? Mamy tam jechać z czterdziestoma ludźmi, aby dopaść jedną kobietę? – dopytywał zaskoczony, ale gdy pryncypał pokazał mu zdjęcie skrważonego ciała Emre Ozalana wraz z wrytą na klatce piersiowej wiadomością, zrozumiał, że sprawa nie jest poważna, ale krytyczna.

*Jeszcze nie jesteście kwita. L.K.*

Nie rozumiał przekazu, ale sam sens wydawał się czytelny. Chodziło o zemstę. Batukan starał się zachować zimną krew i nie okazywać emocji. Przyjrzał się obrażeniom i od razu ocenił, że ten, kto dopuścił się tego barbarzyńskiego ataku, bez wątpienia musiał być profesjonalistą. Nie wszystkie cięcia były śmiertelne, ale zrzucił to na karb tego, że Emre musiał się bronić. Te najgłębsze znajdowały się jednak dokładnie w punktach witalnych. Tętnica szyjna, podobojczykowa, wątroba, żołądek, serce. Napastnik wiedział, gdzie uderzać, choć dysponował skromnym, krótkim ostrzem, co biorąc pod uwagę miejsce ataku, sugerowało, że posłużył się sprytnym fortelem. Zionąca między nogami dziura i wci-

śnięty w usta penis miały najprawdopodobniej wywołać w adresacie wiadomości określone emocje. Batukan szybko zrozumiał, że cel został osiągnięty.

– Masz mi ją dostarczyć żywą! – charczał starzec, zapluwając się jak chory w momencie ataku padaczki. – Sam obedrę tę kurwę ze skóry. Osobiście wyrwę jej serce gołymi rękami, rozumiesz?

– Kim jest ta kobieta? – zapytał, próbując zachować lodowaty ton.

Hakan nad sobą nie panował. Wymachiwał rachitycznymi przedramionami, trząsł się, ślinił się jak pies, a białka jego oczu były tak popękane, jakby od tygodnia przemywał twarz nie wodą, a płynem chłodniczym. Fakt, że był już wysuszonym i schorowanym starcem, który nawet w takiej sytuacji nie może wstać z wózka inwalidzkiego, sprawiał, że ten jego napad wściekłości wyglądał groteskowo. Batukan poważnie zaczął obawiać się, że szef może tego nie przeżyć, dostanie zawału albo wylewu, zwłaszcza że w pewnym momencie Hakan nagle zgąskł, jakby coś w jednej chwili wyssało z niego całą życiową energię. Osobisty lekarz natychmiast doskoczył do głowy rodziny Ozalanów, aby sprawdzić funkcje życiowe, ale starzec odepchnął go i resztkami sił wskazał, aby podać mu laptop. Mustafa, który stał pod ścianą i przysłuchiwał się rozmowie, natychmiast wykonał polecenie. Postawił urządzenie na stole i na znak ojca włączył ikonkę „play”. Na pierwszym planie widać było plecy, po których spływał długi warkocz. Chwilę później z głośników wybrzmiał nieco chrapliwy kobiecy głos, którego kolejne słowa były wypowiedane z rzadkim, prawie niespotykanym akcentem.

– Odebrałeś mi wszystko, Hakanie Ozalanie – mówiła kobieta na filmie. – Teraz ja odbiorę wszystko tobie. Zabiłeś mi dzieci, więc teraz ja zabiję twoje. Ale jeśli masz w sobie choć odrobinę honoru i odwagi, aby stanąć twarzą w twarz z kobietą, która zarznęła twojego syna, to w środę wieczorem czekam na ciebie i stado twoich świń na platformie Lars Erik Hansen.

Kobieta chciała dodać coś jeszcze, ale Mustafa zastopował nagranie. To jednak wystarczyło, aby zrozumieć, że przeciwnik, z którym będzie musiał się zmierzyć, po pierwsze, nie jest z łapanki, a po drugie, nie ma już nic do stracenia. Tacy zawsze byli najgorsi, o czym przekonał się podczas wojaczki nie raz i nie dwa. Ale nie to wstrząsnęło nim najbardziej. Jego analityczny umysł błyskawicznie odgrzebał w odpowiedniej szufladce tę wyjątkową barwę głosu. On go znał.

– Tysiąc sześćset czterdzieści cztery metry – mruknął po angielsku, kłaniając się w pas. W nagrzanym powietrzu unosiły się drobinki piasku i smród spalonych wraków. Stali wśród zgłiszcz wioski, pomiędzy kilkoma skleconymi z byle czego chatami i kilkunastoma lepiankami, gdzieś na pustynnym obszarze na południowy wschód od Kabulu, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od miasta Cizre, w której stacjonowała jego jednostka. To właśnie dlatego Amerykanie poprosili tureckich specjalsów, oczywiście nieoficjalnie, o pomoc w namierzeniu i zlikwidowaniu jednego z prominentnych członków Państwa Islamskiego, który ukrywał się na pograniczu syryjsko-irackim. Zdziwił się, gdy dowiedział się, że czysty strzał w głowę oddała kobieta.

– Taka praca – odparła po turecku, czym tylko rozbudziła jego zainteresowanie.

- Znasz turecki? – zapytał, nie mogąc opanować ciekawości.
- Mam w sobie domieszkę tureckiej krwi.
- Zatem mój kraj może pękać z dumy.

Pogadali jeszcze chwilę, a potem Batukan niechętnie zabrał swoich ludzi do wozów terenowych. Odjechali na północ. W noc po akcji nie mógł spać i wcale nie dlatego, że ponownie rozgrywał w głowie pustynną potyczkę. Tam tak naprawdę sam nawet nie oddał strzału, bo zadaniem dowodzonej przez niego jednostki było jedynie potwierdzenie obecności celu, zaś do amerykańsko-polskiej grupy zadaniowej należało zlikwidowanie go razem z obstawą. Poszło gładko, a po idealnym strzale z ponad półtora kilometra wybiecie kilkunastu otepiąłych radykałów biegających po pustyni jak kurczaki bez głowy było już tylko formalnością. Batukan wciąż jednak był pod ogromnym wrażeniem nowo poznanej snajperki. Do tej pory kobiety uważał za maszynki do robienia obiadów, lodów i ewentualnie trzepania dywanów. Karabina sprawiła, że cały jego system wartości wywrócił się do góry nogami. Nie mógł przestać o niej myśleć. Oczarowała go do tego stopnia, że przy najbliższej okazji wypytał o nią znajomego pułkownika, ten zaś nie miał co do Polki najmniejszych wątpliwości.

– Jeden z najwybitniejszych strzelców wyborowych na Bliskim Wschodzie, a może i na całym świecie – zdradził mu wąsaty pułkownik o imieniu Toprak. Znali się dobrze od lat, więc mógł pozwolić sobie na wizytę w jego biurze i wspólne spalenie papierosa. – Ekspert od działania za linią wroga, walki wręcz, na noże i materiałów wybuchowych, przesłuchał i Bóg wie czego jeszcze – wymieniał na wdechu. – Jej dziadek to człowiek legenda. Facet, który po części uczył mnie tej roboty. Do tej pory nie wiem, jak nasi ją przeoczyli. Teraz już... cóż... teraz już za późno.

– Polka, w której żyłach płynie turecka krew... – mruknął Batukan, bardziej do siebie niż do dopalającego papierosa przełożonego.

– Większość misji, w których brała udział, jest ściśle tajna, więc nic więcej ci nie powiem. Ale jak znam Amerykanów, to nie braliby jej, gdyby na podporządku mieli lepszych snajperów – dodał wąsaty pułkownik, po czym kazał Batukanowi odmaszerować.

Przez jakiś czas chodziło mu po głowie, aby się do niej odezwać, ale historia potoczyła się innym torem, gdyż jego system wartości był raczej nieskomplikowany i Batukan w końcu nagrał sobie na tyle poważnie, że przełożeni zostali zmuszeni dyscyplinarnie usunąć go z armii. Szybko znalazł sobie nowe zajęcie, a temat polsko-tureckiej snajperki umarł śmiercią naturalną, bo w tej sytuacji inaczej być nie mogło. Do teraz.

Şefowi o tej znajomości nawet się nie zająknął. Ani żadnemu z dowodzonych przez siebie ludzi. Sam nie był pewny dlaczego, ale uznał, że tak będzie najlepiej. Przez całą podróż do Leirvik nie mógł przestać myśleć o kobiecie, która w tak bezkompromisowy sposób wypowiedziała otwartą wojnę największemu mafijnemu klanowi w Europie. Czy naprawdę była aż tak dobra? Świadomość, że najwyraźniej rzeczywiście nie miała nic do stracenia, z jednej strony wzbudzała w nim niepokój, a z drugiej go podniecała. Gdy podczas rejsu promem kilka razy



zdarzyło mu się przymknąć oko, nawiedzały go wizje, które sprawiały, że w jego spodniach robiło się ciasniej niż zwykle. Próbował je tłumić, ale na próżno. Znów nim zawładnęła. I nie chciała puścić.

Gdy skończył ostrzyć ostatni nóż, ulubiony do walki wręcz kerambit z odwróconym, sierpowatym ostrzem i otworem na palec wskazujący, postanowił oczyścić umysł z brudnych i zwodniczych myśli. Zerknął w boczne lustro. W odległości od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów za nimi jechały kolejne wypełnione ludźmi SUV-y. Obejrzał się przez ramię na swoich podkomendnych. Dwóch z trzech na tylnych fotelach miało zamknięte powieki, a ci za jego plecami w ciszy patrzyli na przemykające za szybą skaliste wzniesienia. Niewiele z nich było profesjonalistami, ale to byli twardzi faceci i wiedział, że będzie mógł na nich liczyć. Pomyślał też, że nie wszyscy wrócą do domów, ale ten wniosek nie wzbudził w nim dodatkowych refleksji.

Z powrotem przeniósł wzrok na pospiesznie przecieraną wycieraczkami przednią szybę i wtedy zza kolejnej góry na horyzoncie wyłoniła się naszpikowana czerwonymi światełkami konstrukcja. Nie było wątpliwości, że to cel ich podróży. Batukan przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, bo choć znajdowała się dobrych kilkanaście kilometrów w linii prostej od nich, to nawet stąd robiła piorunujące wrażenie. Wtedy, zupełnie niespodziewanie, poczuł ukłucie lęku. Do tej pory starał się nie myśleć, że ta operacja może się nie udać. Ona była jedna, a ich czterdziestu. Nie miała szans, nawet jeśli wybrała to miejsce i przygotowała się na ich przybycie. Tylko czy aby na pewno jest tam sama? I co, jeśli naprawdę nie ma nic do stracenia? Pomyślał, że jeśli coś pójdzie nie tak, z tej platformy wiertniczej może nie wrócić nikt.

## Rozdział 31

P o blisko trzech godzinach spływała potem. Ręce miała zgrabiąle od zimna, ale czas wykorzystwała najlepiej, jak potrafiła. Dwa pierwsze deki przypominały pole minowe. Ucieszyła się, gdy w kilku miejscach dostrzegła sprzęt budowlany. Najcięższy, jak piaskarki czy ten do metalizy, nie został pochowany do kontenerów, co sugerowało, że robotnicy w pośpiechu zostawili go w najbliższych ich sektorach pomieszczeniach zamkniętych. Nie miała problemu z jego odbezpieczeniem i odpowiednim przygotowaniem. Choć nigdy na nim nie pracowała, to jednak wielokrotnie widziała, jak robią to jej koledzy, więc na wszelki wypadek zerknęła tylko na instrukcję, po czym sprawdziła, czy działa na awaryjnym zasilaniu i założywszy maskę, a w kontenerach znalazła nieprzebrane ich ilości, sprawdziła spust. Nawet Borys był pod wrażeniem.

– Mogłaś powiedzieć, to byśmy nie ryzykowali, przewożąc broń – zażartował, gdy ujrzał potęgę pistoletu do metalizy.

– Ustawimy to tam i tam – oznajmiła, tłumacząc, co chce osiągnąć.

Na drill florze, czyli swoistym sercu platformy, rusztowania praktycznie nie było. To tu znajdowały się strzelista wieża z potężnymi wiertłami, które w momencie uruchomienia platformy wwiercały się w grunt, aby spenetrować kolejne warstwy dna. Labirynt niedokończonych gretingów pozwalał zastawić kilka pułapek, ale to, co najbardziej rzuciło się jej w oczy, to wysokie na piętnaście metrów rusztowanie przy jednej ze ścian, na której szczycie na stałe zamontowano dźwig. Od razu zauważyła, że główne schody są zamknięte i to właśnie wąska klatka schodowa w rusztowaniu jest jedyną drogą na kolejny dek. Tu też trochę popracowała, najpierw przy kotwach, następnie skupiła się na znajdujących się na deku kontenerach. Mieściły się w punkcie, który dawał istotne możliwości ich wykorzystania, a że były zabezpieczone jedynie specjalnymi pasami, w jej głowie zaświtał kolejny pomysł.

Borys wykonywał polecenia bez mrugnienia okiem. Z początku wydały mu się dość naiwne, ale nie dyskutował. Luta kazała mu nazbierać stalowych resztek po rurkach, klipsów, drutów czy innych pomniejszych elementów rusztowania i pochować je do specjalnych, wzmacnianych worków, których też było wokół na pęczki; innym razem poodcinać druty mocujące podesty bądź blachy; a jeszcze gdzie indziej połapać trytytkami plandeki mające coś ukryć bądź zmusić przeciw-

nika do wybrania określonej ścieżki. Sama też pracowała w pocie czoła. W niektórych miejscach coś dokręciła, gdzie indziej poluzowała śruby, usunęła kotwę albo diagonalę. Musiała uważać, aby nie przesadzić, bo wiatr z każdą kolejną godziną się wzmacniał i gdyby przeliczywała, mogła niezamierzenie przyspieszyć realizację swoich pomysłów albo nawet sama stać się ich ofiarą. Na szczęście po trzech godzinach wszystko wyglądało tak, jak to sobie założyła. Pytanie brzmiało, czy przeciwnik będzie na tyle głupi, aby skorzystać z jej zaproszenia.

– Najważniejszy jest ten wieszak. – Wskazała na labirynt wiszących pod dekiem korytarzy, który przemodelowała na swoją modłę w taki sposób, aby dać sobie przewagę już na starcie. Raz jeszcze opisała Borysowi krok po kroku, czego od niego oczekuje. Słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając dodatkowo pytania, gdyż w większości nie znał specyficznego nazewnictwa, a ilość przeróbek wydała mu się trudna do ogarnięcia. – Tam będę chodzić tylko ja – tłumaczyła z pełną powagą. – Nawet jeśli teraz zdaje ci się, że pamiętasz te wszystkie zmiany, to mogę ci zagwarantować, że się mylisz. Zajmiesz pozycje w miejscach, które ustaliliśmy, i będziesz mnie ubezpieczał. Na mój znak strzelisz w zaznaczone sprejem punkty. Spotkamy się na górze.

Gdy w końcu uznali, że wszystko zostało dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, wrócili do pomieszczenia, w którym zostawili cały sprzęt. Ściągnęli kominy, rękawice i kurtki, a potem przysiedli na obrotowych krzesłach. Luta na dłuższą chwilę zamilkła, po czym rozgrzała zgrabiące dłonie i wyciągnęła warkocz, który kilkoma szybkimi ruchami rozplątała, a następnie podzieliła włosy na kilka pęków. Każdy z nich powoli zaczęła zaplatać ponownie, z tą różnicą, że teraz włosy przylegały do skóry. Nie chciała, żeby jej przeszkadzały i o coś zahaczyły, zwłaszcza że liczyła się z silnym wiatrem i delikatnym bujaniem, co przy pospiesznym pokonywaniu terenu w gęstwinie wąskich korytarzy, schodów, drabinek, rur i wszelkiego rodzaju ciasnych pomieszczeń naszpikowanych odstającymi zaworami, pokrętłami, drutami czy innymi elementami, których na platformie wiertniczej było bez liku, mogłoby okazać się dla jej skalpu bolesne, a nawet zabójcze. Borys obserwował ją w milczeniu, zastanawiając się, jak do tego wszystkiego doszło, że tak dokumentnie spierdolił sobie całe życie. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi i choć cieszył się, że znów są niepokonanym tandemem, w sercu czuł niemal fizyczny ból.

Podniósł się akurat w momencie, gdy Luta kończyła układać włosy. Jeszcze nigdy nie widział jej w takiej fryzurze. Pomyślał, że te pięć ciasno splecionych warkoczy całkiem do niej pasuje.

– Co się tak gapisz? – zapytała, upychając końcówki za kołnierz.

– Po prostu... – zawahał się – ...fajnie, że znów jesteśmy razem. Brakowało mi tego, wiesz?

– To nie najlepszy moment na takie wyznania – ucięła. – A teraz możesz zostać mnie na chwilę samą? – zapytała.

– Ale...

– Idź się odlej albo coś.

– Co ty chcesz...

– Chcę, kurwa, na chwilę zostać sama! – warknęła, ale chwilę później dodała już spokojniej: – Przepraszam, Borys. Potrzebuję pięciu minut. Proszę, zostaw mnie samą i przy okazji zerknij, czy na nabrzeżu coś się nie dzieje, okej?

To jeszcze nie był czas, bo w najlepszym wypadku ludzie Mustafy dopiero zbliżali się do portu. Jeśli się z kimś dogadali i łodzie na nich czekały, mogli się tu zjawić najwcześniej za godzinę. Borys jednak nie oponował. Znał ją i nawet jeśli była Lutosławą Karabiną, to wciąż była tylko kobietą. Może miała chwilę słabości? Może chciała po prostu popłakać? A może potrzebowała porozmawiać z dziadkiem albo swoimi dziećmi? Ostatnia myśl znów sprawiła, że poczuł bolesne ukłucie w klatce piersiowej, dlatego skinął i obrócił się na pięcie, po czym otworzył drzwi i przy akompaniamencie kakofonii odgłosów zbliżającego się sztormu wyszedł na zewnątrz.

Gdy usłyszała, że drzwi się za nim zamknęły, chuchnęła w dłonie i wyjęła z kieszeni kurtki złożone na pół zdjęcie. Rozłożyła je i natychmiast jej oczy się zaszklily. Fotografia przedstawiała ją z dziećmi na tle niespokojnego morza: ona w środku, w prawej dłoni ścisnęła rączkę dwuletniej wówczas Werki, w lewej sześciolatniego Franka, wszyscy odwrócenii tyłem, wpatrzeni w horyzont, wypatrujący nadciągającej burzy. Zrobił ją kiedyś jej brat podczas jednego z niezliczonych rodzinnych wyjazdów nad Bałtyk, do niewielkich Sianożęt obok Ustronia Morskiego, choć nawet o tym nie wiedziała, mimo to gdy to zdjęcie zobaczyła, bardzo je polubiła i często na nie patrzyła, zwłaszcza gdy była na rotacji, daleko od domu. Pomyślała, że to jedna wielka ironia losu, że ona znów tu, na tej pieprzonej platformie, na wzburzonym morzu, tylko że już nie ma ani Werki, ani Franka, jest tylko ona i jej gniew, pragnienie zemsty. Jeszcze chwilę popłakała, w końcu wierzchem dłoni wytarła łzy i śluz pod nosem, po czym schowała zdjęcie do kieszeni przy sercu i przeniosła wzrok na leżącą na podłodze kamizelkę taktyczną z poupychanymi w kieszonkach dziesięcioma matowymi ostrzami. Rozprostowała palce, czując, jak chrupią w nich kolejne kostki. To nie był dobry znak. Nie miała czucia i wiedziała, że w tak ekstremalnych warunkach o celność będzie trudno, bo przemarznięta dłoń to prawie jak dłoń amatora, mimo to wstała, odetchnęła i sięgnęła po kamizelkę. Gdy ją nałożyła i zapięła zamek, zerknęła na wiszącą na ścianie tablicę korkową z jakimiś planami budowy. Wtedy szybkim ruchem wyjęła jeden z noży i rzuciła nim w obrany punkt. Ostrze wbiło się głucho dziesięć centymetrów od celu.

Rozprostowała palce, wykonała kilka prostych ćwiczeń spinających i rozluźniających mięśnie dłoni i ponowiła próbę. Ostrze utkwilo wyżej, niż powinno, kolejne za bardzo na lewo i dopiero czwarte tam, gdzie sobie założyła. Pomyślała, że już trzy razy byłaby trupem, więc dalej nie próbowała. Spodziewała się, że może nie być w pełni formy, bo nieraz zdarzało się jej pracować w chłodzie i zimnie, ale to działało w obie strony. Przeciwnicy, nawet jeśli przygotowali się na trudne warunki atmosferyczne, pewnie nie spodziewali się takiego ekstremum, a nawet jeśli, to zdecydowana większość z nich nie była przyzwyczajona do działania na mokrym, oblodzonym i niestabilnym terenie, gdzie lodowaty wiatr wiał

z taką siłą, że dłoń pozbawiona ochrony sztywniała w ciągu kilkadziesiąt sekund, a czucie zanikało już po kilku minutach. Dlatego pierwsza faza planu była tak istotna. Musiała uderzyć mocno i skutecznie, zniszczyć ich morale i zasiać w głowach strach.

Podeszła do ściany i wyjęła ostrza, po czym powkładała je z powrotem do kieszonek. Zerknęła na wiszącą na gwoździu maskę, wykręciła i sprawdziła filtr, następnie z powrotem go zamocowała i nałożyła całość na twarz. Kilukrotnie odetchnęła. Wtedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Borys. Jego spojrzenie wyrażało więcej niż tysiąc słów.

– Płyną dwie łodzie – oznajmił. – I nie wyglądają mi na straż przybrzeżną.

Byli szybciej, niż zakładała, i to nie był dobry znak. Ściągnęła maskę i prze-wiesiła ją sobie przez ramię. Spojrzała w oczy starego przyjaciela. Wymownie skinęła i włożyła komin oraz kurtkę, następnie wcisnęła w kabury glocka i beretę.

– Trzymamy się planu. Tylko tak możemy osiągnąć przewagę – oznajmiła. – Czekaj na mój znak i nie rób niczego, czego sama bym nie zrobiła – dodała z pełną powagą.

– Rozkaz, pani porucznik. – Borys uśmiechnął się, próbując nieco rozładować atmosferę.

– Nie pajacuj. Po prostu...

– Dobra. Chodź.

I poszli. Gdy pierwsi ludzie Ozalanów zaczęli zeskakiwać na keję, z oddali poniósł się potężny grzmot. Bóg wojny przemówił i łaknął krwi.

\* \* \*

– Warunki będą ekstremalne, więc trzymaj się z tyłu. A gdy wejdiesz na pierwszy dek, po prostu się gdzieś schowaj. Wtedy może przeżyjesz.

Słowa tej kobiety kołatały się w głowie Mustafy niczym rozbite pierwszym uderzeniem kule bilardowe. Uczuła go, mimo to nie spodziewał się, że samo dopłynięcie do celu będzie ocierało się o szaleństwo. Mieli szczęście, że ojciec nawiązał kontakt z zaufanym człowiekiem w Stavanger. Za niebagatelną kwotę w euro turecki kapitan zgodził się podstawić ich pod platformę, choć Mustafa miał wrażenie, że kilkumetrowe fale roztrzaskają łajbę w drobny mak. Wszystko trzeszczało i skrzypiało, a w zadaszonym wnętrzu co rusz któryś z ludzi wymiotował albo tracił równowagę i lądował na tyłku. Jeszcze zanim zszedł na keję, był przemoczony do suchej nitki. Nigdy nie spotkał się z takimi ekstremalnymi warunkami atmosferycznymi. Wiatr dął z taką siłą, że momentami chwiało się na nogach, a zacinający deszcz zdawał się padać poziomo, przy silniejszych podmuchach nawet od spodu. Wymieszany z kuleczkami gradu siekł po nieosłoniętych fragmentach twarzy tak boleśnie, jakby w skórę wbijały się tysiące malutkich sztyletów. Skórzane rękawiczki zdążyły przemoknąć i teraz zaczynały zamarzać, przez co miał wrażenie, że traci czucie w palcach. Uniósł głowę. Ponad nimi górowała skryta w mroku majestatyczna konstrukcja z aluminium i stali. Szum

wiatru, grzmot uderzających o keję fal i trzepoczących na wietrze plandek zagłuszały niemal każde słowo Batukana, który właśnie zaczął rozdzielać zadania.

Mustafa postanowił się nie wychylać. Wiedział, że dowódca nie darzy go sympatią, a tym bardziej szacunkiem, dlatego stał z boku, obserwując, jak krzyczy i gestykuluje, zgrzytając zębami. Niektórzy z jego ludzi już teraz ledwo trzymali się na nogach, mokrzy i przemarznięci, trzęsący się z zimna. Większość nie była dobrze przygotowana na panujące warunki, bo prócz żołnierskich buciorów, które w większości już zdążyły nabrać wody, nosili dżinsy albo taktyczne spodnie, niekoniecznie przydatne akurat w takich warunkach. Wyglądające na ciepłe puchowe kurtki może i sprawdzały się podczas kilkustopniowych mrozów w berlińskich parkach, ale tu, nasiąknięte wodą, tylko ich dodatkowo wychładzały i spowalniały. Śliski i niestabilny grunt też robił swoje, bo co niektórzy tracili równowagę i albo przyklekali, albo od razu lądowali na tyłkach, boleśnie obtłukując sobie pośladki. W pewnym momencie platforma wydała z siebie pomruk, który skojarzył mu się z rykiem wyłaniającej się ze spienionego morza Godzilli, a chwilę później błyskawica przecięła niebo i uderzyła w najwyższy punkt strzelistej wieży wiertniczej. Całość majestatycznej konstrukcji rozbłysła, jakby jakiś gigant wyłonił się z morza i zrobił zdjęcie z fleszem, wtedy Mustafa – choć trwało to tylko ułamek sekundy – na skraju pierwszego deku dostrzegł opartą o balustradę postać. Nie próbowała się ukryć, po prostu stała i patrzyła. Poczul, że nogi nagle zrobiły się jak z waty. Gdy chwilę później niebo rozdarła kolejna błyskawica, postaci na deku już nie było. Przełknął ślinę, mrużąc oczy przed zacinającymi lodowymi igiełkami, i dostrzegłszy, że grupa ruszyła w kierunku klatki schodowej, na drżących nogach pobiegł za nimi.

To było jedyne wejście na górę. Wąska na maksymalnie dwie osoby klatka schodowa chwiała się pod naporem wiatru, jakby zaraz miała runąć niczym sklecona z zapalek wieżyczka. Kotwy trzymały jednak mocno i choć mocowania, w tym stalowe rury, momentami odginały się nawet na kilkanaście centymetrów, a grube pasy naprężyły się jak struny w pianinie, konstrukcja wciąż opierała się wścieklej matce naturze.

Batukan w pierwszej kolejności wysłał swoją prawą rękę Savasa, byłego żołnierza piechoty morskiej, a kolejnych ludzi puszczał co trzy sekundy, aby na wysokości na dwanaście metrów wieży nie znajdowało się w jednej chwili zbyt wielu podkomendnych. Obserwował, jak pokonując po dwa schodki, wspinają się na górę, w końcu nikną gdzieś na pierwszym deku. Gdy został tylko z Mustafą, posłał mu surowe spojrzenie i wkroczył na rusztowanie jako przedostatni. Najmłodszy z braci Ozalanów niechętnie ruszył jego śladami.

W połowie drogi znów gruchnęło, a niebo rozświetliła pajęczyna błyskawic. Grzmot był tak silny, że zadzwoniło mu w uszach. Potknął się i rąbnął szczęką w rant schodka, omal nie gubiąc trzymanego w dłoniach karabinka. Czując w ustach smak własnej krwi i przeklinając w myślach cały świat, podniósł się, choćby dlatego, aby nie czuć na sobie pogardliwego wzroku Batukana. Gdy w końcu wdrapał się na górę, cała drużyna stała odwrócona do niego plecami. Deszcz siekł nieprzerwanie, a wiatr wyzierający z półotwartych korytarzy zdawał

się dmuchać jeszcze mocniej niż na kei. Nie słyszał rozkazów, bo łomot porwanych częściowo plandek zagłuszał każdy dźwięk, do tego wciąż delikatnie bujało, ale gdy na niebie znów rozpełzła się pajęczyna błyskawic, ponad ramieniem jednego z mężczyzn ujrzał stojącą nieruchomo postać. Dopiero wtedy zrozumiał, że wszyscy dostrzegli ją już wcześniej. I teraz, wraz z wyraźnie zbitym z tropu Batukanem, wgapiali się w nią, jakby nie zobaczyli człowieka, ale samego diabła.

To była ona. Nie miał co do tego wątpliwości. Stała nieruchomo niczym posąg, wpatrując się w nich zza maski pełnotwarzowej z odstającym filtrem. Do tego wojskowe buty, grube czarne spodnie i kurtka, do której ciasno przylegała wypchana po brzegi kamizelka taktyczna.

Ghula, pomyślał. Pomyślał też, że najwyższy czas, aby się ewakuować.

\* \* \*

Nie było jej zimno, ale cała drżała, a po twarzy spływał jej pot.

Czuła, jak kolejne krople suną po czole, skroniach i nosie, słyszała swój przyspieszony oddech, a w palcach dłoni, które zaciskała na trzymanym za plecami pistolecie, niczym w membranie odbijało się każde następne uderzenie serca. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, dwudziesty. Z początku obserwowała ich z ukrycia. Jak pojawiają się kolejno na deku, jak zajmują pozycje. Wejście zainscenizowała w taki sposób, aby pokierować ich w odpowiednie rejony, co generalnie zdało egzamin, bo przemoknięci i zmarznięci, nie wyrażali większej ochoty na pokonywanie kolejnych zasieków z rusztowań, które dla nich przygotowała. Wysunęła się zza ściany, gdy na deku zameldował się numer trzydzieści pięć. Stała w drzwiach, zastanawiając się, czy warkot pracującej za jej plecami maszyny jest także słyszalny dla Batukana i jego ludzi. Wątpiła w to, bo szum rozszalałego morza, wiatru i szarpanych jego podmuchami plandek tłumił wszystkie inne dźwięki. Z początku jej nie dostrzegli, ale w pewnym momencie usłyszała jakiś wrzask i kilkadziesiąt karabinków skierowało się w jej stronę.

– Ojciec rozkazał wziąć cię żywcem – powiedział jej podczas jednej z wymiany informacji Mustafa. – Batukan nie ma innego wyjścia, jeśli chce zachować honor i szacunek swoich ludzi. Nie po to dostał czterdziestu mężczyzn, aby któryś z nich po prostu sprzedał ci kulę.

Liczyła na to i tego się spodziewała. Emre był iskrą, która podpaliła lont, ale prawdziwą beczkę prochu podrzuciła, zostawiając na jego zwłokach pendrive z filmem, na którym było zarejestrowane kilkanaście godzin igraszek Władymira i Yusufa. Teraz i Hakan nie miał nic do stracenia. Musiał ją dopaść i wyciągnąć z niej informacje za wszelką cenę.

Horda zaczęła się ostrożnie przesuwac w jej stronę. Krok po kroku, metr po metrze. Kilku odbiło na skrzydła, dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Zostawiła im wolną drogę. Wyłowiła w tłumie dowódcę, który gestami rozstawiał ludzi i wydawał rozkazy. Poruszali się powoli, zapewne uczuleni, że mają do czynienia z profesjonalistką. Z dwudziestu metrów zrobiło się piętnaście, chwilę później

dwanaście. Z niepokojem zanotowała, że szybka w jej masce zaczęła parować. Czy zastanawiali się, dlaczego ma ją na twarzy?

Dowódca bez wątpienia wyczuwał, że coś się kroi, bo trzymał się z tyłu, dyskretnie chowając się za kilkoma ze swoich ludzi. Miała nadzieję pozbyć się go już na samym początku, ale najwyraźniej to nie był jeszcze ten moment.

Dziesięć, dziewięć, osiem.

Delikatnie napała palcem na spust pistoletu trzymanego za plecami.

Siedem, sześć...

Nie wszyscy mieli na twarzach kominy i zaczęła rozróżniać poszczególne rysy. Ostre bruzdy na czołach, żyły na skroniach, krople urywające się znad krzaczystych brwi. Gdy niebo znów rozbłysło orgią rozgałęziających się błyskawic, szybkim ruchem wyciągnęła zza pleców pistolet. Był duży, dziwny, nieporęczny i trochę przypominał pistolet na gwoździe, a z uchwytu ciągnął się czerwony wąż.

Kątem oka dostrzegła, jak jeden ze skradających się ludzi wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. Luta odwzajemniła uśmiech, zamknęła oczy i nacisnęła spust.



## Rozdział 32

**B**atukan w ostatnim momencie zrozumiał, co się święci, więc błyskawicznie padł na ziemię jak długi. Chwilę później nad dekiem rozpostarł się pióropusz jasnych jak słońce iskier, a ludzie znajdujący się najbliżej zaczęli klękać albo padać, trzymając się za twarze.

Dziesiątki tysięcy mikroskopijnych kulek aluminium pod potężnym ciśnieniem wytrysnęło z trzymanego przez Lutę pistoletu, raniąc i oślepiając wszystkich, którzy nie zdążyli się położyć albo przykucnąć. Ci najbliżej otrzymali taką dawkę, że rozgrzany do białości metal niemal zdmuchnął im głowy, reszcie wdzierając się do oczu i gardła, paląc i topiąc skórę, ścięgna i mięśnie. Rozbłysk był tak silny, że nie było szans na odpowiedź od tych, którzy zdołali umknąć przed śmiertelnym pióropuszem, a siekący deszcz w kontakcie z rozgrzanym aluminium natychmiast wytworzył gęstą chmurę siwego i wyjątkowo trującego dymu.

Batukan przyłgnął twarzą do mokrej nawierzchni, zamknął oczy i wstrzymał oddech. Zewsząd dobiegały wrzaski i jęki jego ludzi. Jedni próbowali się ratować i zrywali z głowy kominy razem ze skalpem i skórą, inni łapali się za oczy, a ci, którzy nie mieli żadnej ochrony, wyglądali jak błąkające się w dymie mimy o wymalowanych srebrną farbą twarzach, które z każdą kolejną sekundą wykoślawiały się coraz bardziej, aby w końcu po prostu spłynąć im do rąk niczym rozgrzany wosk. Batukan leżał, nie chcąc otwierać oczu. Gdy w końcu odważył się podnieść powiekę i dostrzegł pobojowisko, wciąż na bezdechu podczołgał się do jednej z kolumn wspierających wyższy dek i rozejrzawszy się po okolicy, zaczął liczyć straty. Przynajmniej czterech jego ludzi leżało bez ruchu z miązgą zamiast głowy, a kolejnych trzech wiło się w śmiertelnych konwulsjach. Stygnące pod wpływem deszczu aluminium wciąż w niektórych miejscach generowało biały dym, szybko jednak wywiewany przez wiatr poza dek. Pozostali podkomendni rozpierzchli się, kaszląc i trąc oczy, niektórzy klęczeli, inni kryli się za kolumnami bądź porozkładanymi na rusztowaniach plandekami. W jego ocenie na starcie stracił prawie jedną trzecią składu, dlatego należało odpowiedzieć, i to już, natychmiast.

Kolejny grzmot, kolejna błyskawica. Wychylił się, aby sprawdzić, gdzie może kryć się Karabina, ale po kobiecie w masce przeciwigazowej nie pozostał żaden ślad, nie licząc pistoletu do metalizy, który dokonał wśród jego ludzi takiego spu-

stoszenia. Poszukał wzrokiem kilku swoich podkomendnych, którzy ucierpieli najmniej albo w ogóle, i rozkazał im się przegrupować, a następnie spenetrować okolicę, sam zaś z grupą czterech innych wbiegł do pomieszczenia, z którego wyszła Luta. Splunął na maszynę, do której podłączony był wąż od pistoletu do metalizy, po czym ruszył śladami uciekinierki. Minął kilka pomieszczeń z rurami i zbiornikami, następnie jakiś magazyn, w końcu wyszedł na greting w innej części deku, niestety, obstalowany labiryntem rusztowań. Omiótł wzrokiem okolicę w poszukiwaniu śladów, ale zacinający deszcz praktycznie to uniemożliwił. Zaklął wściekle. Chwilę później jego uwagę skupiło nawoływanie z południowej strony platformy.

– Tam jest! – usłyszał i czym prędzej pobiegł w stronę, z której dochodziły wrzaski.

\* \* \*

Nie czuła zimna, zmęczenia, siekącego zmrożonymi igiełkami deszczu. Po prostu parła naprzód. Z maszynowni pobiegła na greting, a gretingiem wzdłuż południowej ściany platformy ominęła wszystkich miotających się na dole ludzi. Obrąła trasę prostą, pozbawioną przeszkód i dobrze osłoniętą. Taką, aby okrężną drogą jak najszybciej przemieścić się w okolice wiszącego rusztowania, którego wejście znajdowało się zaledwie kilkanaście metrów od klatki schodowej, skąd ludzie Ozalanów weszli na pierwszy dek. Nie mieli szans jej dostrzec, tym bardziej usłyszeć. W kakofonii ryku spienionego morza, szarpanych wiatrem plandek i wyjących rannych dźwięczny odgłos jej kroków ginął niczym szept na koncercie rockowym. Gdy ponownie weszła na pole, które wcześniej zamknęła i osłoniła plandekami, wyjrzała przez wykrojoną wcześniej kilkunastocentymetrową szparę. W zasięgu wzroku dostrzegła jedynie dwóch mężczyzn, którzy dwa metry niżej stali przyklejeni do jednej ze ścian, trąc oczy i żywo gestykulując. Znajdowali się zaledwie kilka metrów od niej, zupełnie nieświadomi zbliżającego się niebezpieczeństwa. Rozciąła plandekę mocniej i precyzyjnie się pomiędzy vangami, po czym wyjęła dwa krótkie noże. Z tej odległości nie miała prawa chybić i chwilę później obaj trzymali się za szyję, brocząc krwią. Nawet nie mrugnęła i nie tracąc czasu, podbiegła osłoniętym siatką rusztowaniem jeszcze kilka metrów. Ponownie precyzyjnie się pomiędzy barierkami i boczną odnogą dotarła do głównej arterii wiszącego rusztowania. Znalazła się za ich plecami.

Główny korytarz miał szerokość trzech metrów i rozgałęział się w wielu miejscach, gdzie znajdowały się namioty dla piaskarzy czy spawaczy pracujących pod samym dekiem. Poskręcany jak jelito grube, ciągnął się dobrych kilkadziesiąt metrów aż do zewnętrznej klatki schodowej, która prowadziła na dek numer dwa. Naszpikowany zakrętami, niżej i wyżej zawieszonymi platformami z drabinkami lub schodkami, kolejnymi odnogami i polami całkowicie pokrytymi siatką lub plandekami – komuś, kto nigdy nie pracował w takim miejscu, mógł przypominać koszmarnie skomplikowany labirynt. W wielu obszarach nie trzeba było nawet dokonywać zmian, żeby człowiek wyszedł solidnie poobijany, wystarczyło

usunąć wszystkie tabliczki i taśmy ostrzegające przed wystającymi rantami, zbyt szerokimi dziurami i innymi punktami, gdzie trzeba było zachować szczególną ostrożność. Ale Luta popracowała i przygotowała dla chłopców Ozalana coś więcej. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl, co ich czeka, następnie wychynęła zza plandeki i stanęła na środku korytarza, który prowadził na tę część deku, gdzie zgrupowała się większość wrogów.

Z racji tego, że prawie cała arteria była osłonięta półprzezroczystą siatką, nie miała najlepszego oglądu sytuacji, ale to akurat nie wpływało na przygotowany plan. Ci widoczni na końcu korytarza w większości stali odwrócenii plecami albo miotali się, nie do końca wiedząc, jak się zachować i gdzie pójść. Postanowiła pomóc im w podjęciu decyzji. Wyjęła berettę, przymierzyła i posłała do diabła dwóch kolejnych. Nie dbała, czy ktoś ją zobaczy. Ona na to liczyła.

– Tam jest! – poniósł się męski głos, a w grupie zapanowało poruszenie. Dostrzegli ją dopiero w momencie, gdy mózg kolejnego z mężczyzn wyłądował na kurtce kolegi, a tuż przy bębnie, na który nawinięty był gigantyczny łańcuch z kotwicą, rykoszetowały dwie następne kule.

Luta przykucnęła, aby zmniejszyć ryzyko trafienia, ale tak jak się spodziewała, strzały nie padły.

– Chcecie mnie żywcem? – ryknęła, próbując przekrzyczeć szum wiatru. – To chodźcie, pieprzone świnię! – dodała i dostrzegłszy, że pierwsi z mężczyzn zaczynają wskakiwać na rusztowanie, pobiegła w przeciwną stronę.

Minęła zakręt w prawo, następnie w lewo, po czym pochyliła się, aby nie rąbnąć w rant, i odsunęła plandekę. Uważnie przemknęła przez szczelny namiot dla spawaczy i wyskoczyła drugą stroną. Stopień w górę i znów kilka metrów, tak żeby mogli przez siatkę dostrzec zarys jej postaci. Gdyby próbowali strzelić, mogliby trafić, ale na chybotliwym rusztowaniu, którego bujanie dodatkowo wzmogło kilkadziesiąt par rozpedzonych butów, szanse wydawały się niewielkie. Kolejny namiot, za nim ukłon, zejście do parteru i metr na czworakach, potem dwanaście metrów sprintu i kolejny namiot. Stopień, dwa metry pola, kolejny namiot, a za nim najtrudniejszy punkt i trzy metry bez podłogi. Nie zastanawiała się nad tym, że nie ma szelek, po prostu chwyciła się górnej vangi, a stopy postawiła na najniższej. Świadomość, że wyjęła wszystkie trzynaście podestów, tworząc długą na trzy metry dziurę, pod którą dwadzieścia metrów niżej piekliło się wściekle morze, lekko ją przytkała, ale wrzask pierwszego spadającego w dół frajera błyskawicznie ją odblokował. Miała ograniczone czucie w dłoniach, a rusztowanie połączone jedynie sześcioma barierkami majtało się na lewo i prawo, jakby poruszała się nie na aluminiowej vandze, a na rozpiętej między budynkami linie; zacisnęła jednak zęby i krok po kroku, mocno trzymając się zgrabiętymi z zimna palcami barierki na wysokości jej ramienia, przeszła na drugą stronę. Kolejny wrzask, jakieś przekleństwa i ciało spadające w spienione fale. Najgorsze za nią, pomyślała i odbiegła jeszcze kilka metrów. Za zakrętem przykucnęła i wyciągnęła zza pasa latarkę, po czym skupiła się na tym, aby uspokoić oddech. Czekala.

Borys leżał wygodnie w niewielkim namiocie na czterometrowym rusztowaniu, które Luta i jej koledzy nazywali stołkiem. Nie musiała go nawet montować, bo stało gotowe, choć w miejscu, które nie gwarantowało odpowiedniego przeglądu pola. Wystarczyło jednak odczepić kotwy i ręcznie przepchnąć je kilkanaście metrów, a następnie znów solidnie ustabilizować. Kwestia pięciu minut. Podobnie zwykle budowało się dla elektryków potrzebujących naprawić jakąś drobną usterkę, ewentualnie innych fachowców, którzy nie mogli bezpiecznie wykonać poleconego zadania z drabiny. Pole dwa na trzy metry pozwalało mu na zajęcie odpowiedniej pozycji, ale dla wygody Borys podłożył sobie na podestach jeszcze kawał materiału przypominającego karimatę. Przed sobą ułożył belę precelingu, która robiła mu za podpórkę dla jego karabinu snajperskiego. Wszystko dodatkowo zamaskowane.

Z tej perspektywy miał niemal nieograniczony widok na wiszące pod dekiem rusztowanie. Cały labirynt wiał się na wprost lufy jego karabinu. Raz zerkał na Lutę, raz na tych idiotów. Padali jak muchy.

– Jeden – szepnął, widząc, jak facet, który wkroczył do namiotu, od razu wdepnął w przykrytą plandeką dziurę po wyjętych podestach. Miała równe cięcie na środku otworu, na pierwszy rzut oka niedostrzegalne. – Dwa, trzy – liczył dalej, gdy kolejnych dwóch wpadło w pułapkę obok. Spadali jak targane na wietrze lalki, a potem niknęły w czarnej otchłani. – Cztery. – Kolejny nadział się na stalową linkę rozwieszoną pomiędzy spirami. Nie była to wysublimowana pułapka, ale facet padł jak rażony piorunem, trzymając się za gardło, więc zapewne był już bezużyteczny. Dwóch, wchodząc stopień wyżej, przydzwoniło w niezabezpieczony rant pod dekiem, co mogło skutkować co najmniej wstrząśnieniem mózgu. Do kolejnego namiotu wkroczyli już ostrożniej i nie dali się złapać, ale już nic nie mogło ich uratować. Wszyscy co do jednego, którzy zdecydowali się ruszyć w pogoń za Lutą, choć dumnie pokonali drugi namiot bez strat i zapewne wierzyli, że przeżyją, tak naprawdę byli już martwi.

W pewnym momencie dowódca wstrzymał pogoń i zakazał wchodzić kolejnym ludziom na wiszące rusztowanie. Wysłał ich, zapewne w poszukiwaniu wejścia na drugi dek, tych znajdujących się już na wieszaku jednak nie zatrzymując. Może myślał, że nauczeni doświadczeniem, zdołają pokonać zasieki i w końcu ją dopadną? A może miał nadzieję, że przebiję się choćby kilku? Trzeci namiot, który stał im na drodze, też pokonali bez strat, ale pierwszy, który odchylił plandekę, nie znalazł podparcia i omal nie spadł w przepaść. Z tej perspektywy trudno było ocenić, co go uratowało, ale wisiał głową w dół, być może zaczepiony nogami o barierkę albo trzymany przez jednego z kolegów. Kolejny, próbując naśladować Lutę, chciał przejść po dolnej vandze, ale szło mu wyjątkowo opornie, bo łączenie pozbawione podestów i diagonali było o wiele mniej stabilne i huśtało się na wietrze jak wahadło starego zegara. To jednak nie miało już żadnego znaczenia. W lunecie pojawiło się pięć jasnych rozbłysków latarki, a w uchu głos Luty. Zaczął liczyć.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... – Widział, jak przyjaciółka wspina się po zawieszanej klatce schodowej. Spieszyła się, choć wcale nie musiała, bo trzynie-

trowa dziura w rusztowaniu na dobre zatrzymała pogoń i nawet jeśli w końcu by ją sforsowali, to ich los i tak był przypieczętowany. – Sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

Borys odnalazł pierwsze dwa namalowane sprayem punkty na rancie deku. To tam były przymocowane zaczepy, na których wisiały łańcuchy utrzymujące całe rusztowanie. Luta specjalnie delikatnie poluzowała śruby, aby celny strzał zmiótł oba bez większych problemów.

Ostatnie pięć sekund przeliczył w myślach, po czym oddał pierwszy strzał. Trafił od razu, bo nawet przy delikatnym bujaniu całej konstrukcji i tak koszmarnym wietrze z odległości trzydziestu metrów ustrzeliłby muchę. Przez szum wiatru przebił się zgrzyt zrywanych łańcuchów, które z impetem runęły i zawisły, mając się na wietrze, przez co pozbawione uchwytów rusztowanie osunęło się kilkadziesiąt centymetrów w dół, następnie wygięło się i zakołysało. Rozległ się krzyk dowódcy, ale podkomendni znajdowali się już kilkadziesiąt metrów w głąb labiryntu korytarzy i z szesnastu, którzy przekroczyli Rubikon i weszli na rusztowanie, wróciło tylko dwóch.

Nie musiał się spieszyć. Cała pozostała banda klanowych żołnierzy nie miała już szans, aby zdążyć zawrócić. Przycelował w kolejne dwa punkty łączące spiry z dekiem w miejscu, gdzie Luta wyjęła podesty i rusztowanie było najbardziej niestabilne. Odległość tym razem była większa, bo wynosiła już około pięćdziesięciu pięciu metrów, ale i tym razem się nie pomylił. Kule uderzyły w przyczepy, do których zostały przymocowane łańcuchy utrzymujące rusztowanie i sytuacja się powtórzyła, z tą różnicą, że potężne przeciążenie zaczęło zrywać kolejne, jeden za drugim, i cała konstrukcja z przeciągłym i złowrogim zgrzytem pękających elementów runęła w spienione fale. Ludzkie wrzaski ucichły ułamek sekundy później.

– Moja Nemezis – mruknął z zadowoleniem i zachowując szczególną ostrożność, wsunął się głębiej do namiotu. Teraz musiał niepostrzeżenie zejść z rusztowania i przedostać się do zamaskowanej klatki schodowej na dek numer dwa. Tam też czekało na chłopców Ozalanów kilka sympatycznych niespodzianek.

## Rozdział 33

W piwnicy panował półmrok, a od ścian wiało chłodem. Szatan siedział w fotelu naprzeciwko tablicy korkowej i palił papierosa. Zwykle przy takiej okazji na stole obok stała butelka wódki, ale tym razem musiał obejść się bez niej. Palił i wpatrywał się w przypominający pajęczynę wykaz zapisków, numerów, zdjęć, map i najróżniejszych drobinek informacji dotyczących rodziny Ozalanów. Wszystkie one były koślawo poprzipinane pinezkami i w najróżniejszych konfiguracjach połączone liniami, których ostateczny kształt i sens znał tylko Szatan. Dwadzieścia pięć lat węszenia, grzebania i rycia w archiwach, internecie, zasobach Interpolu, a nawet darknecie pozwoliło stworzyć niemal pełen obraz przestępczej działalności największej mafijnej organizacji w Niemczech i jednej z największych w Europie. Do tego tysiące godzin przesiedzianych pod podejrzanymi adresami, własnoręcznie robione zdjęcia i nagrania, nie zawsze legalne podsłuchy, kilka zeznań ludzi, którzy mieli nieprzyjemność stanąć na drodze klanowi. To wszystko znajdowało się tutaj. W małej, zimnej i zatechłej piwnicy niepozornego domu w Starym Kisielinie pod Zieloną Górą, gdzie psy dupami szczekają, a bociany zawracają do Afryki.

Nadkomisarz przeszukał wszystkie trzy pudła zdjęć, z których większość była zrobiona przez niego. Te wydawałoby się najcenniejsze przedstawiały głowę rodu Hakana oraz jego synów z żonami, kochankami, dziwkami, ale także kontrahentami pokroju saudyjskich książąt czy rosyjskich oligarchów. Na kilku udało się złapać Ozalanów nawet w towarzystwie prominentnych niemieckich polityków, łącznie z takimi, którzy na co dzień dzierżyli teki ministerialne. Dziś te kilkadziesiąt fotografii nie miało już większej wartości. Szatana interesowało kilka tysięcy tych, na których udało mu się uchwycić braci Ozalanów w towarzystwie swoich podwładnych. Dziś od południa przejrzał wszystkie, ale Chana albo kogoś chociaż podobnego do niego próżno było na nich szukać. W sumie naliczył osiemdziesięciu różnych klanowych żołnierzy, ale żaden z tych, na których udało mu się uchwycić twarze, nie przypominał niedoszłego mordercy jego syna. Czy to w ogóle było możliwe? Czy istniało prawdopodobieństwo, że Hakan wysłałby do wykonania tak ważnego zadania jakiegoś bezimiennego, niesprawdzonego człowieka? Kogoś, kto do tej pory nawet na moment nie zbliżył się do któregoś z braci Ozalanów? Kto nie miał z nimi choćby krótkiego osobistego kontaktu?

Owszem, ostatnie półtora roku Szatan odpuścił. Dopelnienie zemsty na rzeźniku jego rodziny, najstarszym z synów Hakana, sprawiło, że jego dusza doznała częściowego ukojenia. To i tak było więcej, niż mógłby marzyć. Widok sponiewieranego, upodłonego i błagającego o życie Yusufa Ozalana pozwolił choć odrobinę zaleczyć ranę, która ropiała przez ćwierć wieku, a świadomość, że morderca Edyty i Ani skończył jako produkt wydalony przez jelita Władymira, pozwoliła skupić się na czymś innym niż chłanie wódki i wizualizowanie sobie kolejnych aktów zemsty. W jego życiu pojawił się Aleksander, ocalały syn, którego żona powiła tuż przed śmiercią, a Hakan oddał w swoistym rozliczeniu krzywd Cyrylowi na wychowanie, ten zaś zrobił z niego bezwzględneho bandytę, który dziś musiał odcierpieć swoje. Wszystko to jednak nadało Szatanowi nowy cel w życiu i tablica korkowa pokryła się kurzem, tak samo pudła ze zdjęciami, dokumentami i innym szpargałami, on sam zaś przestał na co dzień żyć tylko i wyłącznie pragnieniem krwawej wendetty i zamiast przesiadywać pod barami, dziupłami czy biurami Ozalanów, po prostu skupił się na jako takim dostosowaniu do nowych realiów. Dlatego mógł coś przegapić. Mógł przegapić Chana. Mógł nie dostrzec zagrożenia. Co z tego, gdy jego policyjny nos podpowiadał mu, że nie w tym rzecz, a sprawa ma drugie albo trzecie dno.

Zgasił papierosa w pełnej kiejów popielniczce i już miał z powrotem chwycić laptopa, gdy z góry poniósł się huk walenia pięścią w drzwi. To mogła być tylko jedna osoba, więc olał temat.

– Wiem, że tam jesteś! – rycał mężczyzna na ganku. – Otwórz drzwi, Zyg-munt! Byłem w szpitalu i powiedzieli mi, że się wypisałeś, a w kuchni pali się światło!

Facet nie przestawał. Tłukł w drzwi i jak go znał, zanosiło się, że dopóty nie przestanie, dopóki te nie zostaną otwarte. Spojrzał na zegarek i podparłszy się dłonią o blat stołu, wstał z fotela i pokuśtykał w kierunku wąskich schodów. Wszedł na górę, następnie wstawił wodę, w końcu otworzył drzwi.

– I co się tak pieklisz? Wiesz, która jest godzina? – zapytał.

– Dzwoniłem do ciebie chyba z kilkanaście razy. Dlaczego nie odebrałeś?

– Chory byłem.

– Jasne... Wpuścisz mnie?

Szatan odchrząknął i zrobił gościowi miejsce. Emil Poleski wszedł do środka i otrzepał się z drobinek śniegu, które zaległy na rękawach jego płaszczu. Spojrzał na buty, ale gospodarz tylko machnął ręką i gestem dłoni wskazał mu drogę, więc kurtuazyjnie stuknął nimi kilka razy w wysłużoną wycieraczkę i wszedł do kuchni. Zerknął na świstek papieru, na którym narysowany był symbol przypominający „M”, ale Szatan ściągnął go ze stołu i wsadził do kieszeni.

– Kawy? – zapytał, łapiąc za uchwyt czajnika.

– Jak zawsze – odparł Emil, siadając na krześle.

Przez chwilę przypatrywał się nadkomisarzowi. Wyglądał chyba jeszcze gorzej niż w momencie, gdy pił. Dziurawe sztruksowe spodnie na szelkach i ni to bluza, ni sweter, oczywiście poplamiona od rozmazanego poślinionym palcem popiołu. Resztki włosów, które kończyły się na wysokości uszu, były rozczło-

chrane, przez co wyglądał jak wyłysiały doktor Emmett Brown z *Powrotu do przyszłości*. Gdy zalewał wrzątkiem kubki z kawą, jedną ręką wciąż podpierał się o blat.

– Od dłuższego czasu próbuję skontaktować się z Lutą, ale nie odbiera – powiedział Emil, gdy Szatan w końcu postawił naczynia na stole. – A w zasadzie jest poza zasięgiem – uściślił.

– Wiesz, jaka ona jest...

– Wiem, ale nie jestem głupi, i wiem też, że coś się dzieje. Najpierw to jej dziwne zachowanie u mnie w domu, potem... – Poleski przełknął ślinę – ... potem śmierć jej dzieci i atak na Aleksandra w areszcie. W mediach trąbili, że napastnik wykrzyczał pozdrowienia od Hakana, a od pogrzebu z Lutą urwał się kontakt. Powiesz mi, o co chodzi?

Szatan zdążył się rozsiąść po swojej stronie stołu. Wyjął papierosa i zapalił, po czym umoczył usta w gorącym napoju.

– Co ty chcesz ode mnie usłyszeć? – zapytał.

– Prawdę. Nie jestem idiotą i wiem, że to, co wydarzyło się w Świebodzinie, to wasza robota. Luta też tam była, prawda?

– Mającysz.

– Nie kłam, Zygmunt. Wiem, kim była i że jeździła na misje. Owszem, nie lubi o tym mówić, a ja jej specjalnie nie naciskam, ale znam ją nie od dziś. Potrafię czytać między wierszami.

– Taki z ciebie, kurwa, psycholog, tak? – Szatan znów upił kawy, zerkając spod byka.

– Dobry pisarz musi być dobrym obserwatorem. Tak jak dobry pies.

– Masz o sobie za duże mniemanie, chłopaku. I coś ci powiem. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. To, że ze sobą sypiacie, nic w tej kwestii nie zmienia. I jeśli Lutka zdecydowała się nie podejmować z tobą pewnych tematów nawet po tym, jak już przetrzepiecie pościel, to nie licz, że wyciągniesz coś ode mnie.

Emil zamknął powieki i podrapał się po czole. Znał Szatana wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że gdy się na coś uprze, to choćby stanąć na rzęsach, to nic się z niego nie wyciągnie.

– Czy ona jest bezpieczna? – zapytał po dłuższej chwili.

– Już ci powiedziałem i powtarzać nie będę.

– Chcę tylko wiedzieć, czy nic jej nie grozi. Zygmunt, do jasnej cholery! Nie bądź chuj i powiedz cokolwiek.

– Nie jest ci obojętna, prawda?

– Nie jest mi... obcą osobą.

– Pierdolisz, chłopaku. Widzę to w twoich oczach, ale tym bardziej nie powinienem wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Ja ją do ciebie przyprowadziłem. Już zapomniawsz? – Ton Emila zmienił się na bardziej konfrontacyjny.

– I co z tego? – Szatan nie dał się wyprowadzić z równowagi. Spokojnie zgasił peta w popielniczce. – To nie ma nic do rzeczy, Emil. I na pewno do niczego cię



nie uprawnia. Cokolwiek wiesz albo cokolwiek wydaje ci się, że wiesz, najpewniej nie jest prawdą, a jedynie twoim wyobrażeniem. A że jesteś pisarzem, to chyba mogę założyć, że wyobraźnię masz bujną. Nie powiem ci nic, bo sam nic nie wiem. I nawet jeślibym wiedział, to najpewniej bym ci nie powiedział.

– Chcę tylko wiedzieć, czy jest bezpieczna...

– Myślę, że powinieneś już iść.

– Czyli nie jest – wycedził przez zęby. – Znamy się od lat, Zygmunt, a traktujesz mnie jak frajera. Przychodzę, bo chciałem dowiedzieć się czegoś o mojej kobiecie, a ty pierdolisz mi tu jakieś frazesy, od których uszy więdną. Nie wiem, co knujesz, ale zaczynam podejrzewać, że znów chcesz się nią wysłuchać.

– Posuwasz się za daleko – ostrzegł Szatan, który wciąż jeszcze próbował utrzymać emocje na wodzy. – Jeszcze jedno słowo i...

– I co? Co mi, kurwa, zrobisz? – warknął Emil. – Wyrzucisz mnie z domu i dalej będziesz knuł te swoje spiski? Co było na tym świstku, że go tak gwałtownie zwinąłeś do kieszeni? Co ukrywasz? Teraz kombinujesz coś z Tatarami? Co oni ci zrobili?

– Co powiedziałaś? – Szatan chwycił Emila za nadgarstek, przy okazji łokciem wylewając swoją kawę.

– To, co słyszałeś. Jeśli coś jej się stanie, to przysięgam, że...

– O Tatarach. – Zakleszczył palce jeszcze mocniej. – Dlaczego to powiedziałaś?

– Ślepy nie jestem. Widziałem, coś tam zwinął do kieszeni. A teraz puść mnie, bo...

– Chodziło ci o Turków, czy tak? Turków, a nie Tatarów?

– Jakich Turków? Tatarów, powiedziałem. Chyba znasz różnicę pomiędzy Turkami a Tatarami. A teraz weź tę rękę z mojego nadgarstka i powiedz...

– Zamknij się i słuchaj. – Szatan poluzował uchwyt i wygrzebał z kieszeni pognieciony świstek. Rozłożył go na stole i obrócił w stronę Poleskiego. – Znasz ten symbol? Wiesz, co on oznacza?

Emil prychnął.

– To tamga, symbol narodowy Tatarów krymskich – powiedział z wyraźną pogardą w głosie. – Widnieje choćby na ich fladze.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wiem.

Szatan chwycił odłożonego na parapet laptopa, podłożył na oblaną kawą ceratę przewieszoną przez krzesło szmatę i zaczął stukać w klawisze. Emil przyglądał mu się niepewnie, bo jeszcze nigdy nie widział starego tak podekscytowanego. Wyglądał niemal komicznie i skojarzył mu się z jakimś szalonym naukowcem, który właśnie wpadł na trop teorii zmieniającej dotychczasowy układ wszechświata.

– O co chodzi z tymi Tatarami, co? – zapytał po dłuższej chwili. Szatan nie zareagował. Jego źrenice chłonęły obrazy wyświetlane na ekranie, jakby nagle zamienił się w dwunastolatka, który w internecie właśnie natknął się na pierwszego pornosa. – Powiesz mi, co się dzieje, bo najwyraźniej...

– Czekaj.

Kolejnych kilkadziesiąt sekund minęło w milczeniu. Emil dopił kawę, próbując utrzymać nerwy na wodzy. Zżerała go ciekawość, bo najwyraźniej wskazał rozmówcy jakiś trop, którego ten wcześniej nie uchwycił. Mimo to postanowił nie naciskać, bo i tak napiął strunę do tego stopnia, że ta mogła strzelić w każdej chwili i Szatan po prostu wyrzuciłby go z chałupy. Teraz jednak nie miał już najmniejszych wątpliwości, że ten symbol w jakiś sposób dotyczy sprawy. Świadomość, że Luta miała w sobie domieszkę ukraińskiej krwi, nie tylko tę hipotezę uprawdopodobniała, ale obecnie niemal upewniała go w tym, że trafił w punkt. Tylko o co mogło chodzić? Co wspólnego z Ozalanami mogli mieć Tatarzy krymscy?

W pewnym momencie Szatan zamknął laptop i drżącą dłonią wygrzebał z leżącej na blacie wymiętej paczki papierosa. Wsadził go do ust, przypalił, zaciągnął się. Wydmuchał gęstą chmurę dymu i schował głowę w dłoniach.

– Na dziś koniec pogaduszek – oznajmił, po czym podniósł wzrok na Emila. – Idź już, bo muszę pomyśleć.

– Ty chyba żartujesz – prychnął Poleski. – Nie wyjdę stąd, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi i czy Lucie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Nawet ten twój knur ci nie pomoże i...

– Emil... – wciął się gospodarz. Nachylił się nad stołem i wbił spojrzenie w oczy Poleskiego. – Starczy na dziś. Wstań, obróć się i wyjdź z mojego domu. Nie mówię tego, bo cię nie lubię albo nie szanuję, ale dlatego, że pewne sprawy cię przerastają, a prawda, o którą tak tu walczysz, może cię kiedyś zabić.

Ciężka atmosfera w jednej chwili stała się galaretowata i gdyby w ręce Emila nagle pojawił się nóż, to spokojnie mógłby nim pokroić powietrze dzielące go od Szatana. Ton nadkomisarza nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma sensu się dalej upierać. Jego niechęć do udzielenia odpowiedzi też była jakąś odpowiedzią.

– Prześpij się i zadzwoń jutro rano – dodał, samemu podnosząc się krzesła. – Wtedy być może będę mógł powiedzieć coś więcej. A teraz idź już.

Emil skrzywił się, ale wstał i niechętnie ruszył w stronę wyjścia. Pomyślał, że o przespaniu nocy może zapomnieć. Pomyślał też, że dałby wszystko, aby móc znów zobaczyć Lutę.

## Rozdział 34

S potkali się na trzecim deku przy wieży wiertniczej. Trasę pokonali błyskawicznie. Luta zewnętrznym rusztowaniem, a Borys zamaskowaną wcześniej klatką schodową. Mieli sporą przewagę czasu, więc na spokojnie mogli omówić kolejne kroki. Schowali się do jednego z pomieszczeń wypełnionych pompami, rurami i zaworami, gdzie w kilku żołnierskich słowach przypomnieli plan, po czym Luta przejęła snajperkę i pospiesznie zaczęła wspinać się na szczyt wieży.

W połowie drogi miała już dość, ale zacisnęła zęby i pięła się dalej. Gdy w końcu krańcowo wycieńczona stanęła na ostatnim stopniu, omal nie zemdląła. Tu bujało najmocniej, ale przegląd deku był zdecydowanie najlepszy. Kiedyś pracowała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wokół piku wieży budowali niewielkie, ale cholernie wymagające i ekstremalnie skomplikowane rusztowanie. Wtedy jeszcze się uczyła i głównie biegła z materiałem, więc doskonale opanowała pewną procedurę, która w obecnej sytuacji mogła właściwie zakończyć całą tę ciuciubabkę. Plan był dobry, ale wymagał idealnego zgrania i wyjątkowej precyzji. Do tego czasu miała przynajmniej kilka szans, aby ściągnąć ich ze szczytu bez obaw, że sama zostanie trafiona. W bardziej sprzyjających warunkach mogłaby strzelać do nich jak do kaczek, teraz niekoniecznie, mimo to liczyła, że zanim się zorientują, gdzie jest, trafi przynajmniej kilku.

Na szczycie wiało tak potężnie, że momentami musiała trzymać się poręczy, aby ustać na nogach. Do tego zacinający deszcz, zgrzyt pracujących na wietrze elementów wieży i jak okiem sięgnąć czarne, wściekłe morze. Z tego niewielkiego punktu o średnicy czterech metrów wszystko na dole wyglądało, jakby było zbudowane z klocków LEGO, a ludzie przypominali mrówki. Oczywiście dystans, który nie przekraczał dwustu metrów, dla strzelca wyborowego wydawał się śmieszny, ale Luta jeszcze nigdy nie strzelała w tak koszmarnych warunkach. Gdy przykucnęła i przypięła się pasem do stalowego wspornika, a następnie przytknęła broń do ciała, zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle ma sens. Owszem, w oku lunety widziała wszystko jak na tacy, a odległość do potencjalnego celu wydawała się tak mała, że nawet silny podmuch nie powinien zmienić toru lotu pocisku na tyle, aby spudłowała. Jednak najpierw trzeba było przymierzyć, a to już nie należało do zadań prostych, zwłaszcza gdy wieża bujała się jak szczyt spławika. Tak czy siak, plan zakładał, że musiała oddać kilka strzałów, więc stłumiła niepożądane myśli. Ustawiła parametry, przełączyła na tryb nocny i przy-

tknęła oko do lunety, postanawiając w duchu, że cztery dodatkowe trupy uzna za swój mały snajperski sukces. Przeczesła najwyższy dek, który w porównaniu z niższymi był dużo mniej zabudowany. Odnalazła Borysa, który właśnie grzebał przy pasach zabezpieczających kontenery. Pod jego nożem strzelały jak naprężone do granic możliwości struny i ze złowieszczym zgrzytem niemal natychmiast zaczynały przesuwac się po deku w swoistym tańcu granym przez wiatr i uderzające o podstawę platformy fale. W pewnym momencie Borys omal nie został zmiażdżony, ale na szczęście zaraz po tym, jak się poślizgnął, podniósł się i odskoczył.

Pozostało czekać.

Starła się oddychać spokojnie, choć wiatr i siekący deszcz wcale jej tego nie ułatwiały. Komin na twarzy na szczęście chronił od zimna. Co innego dłonie. W drodze na górę pięćdziesięciometrowej wieży zmieniła rękawiczki na te z cienkiej cielęcej skóry. One nie trzymały ciepła, ale jeśli chciała panować nad karabinem wyborowym, nie mogła użyć grubych i nieporęcznych, które nosiła wcześniej. Co kilkanaście sekund luzowała uchwyt i rozprostowywała palce, aby utrzymać stały przepływ krwi.

Cała konstrukcja jęczała i zawodziła, a zgrzyt stalowych elementów i huk wściekłego morza pobudzał wyobraźnię i wzbudzał pierwotny lęk przed potęgą natury. Ona sama, na szczycie wieży wiertniczej, niczym marynarz w bocianim gnieździe. Z tą różnicą, że marynarz lunetą szukał nadziei, a ona śmierci.

Zobaczyła pierwszego. Wyszedł zza lasu rur i przyklejony do jednej z nich, zaczął rozglądać się po placu. Znów rozprostowała palce i wskazujący położyła na spuście. Czekala.

W ciągu kolejnych kilkunastu sekund w zasięgu wzroku miała już siedem celów, a chwilę później jedenaście. Poruszali się ostrożnie, próbując unikać otwartych przestrzeni. Po drugiej stronie deku wyłoniło się kolejnych trzech. Skradali się, zaglądając do niezliczonych zakamarków, z karabinkami przy ciele, niczym profesjonalni żołnierze sił specjalnych. Gdy dwóch z nich dostrzegło przy jednej ze ścian przynętę, skinęli na kompanów i powoli ruszyli w tę stronę. Teraz trzeba było tylko czekać na silniejszą falę.

Ta przysła kilka sekund później. Platforma jęknęła niczym wyłaniający się z wody mityczny Kraken, wtedy najpierw jeden, a potem następne dwa kontenery runęły z częściowo otwartego deku numer cztery. Huk, trzask, zmiażdżone pomniejsze rusztowania, ale nic poza tym. Niestety, ta akcja nie przyniosła oczekiwanego skutku, poza chaosem w szeregach wroga. Chaos zaś brzmiał co najmniej dobrze.

Wypuściła powietrze i wzięła na cel dwóch, którzy stracili czujność. Stali obok siebie i agresywnie gestykulowali, więc ściągnęła najpierw jednego, a następnie, choć dopiero za drugim podejściem, jego kompana. Kilku innych natychmiast pochowało się po kątach niczym kuchenne karaluchy. Przez moment nic się nie działo, ale w końcu kolejny postanowił wystawić łeb zza jednej z pomp. Nie trafiła, a pocisk zrykoszetował o którąś z rur. Syknęła i rozprostowała palce. W ciągu następnych kilkudziesięciu sekund trafiła jeszcze tylko dwóch, trzykrot-

nie chybiając celu. W końcu postanowiła nie przedłużać i zaczęła strzelać bez celowania, wszędzie tam, gdzie dostrzegła jakiś ruch. Nie trzeba było długo czekać, aż się zorientują, gdzie się znajduje, i już po chwili kilka kul rykoszetowało na stalowych elementach wieży. To był znak, że priorytety się zmieniły i opcja wzięcia jej żywcem jest nieaktualna, ona zaś już nie mogła działać bezkarnie na odległość.

Przewiesiła karabin przez ramię i skupiła uwagę na nadbiegających wrogach. Z tego miejsca wciąż miała znakomity widok na większość deku. Tak jak założyła, kilku ruszyło na klatkę schodową z rusztowania, a większa grupa skierowała się schodami po gretingu. Borys czekał na górze tego pierwszego i gdy tylko ludzie Ozalana znaleźli się w połowie drogi, chwycił przygotowaną wcześniej czterometrową bimą i napał nią na rusztowanie, z którego Luta wcześniej pościągała stabilizujące ją diagonale i z którego odpięła kotwy. Klatka schodowa najpierw ciężko jęknęła, a potem przy akompaniamencie krzyków znajdujących się na niej mężczyzn, szarpnięta dodatkowym podmuchem wiatru, runęła wraz z nimi. Borys wychylił się i zerknął w dół. Leżeli przygnieceni pogiętymi elementami rusztowania, wijąc się i skamłąc z bólu, więc przycelował ze swojej beretty i każdemu z nich wpakował po dwie dodatkowe kulki w klatkę piersiową.

Wtedy sam poczuł szarpnięcie i jakaś siła cisnęła nim o barierki. Zaklął szpetnie, gdy zdał sobie sprawę, że właśnie został trafiony. Kątem oka zarejestrował mały rozbłysk pomiędzy rurami na trzecim deku, więc miał jeszcze trochę czasu. Oby, pomyślał. Oby się udało.

Wychylił się zza jednego z wciąż zabezpieczonych kontenerów i popatrzył na wieżę wiertniczą. Na schody u jej podstawy właśnie wbiegało ośmiu ludzi. Nie znali jego położenia i byli skupieni, aby wdrzeć się na samą górę. Wiedzieli, że gdy ją dopadną, już im się nie wywinie.

\* \* \*

Luta siedziała na szczycie wieży i czekała. Miała niecałe dwie minuty, zanim do niej dotrą. Według jej obliczeń pozbyli się już około trzydziestu przeciwników, co było nawet ponad plan. To tu miał się rozegrać finałowy akt i mocno wierzyła, że ten cios ostatecznie złamie morale bandy tych jełopów.

Raz jeszcze sprawdziła, czy przewieszona przez ramię broń jest odpowiednio zabezpieczona, po czym rozsupłała worek z pomniejszych elementami rusztowania, który przyniosła tu jeszcze przed przybyciem Ozalanów. W środku znajdowały się ścinki rur i fragmentów blachy, klipsy, śruby, nakrętki, zużyte piłki, kawałki drutów i wszystkie śmieci, jakie udało jej się pozbierać z deku. Odechnęła głęboko, słysząc zbliżającego się wroga. Naliczyła ośmiu, choć liczyła na więcej. Moszcząc się w najwyższym punkcie platformy, skąd jako snajper miała idealną pozycję do eliminowania przeciwnika, sama stała się dla nich celem idealnym. Szczyt wieży nie oferował zbyt wielu możliwości ucieczki i dawał zdecydowanie najlepszą możliwość, aby dorwać ją żywcem. Przygwożdżona, w starciu

z kilkoma bądź kilkunastoma przeciwnikami, prędzej czy później musiałyby ponieść klęskę.

Tak przynajmniej wyglądało to w teorii...

– Jesteś? – zapytała, przytykając dłoń do ucha, aby słumić szum wiatru.

– Jestem, ale sprężaj się, bo dostałem kulkę – odpowiedział Borys. – W kamizelkę, więc nic mi nie jest, ale już wiedzą, że nie jesteś sama.

– Szlag...

Podniosła się i wyjrzała na schody. Dłonie na poręczach znajdowały się już nie dalej niż pięć, może sześć pięter niżej. Chwyciła uprząż i założyła ją, a następnie otworzyła bramkę prowadzącą na zewnątrz, gdzie znajdowała się wyciągarka mająca na celu jak najszybsze przetransportowanie mechanika w czasie awarii na szczycie wieży. Wyjęła z kamizelki dwa granaty M68, wyciągnęła zawlecзки i przytrzymała mechanizm łyżki, który po jej odskoczeniu uzbierał się po dwóch sekundach, a po kolejnych siedmiu nastąpiła detonacja. Na styk, pomyślała, a gdy dostrzegła pierwszych wyłaniających się z klatki schodowej mężczyzn, wrzuciła je do worka.

– Teraz! – krzyknęła i w tej samej chwili wyciągarka gwałtownie ruszyła w dół.

Raz, dwa, zapalnik uzbrojony. Trzy, cztery, pięć...

Wyciągarka pruła z największą możliwą prędkością. Luta miała wrażenie, że spada.

Sześć, siedem, osiem...

Zostało piętnaście, może siedemnaście metrów...

Dziewięć...

Huk wybuchających granatów wstrząsnął całą konstrukcją. Siła eksplozji rozruciła zawartość worka na niewielkiej powierzchni, przebijając i rozrywając wszystko, co znalazło się na drodze. Stalową linką szarpnęło – Luta najpierw zatrzymała się dwa metry nad ziemią, a chwilę później spadła na nią, boleśnie objając sobie pośladki.

– Jesteś cała? – Borys chwycił ją pod ramię.

– Zapytaj tych na górze – jęknęła, podnosząc się w kucki. Odkaslnęła i lekko się zachwiała.

– Zuch dziewczyna. Dasz radę?

– Nic mi nie jest.

Borys pomógł jej wstać i oboje ruszyli na greting opasający zachodnią część platformy. To tam wiało najbardziej, więc z założenia nie do końca przygotowaniu pod względem odzieżowym napastnicy mogli tego miejsca unikać. A że było dodatkowo mocno zabudowane rusztowaniem, znajdowało się w nim wiele kryjówek, gdzie mogli chwilę odsapnąć. Gdy w końcu znaleźli jedno z takich miejsc, okryte plandekami pomiędzy sporych wymiarów zbiornikami, skryli się i upewniwszy się, że w najbliższej okolicy nie ma ludzi Ozalanów, przysiedli w kucki.

– Ilu ich zostało? – zapytała Luta.

– Niewielu. Trzech, czterech, maks siedmiu, biorąc pod uwagę niedobitków, którzy zostali na pierwszym deku.

– Dowódca?

– Jest cwany i trzyma się z tyłu. Tak jakby od początku spodziewał się, że to nie będzie bułka z masłem. Zresztą kilku z nich to byli żołnierze. Wiedzą, jak się zachować, działają pod dyktando, poruszają się jak specjaliści. Myślę, że to właśnie jeden z nich mógł mnie trafić. Ale... – poklepał ją po ramieniu – ...ale prawie ich mamy, Lutka.

– „Prawie” robi dużą różnicę – odparła, na przemian rozprostowując i zginając palce. – A ja już nie czuję rąk.

– Oni tym bardziej. Wciąż mamy przewagę, więc uszy do góry.

Głośny trzask sprawił, że Borys odwrócił się na pięcie i wysunąwszy pistolet przed siebie, lufą delikatnie odchylił fragment plandeki. Wyrzął na zewnątrz, ale źródłem hałasu mogło być wszystko. Na deku walało się mnóstwo zabezpieczonego materiału, co nie znaczyło, że jakiś element nie mógł zostać porwany przez wiatr. Kiwnął na znak, że to fałszywy alarm, po czym ściągnął swoje rękawiczki i uchwyciwszy dłonie Luty, zaczął je pocierać, w końcu kilka razy chuchnął w zgrabiałe palce.

– Dzięki – mruknęła i wyjęła z kieszonki kamizelki świeżą parę. Nałożyła je i podparłszy się, podniosła się z kolan. – Od teraz trzymamy się razem i się ubezpieczamy. Spróbujemy wyeliminować tych, co są na górnym deku, a potem będziemy schodzić na niższe. Nastawiamy się na ośmiu. Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy się gdzieś pomylili w obliczeniach.

– Ty tu rządzisz. Gotowa?

Luta przytaknęła i jako pierwsza dyskretnie wyrzała zza plandeki. Na zewnątrz nie było nikogo. Na razie...

\* \* \*

Batukan był zdruzgotany.

Zastanawiał się, czy w ogóle powinien kontynuować tę operację. Nie był nawet pewny, ilu ludzi mu zostało, bo oprócz dwóch przybocznych, przez radio odpowiadał jeszcze tylko jeden. Pomyślał, że dowodzi bandą kretynów. Wolał trzymać się tej myśli, bo świadomość, że po prostu nie docenił tej kobiety, choć niechętnie przebijając się przez twardą skorupę żołnierskiego ego, wciąż jawiła się jako niedorzeczność, która po prostu nie miała prawa się wydarzyć. No bo jak w ciągu kwadransa mógł stracić prawie cały oddział? Oddział, kurwa mać, jaki oddział, myślał? Poza paroma byłymi żołnierzami to była zbieranina uliczników, zwykłych oprychów i łamaczy kości. Nic więcej.

Tu nie miał już czego szukać. Ich było trzech przeciwko dwojgu. Kim był mężczyzna, który jej pomagał? Bez wątplenia profesjonalistą. A skoro we dwójkę zdołali wyróżnić całą czeredę ludzi, którymi dowodził, to nawet w towarzystwie tych z doświadczeniem wojskowym nie mógł czuć się bezpiecznie. To był jej teren i znała tu każdy zakamarek. Przypuszczał, że kiedyś musiała tu pracować, mimo to nawet przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, że jedna kobieta może doprowadzić do takiej katastrofy. Bo to była katastrofa. Gorzej, to był kataklizm

i apokalipsa w jednym. Prawie czterdziestu ludzi zostało wyciętych w pień, a ona wciąż była poza jego zasięgiem. Na tym specyficznym terenie poruszała się niczym duch, wykorzystywała jego ukształtowanie i każdy element, który mógł jej w tym pomóc. Śmierć mogła czaić się dosłownie wszędzie. Do tego ta pogoda. Obmyśliła to sobie perfekcyjnie, a stary i głupi Ozalan dał się wciągnąć w grę na jej zasadach. Dopiero teraz to do niego docierało. Z każdym mroźnym podmuchem wiatru, każdą chłostającą jego twarz kroplą deszczu i z każdym skrzypnięciem gargantuicznej konstrukcji. Jak mógł dać się tak podejść? Tak rozegrać? Tak ośmieszyć?

– Wracamy do łodzi – zakomenderował swoim przybocznym i cała trójka, wzajemnie się ubezpieczając, ruszyła gretingiem na niższy dek.

Batukan od czasu do czasu próbował wywoływać swoich ludzi przez radio. Kilku się odezwało, ale wydawali się kompletnie pogubieni. Dwóch nie potrafiło określić swojej pozycji, inny coś niezrozumiale bredził, a jeszcze kolejny charczał, jakby ktoś wyrwał mu język. Gdy w pewnym momencie kilka metrów od nich osunął się łańcuch, na którego końcu zamocowany był wielki hak, na nim zaś za żuchwę zahaczony jeden z jego ludzi, pomyślał, że sprawa jest już absolutnie przegrana.

– Idę po was... – usłyszał w słuchawce kobiecy głos. Miał wrażenie, że wybrzmiał mu w głębi mózgu i pomimo kakofonii burzowych odgłosów nie miał wątpliwości, że to ten sam charakterystyczny turecki akcent.

Nic nie odpowiedział. Chciał cisnąć słuchawkę gdzieś w mrok, ale powstrzymał się i pospiesznie zaczął schodzić z dwójką swoich ludzi na najniższy dek. Klatka schodowa była dobrze osłonięta, więc poczuł się trochę bezpieczniej, mimo to w jego głowie panował kompletny chaos, a głos tej kobiety rezonował mu pod czaszką niczym echo. Idę po was, powiedziała i zrobiła to z takim przekonaniem, że uwierzył jej na słowo. Role się odwróciły i teraz to on był zwierzyną, a ona myśliwym.

Zbiegając na pierwszy dek, wiedział już, że jedyną szansą jest ewakuacja. Nie mógł z nią konkurować. Nie na tej platformie wiertniczej i nie podczas tego sztormu. Gdziekolwiek by się przed nią schował, ona go znajdzie. Albo wyczeka. W jakiejś wnęce, za plandeką, jakąś pompą czy rurą. Wyczeka, a później zabije. Kilka kolejnych trupów z poderżniętym gardłem albo przestrzeloną głową, które minął po drodze, tylko go w tym przekonaniu utwierdziły. Przyjazd tu był koszmarnym błędem. Pomyłką oszalałego z gniewu starca, którego imperium tak naprawdę już legło w gruzach.

Nie miał zamiaru za niego umierać.

Uczepił się tej myśli, jakby w jakiś magiczny sposób miała go przenieść na bezpieczną łódź, którą oczami wyobraźni już pruł przez fale w kierunku brzegu. Co z tego, gdy musiał jeszcze pokonać dobrych sześćdziesiąt metrów otwartego terenu na kei. Co prawda wszystko wskazywało na to, że miał jeszcze przynajmniej kilkadziesiąt sekund przewagi, ale przecież ona знаła tę konstrukcję jak własną kieszeń. Mogła poruszać się skrótami, o których nie miał pojęcia. Może właśnie na niego czekała? Może wyłoni się zza rogu albo po prostu strzeli mu



w plecy? Zrozumiał, że panikuje. Jeszcze nigdy nie znalazł się w tak złym dla siebie położeniu. Miał wrażenie, że naprawdę ściga go nie kobieta z krwi i kości, ale zły pustynny duch, o którym w młodości opowiadał mu dziadek i ojciec. Wiedźma powstała ze związku szatana i kobiety z ognia.

*Ghula...*

Widok kolejnego z jego ludzi przywrócił go do rzeczywistości. Mężczyzna leżał pod jedną z szerokich kolumn, trzęsąc się jak galareta. Jego twarz nie przypominała niczego co ludzkie. Była zlepkiem stopionej skóry i wełny z kominiarki, którą miał na głowie, przez co przypominał jakiś nieudany projekt monstrum z planu filmowego horroru klasy C. Bez wątplenia był ślepy i pewnie głuchy, mimo to wciąż żył i łączywie łykał powietrze przez usta, a raczej otwór, który powstał w ich miejscu po starciu z rozgrzanym aluminium.

Batukan przeszedł obok niego, rozglądając się po deku, wtedy jego oczom ukazał się prawdziwy obraz tragedii, która wydarzyła się tu kilkanaście minut temu. Dostrzegł jeszcze sześć powykręcanych w spazmatycznych pozach ciał, dogorywających niczym zastygające w strugach deszczu ludzkie posągi. Nie to jednak sprawiło, że poczuł, jak po plecach spływa mu lodowaty dreszcz. Gdy dotarł do prowadzącej na keję klatki schodowej, z przerażeniem odkrył, że już jej nie ma. Na wszelki wypadek stanął na krańcu deku i wyjrzał na keję, aby upewnić się, czy na pewno nie znalazł się w jakimś innym, bardzo podobnym miejscu. Wątpliwości uleciały błyskawicznie. Roztrzaskana klatka schodowa przypominała teraz tylko kłębowisko powyginanych rurek, podestów i barierek, które co silniejsze podmuchy i przelewające się fale raz po raz miotają po całej kei.

Dopiero wtedy, w blasku jednej z błyskawic, kątem oka dostrzegł za pobliską plandeką jakiś ruch. Nie zastanawiając się ani chwili, przykucnął, wycełował i nacisnął na spust.

\* \* \*

Cień za plandeką runął na greting.

Luta mocniej ścisnęła w dłoni uchwyt beretty. Prawie nie miała już czucia w palcach, ale to oznaczało, że ostatni z przeciwników również. Nie byli przygotowani na takie warunki pogodowe, mimo to ten, którego ścigali, wydawał się silniejszy. Kilka razy przemknął jej pomiędzy gretingiem albo rurami, ale poruszał się jak profesjonalista, nie dając jej szans na strzał. Zwykle, gdy pojawiała się okazja na jego oddanie, a ona przytykała broń do ramienia, facet zniknął jej z oczu, w związku z czym nie chcąc tracić kolejnych cennych sekund, ruszała za nim. W pewnym momencie omal nie straciła czujności, bo jeden z wrogów zupełnie zniemacka wyłonił się zza filaru, na szczęście kroczący za nią Borys załatwił sprawę błyskawicznie.

– Spuśćmy im niespodziankę – rzucił, chwytając za hak od wiszącej na belce knary. Patrzyła, jak wbija go pod żuchwę dogorywającego faceta, a potem przrzuca ciało przez barierkę. Nie oponowała. Taki prezent miał na celu zasiać w głowach niedobitków jeszcze więcej chaosu. Miał ich mentalnie dobić.

Według wyliczeń pozostało czterech mężczyzn. Brzmiało świetnie, ale uczono ją, żeby nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Zwykle ci, którzy przetrwali najdłużej, należeli do najlepszych. Dlatego ostatnie stopnie pokonali w największym skupieniu, bez pośpiechu, który towarzyszył im jeszcze kilkadziesiąt sekund wcześniej. W pewnym momencie przez burzową kakofonię przebił się huk wystrzału. Zamarli, przykleiwszy się do ściany jednego z obiektów, a gdy zdali sobie sprawę, że to nie oni znaleźli się na celowniku, przyspieszyli kroku.

Borys poruszał się już tylko nie dalej niż trzy metry za Lutą. Był niczym cień, od czasu do czasu ubezpieczając tyły, na wypadek gdyby pomylili się w obliczeniach. Gdy doszli do narożnika, zza którego było widać zejście na keję, Luta zatrzymała się, a następnie delikatnie wychyliła. Ucieszyła się, nie widząc śladu po klatce schodowej. Pomyślała, że Mustafa sprawił się należycie, a gdy dostrzegła trzy postaci krzątające się przy łopoczącej na wietrze plandecie, dała znak Borysowi, aby się cofnął i zaszedł ich od strony rusztowania prowadzącego do zniszczonego wieszaka. Odczekała chwilę, aby zajął dogodną pozycję, a gdy poinformował ją przez radio, że jest gotowy, na trzy wychynęła zza winkła i upewniwszy się, że nie chybi, opróżniła resztę magazynka. Borys zrobił dokładnie to samo i sekundę później trzy postaci leżały, wijąc się w śmiertelnych spazmach.

Zbliżyła się do nich i jednego od razu dobiła strzałem w głowę, ale gestem dłoni powstrzymała Borysa przed wykończeniem Batukana. Kątem oka dostrzegła opartego o rusztowanie Mustafę. Trzymał się za lewy bok i patrzył na nią przerażonym wzrokiem.

– To dowódca – wymamrotał, wskazując na broczącego krwią Batukana. Jego głos porwał wiatr, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Turka, który z trudem łapał ustami powietrze. Trzymał się za szyję, a przez jego palce przeciekała krew. Oprócz tego miał pokiereszowane nogi, bo klatkę piersiową chroniła kamizelka kuloodporna.

– Ty jesteś jego najlepszym człowiekiem? – zapytała, kucając nad Batukanem. Ściągnęła mu z twarzy kominiarkę. – Jeśli tak, to... – Zmarszczyła brwi.

– A więc pamiętasz... – wyjęczał Turek, z jego ust wypływała krew. – Wieki temu, co? Więc też wpadłem ci w oko i...

– Zamknij się... – westchnęła i wycelowała w jego głowę. Przypomniała sobie tę twarz i nagle poczuła, że trudniej jej pociągnąć za spust.

Podniosła się z kucek, nie spuszczać lufy pistoletu z obranego celu.

– A pomyśleć, że... pomyśleć, że... kiedyś chciałem...

Zamknęła oczy i nacisnęła spust. Kula wbiła się w płat czołowy i przeszła mózg, a następnie wyłupała fragment czaszki wielkości zakrętki od butelki i zrykoszetowała o greting.

Luta pociągnęła nosem, wytarła dłonią śluz i na moment złapała kontakt wzrokowy z Borysem. W jego oczach wybrzmiewała seria pytań, ale nie zdecydowała się podjąć tematu. To nie było dobre miejsce i czas. Przeniosła wzrok na Mustafę. Siedział wsparty o jedną z barierek i wyglądał, jakby stracił wszelką nadzieję. Podeszła i szarpnęła go za ramię.

– Trzeba to opatrzeć – oznajmiła i skinęła na drzwi do jednego z pomieszczeń gospodarczych. Chwilę później cała trójka zniknęła w środku.

Gdy Luta odkażała ranę Mustafy, jego ojciec w swojej chronionej rezydencji bił pokłony w stronę Mekki. Modlił się żarliwie, aby Allah obdarzył go możliwością srogiej zemsty. Wczesnym rankiem na jego smartfon przyszła tak bardzo oczekiwana wiadomość od Batukana.

Odebrał. Odczytał. Jego serce znów niebezpiecznie przyspieszyło, a chwilę później odmówiło posłuszeństwa. Gdy zapadał się w mrok, przed oczami wyświetlało mu się tylko to jedno zdanie.

*Teraz idę po ciebie. L.K.*

## Rozdział 35

Z e snu wybudził go Wacek.

Kogut wspiął się na psią budę i piał wyjątkowo zawzięcie. Szatan chrapnął i otworzył jedno oko. Spojrzał na zegarek.

– Zamknij się, bo przerobię cię na rosół – mruknął i kopnął w ścianę, czym rozjuszył Wacka jeszcze bardziej.

Po gospodarstwie poniosły się kolejne Wackowe śpiewy. Jeśli Władymir z powodzeniem mógłby startować w konkursach na największe knurze uszy, to Wacek bez wątpienia byłby jednym z liderów w zawodach, gdzie zwyciężcę wyłaniałby wynik określony ilością decybeli, jaką ten osiągnąłby podczas piania. Szatan jeszcze przez chwilę próbował zwalczyć ochotę rozstania się z kocem, po czym w końcu szarpnął za brzeg i postawił stopy na podłodze. Kleiła się, zresztą jak wszystko w jego domu, więc specjalnie się tym nie przejął i sięgnął po paczkę papierosów. Zapalił i chwycił smartfon. Dochodziła szósta rano, czyli spał jakieś dwie godziny. Potarł czoło, a następnie powieki, próbując zrzucić z siebie senny całun.

Luta – to była jego pierwsza myśl, gdy w końcu oprzytomniał. Druga – Tatarzy krymscy.

Poprzedniego dnia przez pół nocy próbował poskładać te wszystkie puzzle w jakiś jeden sensowny obrazek, ale nie potrafił. Co wspólnego z Ozalanami mógł mieć jakiś Tatar z Krymu? Jak znał zasady panujące w klanie, to nie przyjmowano do niego obcokrajowców. To znaczy czasem kogoś podnajmowano, ale nie do sprawy tak wielkiego kalibru. Poza tym Ozalanów i Tatarów krymskich dzieliło prawie wszystko. Owszem, używali podobnego języka i łączyła ich wiara w Allaha, ale nawet tu oba wyznania, zwłaszcza zaś sama tradycja, różniły się jak pieprz i sól. Dlaczego więc wysłano Tatara, aby zabił Aleksandra? I dlaczego, do cholerny jasnej, syn twierdzi, że facet go przepraszał?

Postanowił, że o tej porze i w takim stanie nic więcej nie wymyśli. Chwycił drugi telefon, z którego kontaktował się z Lutą. Przed snem wysłał jej wiadomość, ale ta wciąż nie dotarła. To jeszcze nie musiało nic znaczyć, bo ostrzegła go, że na platformie wiertniczej, i to podczas sztormu, zasięg może być mocno ograniczony. Miał jednak kiepskie przeczucie. Sam nie potrafił tego jednoznacznie określić, ale odnosił wrażenie, że coś się wydarzy. Coś złego. A że jego policyjny nos rzadko się mylił, nie mógł się od tego przeczucia opędzić, nawet gdy

chwilę później się oporządził i zjadł kanapkę z pasztetem. Co gorsza, Wacek miał nieustannie, jakby naprawdę chciał zrobić mu na złość.

Wtedy naszała go niepokojąca myśl. Kogut był upierdliwy i naprawdę potrafił pisać jak wściekły, ale zwykle robił to wtedy, gdy kolejna kura zniosła jajko albo po prostu musiał uwolnić nasycony po nocy poziom testosteronu. Teraz jednak pisał jakby inaczej. Ta melodia nieznacznie się różniła, ale Szatan znał tego czarnego diabła od lat i potrafił wychycić fałszywą nutę.

Odstawił kubek z resztką kawy, podciągnął spodnie i wyjrawszy przez okno, otworzył drzwi wejściowe. Na zewnątrz panowała niezmacona cisza, a skórę na nagich ramionach szczypał mróz. Wacek też chwilowo umilkł, tylko gdzieś w oddali zawył jakiś pies. Wszystko tonęło w mroku, więc zapalił wiszącą nad drzwiami lampkę i rozejrzał się po ganku. Nic, żadnego ruchu, tylko leniwie prószący śnieg. Wyciągnął papierosa, ale gdy zorientował się, że zostawił w kuchni zapalniczkę, postanowił wrócić do domu. Gdy już okręcił się na pięcie, usłyszał za plecami trzepot skrzydeł. Aż podskoczył z wrażenia, przez co znów chrupnęło mu w krzyżu.

– Ty... – krzyknął w kierunku pędzącego w stronę kurnika Wacka, ale nie dokończył, sycząc z bólu.

Odetchnął. Ostatnio miał wrażenie, że gada głównie ze zwierzętami, jak nie z kogutem, to z knurem, a jak nie z knurem, to z kotami przybłądami, które od czasu do czasu dokarmiał. Pomyślał, że chyba jest przewrażliwiony, a cała ta sytuacja wpływa na niego nazbyt destrukcyjnie. Gdy już miał wrócić do domu, usłyszał coś jeszcze. Przystanął, zmarszczył brwi, wsłuchał się w dobiegające z podwórza odgłosy. Władimir potrafił harcować jak stado dzikich koni, ale o tej porze zwykle spał. Teraz jednak zakwiczał i zaczął tarabanić się w swoim boksie, jakby nie jadł od tygodnia.

– Co, do pieruna? – mruknął sam do siebie, ale po chwili zdał sobie sprawę, że przez to wszystko zapomniał wczoraj dać mu paszy. – Stary i głupi się robisz. Stary i głupi – westchnął. – Jeszcze rok czy dwa i zapomnisz, jak się nazywasz.

Pomyślał, że nie może zostawić starego przyjaciela głodnego, zwłaszcza że Władimir był uparty i wiedział, jak dbać o własne potrzeby. Szatan nie miał wątpliwości, że jeśli go nie nakarmi tu i teraz, to knur nie da mu spokoju do momentu, aż pasza nie wyląduje w korycie. Splunął na podwórze i wrócił do wiatrolapu, skąd zwinął pod pachę kilka kolb kukurydzy, parę porów i niewielką siatkę najtańszych jabłek, po czym chwycił przerzucony przez oparcie krzesła dziurawy sweter i z powrotem wyszedł na ganek. Włożył nieodpalonego papierosa do ust i szedł po schodkach na podwórze.

Ziemia była skuta mrozem i najeżona lodowymi pułapkami, wszystko zaś przykrywała cienka warstwa białego puchu. Zaklął pod nosem, że nie wzięął latarki, bo w wielu zagłębieniach zebrana woda zamarzała, przez co podłoże było bardzo śliskie i łatwo można było wywinąć orła. Nie chciał znów wyróżnić się i trafić na wózek, więc przez chwilę ważył wszystkie za i przeciw, ale blade światło księżycy pozwalało dostrzec drogę, toteż odcharknął, splunął i małymi kroczkami ostrożnie ruszył w kierunku chlewu.

– Już idę, idę – biadolił po drodze, próbując nie upuścić kolb kukurydzy. – I co się tak pieklisz, stary druhu. Spokojnie...

Odstawił siatkę z jabłkami na zmrożony grunt i wyjął z ust nieodpalonego papierosa. Schował go do kieszeni i przeciągnął skobel, wtedy usłyszał trzask, a drzwiczki chlewu runęły na niego z potężną siłą, łamiąc mu nos i powalając na ziemię. Upadł na plecy, a następnie uderzył potylicą w ściętą lodem kałużę z taką siłą, że odebrało mu dech. Ostatnie, co zapamiętał, to frunące w powietrzu kolby kukurydzy. Chwilę później osunął się w mrok.

\* \* \*

Obraz wyklarował się na tyle, że mógł ujrzeć nachylającą się nad laptopem postać. Jego laptopem. Mężczyzna siedział w milczeniu i klepał w klawiaturę. Gdy Szatan odkasznął krwią i poczuł, jak kręgosłup niemal odrywa się od ciała, nieznajomy odwrócił się w jego stronę, po czym wstał z fotela i niespiesznie podszedł do kanapy.

– Obudził się pan. To dobrze – podjął z lekkim wschodnim akcentem. Usiadł obok. – Wiem, że boli, ale starość nie radość. Proszę jednak uwierzyć, że nie chciałem panu przyłożyć tak mocno. Choćby dlatego, że muszę z panem omówić kilka palących kwestii.

Mężczyzna wziął chusteczkę i wytarł Szatanowi nos, a następnie usta. Biały materiał natychmiast pokrył się czerwienią, która w słabym świetle wydawała się brązowa, prawie czarna.

– Widzi pan, panie Szatan... – kontynuował. – Gdyby nie był pan taki uparty i pozwolił mi działać, toby do tego nie doszło. Przecież jest pan policjantem, dodam: uczciwym policjantem. Powinien więc pan wiedzieć, że pana syn to bandyta, który skrzywdził wiele młodych kobiet. Kilka nawet zabił. Pewnie nie chwalił się panu wszystkimi swoimi osiągnięciami, ale ja wiem. Jestem dobrze poinformowany. Zabijał je dla przykładu, tak po prostu, aby inne nie próbowały stawiać oporu. Chce pan wiedzieć, ile duszyczek ma na koncie?

– Pier...dol się – wyjęczał Szatan.

– Każdy „twardziel” zawsze zaczyna tak samo. A potem tak samo kończy. Wyśpiewując wszystko. Wie pan o tym, prawda?

– Ja nie żyję od dwudziestu pięciu lat...

– Oddycha pan, mówi pan, a przed chwilą chciał dać wyraz swojej miłości i opiekuńczości w stosunku do Władymira, więc... cóż... więc pan żyje. Swoją drogą... – mężczyzna zrobił krótką pauzę i zarechotał – ...ma pan fantazję co do imion. Ten Władymir to od tego Władymira, Władymira Władymirowicza?

– Czego chcesz?

Mężczyzna podrapał się po policzku. Wyglądał inaczej niż na zdjęciach i w szpitalnym holu. Miał na sobie bluzę z kapturem i spodnie bojówki, a twarz pokryta była kilkudniowym zarostem. Mniej więc tak można by sobie wyobrazić kibola krakowskich przedmieść. Szatan nie miał jednak najmniejszych wątpli-

wości, że ten mężczyzna nie miał nic wspólnego ani z Cracovią, ani z Wisłą. I na pewno nie nazywał się Marcin Rączkowski.

– Musiałem się upewnić, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Tylko tyle i aż tyle. A pan... cóż... pan, widzę, lubi drażnić. Gdy pan tak sobie słodko spał, przejrzałem historię pana przeglądarki. Proszę nie pytać, jak złamałem hasło, bo to żaden problem. Mam do tego odpowiedni sprzęt. Ale nie przyszedłem tu, aby się chwalić, więc... – Mężczyzna upił łyk wody z jednej z dwóch szklanek, które stały na stole. Drugą przytknął do ust Szatana, a ten nie oponował i też zwilżył skrwawione usta. – Więc, wracając do tematu... cóż... przejrzałem historię i natknąłem się na rzeczy, które doprawdy mi zaimponowały. Oczywiście proszę nie myśleć, że pana zlekceważyłem, ale jednak... no dobra, może trochę, choć wiem, tak, wiem, że to nieprofesjonalne z mojej strony i teraz cholernie źle się z tym czuję. Ale jednak muszę zadać panu to pytanie. Jak pan wpadł na pomysł, że Chan, jak go nazywacie, jest z pochodzenia Tatarem krymskim?

Tym razem to na ustach Szatana wykwitł pogardliwy uśmiech. Splunął na podłogę krwawą plwociną.

– Gadaj zdrow... – wymamrotał.

– Sam pan to wykombinował czy może ten pomysł podrzucił panu tamten pisarzyna? – Mężczyzna dał rozmówcy chwilę, aby się zastanowił nad odpowiedzią. – Tak się składa, że obserwowałem pana i wiem, że tu był. Jak on się nazywa? Emil Poleski, mam rację?

Szatan z największym trudem opanował się, aby po raz kolejny nie rzucić mięsem. Od początku robił wszystko, aby nie wciągać w to Poleskiego. Przez te kilka lat naprawdę szczerze go polubił, a wspólne rozmowy przy wódce stały się jednymi z najprzyjemniejszych chwil w jego ponurym i smutnym życiu. A teraz naraził nie tylko jego zdrowie, ale i życie. Bo intruz bez wątpienia nie należał do chłopców ze szkółki niedzielnej. Szatan już wcześniej podejrzewał, z kim ma do czynienia, ale teraz miał niemal stuprocentową pewność. Tylko czy był w stanie ograć zawodowca?

– Przypomnę, że sprawdziłem historię wyszukiwania, i hasła dotyczące Krymu i Tatarów pojawiły się tuż przed wyjściem pana Poleskiego – powiedział, wydłubując brud spod paznokcia. – Wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności, a w mojej branży w takowe nie bardzo wierzymy. Zresztą w policji chyba też macie do tego typu przypadków ograniczone zaufanie, mam rację? – Mężczyzna ponownie upił łyk wody i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – A to nie wszystko, bo miałem wystarczająco wiele czasu, aby przejrzeć też inne strony, które pan odwiedził. W pana poszukiwania wkradło się trochę chaosu, ale rozumiem, że niełatwo to wszystko powiązać. Zadbalem o to osobiście. Przyznam jednak, że złapał pan trop i obrał pan dobry kierunek. Teraz muszę tylko ustalić, czy aby na pewno wciąż jest pan nieświadomy tego, co zaplanowałem, czy wręcz odwrotnie, pojął pan już sens całej tej operacji, i najważniejsze, czy w jakiś sposób przekazał pan swoją wiedzę tej... wspaniałej kobiecie.

Szatan przyglądał się mężczyźnie z pogardą, ale i zaciekawieniem. Nic w tej postaci ze sobą nie grało. Ubiór kłócił się z manierami, maniery z akcentem,

a akcent z wyrafinowanym słownictwem. Kolejne puzzle zaczęły wskakiwać na swoje miejsce, choć wciąż nie był w stanie spojrzeć na obraz z szerszej perspektywy. Wspaniała kobieta, pomyślał. Nie nazwał Luty po imieniu, tylko określił ją mianem „wspaniałej kobiety”. Co jeszcze ciekawsze, w tonie męczyzny dało się wyczuć prawdziwy zachwyty. On naprawdę ją podziwiał.

– Czego ty naprawdę chcesz? I kim jesteś, do jasnej cholery? – wyjęczał Szatan, zerkając na paczkę leżących na stole papierosów. Męczyzna dostrzegł to i wyciągnął jednego, po czym włożył Szatanowi do ust i przypalił.

– To, kim jestem, nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma. Dla kogo pracujesz? Jesteś z...

– Cóż... – Męczyzna przytknął palec do ust Szatana. Dotknął górnej wargi, rozmazując świeżo wyciekłą z nosa krew, a potem sięgnął po chusteczkę i niespiesznie wytarł dłoń. – Panie Szatan. Staram się być miły, ale to nie oznacza, że nasze role się odwróciły. Jeśli wciąż ma pan jakieś wątpliwości, to chciałbym wyjaśnić, że to ja tu zadaję pytania. Pan na nie odpowiada. Czy to jasne?

Strużka krwi znów pocięła Szatanowi z nosa. Przełknął ślinę i nieznacznie skinął głową. Nie mógł nic zrobić. Miał przed sobą zawodowca. Sam był stary, bezbronny, a do tego najmniejszy ruch powodował uczucie, jakby ktoś próbował wyrwać mu kręgosłup z korzeniami.

– Zatem, panie Szatan. – Męczyzna uśmiechnął się, prawie szczerze. – Czy ona wie?

– Ale co? – Szatan naprawdę był nieco skonfundowany.

– To może inaczej? Czy ona może się domyślać?

– Mówisz takimi zagadkami, że nie wiem, o co ci chodzi. Czego niby ma się domyślać?

Rysy męczyzny stwardniały, a mięśnie twarzy znieruchomiały. Szatan miał do czynienia z wieloma bandytami różnej maści, ale spojrzenie tego człowieka zdawało się mieć moc równą spojrzeniu mitologicznej Meduzy. Sam skamieniał.

– Pan mnie nie oszukuje, prawda? – zapytał męczyzna.

– Pewnie jesteś dobry w te klocki i zdążyłeś to zauważyć. I pewnie nie interesują cię moje nagrania...

– Och, nagrania. Tak, tak, doszły mnie słuchy. To dlatego nie mogłem się oprzeć, żeby na własne oczy poznać Władymira. Przyznaję, wspaniałe zwierzę i... no tak... ma pan całkowitą rację. Pańskie nagrania w ogóle mnie nie interesują. A to dlatego, że już je mam. – Męczyzna wyjął z kieszeni niewielki pendrive, po czym szybko schował go z powrotem. – No dobrze – podjął. – Przyznaję, że znam się trochę na wyciąganiu z ludzi informacji i wszystko wskazuje na to, że pan nie próbuje mnie oszukać. Sprawdziłem też pana telefon, a na nim również nie dopatrzyłem się niczego, co mogłoby sugerować, że sprawy zabrnęły za daleko. Dlatego głowa do góry, panie Szatan. Przecież gramy do jednej bramki, mam rację?

Z podwórza poniósł się donośny kwik Władymira i Szatanowi przemknęła przez głowę irracjonalna myśl, że jednak nie doniósł paszy i stary kompan musi



być bardzo głodny. Obrazek zakutego w dyby mężczyzny na ułamek sekundy sprawił, że kąciki jego ust drgnęły w grymasie uśmiechu.

– No prawie – dodał intruz i sięgnął po pilota od telewizora. – Najważniejsze, że póki co wygrywamy dwa do zera. Naszym wspólnym zadaniem jest sprawić, aby tak już zostało.

## Rozdział 36

— Kurwa mać! Co to jest?

Kapitan Grzegorz Żywuski był postawnym mężczyzną po czterdziestce, a w pełnym rynsztunku i z bronią przytkniętą do ramienia prezentował się niczym obietnica śmierci. Silny, szybki i trzeźwo myślący w najbardziej niesprzyjających warunkach, na wojnie zjadł zęby i niewiele było go w stanie zaskoczyć. Teraz jednak nawet on chwycił się za brzuch, walcząc, aby nie zwymiotować.

Luta z Borysem skończyli sprzątać w momencie, gdy Żywuski razem z trzema podkomendnymi wkroczył do wnętrza katowni. Bezgłowy trup leżał na hałdzie, a ona wciąż trzymała w dłoni przecięte trytytki – dowód zbrodni, którą popełniła.

– To, co widzisz. – Borys podszedł do kapitana. Cała jego twarz i mundur były zbryzgane krwią, jakby właśnie wyszedł z rzeźni. Wnętrze katowni niewiele się od niej różniło, ale Luta i tak miała wrażenie, że na czole ma wypisane „morderca”. – Wyczyściliśmy teren, ale przez moment zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Walili do nas ze wszystkiego, co mieli pod ręką.

– Chryste, to trzeba zgłosić – skomentował kapitan, wciąż walcząc z torsjami. Dwóch jego podkomendnych nie wytrzymało i zwymiotowało. – Ile tu jest tych trupów? Czterdzieści, pięćdziesiąt?

– Może nawet więcej. Zostawmy to jankesom. Niech sami się w tym babczą.

– Zabiorę dzieci. – Luta wcisnęła trytytki do kieszeni spodni.

Kapitan dopiero po jej słowach dostrzegł trzy kulące się pod ścianą postaci. Wyglądały, jakby chciały zespolić się z cegłami. Brudne, przerażone, pokaleczone fizycznie i z pewnością psychicznie. Trudno było jednoznacznie ocenić ich wiek, ale pewnie nie przekraczały piętnastego roku życia.

– Weź Mychę i idźcie – rozkazał Żywuski. – Boguś i Zumba zostają. Gdzie dwójka tych skurwysynów?

Kapitan rozejrzał się po piwnicy. Dostrzegł trzy trupy, ale nikogo więcej. Borys nie czekał na kolejne pytania.

– Wszyscy nie żyją – odparł, przecierając skrwawione czoło wierzchem nadgarstka. – Jeden próbował się stawiać, to zarobił kosę.

– A drugi?

– Jaki drugi? Resztę tych gnojów nafaszerowaliśmy ołowiem.

– Luta mówiła, że macie dwóch rannych... – Żywuski poszukał jej wzrokiem, ale porucznik kucała obok jednej z nastoletnich dziewczynek. – Dobra, nieważne.

Trzeba ogarnąć ten syf i zabezpieczyć teren przed przyjazdem Amerykanów. Masz rację, niech oni się w tym babczą.

– Mogę porobić zdjęcia – zaoferował się. – I tak już przesiąknę trupim odorem, więc wszystko mi jedno.

– Zajmij się tym, tylko najpierw wytrzymaj głowę, bo wyglądasz jak... – Kapitan zrobił pauzę, podejrzliwie przyglądając się zbryzganemu obliczu swojego podkomendnego. – Co tu się, kurwa, wydarzyło?

– Taka robota, Grzechu. Albo oni, albo my.

Kapitan Żywuski raz jeszcze poszukał wzrokiem Luty. Zdążyła już unieść jedną z niedoszłych ofiar i z dziewczynką na rękach kierowała się w stronę wyjścia. Ona również wyglądała, jakby dopiero co wzięła kąpiel w wannie wypełnionej krwią. Cała połowa jej twarzy była nią zbryzgana, co sugerowało, że musiała wejść w ścisły kontakt z wrogiem. Lubiła noże – to akurat nie było dla niego zaskoczeniem, ale coś tu ewidentnie się ze sobą nie spinało. Chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zrezygnował. To nie był czas ani miejsce, zwłaszcza że obok maszerował już podporucznik Myszkowski. Na rękach niósł wtulone weń dwie dziewczynki. Ich spojrzenia spotkały się na moment i to wystarczyło, aby wątpliwości chwilowo zeszyły na drugi plan.

Pięć minut później Luta postawiła dziewczynkę na podłodze i wyjęła z kieszeni kamizelki batonika. Może nie należał do najśłodszych, ale oczy małej Afganki zaświeciły się niczym dwa rozgrzane węgielki. Chwilę zwlekała, zanim ostatecznie odebrała prezent z jej ręki, ale gdy już to zrobiła, zaczęła gryźć i żuć białkowy miąższ, jakby nie jadła od tygodni.

W tle wciąż sporadycznie wybrzmiewały wybuchy, ale na nikim nie robiły już żadnego wrażenia. Wróg wycofał się na wzniesienia i chyba tylko dla zasady od czasu do czasu strzelał z moździerza, ale nawet to się skończyło, gdy nadleciały dwa Apacze. One przemówiły raz, ale stanowczo, i wzgórze zamilkły.

Luta obserwowała, jak nadlatują i niczym potężne ważki zastygają w powietrzu, a potem dwuwirnikowy Chinook zgrabnie osiada pomiędzy nimi na placu przed budynkiem, w którym się kryli. Potem już tylko urywki, trochę jak w starym poklatkowym filmie. Kapitan Żywuski wydający rozkazy, Borys wycierający twarz z krwi, wiszący na ramionach kolegów Stachu, piasek wdzierający się w nozdrza, huk pracujących śmigieł, ona przekazująca dziewczynkę na pokład, kolejny rozkaz, szarpnięcie, ulga, że znów wyszli z piekła bez strat, radość pomieszana z niepokojem, strachem, lękiem.

Zamknęła powieki. Huk wirników zbladł, prawie ucichł. Dotknęła policzka. Wciąż miała na nim krew. Już nie była ciepła. Zdążyła skrzepnąć. Zrobiła się twarda i zimna. Ona też poczuła chłód. Była potwornie zmęczona. Zaczęła drzeć, a pod powiekami widziała tylko cień poruszającego się śmigła. I ten jednostajny szum. Otworzyła oczy.

Stali na parkingu, a za oknem piętrzyły się potężne wiatraki. Ich gigantyczne wirniki pruły powietrze z niewiarygodną prędkością. Borys kilka metrów dalej rozprostowywał kości. Pomachał jej, zrobił jeszcze kilka skrętów tułowia i podszedł do drzwi. Szarpnął za klamkę.

– Jak chcesz siku albo coś innego, to teraz. Ja pójdę z tym małym gnojkiem kupić kawę i coś do jedzenia. Wolę mieć go na oku – oznajmił, zerkając na wpatrzonego w dal Mustafę.

– Gdzie jesteście? – zapytała, przecierając oczy.

– Pod granicą z Niemcami. Od wyjazdu z promu spałaś jak zabita. Już zaczynałem się o ciebie martwić, ale...

– Dobra, starczy. Nic mi nie jest. – Luta też przeniosła wzrok na Turka. – On tak normalnie? Z tą dziurą w brzuchu?

– Z dziurą czy bez wysrać się musi. Jest nafaszerowany końską dawką środków przeciwbólowych, a poza tym pozszywałaś go nie gorzej niż ta pani doktor z... no... jak się nazywał ten program?

– Coś bredzisz.

– No był taki o tej...

– Nie wiem, nie oglądam – ucięła Luta, po czym nie bez problemów wygramoliła się z samochodu. Miała wrażenie, że boli ją każdy mięsień, ciągnie ją każde ścięgno czy przyczep, mimo to też postarała się rozprostować kości. – Ale co racja, to racja. Też muszę iść do ubikacji – dodała i namierzywszy toalety, ruszyła w ich kierunku.

W połowie drogi wyjęła z kieszeni telefon. Włączyła ten, przez który bezpiecznie kontaktowała się z Szatanem. Odczytała wiadomość: *Mam nadzieję, że... Po prostu się odezwij. Mam coś, ale nie wiem, czy to ważne. Czekam.*

Schowała telefon z powrotem do kieszeni, weszła do toalety i obmyła twarz zimną wodą. Spojrzała w swoje odbicie. Wbrew pozorom nie wyglądała tak źle, jak mogłoby się wydawać. Rzadko używała podkładu, a jeszcze rzadziej się malowała, więc była przyzwyczajona, że czasem robiły jej się wory pod oczami, a tu i ówdzie świecił jakiś siniak. Teraz doszło jedynie kilka przebarwień w okolicach oczu i policzków, głównie od mrozu i wiatru, plus kilka niewidocznych na pierwszy rzut oka zadrapań i stłuczeń na rękach i biodrze. Jak na spotkanie z czterdziestoma uzbrojonymi bandytami brzmiało to co najmniej dobrze.

Siadając na deskę, raz jeszcze wróciła do wydarzeń ubiegłej nocy. Po zabiciu Batukana zabrali Mustafę do jednego z pomieszczeń gospodarczych, gdzie opatrzyła, a następnie zszyła ranę po postrzale. Nie była bardzo poważna, bo kula nie uszkodziła żadnych ważniejszych narządów wewnętrznych, jedynie prześlizgnęła się pomiędzy żebrami i przeszła na wylot. Nie zagrażała życiu, więc z pomocą Borysa najpierw zatamowała krwawienie, następnie odkaziła, w końcu wzięła igłę i nić. Zajął jej to zaledwie kilka minut. Potem przeczekali najgorszy czas, a gdy burza nieco zelżała, z zebranych po deku elementów rusztowania częściowo odbudowała klatkę schodową. Nie była to zbyt stabilna konstrukcja, ale wystarczyła, aby w miarę bezpiecznie zejść na keję. Na szczęście ich łajba wciąż bujała się na falach, więc po prostu wsiedli do środka, odczepili cumy i jeszcze pod osłoną nocy popłynęli na brzeg, gdzie od razu wsiedli do samochodu. Uparła się, że poprowadzi, bo wciąż buzowała w niej adrenalina i miała przekonanie graniczące z pewnością, że i tak nie zaśnie, poza tym wolała skupić się na drodze niż na Mustafie, którym przecież wciąż gardziła i najchętniej też poderznęłaby mu

gardło, tak jak innym Ozalanom. Na miejsce dotarli jeszcze przed wschodem słońca, czyli krótko po ósmej, więc kimnęła się półtorej godzinki, bo według znalezionych w sieci informacji o dziesiątej miał wypływać pierwszy kurs po nocnym sztormie. I tym razem obyło się bez problemów. Nikt nawet nie pytał o cel podróży. Pogoda wciąż była daleka od idealnej, więc wystarczyło pokazać bilety, aby znudzeni i przemarznięci do szpiku kości strażnicy graniczni po prostu machnęli im, aby pakowali się na pokład. W duńskim Hirsthals nie musieli pokazywać już kompletnie niczego. Znała realia, bo sama kilkakrotnie wracała samochodem tą trasą i o ile rzadko, bo rzadko, ale czasem zdarzały się kontrole przy wjeździe na teren Norwegii, o tyle w drodze powrotnej nikt o nic nie pytał, wszak jakikolwiek przemyt w drugą stronę z przyczyn ekonomicznych mijał się z celem. Zjechali z promu i popędzili na południe w kierunku granicy z Niemcami. Tym razem kierował Borys, a ona odsypiała, bo te trzy godziny snu w czasie rejsu to jednak wciąż było mało.

Chwilę samotności wykorzystała jeszcze na przejrzanie wiadomości z norweskich portali, ale do tej pory nie znalazła nic na temat wydarzeń na Hansenie. Spodziewała się tego, bo fale wciąż były spore, do tego pewnie większe na bardziej wietrznym zachodnim wybrzeżu, a procedury bezpieczeństwa na platformach wiertniczych są bardzo precyzyjne i rygorystycznie przestrzegane. To zaś oznaczało, że pewnie jeszcze do wieczora, a być może do następnego ranka nikt na Hansena nie przypłyynie, więc ich nocne harce pozostaną tajemnicą jeszcze przynajmniej przez kilkanaście, a być może nawet kilkadziesiąt godzin. Zresztą i tak niespecjalnie ją to obchodziło. Liczyła się z tym, że prędzej czy później ktoś ją z tym wszystkim powiąże, ale nawet gdyby do tego doszło, miała to gdzieś. Teraz liczyła się tylko zemsta, nic więcej.

W końcu postanowiła zadzwonić do Szatana. To był najwyższy czas, aby powiadomić go, że wszystko poszło zgodnie z planem. Wybrała numer, odczekała kilka sygnałów i z lekkim niepokojem wcisnęła czerwoną słuchawkę. Wyobrazila sobie, że mógł zapić, ale szybko wycofała się z tego toku myślenia. Nie w tym momencie. Nawet on nie byłby tak nieodpowiedzialny, aby narażać cały ten misternie utkany plan dla butelki wódki.

Wyszła z toalety i przemyła dłonie, a następnie raz jeszcze kilkakrotnie chlusnęła sobie zimną wodą w twarz. Poprawiła kilka niesfornych kosmyków i wytarła twarz jednorazowymi chusteczkami. Wtedy pomyślała o drugim telefonie. Wyjęła go z kieszeni i włączyła. Natychmiast została zaatakowana dziesiątkami wiadomości, począwszy od matki, przez przyjaciółki, a kończąc na Emilu. Ten ostatni strasznie się o nią martwił. Na swój sposób to było takie słodkie i po raz pierwszy od wielu dni poczuła się komuś potrzebna. Choć odrobinę. Słumiła jednak tę myśl, jakby nie licowała z jej stratą. Jakby w jakiś sposób ją dezawuowała. Poza tym nie chciała czuć się dobrze. Chciała czuć się źle, fatalnie, aby ten trawiący ją płomień nie przygasł ani na chwilę, przynajmniej dopóki nie dokończy tego, co zaplanowała, nie zemści się, nie zniszczy wszystkich, którzy byli odpowiedzialni za śmierć jej dzieci.

Postanowiła nie odpisywać, ale gdy wychodziła z szaletu, jej telefon znów zadzwonił. Chciała go wyłączyć, lecz gdy na wyświetlaczu zobaczyła cztery literki składające się na imię Emil, westchnęła i odebrała.

– Cześć – przywitała się.

– Cześć. Jezu, Luta, dlaczego nie odbierasz? Martwiłem się.

– Właśnie odebrałam.

– Gdzie jesteś, bo wiem, że coś się dzieje. Byłem wczoraj u Szatana, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Wiem jednak, wiem, że coś planujesz. I... – zrobił krótką pauzę – no i cholernie się boję, że znów wpakujesz się w jakąś kabałę.

– Już prawie po wszystkim – przerwała mu. – Ale wybac, nie mam teraz czasu, żeby rozmawiać.

– Ale gdzie jesteś?

– Emil...

– I co znaczy, że już prawie po wszystkim?

– To nie jest rozmowa na telefon. A ty nie powinieneś spotykać się z Szatanem. Jak wrócę, to się odezwę i... – Teraz to ona zrobiła krótką pauzę. Dotarło do niej coś, co wzbudziło kolejną falę niepokoju. Emil mówił, ale tego nie rejestrowała. W pewnym momencie weszła mu w słowo. – Powiedziałeś, że byłeś u niego wczoraj?

– No byłem, byłem. Chciałem go wypytać, ale mnie wygonił.

– O której to było?

– Koło północy.

– Piliście?

– No co ty.

– I nic ci nie powiedział?

– Nic. Sam się połapałem, gdy zobaczyłem na karteczce ten symbol.

– Jaki symbol?

– Ta „emka”. Tamga. No wiesz, znak na fladze Tatarów krymskich. Pewnie kojarzysz, o co mi chodzi...

Wiedziała doskonale. Nie dlatego, że płynęła w niej także ukraińska krew, ale dlatego, że dziadek jako oficer wywiadu wiele lat operował na tamtych terenach, w tym na Krymie, i często dzielił się z nią różnymi historiami z przeszłości. W domu miał wiele pamiątek po tamtych czasach, także zdjęcia z mniejszością tatarską, z którą z racji obowiązków, ale także pochodzenia i po części wspólnej tradycji, świetnie się dogadywał. Pamiętała nawet fotografię, na której Tunahan wraz z jednym z ichnich liderów pozowali na koniach z niebieską flagą, na której w rogu namalowany był charakterystyczny symbol podobny do literki „M”.

– Powiedział coś więcej? – zapytała po chwili namysłu.

– Nic. Sam nie wiedział, co znaczy, a gdy mu temat wyłuszczyłem, to strasznie się podпалиł. A potem mnie wygonił.

Słowa Emila sprawiły, że niepokój wzrósł jeszcze bardziej. W tej chwili trudno jej było wyciągnąć jakieś wnioski, ale w kontekście tego, że Szatan nie odbierał telefonów, brzmiało to co najmniej podejrzanie. Czy mógł wpaść na jakiś trop? Tylko jaki? Tatarzy krymscy mieli powiązania z Turkami, wszak obie nacje

powstały po rozpadzie słynnej Złotej Ordy, a ci pierwsi przez wieki byli zależni od zarządzanego ze Stambułu Imperium Osmańskiego. Historia obeszła się z nimi bardziej surowo niż z samymi Turkami, którzy w końcu stworzyli lokalną potęgę, ale język i tradycja przetrwały i niespecjalnie się różniły. Szatan zdecydowanie nie należał do zbyt ekspresyjnych osób i fakt, że nawet Emil dostrzegł jego ekscytację, tylko potwierdzał, że to musiało być coś ważnego. Ale dlaczego nie odbierał telefonu? Dlaczego ostatnia wiadomość, która do niej dotarła, była wysłana o drugiej czterdzieści dwie?

– Dobra, posłuchaj... – podjęła. – Wszystko jest w porządku. Nic mi nie grozi i niedługo wrócę do domu. Nie ciągnij mnie jednak za język, bo i tak powiedziałam za dużo.

– Dzięki, kurwa. Zajebicie mnie uspokoiłaś...

– Przestań już. Napij się herbaty malinowej albo rumianku. Jak wrócę, to się odezwę. Muszę kończyć. Cześć.

Rozłączyła się, nie dając mu szans na ripostę. Nie chciała go w to wciągać. To nie była jego wojna, a sytuacja z Szatanem wzbudzała w niej coraz większy niepokój. Postanowiła, że poczeka jeszcze godzinę i na chłodno wszystko sobie w głowie przeanalizuje. Musiał istnieć jakiś klucz i miała wrażenie, że znajduje się w zasięgu jej ręki. Wystarczyło odpowiednio podejść Mustafę, bo jeśli coś ukrywał albo działał na dwa fronty, nie będzie miała dla gnoja litości.

Z przygranicznego Frøslev do Berlina mieli jeszcze dobrych pięć godzin drogi. Wystarczająco dużo, aby wywlec z Mustafy całą prawdę.

## Rozdział 37

Pół dnia zajęła mu walka z samym sobą. Po tym, jak Luta przestała odbierać, nie wiedział, co ze sobą począć. Potraktowała go jak gówniarza i choć był przyzwyczajony, że do niektórych spraw go nie dopuszcza, to jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że siedząc beczynn timer na kanapie, popełnia błąd. Kręcił się, rozmyślał, wspominał, w głowie zaś kłębiły się czarne myśli. Mogła być najlepszą kobietą w siłach specjalnych, szkoloną w temacie behawioryzmu, ukrywaniu prawdy i cholera wie, czego jeszcze, ale nawet jeśli wciąż miała wiele tajemnic, to właśnie on dzierżył klucz do jej serca. To w jego łóżku przytrafiły jej się chwile słabości, to przy nim wychodziła ze skorupy twardej żołnierki i pokazywała drugą, skrętnie chowaną przed światem twarz. Nikt inny nie widział jej takiej jak on, nikt inny nie mógł powiedzieć, że zna ją lepiej. Nawet rodzona matka.

Emil Poleski podjął decyzję i podniósł się z kanapy. Z sejfu wyjął kaburę z wetkniętym w nią glockiem. Pozwolenie załatwił sobie ponad pół roku temu, bo choć Luta i Szatan unikali jak ognia rozmów na temat tego, co wydarzyło się w Świebodzinie, on wiedział swoje.

– Możesz udawać, że to nie wasza robota, ale to ja jestem ojcem chrzestnym tego przedsięwzięcia – mówił, próbując z niej coś wyciągnąć. Ona wtedy zwykle przewracała oczami i albo milczała, albo bagatelizowała jego słowa. Nauczony doświadczeniem, nie naciskał. Czuł, że kiedyś sama się przed nim otworzy i powie wszystko. Luta wymagała czasu.

Wniosku o pozwolenie na broń jednak nie negocjowała, a nawet pomysłowi przyklasnęła. Wspólne wyjścia na strzelnicę jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyły, a gdy zaczął chodzić na matę, nie widywali się już raz na tydzień, ale prawie codziennie. Coraz częściej wspólnie wychodzili na kolację czy do kina. Ich relacja zmieniła się diametralnie i choć oboje wciąż udawali, że każdy sobie rzepkę skrobie, to poza seksem w ich życiu pojawiło się coś więcej. Oboje unikali tego tematu, tak jakby obawiali się, że poruszenie go zburzy tę wyjątkową harmonię. On sam miał wiele wątpliwości i chyba żadne nie chciało na dobre opuścić swojej strefy komfortu. Nie byli już dzieciakami, mieli za sobą nieudane związki, ale jakoś to wszystko sobie poukładali. No i, choć Luta nie chciała się do tego przyznać, wciąż wisiła nad nimi klątwa Ozalanów. Może dlatego nie oponowała, gdy poinformował ją, że chce kupić broń? Może dlatego tak chętnie uczyła go strze-



łać? Było w tym nawet coś podniecającego, gdy po wyjściu na strzelnicę albo na matę – miejsc będących jej absolutnym i niekwestionowanym królestwem, gdzie regularnie kopała mu tyłek – później dopadał ją w swoim domu, a Luta w ułamku sekundy zmieniała się nie do poznania. Tak jakby po przekroczeniu progu jego domu musiała wyrzucić z siebie wszystkie kołujące się w niej emocje, pozbyć się ich, uwolnić drzemiące w niej demony. Uwielbiał ją za to i coraz częściej czuł, że nie chce tego stracić. Nie chce jej stracić...

Przypiął kaburę do paska, włożył buty, kurtkę i czapkę, po czym zjechał windą na parter. Jego samochód zdążył pokryć się grubą warstwą szronu, więc wbrew idiotycznej ustawie odpalił silnik, włączył ogrzewanie i zaczął skrobać szyby. Zajęło mu to około dwóch minut i już chwilę później sunął ulicami Zielonej Góry w kierunku nieodległego Starego Kisielina. Nie miał przekonania, co tak naprawdę chce uczynić, ale obiecał sobie, że tym razem nie da się spławić. Powtarzał to sobie na każdym świetle, z pełną premedytacją tłumiąc myśli, że Szatan mógł coś nawywijać albo – co wydawało się jeszcze gorszą opcją – wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Bił się z samym sobą, czy o swojej decyzji nie poinformować Luty, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu, bo założył, że będzie próbowała go od tego odwieść. Miał jednak złe przeczucie. Okropne. Tak to sobie właśnie wyobrażał, gdy pisał swoje kryminały. Takie niby nic kryjące się gdzieś na dnie żołądka, ale nie pozwalające myśleć o niczym innym, wzbudzające niepokój, nad którym nie sposób zapanować, pożerające go od środka niczym mała, ale żarłoczna larwa, która bez ustanku skubie swojego nosiciela, bez przerwy przypominając o swojej obecności.

Z każdym kolejnym kilometrem larwa kąsała coraz bardziej dotkliwie, co powodowało, że jego noga stawała się cięższa, przez co dwukrotnie prawie spowodował stłuczkę. Raz przy wyprzedzaniu koła zabuksowały i wpadł w poślizg, ale na szczęście w porę opanował pojazd, za drugim razem nie zdążył wyhamować przed rondem i wymusił pierwszeństwo, omal nie wjeżdżając na wysepkę. Na szczęście kierowca mazdy w porę się zatrzymał i tylko dzięki wyznawanej przez niego zasadzie ograniczonego zaufania nie doszło do kolizji. Oczywiście gość solidnie go strąbił, nietrudno też było wyczytać z ust, co o nim myśli, ale Emil nie planował podejmować dyskusji i pospiesznie oddalił się z miejsca zdarzenia.

Do gospodarstwa dotarł ostatecznie o zmierzchu. Dojazd pod samą chałupę okazał się niemożliwy, bo droga nie została odsnieżona, a do tego była dziurawa jak kartoflisko, co dla jego nisko zawieszzonego audi okazało się wyzwaniem nie do pokonania. Utknął mniej więcej w połowie odcinka pomiędzy ostatnimi zabudowaniami a oddalonym od nich gospodarstwem Szatana, więc wysiadł i ostatnie sto metrów pokonał piechotą. Ucieszył się, widząc wydobywający się z komina szary dym. Gospodarz bez wątplenia był w domu.

Bez wahania szarpnął za klamkę i otworzył skrzypiącą furtkę, po czym wszedł na teren posesji. Zmrożona ziemia była pokryta cienką warstwą śniegu, który z przerwami prószył od poprzedniego wieczora. Minął starą, rozpadającą się budę

i wszedł po schodkach na ganek. Zapukał. Odpowiedziała mu cisza. Strzepując z kurtki płatki śniegu, zapukał raz jeszcze.

– Zygmunt, to ja, Emil! – krzyknął i tym razem poprawił pięścią. – Wiem, że jesteś w domu. Słyszysz?

Ponowił wołanie kilkakrotnie, ale kolejne próby nie przyniosły żadnego rezultatu, pomijając dzikie kwiki dochodzące z chlewu. Emil zdążył już poznać Władymira i choć olbrzymi knur wciąż trochę go przerażał, to w obecności gospodarza nawet raz podrapał go za uszami. Wtedy, choć byli umówieni, Szatan też nie otwierał...

Jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, ale z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy sugerujące, że gospodarz może znajdować się w środku, zszedł więc po schodkach i ostrożnie, aby się nie poślizgnąć, ruszył w kierunku chlewu. Minął kurnik i kilka gratów pokrytych cienką warstwą białego puchu. Kury najwyraźniej nie paliły się do spacerów, bo na śniegu nie było widać świeżych śladów ich łapek, za to Władymir tłukł się w boksie, jakby szykował się do występów na rodeo. Emil pamiętał, że podobnie zachowywał się, gdy zbliżała się pora karmienia, ale gdy zobaczył, że drzwi chlewu są otwarte, lekko przyspieszył kroku. Zatrzymał się dopiero w momencie, gdy jego wzrok spoczął na wywróconym wiadrze. Obok, w promieniu kilku metrów, pokryte świeżo nawianym śniegiem leżały rozsypane jabłka i kilka kolb kukurydzy.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, co zrobić. Przed oczami stanął mu obraz zamarniętych na kość zwłok Szatana, ale szybko odrzucił tę myśl.

– Zygmunt? – zagaił niepewnie. Zajrzał do chlewu.

W środku zastygły w bezruchu stał Władymir i wpatrywał się w niego małymi czarnymi ślepiami. Emil przełknął ślinę, bo dzieliły ich tylko koryto i dwie poprzeczne drewniane bariery, a potężny knur wcale nie wyglądał na zadowolonego. Chwilę później Władymir dziko zakwiczał i wbił ryj pomiędzy sękatę belki. Emil usłyszał trzask.

\* \* \*

Mężczyzna nerwowo zacisnął szczękę i puściwszy żółtawą zasłonkę, odszedł od okna.

Nie chciał wciągać w to Poleskiego. Facet był pisarzem, i to dość znanym, więc jego zniknięcie mogłoby sprokurować dużo niepotrzebnych komplikacji. Był młody, zdrowy, ambitny i zadowolony z życia, więc nikt by nie uwierzył w samobójstwo, a zainscenizowanie wypadku wcale nie należało do zadań, które można było wykonać ot tak, bez głębszego pomyślniku. Policja bez wątpienia zajęłaby się tematem, a ten pewnie trafiłby do ogólnokrajowych mediów. Taki rozgłos był ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował.

Tylko co, jeśli tu wróci i zacznie się dobijać? Albo zadzwoni na policję? Skarcił się, że nie posprzątał pod chlewem. Zresztą nie widział takiej potrzeby. Wiadro i kilka zasranych kolb kukurydzy nie miało prawa wpłynąć na rozpisany w głowie plan. Poza tym zapamiętał, w jakiej atmosferze się pożegnali. Powrót

tego pisarza wydawał się bardzo mało prawdopodobny, a Szatan nie miewał innych gości, może wyłączając Karabinę, ale ona przecież była teraz daleko stąd. A jednak popełnił błąd.

Zaklął w myślach, próbując jak najszybciej przeanalizować wszystkie możliwe wyjścia. Żadne z nich nie dawało mu komfortu. Każdy scenariusz kończył się źle albo bardzo źle. Mimo to musiał podjąć decyzję i zminimalizować szkody. Spojrzał na siedzącego na kanapie Szatana. Gospodarz miał w ustach kawał szmaty dodatkowo zaklejony szarą taśmą, a na nadgarstkach ciasno zapięte trytytki. Wpatrywał się w niego gniewnym wzrokiem, ale nie stanowił większego zagrożenia.

Mężczyzna raz jeszcze zbliżył się do okna. Delikatnie odsunął firankę. Poleski właśnie wycofywał się z chlewu i sięgał do kieszeni spodni. Pomyślał, że zostało mu niewiele czasu. Raz jeszcze zerknął na Szatana i wyjąwszy z kabury broń, pospiesznie ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

\* \* \*

Gdy tylko intruz zniknął w sieni, Szatan zsunął się z kanapy na podłogę. Poczul gwałtowny ucisk w dolnej części kręgosłupa, mimo to przemógł ból, podniósł się z kolan i zgarbiony w pół poczłapał w stronę kuchni. Napędzała go adrenalina. Chciał krzyknąć, ostrzec Emila, aby jak najszybciej się ewakuował, ale knebel mu to uniemożliwił. Dopadł szuflady ze sztuccami i wspiąwszy się na palce, spróbował wyjąć jeden ze znajdujących się w niej noży. Ból kręgosłupa omal go nie powalił, ale poświęcenie i tak nie przyniosło żadnych rezultatów. Brakowało kilku centymetrów. Spanikowany zerknął przez okno na podwórze. Emil już zdążył się zorientować, że nie jest sam, a mężczyzna właśnie wyłonił się zza rogu chałupy. W prawej ręce trzymał pistolet, na który dokręcał tłumik.

Ryknął z bezradności, ale wtedy jego palce instynktownie zacisnęły się na uchwycie szuflady. To była ostatnia szansa. Całym swoim ciężarem pociągnął ją za sobą, ta zaś wyskoczyła z szyn i runęła na podłogę. Sztucce rozsypały się na płytkach niczym bierki i Szatan natychmiast położył się obok jednego z noży. Chwytał go w dłonie i nie patrząc na to, że ostrze tnie skórę na nadgarstkach, zaczął żywiolowo rznąć pętające go trytytki.

Raz, drugi, trzeci. Poczul na ciele ciepłą krew, ale nie przestawał. Ten ból był niczym w porównaniu z tym, który przy każdym ruchu paraliżował okolice dolnych partii kręgosłupa. W końcu plastik pękł i uwolnił dłonie. Jednym szybkim ruchem zerwał z ust taśmę i wyszarpnął knebel. Chwytał się biału i jęcząc z bólu, podniósł się na nogi. Na drodze pomiędzy nim a Emilem i Rączkowskim stało jeszcze tylko zapaskudzone okno. Szarpnął firankę, a następnie klamkę. Nieotwierana od lat framuga trzymała mocno, ale w pewnym momencie puściła i okno otwarło się na oścież. Otworzył usta, aby krzyknąć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Po Emilu pozostał na śniegu jedynie krwawy rozbryzg. Chwilę później usłyszał trzask drewna i huk tłuczonej szyby.

Emil siedział w chlewie, kurczowo trzymając się za bark. Ból wydawał się nie do zniesienia. Miał wrażenie, jakby jego lewa ręka została oderwana od reszty ciała. Przez krótką chwilę spanikował, nie wiedział, co powinien zrobić. Tamten facet kompletnie go zaskoczył. Pojawił się znikąd i nagle po prostu wycelował, a następnie nacisnął spust. Nie usłyszał wystrzału, za to poczuł uderzenie, a potem silny paroksyzm bólu, który w ułamku sekundy rozlał się na całe ciało. Kula trafiła go w bark, ale gdzie dokładnie? Czy przeżyje? Krwawił obficie, bo całą prawą część kurtki miał we krwi. Ile wytrzyma?

Chlew był pierwszym miejscem, gdzie poprowadził go instynkt. Musiał się schować, aby ratować życie. Wskoczył do środka, mając przed oczami szeroko rozwarty ryj Władymira. Knur rozpychał łbem grube belki robiące za barierki, napierał na nie całym swoim cielskiem, gryzł drewno, kwiczał jak wściekły. Z tymi wielkimi kłami i tryskającą wszędzie śliną przypominał potwora z najgorszych koszmarów.

Po chlewie znów poniósł się trzask. Zawieszony na górnej belce koryto runęło na rozryte racicami podłoże, pękło w pół, a Władymir dodatkowo niemal rozewał je swoim potężnym ryjem. Zakwiczał wściekle.

Czy taki miał być jego koniec?

Ostatkiem sił Emil wsunął się w niewielkie zagłębienie, w którym stały widły i kilka innych szpargałów. Wdrapał się na częściowo opróżniony worek z paszą. Pod ubraniem krew rozlewała się po skórze, czuł jej ciepło. Ból jednak zelżał, prawie zniknął. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przecież przy pasku ma broń. Wygiął się, aby wsunąć dłoń pod kurtkę, po czym odpiął guzik skórzanej kabury. Zacisnął palce na rękojeści i wyjął pistolet.

Władymir wciąż pieklił się za ogrodzeniem, napierając masywnym cielskiem na grube i sękaty belki. Drewno wyginało się, wydając z siebie niebezpieczne trzaski, ale zardzewiały skobel wciąż trzymał mocno. Emil pomyślał, że ten znajdujący się w zasięgu jego ręki kawałek stali jest ostatnią zaporą trzymającą knura w boksie.

Odbezpieczył broń, dostrzegając pomiędzy deskami przemykający cień. Mężczyzna zbliżał się do wejścia do chlewu i Emil nie miał wątpliwości, że szedł tu w jednym celu. Chciał go zabić.

Wycelował przed siebie, ale ręka drżała mu tak mocno, że nie był w stanie skupić się na ruchomym celu. Przemógł ból i chwycił pistolet oburącz. Władymir wydał z siebie głośny kwik i gruchnął olbrzymim łbem w poprzeczne belki. Wtedy Emil nacisnął na spust.

Huk niemal go ogłuszył, a siła odrzutu sprawiła, że poczuł gwałtowne ukłucie bólu i broń wypadła mu z ręki. Zaklął paskudnie, klęknął, ale gdy tylko sięgnął po zgubę, w jej miejscu pojawił się żołnierski bucior.

– Doceniam odwagę, ale na dziś wystarczy – powiedział mężczyzna, po czym kopnął go w klatkę piersiową. Emil zachwiał się, ale nie upadł na plecy, w ostatniej chwili owijając przedramię na jednej z belek odgradzających ich od boks,

gdzie pieklił się Władymir. – Zdążyłeś wybrać numer? – zapytał, celując mu w głowę.

Emil przełknął ślinę. Był absolutnie przerażony. Czuł, że zaraz umrze, i nie miał pojęcia, czy zdoła odwrócić bieg wydarzeń. Mężczyzna był wysoki i bez wątpienia silniejszy od niego. W niewielkim wejściu do chlewu wyglądał jak gigant tarasujący swoim ciałem całą wolną przestrzeń. Przez głowę przemknęła mu irracjonalna myśl, że nie może zdechnąć w cuchnącym chlewie. Że taka śmierć pisarza kryminałów byłaby czystą groteską, a jego liczni oponenti do końca życia mieliby z tego ubaw po pachy.

– Ja... – wydusił, ale na tym poprzestał. Usłyszał wołanie z podwórza.

– Skobel! – ryczał przez okno Szatan. – Przesuń skobel!

Twarz mężczyzny wykrzywiła się w gniewnym grymasie. Musiał być wyjątkowo zirytowany, bo kopnął leżącą na ziemi broń, a następnie wychylił się, aby uciszyć Szatana. Wycelował i dwukrotnie nacisnął spust. Znów dało się słyszeć brzęk szkła, ale krzyki nie ustały. Ledwo przebijają się przez cały ten harmider, mimo to wciąż były dobrze słyszalne. Dopiero wtedy do niego dotarło. Skobel, pomyślał, patrząc na metalowy pręt blokujący wejście do boksu knura. Miał go w zasięgu ręki. Wystarczyło go tylko przepchnąć.

Gdy mężczyzna z powrotem przymierzył w głowę Emila, palce jego prawej dłoni już zaciskały się na uchwycie skobla. Władymir nie przestawał podgryzać belek, a jego ryj co rusz wpychał się pomiędzy nie, śliniąc wszystko wokół. Wszystko trzeszczało, jakby cały chlew zaraz miał zaważyć się jak domek z kart. Emil zebrał się na odwagę i spojrzał napastnikowi w oczy.

– Policja jest już w drodze – skłamał, przełykając nerwowo ślinę.

– W takim razie nie jesteś mi...

Nie dokończył, bo wtem skobel przeskoczył, a Emil szarpnął za drewniane drzwiczki. Mężczyzna najpierw zaniemówił, a potem szeroko otworzył oczy. Półtora metra od niego Władymir donośnie zakwicział, kłapnął kłami i schyliwszy łeb, ruszył do przodu niczym monstrem z piekła rodem.

\* \* \*

Zdążył oddać jeden strzał, ale kula nie zrobiła knurowi najmniejszej krzywdy. Wbiła się w udziec, utykając w zbitym mięsie. Chwilę potem poczuł, jak potężna siła wypycha go z chlewu i wynosi w górę. Pistolet pofrunął w powietrze, świat zawirował i zanim się obejrzał, rąbnął plecami o zmrożony grunt. Jęknął z bólu, ale błyskawicznie wrócił do rzeczywistości. Rozejrzał się wokoło, próbując namierzyć upuszczony pistolet. Ten leżał jakieś dwa metry dalej, przy pokrytym śniegiem kompostowniku.

Podpełzył kilkadziesiąt centymetrów, ale seria chrumknięć tuż nad jego głową w jednej chwili go unieruchomiła. Przełknął ślinę i zamknął powieki. Nie chciał na niego patrzeć. Nie był w stanie. W pewnym momencie poczuł na twarzy cuchnący podmuch, a policzki zrosiły mu krople równie cuchnącej śliny. Jego serce zaczęło łomotać, jakby zaraz miało wyrwać się z piersi, a gdy jedna z racic wylą-

dowała na wewnętrznej stronie kolana, pomyślał, że to koniec. Wtedy ta się obsu-  
nęła, a następnie jeszcze gwałtowniej przydepnęła prawe udo. Coś chrupnęło,  
potem strzeliło, dźwięk skojarzył mu się z rozrywaniem prześcieradłem, a chwilę  
później do mózgu dotarł potężny impuls bólowy. Z najwyższym wysiłkiem  
powstrzymał się, aby nie wrzasnąć; obawiał się, że taki krzyk może tylko knura  
rozjuszyć. Zaklął w myślach. Potrzebował jedynie kilku sekund, aby sięgnąć po  
pistolet. Nie miał pojęcia, czy ten kaliber poradzi sobie z tak potężną bestią, ale  
broń przynajmniej dawała mu cień szansy. Wtedy, ku jego zdumieniu, cuchnący  
odór się ulotnił, a zwierzę odszedł i zaczął niepewnie trącać ryjem rozrzucone  
w śniegu kolby kukurydzy. Gdy pierwsza z nich w końcu zniknęła w pysku  
knura, zaryzykował i powoli zaczął czołgać się w kierunku swojego walthera.

– Nie ruszaj się! – ryknął Szatan, który znów wyłonił się z okna. Wychylił się,  
opierając się o parapet, jakby chciał wyskoczyć na zewnątrz. – Odsuń się od  
pistoletu, jeśli ci życie miłe! – wrzeszczał.

Mężczyzna zerknął w jego stronę, ale nie zobaczył, aby stary gliniarz dzierżył  
w dłoni broń. Nie miał czasu zastanawiać się, jakim cudem zdołał się wyswobodzić,  
ale fakt, że nie wyszedł na podwórze, mógł sugerować, że jednak nie jest  
sprawny na tyle, aby normalnie chodzić. Kaleka bez broni, zwłaszcza w kontrze  
do człapiącej obok włochatej bestii, nie wydawał się zbyt wielkim zagrożeniem,  
więc zignorował ostrzeżenie i ruszył dalej.

Jeszcze metr, jeszcze tylko pół, zostało może dwadzieścia centymetrów. Wła-  
dymir wciąż zjadał się rozrzuconymi jabłkami i kolbami kukurydzy, jakby  
leżący na ziemi facet zupełnie przestał go interesować. Rączkowski pełzł niczym  
larwa, głuchy na wołania i ostrzeżenia, a gdy w końcu palce jego dłoni zacisnęły  
się na rękojeści pistoletu, poczuł, że fortuna znów zaczęła mu sprzyjać. Nie zginie  
w tym podłym gospodarstwie, u tego podłego Polaczka, pomiędzy cuchnącym  
kompostownikiem a chlewem. Uśmiechnął się na myśl, że zaraz wszystko wróci  
do normy, ale wtedy usłyszał ryk, który sprawił, że jego plany w jednej chwili  
runęły.

– Ozalan! – poniosło się z okna. – Ozalan! Władymir, Ozalan! Ozalaaaaaan!

Knur podniósł łeb i otaksował okolicę. W końcu jego małe czarne ślepia  
zatrzymały się na leżącym przy kompostowniku celu. Gdy do jego oklapłych  
uszu raz jeszcze dotarł głos pana, donośnie zakwiczał, stuknął racicami i wściekle  
ruszył przed siebie.

## Rozdział 38

— **T**o pani odzież. To identyfikator. Jest magnetyczny i otwiera większość drzwi. W klinice od czasów pandemii panuje obowiązek noszenia masek, a do tego to ogromny kompleks i wielu pracowników się po prostu nie zna, więc prawdopodobieństwo, że ktoś się do pani przyczepi, jest minimalne.

Mężczyzna zamknął skórzaną torbę i wręczył ją Lucie. Pomimo dotkliwego chłodu był spocony i nerwowo mrugał powiekami. Spojrzała mu w oczy. Drżały, a na twarzy malowała się cała gama emocji, począwszy od strachu, a kończąc na nadziei, że zaraz to wszystko się skończy. Też mocno w to wierzyła, dlatego nie oponowała, gdy Mustafa zaproponował właśnie takie rozwiązanie. Nie było idealne, ale jeśli chcieli zakończyć to szybko i bezboleśnie, moralność musiała pójść w odstawkę.

– Mój ojciec leży w prywatnej klinice na Kreuzbergu – powiedział jej Mustafa, który po zejściu z promu szybko ustalił, że ojciec na wieść o nieudanej akcji Batukana doznał kolejnego zawału. – Niestety przeżył, ale podobno jego stan jest ciężki. Myślę, że to najlepszy moment, aby załatwić to w sposób, który nie będzie budził zbyt wielu podejrzeń.

– Co masz na myśli?

– Wystarczy dostać się do sali, w której przebywa. Reszta w pani rękach.

– Jak niby mam to zrobić?

– Pomogę.

Luta przyjęła jego słowa z dystansem, ale gdy wytłumaczył jej swój pomysł, z naturalną dozą ostrożności ostatecznie projektowi przyklasnęła. Borys też wyglądał na zadowolonego, bo plan wydawał się rozsądny i zarazem skuteczny. Wystarczyło wysłać kilku klanowych żołnierzy do domu jednego z pracujących w klinice lekarzy i w wiarygodny sposób przedstawić swoje racje. Dla ludzi Mustafy nie stanowiło to dużego wyzwania, gdyż każdy śniady mieszkaniec takich dzielnic jak Neukölln czy Kreuzberg znał panujące w stolicy zasady. Gdy do danego delikwenta przychodzili po prośbie ludzie wysłani przez klan Ozalanów, należało im bezwzględnie udzielić pomocy, w przeciwnym razie konsekwencje były nie tylko przewidywalne, ale i oczywiste. Młody, ambitny i wiodący piękne życie kardiochirurg tureckiego pochodzenia, ojciec siedmioletniego synka i dwóch czteroletnich bliźniaczek nadawał się do tego idealnie. Nie trzeba go było długo przekonywać, wszak miał bardzo dużo do stracenia, a podopieczni

Mustafy znali się na tej robocie całkiem dobrze. W sprzyjających warunkach takie sprawy załatwiano się błyskawicznie. Wystarczyło zrobić, a następnie wysłać ojcu zdjęcie bawiącego się na przerwie Omarka albo na oczach matki wyjąć z ramki fotkę huśtających się siostrzyczek. Żołnierze Ozalanów rzadko musieli posuwać się o krok dalej, bo tak wyrażony przekaz wydawał się czytelny dla każdego mieszkańca Berlina, zwłaszcza jeśli jego przodkowie wywodzili się znanad Bosforu. W przypadku stojącego przed nią mężczyzny sprawa została załatwiona migiem.

– Jak dostanę się do samego budynku? – zapytała, nie spuszczając wzroku z jego drżących źrenic.

– Jest wiele opcji, bo to bardzo duży kompleks. Frontem odradzam, bo główne drzwi są dokładnie monitorowane. Sugeruję drogę przez podziemny parking albo po prostu jednym z tylnych wyjść. Tam jednak można natknąć się na pracowników, którzy pod wiatrą często robią sobie przerwę na dymka.

Luta skinęła i wymieniła spojrzenia z Mustafą i Borysem. Zgodnie przytaknęli i już kilkanaście minut później jechali ulicami Kreuzbergu w kierunku kliniki, w której leżał Hakan. Na miejsce dotarli kilka minut przed dwudziestą pierwszą. Oświetlony kompleks rzeczywiście był ogromny. Mieścił się w majestatycznym parku z dostępem do prywatnej plaży przy łączącym górną i dolną Sprewę Landwehrkanal. Centralny gmach liczył dziesięć pięter i został wybudowany na wzór litery „V”, a pomniejsze, w większości dobudowywane później, przez co nowocześniejsze i częściowo oszklone, przypominały trudny do ogarnięcia na pierwszy rzut oka labirynt w większości pomalowanych na biało bloków i budynków.

Ustalili, że do szpitala wejdą tylko Luta i Mustafa. Borys miał zostać i pilnować sytuacji na zewnątrz, gdyż jego obecność w środku nie tylko była niepotrzebna, ale jego poorana bliznami twarz, nawet częściowo przykryta maską higieniczną, mogłaby wzbudzać niepotrzebne zainteresowanie. Trochę pomarudził, ale finalnie przyjął decyzję ze zrozumieniem, więc gdy Luta przebrała się w fartuch i przypięła sobie identyfikator, po raz ostatni sprawdzili łączność, a następnie się pożegnali.

Labirynt szpitalnych korytarzy na pierwszy rzut oka wydawał się skomplikowany, ale to były tylko pozory. Oznaczenia na ścianach były równie czytelne, jak te na lotniskach, więc mając w pamięci rozkład sal, mogli poruszać się płynnie i bez wzbudzania podejrzeń. O tej porze korytarze były prawie puste. Po drodze minęli tylko kilku pacjentów, poza tym pojedyncze pielęgniarki i lekarza, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi, wszyscy wydawali się zajęci własnymi sprawami. Luta tylko dwukrotnie musiała używać karty magnetycznej, przechodząc z oddziału do oddziału. Gdy w końcu znalazła się na kardiologii, poczuła wzbierający stres. Szykowała się na dużo trudniejszą przeprawę, więc fakt, że Hakan trafił do szpitala, mogła uznawać za szczęśliwe zrzędzenie losu. Mimo to świadomość, że znajduje się kilkadziesiąt metrów od pokoju, gdzie przebywał człowiek, który wydał rozkaz zamordowania jej dzieci, sprawiał, że emocje zaczęły buzować, jakby zaraz miały z niej wykypieć. Nie spuszczała też wzroku z Mustafy, gdyż z oczywistych powodów nie miała do niego za grosz zaufania, tym bardziej że



Szatan wciąż nie odpowiadał, a niewyjaśniony tatarski wątek nie dawał jej spokoju. Tylko w zasadzie co ten Turek mógł planować? Nic, powtarzała sobie w myślach, bo nawet jeśli w najgorszym wypadku chciałby ją zagonić w pułapkę, a Zygmunt trafiłby w ich łapy, to zapisany w chmurze na kilkunastu serwerach film z Władymirem, tak czy siak, nawet bez ich interwencji, automatycznie trafiłby do sieci. Schwywanie bądź pozbycie się ich obojga nie dawało więc Mustafie najmniejszych korzyści, a jedynie narażało na potworne straty wizerunkowe, w zasadzie jednoznaczne z fizyczną eliminacją nazwiska Ozalan ze wszystkich poważnych przestępczych biznesów, to zaś oznaczało po prostu śmierć. Jeśli nie chciał na to pozwolić – a w jej ocenie najmłodszy z klanu rzeczywiście wierzył w to, że wykorzystując sytuację, będzie mógł przejąć władzę – to prowadzenie jej na stracenie byłoby planem samobójczym.

Gdy dotarli do korytarza prowadzącego do sali, w której leżał Hakan, Luta posłała Mustafie ostatnie wymowne spojrzenie. Pomimo późnej pory drzwi pilnowało dwóch roślących goryli i jeśli rzeczywiście chciał stanąć na czele klanu, musiał się wykazać.

– Jak się czuje mój ojciec? – zapytał jednego z przybocznych Hakana. Obaj pospiesznie podnieśli się z krzeseł, ale zamiast zrobić miejsce, zagroździł je. Mustafa nerwowo zacisnął zęby. Podejrzewał, że wiedzą już o śmierci Emre, ale wątpił, aby mieli pojęcie o tym, że wspólnie z Batukanem został wysłany na platformę wiertniczą. Ale nawet jeśli, nie mogli wiedzieć o wyniku tego starcia, wszak gdyby ta informacja dotarła do podrzędnych klanowych żołnierzy, i tak już mocno podkopana reputacja szefa zostałaaby do końca zrujnowana. W takiej organizacji słabość zazwyczaj oznaczała poważne kłopoty, zwykle zaś niechybną śmierć. Ponieważ mężczyźni nie odpowiadali, postanowił nie brnąć w konwenanse i od razu pokazać, kto tu rządzi. – Zadałem ci pytanie, psi synu! Odpowiadaj! – warknął tonem, który nie pozostawiał żadnych złudzeń.

Goryle spojrzeli po sobie, najwyraźniej mocno zaskoczeni zaistniałą sytuacją. Luta stanęła metr od Mustafy, udając całkowitą obojętność.

– Mamy rozkaz nikogo nie wpuszczać, panie Ozalan – powiedział w końcu pierwszy z nich. Miał równo przyciętą brodę i wystający spod kołnierza golfa tatuaż z głową węża. Jego ciemne tęczęwki wydawały się rozbiegane.

– Kto niby wydał ten rozkaz? – syknął Mustafa.

– Czcigodny Hakan Ozalan.

Mustafa pociągnął nosem, pokręcił głową i odchylił maseczkę. Wykrzywił usta w grymasie pogardy.

– Powiem ci to tylko raz, psi synu – syknął. – Mój ojciec doznał drugiego zawału i w każdej chwili może umrzeć, w związku z czym sprowadziłem tu najlepszego kardiochirurga w Niemczech. A to kosztuje, i to niemało. Myślisz, że w zaistniałej sytuacji mój ojciec chciałby odmówić takiej wizyty? Zrezygnować z szansy i możliwości rozmowy z jedynym pozostałym przy życiu synem? Jedynym Ozalanem?

Mężczyzna przez chwilę analizował słowa Mustafy, ale najwyraźniej nie rozumiał aluzji. Najmłodszy z klanu nie miał zamiaru dłużej go naprowadzać.

– Otwieraj te jebane drzwi albo pierwszą moją decyzją będzie rzucenie twojego podłego truchła psom na pożarcie – warknął. – Albo waszego – dodał, przenosząc wzrok na drugiego z mężczyzn.

Luta kątem oka obserwowwała sytuację, ale udawała kompletny brak zainteresowania. W oczach obu mężczyzn miała uchodzić za specjalistkę od chorób serca, która za grube pieniądze przyszła przyjrzeć się pacjentowi. To wszystko. Co z tego, gdy w jej wnętrzu trwała już burza z piorunami.

Jej serce zabiło mocniej, gdy mężczyzna z tatuażem w końcu odsunął się i zrobił miejsce umożliwiające im wejście do szpitalnej sali. Pokornie schyliła głowę i zachęcona przez Mustafę minęła go, a następnie nacisnęła klamkę. Ta z lekkim zgrzytem ustąpiła i po chwili oboje przekroczyli próg szpitalnej izolatki.

## Rozdział 39

Zapadła złowroga cisza.

Emil Poleski siedział skulony na zmrożonej ziemi, próbując zachować resztki świadomości. Ręka wciąż krwawiła i choć ból był dojmujący, to nie zwracał na niego uwagi. Wiedział, że to nic, że to właśnie tylko ból, który prędkiej czy później minie, a w sumie niegroźna rana w końcu się zagoi. Co do tego, czego był świadkiem chwilę wcześniej, nie miał już takiego przekonania. To – i był tego pewien – zostanie z nim już na zawsze.

– Żyjesz? – usłyszał zachrypnięty głos, a chwilę później czyjaś dłoń chwyciła go za ramię. – Emil, odezwij się, do jasnej cholery. Już po wszystkim.

Poleski otworzył oczy. W półmroku dostrzegł kontur znajomej twarzy. Otaczały ją płatki unoszącego się w powietrzu śniegu. Była wykrzywiona w grymasie bólu, ale jednocześnie wyrażała ogromną ulgę.

– Czy ten... – podjął Poleski. – Czy on dalej...

– Czyli żyjesz. Wstawaj. Trzeba cię opatrywać.

– Ale... – Emil nie dokończył, gdy za ścianą chlewu usłyszał serię kwików.

– Rusz się, do cholery, bo nie będę cię opatrywał w chlewie.

Lekki podmuch przywiał do środka kolejne białe drobinki. Szatan, nie bacząc na protesty, szarpnął Emila za ramię i podniósł do góry. Zaklął przy tym wyjątkowo szpetnie, bo uraz, którego nabawił się przy upadku, przypominał o sobie w zasadzie przy każdym ruchu. Gdy Poleski w końcu stanął na nogi, z duszą na ramieniu wyjrzał na podwórze. Kilka metrów dalej w rozległej kałuży krwi leżały dwa ciała, z których jedno wciąż nieznacznie się poruszało.

– On wciąż żyje... – wydukał lękliwie.

Szatan przeniósł wzrok na miejsce przy kompostowniku. Nie był to miły widok dla oka, nawet dla starego gliniarza. Sceneria przypominała obrazek z rzeźni, a zimowy anturaż tylko pogłębiał kontrast tej wszechobecnej makabry. Krew była dosłownie wszędzie. Spływała koleinami wydrążonymi w śniegu, tworząc w kilku zagłębieniach niewielkie szkarłatne kałuże. W połowie drogi leżała odgryziona dłoń.

– Żyje, ale już niedługo – wymamrotał nadkomisarz. W jego tonie wybrzmiewał żal, co w obecnej sytuacji brzmiało co najmniej groteskowo. – Pokaż mi to ramię – zmienił temat.

Emil odciągnął kołnierz na tyle, aby odsłonić mięsień czworoboczny grzbietu. Syknął, zaciskając zęby, przez co kilka kropel śliny wystrzeliło wprost w twarz Szatana. Nadkomisarz nie zareagował, skupiając się na ocenie obrażeń. Kula przeszła nieco powyżej obojczyka, na szczęście na wylot. Rana wyglądała dość paskudnie, ale nie zagrażała życiu. Wystarczyło zatamować krwotok, a potem ją oczyścić i założyć kilka szwów.

– Będziesz żył – powiedział, zerkając w stronę pokwikującego Władymira. – Ale i tak powinien obejrzeć to lekarz. Możesz iść?

– Chyba tak – jęknął Emil.

– W łazience znajdziesz apteczkę. Odkaż to wodą utlenioną, a potem przytknij do rany jakiś ręcznik. Jak wrócę, to pomogę ci założyć opatrunek.

– A lekarz?

– Później. Widzisz, co tu się dzieje. Chcesz odpowiadać na te wszystkie pytania?

– Ten facet mnie, kurwa, postrzelił! Sam powiedziałeś, że musi to obejrzeć lekarz.

– I obejrzy. Ale nie teraz. Poza tym trzeba powiadomić Lutę. – Szatan znów przeniósł wzrok na okolice kompostownika. – A teraz przestań się mazać i idź do tej jebanej łazienki. Ja zaraz dołączę.

– Co chcesz zrobić?

Ostatnie słowa zawisły w eterze. Szatan nie odpowiedział, tylko kulejąc, poczłapał w kierunku leżącego na boku Władymira. Knur pokwikiwał i od czasu do czasu nerwowo machał nogami. Gdy Szatan nad nim stanął, poczuł, że jego oczy wilgotnieją. Przykucnął i położył dłoń na potężnym karczysku. Bestia zakwiczła i się szarpnęła, ale chwilę później się uspokoiła.

– Przykro mi, przyjacielu – wymamrotał Szatan, przemykając palcami po włochatym ciele. W kilku miejscach na ryju, szyi i brzuchu widniały otwory po kulach, z których w takt bijącego serca wypływała krew. Przełknął ślinę, gdy zmusił się, aby spojrzeć na to, co pozostało z mężczyzny, którego nazywali Rączkowskim. Jego zmasakrowane zwłoki były przygniecione zwałistym cielskiem knura i w niczym nie przypominały tego pewnego siebie manipulantą, który jeszcze kilkanaście minut wcześniej pysznił się na jego fotelu. Wszystko od pasa w górę zmieniło się w krwawą miazgę, której resztki wciąż tkwiły między kłami Władymira. – Zrobiłeś, co trzeba, przyjacielu – powtórzył, śmiejąc się przez zły.

Pomyślał, że znów z nim rozmawia, i zdał sobie sprawę, że to żaden powód do wstydu. Władymir był członkiem jego skromnej rodziny. Wiernym kompanem, z którym spędził dwadzieścia lat życia. Wychował go od maleńkości, dbał jak o własne dziecko, bawił się z nim, karmił go, szkolił. W pewnym momencie Zygmunt stracił nadzieję, że dokona zemsty, ale związał się ze zwierzakiem na tyle, że nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, aby oddać knura na ubój. Zamiast tego spotykali się codziennie, dużo rozmawiali, każdy w swoim języku. Czasem o pogodzie, a czasem knur musiał wysłuchiwać jego tyrad na temat bagna, w jakim żyją, wszechobecnej korupcji czy politycznego skurwysyństwa. Nigdy nie dał mu do zrozumienia, że jest starym, nędznym i upodlonym alkoholikiem,

że już powinien skończyć marzyć o wymyślonej wendecie, żeby się odczepił, bo ma dość tego pieprzenia. Wolał pochrumkać, zakwiczeć i pomachać uszami, a gdy miał więcej energii, to czasem poganiał za kurami. Ten knur był jego jedynym prawdziwym i całkowicie oddanym przyjacielem. Takiego na tym świecie ze świecą szukać.

Szatan jeszcze przez chwilę głaskał knura po karku i za uszami, aż w końcu z ciężkim sercem sięgnął po wytrącony z dłoni Rączkowskiego pistolet. Spojrzał w ciemne oczy Władymira, który raz jeszcze zakwiczał, a następnie przyłożył tłumik do ucha i nacisnął spust. Knur wydał z siebie ostatni kwik, jego masywnym cielskiem szarpnęło po raz ostatni, po czym nastąpiła okropna cisza. Nadkomisarz nie zdołał powstrzymać łez, które popłynęły mu po policzkach. Wytarł je rękawem swetra, a potem wygrzebał z kieszeni trupa smartfon. Wyświetlacz był popękany, ale wciąż działał. Gdy zobaczył blokadę, podniósł się z kucek i zerknął na leżącą kawałek dalej dłoń. Pomyślał, że zanim zrobi się całkiem ciemno, będzie musiał jeszcze posprzątać podwórze.

## Rozdział 40

Sala szpitalna tonęła w półmroku, a przestrzeń wypełniało charakterystyczne pikanie aparatury medycznej.

Luta wkroczyła do środka pewnym krokiem, za nią próg przekroczył Mustafa. Hakan Ozalan miał zamknięte oczy, a pod nosem rurki dostarczające mu wzbogacony tlen. Spał.

Natychmiast sprawdziła kartę pacjenta. Według zapisu ostatnia wizyta lekarza skończyła się zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, a stan wydawał się stabilny. To oznaczało, że w sprzyjających okolicznościach mają na pogaduchy całkiem sporo czasu. Przygryzła nerwowo dolną wargę, walcząc z samą sobą, aby po prostu nie odciąć mu dostępu do tlenu. Przyjrzała mu się z bliższej odległości. Wyglądał na bardzo starego i zmęczonego życiem człowieka. Szereg głębokich bruzd na czole i policzkach zdradzał, że jest nie tylko mocno zaawansowany wiekiem, ale też w życiu przeżył wystarczająco dużo, aby wysnuć hipotezę, że nie zawsze było ono usłane różami. Pozbawiona włosów czaszka pokryta była ciemnymi plamami sugerującymi jakąś przewlekłą chorobę, a na skroniach prześwitwały niebieskie żyły. W błękitnej piżamie i pod białą kołdrą Hakan nie miał w sobie nic z seniora jednej z najniebezpieczniejszych organizacji przestępczych świata. Bardziej przypominał człowieka, który już pogodził się z tym, że śmierć się o niego upomniała i kurczowo trzyma się życia tylko dlatego, aby uporządkować niezłatwione sprawy, które w przypadku nagłego odejścia nie pozwoliłyby uzyskać mu spokoju ducha. Złośliwie pomyślała, że z największą przyjemnością pomoże mu przedostać się na drugą stronę, ze świadomością całkowitego zniszczenia wszystkiego, co zbudował przez życie.

– Obudź go – rozkazała stojącemu obok Mustafie.

– Myślałem, że pani...

– Nie ty jesteś tu od myślenia. Rób, co mówię.

Najmłodszy z synów cmoknął, po czym precyzyjnie się między nią a łóżkiem. Przez chwilę po prostu stał i przyglądał się ciężko oddychającemu ojcu. Luta bacznie obserwowała każdy mięsień na jego twarzy i szybko doszła do wniosku, że Mustafa naprawdę nim gardzi. To był dobry znak i odrobinę zeszło z niej ciśnienie. Miała go po swojej stronie.

– Ojczce? – podjął najmłodszy z Ozalanów. Nie dostrzegłszy reakcji, położył dłoń na ramieniu Hakana i lekko nią potrząsnął. – Ojczce. Obudź się. To ja,

Mustafa.

Pikanie aparatury medycznej delikatnie przyspieszyło, podobnie jak urządzenie wspomagające oddychanie. Na twarzy seniora rodu wykwitł grymas bólu, po chwili drgnęły powieki.

– Synu... – wymamrotał, uchylając je.

Mustafa chwycił, a następnie uściśnął dłoń Hakana.

– Jestem przy tobie, ojcze. I... – Rozplótł palce. – I chciałbym ci kogoś przedstawić... – dodał z wyczekującym w tonie szyderstwem.

Luta przepchnęła mężczyznę i stanęła nad starcem, zakrywając wpadające przez żaluzje światło przyszpitalnych latarni. Przez krótką chwilę wpatrywała się w jego oczy, które z każdą kolejną upływającą sekundą zaczynały zapadać się w sobie. On już wiedział. Była tego prawie pewna, mimo to powoli chwyciła przylegającą do twarzy maskę i odsunęła ją na szyję.

– Mówiłam, że po ciebie idę – syknęła, nachylając się nad nim. Starzec jęknął i odwrócił głowę, a aparatura medyczna znów przyspieszyła.

– Wiedźma... – wymamrotał, trzęsąc się, jakby zaraz miał dostać ataku padaczki.

– Cśś... – Luta przytknęła palec do ust. – Nie ekscytuj się tak, bo nic ci to nie da. Umrzesz i tego już nie da się odkręcić, ale zanim zlecą się tu te wszystkie konowały, chciałabym uciąć sobie z tobą miłą pogawędkę.

– Wysłuchaj jej, ojcze. Wtedy, może... ród przetrwa.

Niczego mu nie obiecywała, ale w myślach podziękowała Mustafie. Facet potrafił się ustawić i naprawdę był całkiem niezłym manipulantem. Przemknęło jej przez myśl, że być może ojciec rzeczywiście nie docenił najmłodszego syna, w zamian stawiając na starszych i bezwzględnych brutalach.

Hakan powoli z powrotem odwrócił głowę. Musiał zrozumieć, że to koniec. Że nie ma już dla niego ratunku. Świadomość, że zdradził go własny syn, musiała być dla niego olbrzymim wstrząsem. Na chwilę złapał z nim kontakt wzrokowy, ale nic nie powiedział. Drżał jak osika, oddychał płytko i szybko, ale puls na szczęście się ustabilizował i choć serce biło szybciej niż podczas snu, nie przekraczało granicy, która groziła odsieczą w postaci armii rozemocjonowanych pielęgniarek. W czarnych jak smoła tęczówkach tlił się strach.

– Dlaczego... – wydukał. – Dlaczego to robisz?

Luta prychnęła. Trudno było uwierzyć w tak porażającą impertynencję tego dziadygi. Nie miała czasu na te bzdury, a Borys wciąż szeptał jej do ucha. Zabij, mówił, zabij i spadaj, bo każda kolejna sekunda to niepotrzebne ryzyko. Po tym wszystkim nie mogła jednak tak po prostu odebrać mu życia. Musiała się tym nacieszyć, choć odrobinę. Wyjęła więc spod fartucha dwie niewielkie strzykawkę. W jednej znajdował się przezroczysty płyn, a w drugiej krew.

– W tej jest chlorek potasu – wyjaśniła, ukazując pierwszą z nich. – To środek, który sprawi, że gdy go wstrzyknę, twoje serce po prostu przestanie bić. Umrzesz w miarę bezboleśnie i, być może, trafisz do tego twojego zasranego raj. Ale ta... – skupiła wzrok na drugiej – ...ta jest wypełniona mieszkanką chlorku potasu oraz krwi knura, który najpierw trochę się z Yusufem zabawiał, a potem go pożarł.

Przygotowałam dwie na wypadek, gdybyś próbował rznąć wielkiego pana mafiosa, uniósł się honorem albo po prostu chciał zrobić coś wyjątkowo głupiego. Decyzja, której zaraz użyję, należy do ciebie.

Hakan z przerażeniem wpatrywał się w strzykawki i pulsometr znów zaczął przyspieszać. Luta zerknęła na wykres na monitorze, po czym ponownie przyłożyła palec do ust. Zabij, usłyszała w słuchawce głos Borysa.

– Jeśli się nie uspokoisz, wbiję ją zaraz. – Odchyliła rękaw jego piżamy i przytknęła igłę do żyły. Lekko nacisnęła tłok i czerwona kropla spadła na pomarszczoną skórę. – Myślisz, że wtedy ktoś otworzy ci bramy raj? – syknęła.

– Błagam, nie, błagam. Proszę tego nie robić – skamlał. – To jakieś potworne nieporozumienie. Nie zabiłem pani dzieci. Nie zrobiłem tego. Nie...

– Kurwa mać! – zakłęła i z powrotem zbliżyła igłę do przedramienia. – Mam dość tych kłamstw. Przyznaj się albo...

Zamilkła, gdy ujrzała w oczach Hakana łzy. Kilka z nich urwało się i spłynęło kanałami wydrążonymi w skórze przez upływający czas. Zaciśnęła zęby, walcząc, aby nie zrobić czegoś, czego mogłaby później żałować. Tak bardzo pragnęła widzieć, jak umiera, jak przyznaje się do winy i błaga o litość, o przebaczenie, na które nie zasługiwał i którego nigdy by mu nie okazała. Tylko co z tego, gdy on chyba rzeczywiście nie kłamał. Widziała to w jego drżących żenicach. To spojrzenie mówiło więcej niż tysiąc słów.

Zabij go i wracaj. Głos przyjaciela znów wybrzmiał jej w uchu, a chwilę później poczuła w kieszeni wibracje. To mogła być tylko jedna osoba, mimo to nie odebrała. Szatan musiał poczekać. Zabij go, mamy mało czasu, ponaglał Borys. Naciskał aż za mocno. Nagle poczuła się fatalnie. To wrażenie wzmoгло się jeszcze bardziej, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma teraz czasu, aby dochodzić prawdy. Ale jeśli Hakan nie kłamał, to o co tu, kurwa, chodziło? I kto wydał rozkaz zamordowania jej dzieci? Odwróciła się w kierunku Mustafy, który widząc grymas na jej twarzy, instynktownie cofnął się o krok. W jego oczach też tlił się strach, ale poza tym był tym wszystkim równie zaskoczony jak ona.

– Wytłumaczysz mi, o co tu chodzi? – syknęła, a w słuchawce znów poniosło się „zabij”.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – rzucił Mustafa nerwowo. – Przecież pani wie. Byłbym szaleńcem, gdybym porwał się na coś takiego. Poza tym od początku współpracujemy, prawda?

Luta miała kompletny mętlik w głowie. Odbiła kolejne połączenie od Szatana, Borys naciskał coraz śmieiej i bez wątpienia miał rację. Nie mogła ciągnąć tego w nieskończoność, co z tego, gdy nagle wszystko stanęło na głowie. To nie tak miało wyglądać! Zdążyła przeanalizować wybory Mustafy już wcześniej, bo w innym wypadku nigdy nie zdecydowałaby się z nim na jakąkolwiek kooperację. On nie miałby w zamordowaniu jej dzieci żadnego celu, a nawet jeśli jego ambicje sięgały tak daleko i zaplanowałyby – w co nie wierzyła – tak piramidalną operację, aby jej rękami pozbyć się namaszczonego na przyszłego szefa organizacji brata, a następnie sprawić, aby zabiła ojca, dzięki czemu stałby się jedynym kandydatem do tronu, to musiał liczyć się z tym, że właśnie w takiej sytuacji



prawda mogłaby wyjść na jaw. A wtedy wszystko i tak szlag by trafił, bo nawet gdyby udało mu się ją zabić, film z jego igraszek z Władymirem prędzej czy później i tak automatycznie trafiłby do sieci. Czy zaryzykowałby taki rozwój sytuacji? Czy mogła go tak nie docenić? Pomyślała, że zaczyna tracić grunt pod nogami, bo najwyraźniej ktoś przez cały czas bawił się jej kosztem.

– Luta, zabij Hakana i kończ ten cyrk. Zaraz może być za późno – rzucił nerwowo Borys.

Luta zacisnęła zęby. Musiała wiedzieć.

– Nie mamy wiele czasu, więc zapytam po raz ostatni – rzuciła tonem, który mógłby zmrozić piekło. Ponownie przyłożyła strzykawkę z krwią do skóry na przedramieniu Hakana Ozalana. – Kto wydał rozkaz? Kto zabił moje dzieci?

# Rozdział 41

**P**o opatrzeniu rany i połknięciu końskiej dawki środków przeciwbólowych Emil położył się na kanapie i – choć dawno temu rzucił palenie – poprosił o papierosa. Niewiele rozmawiali z Szatanem. Stary gliniarz najpierw ogarnął okolicę chlewu, a po powrocie do domu założył mu całkiem solidny opatrunek, po czym zaczął go ignorować, nie licząc faktu, że zdążył jeszcze zaparzyć dwie kawy. Potem usiadł przy kuchennym stole i na dłuższą chwilę się zawiesił. Gdy ochłonął i uporządkował myśli, podniósł się i poszukał smartfona nieproszonego gościa, następnie pochłaniając kolejne papierosy, zaczął lustrować urządzenie. Emil miał bujną wyobraźnię, czego dowodem był jego sukces na rynku wydawniczym, ale gdy patrzył na odgryzioną przez Władymira dłoń, którą po ściągnięciu blokady papilarnej Szatan tak po prostu położył na ławie, jego umysł zaczynał się ewidentnie przegrzewać. Nie był w stanie skupić myśli, a w głowie raz za razem przewalały się obrazy, o których chciałby jak najszybciej zapomnieć. Próbował pocieszać się tym, że przecież żyje, ale rezonujące mu pod czaszką echa niedawnych wydarzeń przyprawiły go o kolejne fale dreszczy.

– Powinniśmy skontaktować się z Lutą – wydukał w końcu, nie mogąc znieść tej męczącej ciszy. – To wszystko ma z nią jakiś związek, prawda? Ten facet też był w to zamieszany i...

– Zamknij jadaczkę – rzucił Szatan, po czym przyłożył telefon do ucha. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, w końcu odłożył urządzenie na blat stołu. – Kurwa mać! – ryknął i huknął pięścią w mebel.

Emil zerwał się z kanapy. Jęknął z bólu, ale opanował się i podbiegł do Szatana, który zdążył już wybrać kolejny numer.

– Co się dzieje? – zapytał Poleski.

– Gównno się dzieje. Wszystko się popierdoliło. Byliśmy ślepi, rozumiesz. Ślepi! Kurwa mać! – ryknął ponownie, nie mogąc nawiązać połączenia.

– O co chodzi? Do kogo dzwonicz?

– Do Luty.

– I...

– Nie odbiera. Poczekaj...

Szatan pospiesznie wklepał wiadomość na WhatsAppie i chwilę odczekał. Na wyświetlaczu pojawiły się dwa szare dzióbki, co oznaczało, że została dostarczona, ale odbiorca jej nie odczytał. Nadkomisarz odczekał jeszcze kilkadziesiąt

sekund, ale gdy nie chciały zmienić koloru na niebieski, wykręcił numer jeszcze raz. Niestety, tym razem usłyszał, że abonent znajduje się poza zasięgiem.

– Spróbuj ty. Na drugi numer – rozkazał Emilowi, a ten szybko wygrzebał z kieszeni swój smartfon.

– Poza zasięgiem – oznajmił.

– Czyli zrobił się gnój.

– Jaki gnój? – warknął Emil. – O co tu, kurwa, chodzi i gdzie, do jasnej cholery, jest Luta? Gadaj, bo zaraz szlag mnie trafi!

Szatan spojrzął w oczy Poleskiego, a potem schował głowę w dłoniach. Chwilę później zamasztywym ruchem ręki strącił wszystko z blatu. Na sfatygowanych płytkach wylądował kubek z kawą, gazeta i talerz z niedojedzoną kanapką.

– Teraz to już pozostało nam się tylko pomodlić – powiedział i znów zerknął na wyświetlacz. Dwa dzióbki wciąż nie chciały zmienić koloru na niebieski.

\* \* \*

– Czas się kończy. Pozbądź się go i spieprzaj, bo ryzyko staje się zbyt duże – ponowił wołanie Borys.

Wtedy coś ją tknęło. To było jak uderzenie obuchem. Aż wstrzymała oddech. Przełknęła ślinę, po czym drżącą dłonią wyjęła z ucha głośnik i wyciszyła mikrofon.

– Kto wydał rozkaz? – Po raz kolejny zwróciła się do Hakana, choć kolejne puzzle z zaskakującą regularnością zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Obraz powstający w jej głowie stawał się coraz bardziej irracjonalny. I coraz bardziej przerażający.

– Nie wiem, ale... – Starzec przymknął oczy, odetchnął. – Tuchmanow... – Znów zrobił krótką pauzę. – Tylko on przychodzi mi do głowy. Nikolaј Iwanowicz Tuchmanow. Wie pani, kim jest ten człowiek?

Luta poczuła, jak jej serce przyspiesza niczym piła motorowa. Na skronie wystąpiły krople potu, w ustach jej zaschło, a w głowie rozpętała się burza z pionurami. To nie mogła być prawda. To, kurwa, nie mogła być prawda!

– To Rosjanin, magnat przemysłu stalowego i główny dostawca wszystkiego, co Ruscy sprzedają do Niemiec w pakiecie – kontynuował Hakan. – Oni wysyłali nam kobiety oraz heroinę, a my pośredniczyliśmy w przepływie kokainy z Kolumbii. Prowadzę z nimi interesy od lat, ale w ostatnim czasie coś się w naszych relacjach popsuło. Zaczęli stawiać zbyt wygórowane warunki, ograniczyli dostawy i zaczęli dogadywać się z Kolumbijczykami ponad naszymi głowami. Długo myślałem, że to przez to nagłośnione w mediach wydarzenie w waszym mieście Chrystusa. To miało sens. Ta akcja osłabiła klan, na organizacji pojawiła się rysa, więc to w jakiś sposób było wytłumaczalne. Potem jednak zaczęły panoszyć się plotki o nadchodzącej wojnie, a wojna to... cóż... wojna to dla naszego biznesu prawdziwe eldorado...

Luta słuchała Hakana z coraz większym przerażeniem. Stary Ozalan był bandytą, ale także biznesmenem. Znał te wszystkie brudne zagrywki ze strony poten-

cyjnych kontrahentów, potrafił analizować zagrożenia i wyciągać logiczne wnioski. I nawet jeśli nie o wszystkim wiedział, to po otrzymaniu filmu z Yusufem mógł sobie z czasem wszystko poukładać. Teraz, gdy zrozumiał, że został zdradzony przez syna, który przecież jako jedyny wrócił z rzeźni pod Świebodzinem, ostatnie puzzle wskoczyły na swoje miejsca także i w jego układance.

Tuchmanow, pomyślała ze zgrozą. Tuchmanow nie tylko był oligarchą zajmującym się produkcją i sprzedażą stali, ale też wysyłaniem na Zachód kobiet i narkotyków. Tuchmanow był też sponsorem prywatnej armii najemników...

Ta myśl sprawiła, że po kręgosłupie spłynął jej paskudny dreszcz. Nie mogła dłużej czekać. Westchnęła, z powrotem włączyła mikrofon i wcisnęła urządzenie do ucha, a następnie wbiła strzykawkę z chlorkiem potasu w żyłę Hakana i docisnęła tłok.

– Bez względu na to, czy brałeś w tym udział, zasłużyłeś na śmierć – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Senior rodu Ozalanów nie protestował. Musiał wiedzieć, że tak to się skończy, że Luta nie ma innego wyboru, wszak gdyby podjęła nierozważną decyzję, uległa emocjom i darowała mu życie, on byłby zmuszony ścigać ją do końca świata. Prawo zemsty nie pozostawiało w tym względzie innego wyboru. Zabiła mu dwóch synów, a trzeciego sprowokowała do zdrady, niejako niszcząc organizację od środka i depcząc nazwisko, na które pracował całe swoje życie.

Uchwyciła moment, gdy Hakan złapał kontakt wzrokowy z Mustafą. Ze szklistych oczu starego wyzierał niewysłowiony żal, ale nic poza tym. Nie było w nim złości, gniewu, przerażenia. Jakby pogodził się z tym, że przyszedł już na niego czas, że musi odejść, że w swoim długim życiu nagrzeszył już wystarczająco i teraz czas stanąć przed sądem bożym, który nie bacząc na jego pozycję i majątek, oceni wszystkie uczynki i wyda sprawiedliwy wyrok. Miała też wrażenie, że poczuł swoistą ulgę, bo jakie byłoby to jego życie, gdyby jednak tej strzykawki nie wbiła? Przecież stracił już wszystko: autorytet, reputację, nawet dobre imię. Gdyby nie umarł, to pewnie i tak ktoś by go prędzej czy później zamordował, jak nie syn, to ktoś inny, być może członek klanu albo konkurencja. I chyba śmierć z jej ręki była najlepszym rozwiązaniem, bezbolesna i litościwa, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że strzykawka z krwią ostatecznie trafiła z powrotem do jej kieszeni. Posłała mu ostatnie spojrzenie, a on mrugnął, tak jak mruga się w momencie, gdy człowiek milcząco akceptuje swój los, nawet gdy ten jest straszny i nie do końca sprawiedliwy. Potem wymownie zerknęła na Mustafę i ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych.

Miała jeszcze kilka minut, zanim chlorek potasu dotrze do serca, a potem to serce się zatrzyma i aparatura wszcznie alarm, po którym zbiegną się pielęgniarki i lekarze. Pospiesznie podążając korytarzami, już się nad tym nie zastanawiała, bo w głowie szalała burza z piorunami, która nijak miała się do tej sprzed chwili. Ta nawałnica miała już zaraz rozpętać prawdziwe piekło.

- I jak? – usłyszała w słuchawce głos Borysa.
- Załatwione. Wychodzę. Bądź gotów – odparła oschle.
- Moja Nemezis...

Nemezis, pomyślała i wyjęła z kieszeni smartfon. Spojrzała na wyświetlacz. Dwa nieodebrane połączenia od Szatana i wiadomość. Odczytała. Poczula, jak jakaś potężna siła ściska jej serce jak w imadle. Zacisnęła zęby i przyspieszyła kroku. Po wyjściu ze szpitalnego gmachu zaczęła biec. Mustafa ledwo nadązał, ale tak naprawdę już go nie potrzebowała. Był nikim, zwykłym śmieciem, który też zasługiwał na śmierć. Nie o nim jednak myślała. W głowie miała tylko jedno.

Gdy dobiegła do celu, terenówki Borysa już nie było. Została tylko ona, pokryte cienką warstwą śniegu klomby, rozłożyste kasztanowce i obsiadające je wrony i kruki. Kilka z nich zaskrzeczało, a potem zerwało się do lotu, zrzucając z pomniejszych konarów kapki białego puchu. W tle słychać było sygnał nadjeżdżającej karetki i klaksony stojących w korku kierowców. Wysoko na niebie kłębiły się czarne chmury, w których właśnie zniknął wznoszący się samolot.

– Sukinsyn – wysyczała przez zęby, po czym przysiadła na jednej z ławeczek, aby uspokoić emocje. Musiała to wszystko poukładać. Wtedy w kieszeni znów poczuła wibracje.

To mógł być tylko Szatan albo Borys. Nikt inny nie znał tego numeru.

Przez chwilę ignorowała uporczywe dzwonicie, ale gdy nie ustawało, w końcu wyjęła z kieszeni urządzenie i spojrzała na wyświetlacz. Numeru nie znała, za to kierunkowy jak najbardziej. Odetchnęła, przełknęła ślinę i odebrała.

– Mama?

Luta zbladła, a jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Gardło ścisnęło się, zaniemówiła.

– Mamusiu, jesteś tam? To ja, Bibi Kotek. Mamusiu, kiedy po nas przyjeździesz?

## Rozdział 42

— Jestem, kochanie. Chryste, Wercia. Mój Boże. Mama jest i cię słyszy. Gdzie jesteś, kochanie? Gdzie jesteście?

Trzask, szorstki męski głos, pisk córki. Jej ciałem znów wstrząsnął silny dreszcz. Nic z tego nie rozumiała, ale euforia chwilowo przysłoniła jej logiczne myślenie. Serce w piersi tłukło się jak oszalałe, umysł wariował, aż kipiała od adrenaliny. Przecież to nie mógł być żaden ponury żart. Wszędzie rozpoznalaby ten głos. To bezsprzecznie była jej córka!

– Kochanie. Powiedz coś, proszę. Gdzie jesteście? Mama po was przyjedzie i...

– Najpierw pani coś dla nas zrobi – przerwał jej ten sam szorstki głos. Mężczyzna mówił po rosyjsku. – Ale proszę się nie martwić. Pani dzieci żyją i mają się dobrze. Zawsze dbamy o dzieci naszych najlepszych ludzi. Mają wszystko, czego tylko dusza może zapragnąć. Oczywiście to może się zmienić...

– Błagam... – jęknęła. – Niech pan da ją do telefonu. Chcę ją usłyszeć. I Franka też. Proszę pana, proszę...

– Najpierw pani wsiądzie do samochodu, który zaraz po panią podjedzie – wciął się mężczyzna po drugiej stronie. – To zwykły Bolt, więc kierowca jest zupełnie nieświadomy zaistniałej sytuacji. To tak na wszelki wypadek, żeby nie wpadł pani do głowy żaden głupi pomysł. Podaję rejestrację...

Luta wciąż nie była w stanie jasno myśleć, ale zapamiętała podany ciąg liter i cyfr, po czym podniosła się z ławki i rozejrzała po ulicy. Przy samym szpitalu nie było wielkiego ruchu, więc szybko zlokalizowała nadjeżdżający pojazd. W głowie nadal kotłowały się tysiące myśli, ale ta najważniejsza, którą analityczny umysł wciąż nie do końca chciał zaakceptować, nieustannie wybijała się na pierwsze miejsce. Jej dzieci żyły! To brzmiało nielogicznie, niedorzecznie, wręcz absurdalnie, mimo to jeszcze kilkadziesiąt sekund temu słyszała głos córki. To był twardy, niepodważalny dowód!

Gdy wsiadła do samochodu, od razu przyjrzała się nawigacji. Miejsce docelowe znajdowało się na wschodnich obrzeżach Berlina, w odległości dwudziestu ośmiu kilometrów od szpitala. Czego mogła spodziewać się po przyjeździe? Nie miała pojęcia, wciąż była w głębokim szoku i choć logika podpowiadała, że jak najszybciej musi się z tego szoku otrząsnąć, nie była w stanie skupić myśli. Mustafę pogoniła, bo w obecnej sytuacji był jedynie zbędnym balastem, który

dotatkowo mieszał jej w głowie. Gdy drzwi taksówki się zamknęły i Bolt ruszył z miejsca, mężczyzna poinformował ją, że teraz się rozłączy i wróci do rozmowy dopiero w momencie, gdy Luta dotrze do celu podróży. Nie omieszkął ostrzec przed konsekwencjami czekającymi ją w przypadku nieposłuszeństwa, co sprawiło, że emocje wybuchły w niej ze zdwojoną siłą. Tylko co mogła zrobić? Euforia spowodowana faktem, że jej dzieci żyją, niemal natychmiast została stłumiona świadomością, że znajdują się w rękach ludzi, którzy nie cofną się absolutnie przed niczym. Myśl, że jej niesubordynacja może dla Franka i Werki skończyć się tak samo jak przed laty dla żony i córki Szatana, paraliżowała ją do tego stopnia, że walczyła z samą sobą, aby nawet nie próbować szukać wyjścia z sytuacji.

Po kwadransie emocje trochę opadły i umysł zaczął funkcjonować bardziej metodycznie. Raz jeszcze przeanalizowała, czy to w ogóle możliwe, aby jej dzieci żyły. Przecież w dzisiejszych czasach realne było wykorzystanie nagrań z przeszłości, które sztuczna inteligencja przerabiała w sposób prawie niemożliwy do odróżnienia dla ludzkiego ucha. Tylko na dłuższą metę to nie miałyby żadnego sensu. Jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, aby znaleźć się w tym miejscu, musiał zdawać sobie sprawę, że będzie chciała się upewnić, że to nie jest kolejna mistyfikacja. Wystarczyło porozmawiać na żywo, poprosić do telefonu Franka, zadać proste pytanie, na które odpowiedź znała tylko ona i syn.

Zatem żyły, myślała. Kto i w jakim celu zadał więc sobie tyle zachodu? Na pierwsze z pytań odpowiedź już znała, a przynajmniej miała przekonanie graniczące z pewnością, że się w tej kwestii nie myli. Na drugie odpowiedź pozostawała zagadką, a jeśli nawet w jej głowie pączkowały jakieś hipotezy, to wydawały się nieoczywiste i mocno naciągane. Nie mogła tylko uwierzyć, że dała się podejść w tak prostacki sposób, i to przez człowieka, który od najmłodszych lat był jej przyjacielem, a nawet bratem. Nawet jeśli później ich drogi się rozeszły, a ona mogła mieć mu za złe, że podjął takie, a nie inne decyzje, to nigdy nawet by jej przez myśl nie przeszło, że może ją zdradzić w tak perfidny sposób. Co mogło skłonić Borysa, aby ją w to wszystko wmanewrował? Jaką miał z tego korzyść? Czy aż tak bardzo się względem niego pomyliła?

Chwilowo postanowiła nie kontaktować się z Szatanem, a tym bardziej z Emilem. Ten pierwszy napisał dość lakoniczną wiadomość, niemal hasłową, w której przyznał, że stał się z Rączkowskim, który w jego ocenie jest rosyjskim oficerem służb specjalnych, prawdopodobnie z rosyjskiego GRU. Dowodem, że jego wcześniejsze ostrzeżenia miały rację bytu, a ona została wciągnięta w jakąś brudną grę, miał być telefon, jaki wykonał pod jeden z najczęściej wybieranych w aparacie numerów. Połączenie odebrał Borys.

Czy dlatego Borys na nią nie poczekał? Czy może wszystko było zaplanowane dużo wcześniej? Przerazało ją, że przez tyle dni dawała się wodzić za nos, wręcz prowadzić na smyczy. Jeśli rzeczywiście za wszystkim stało GRU, prawdopodobnie na wniosek oligarchy Tuchmanowa, to wykonało kawał naprawdę finezyjnie skrojonej roboty. Odczekali, wysłali ludzi na przeszpiegi, przygotowali się na każdym możliwym poziomie, a gdy w końcu uznali, że są gotowi, najpierw zamordowali jej dziadka, aby ściągnąć ją do Turcji, gdzie już swobodnie mogli

zainscenizować śmierć Franka i Werki, jednocześnie zrzucając winę na Ozalánów. Zegarmistrzowska precyzja. Potem wystarczyło już tylko zagrać na emocjach i podrzucić jej Borysa, ten zaś umiejętnie wykorzystał żalobę i trawiący ją gniew, co uruchomiło spiralę kolejnych wydarzeń.

Wszystko to jednak było nieważne. Jej dzieci żyły i tylko to się liczyło. Co ją czeka na końcu tej drogi? Czego może się spodziewać?

Kierowca wysadził ją na jednym z podmiejskich parkingów. Nie był monitorowany, czego mogła się spodziewać, mimo to zanim wyrzuciła do kosza szpitalny kitel, najpierw dokładnie rozejrzała się po okolicy. W zasięgu wzroku stało kilkanaście tirów i kilka osobówek, a za nimi ściana lasu. Skryty za chmurami księżyc czasem nieśmiało przebijał się i rzucał blade światło na zaparkowane ciężarówki. Luta objęła się i potarła ramiona, bo nagle zrobiło się bardzo zimno, a po pozbyciu się lekarskiego fartucha pozostała jej tylko cienka bluza i dżinsy. Wtedy odezwała się jej komórka. Odebrała.

– W północno-wschodniej części parkingu czeka na panią samochód – poinformował ją ten sam głos. – Czarny mercedes o numerach rejestracyjnych FZ jeden zero zero osiem L. Kluczyki znajdują się przy przednim lewym kole. Proszę to potraktować jako prezent od firmy.

– Firmy? – zapytała.

– Myślę, że to określenie idealnie obrazuje naszą obecną relację. Proszę udać się do domu i odpocząć. Po wszystkim, co w ostatnich dniach pani przeszła, bez wątpienia należy się pani solidna dawka zdrowego snu.

– Chciałabym najpierw usłyszeć moje dzieci.

– Nie pani tu wydaje polecenia, ale ponieważ zależy nam na owocnej współpracy, jestem w stanie przychylić się do pani prośby.

Luta była kompletnie skołowana. Wiedziała, że cokolwiek się wydarzy, musi teraz zachować maksymalną czujność. Czegoś od niej chcieli i jeśli zadali sobie tyle trudu, aby ją przymusić do współpracy, też zapewne poszli na jakieś ustępstwa. Musiała tylko wybadać, na ile może sobie pozwolić. I koniecznie dowiedzieć się, z kim ma do czynienia.

– Cześć, mamó. To ja, Franek – przywitał się syn. Jego ton był nad wyraz spokojny i opanowany. Poczowała wielką radość, potem ulgę, w końcu dumę.

– Cześć, kochanie. Czy wszystko z wami w porządku? Czy traktują was dobrze? – zapytała, starając się nie rozkleić i zachować możliwie neutralny ton. Syn bez wątpienia zdawał sobie sprawę, że znalazł się w tarapatkach, ale nie chciała go dodatkowo straszyć.

– Kiedy po nas przyjedziesz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Wkrótce, synku. Wkrótce znów będziemy razem. Czy jest z wami wujek Tuncay?

– Tak. Uczymy go polskiego.

– To świetnie. Jestem z was dumna. Bądźcie grzeczni i słuchajcie poleceń tych ludzi. Ja już wkrótce po was przyjadę.

– I zastrzelisz tych bandziorów?

– Chryste, Franek...



W słuchawce dało się słyszeć trzask, krzyk syna i wiązaną paskudnych rosyjskich przekleństw. Wyobraziła sobie tę scenę, a potem poczuła gwałtowny przypływ niemocy. Teraz przynajmniej miała już pewność, że to żadna sztuczna inteligencja. Tak bezczelny potrafił być tylko Franek.

– Ma pani odwážnego syna. I bystrego – odezwał się mężczyzna po drugiej stronie. – Cenimy sobie taką postawę, dlatego tym razem Franek nie poniesie konsekwencji. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Luta wyobraziła sobie, jak miazdży facetowi krtań, a potem skręca mu kark. Musiała jednak zachować kontrolę.

– Kim jesteście i czego ode mnie chcecie? – zapytała.

– Zakładam, że zdążyła już pani do pewnych rzeczy dojść sama.

– GRU, SWZ?

– Nie ma znaczenia, jakim skrótem będziemy się posługiwać. Liczy się to, nad czym obecnie pracujemy.

– Zatem nad czym pracujecie?

– O tym dowie się pani w odpowiednim czasie.

– Zatem dlaczego ja?

– Zadaje pani zbyt wiele pytań, ale ponieważ bardzo w panią wierzę, jestem gotów na nie odpowiedzieć. Czy już znalazła pani kluczyki? – Luta akurat dotarła do samochodu. Pokażny SUV wyglądał bardzo okazale. Nowy, błyszczący, jakby dopiero co został odebrany z salonu. Schyliła się, aby wymacać kluczyki, po czym otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Mężczyzna po drugiej stronie najwyraźniej wykorzystał tę chwilę, aby zapalić papierosa, bo najpierw dało się słyszeć zgrzyt odpalanej zapalniczki, a potem skwierczenie przypalanego tytoniu. – Czy już pani umościła się w siedzeniu?

– Tak. – Luta włączyła silnik i powoli wycofała.

– Zatem pyta pani, dlaczego zwróciliśmy uwagę akurat na panią... – Mężczyzna zaciągnął się papierosem. – Cóż... pani dokonania mówią same za siebie. Tak naprawdę od dłuższego czasu znajdowała się pani w kręgu naszych zainteresowań. Pół-Polka, w której żyłach płynie turecka i ukraińska krew. Zna pani języki, nabyła doświadczenie i posiada absolutnie wyjątkowe umiejętności, przyznam, że nawet jak na nasze standardy. O ostatecznym wyborze zdecydował jednak przypadek, a wszystko zaczęło się od akcji w Świebodzinie...

Luta słuchała uważnie, próbując wychwycić jakikolwiek fałsz, ale mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru usilnie czegoś ukrywać. Bez wątplenia był dobry w te klocki, prawdopodobnie szkolony i doświadczony w najróżniejszych psychologicznych rozgrywkach. Postanowiła, że będzie grała pokorne ciele, a każde jego słowo zapamięta, aby w wolnej chwili odtworzyć rozmowę i znaleźć jego słabe punkty.

– To była głośna sprawa. I szeroko komentowana przez media – kontynuował mężczyzna po drugiej stronie. – Akcja zwróciła też naszą uwagę, bo po pierwsze, została przeprowadzona z zegarmistrzowską precyzją, a po drugie, tak z Majskimi, jak i Ozalanami od lat łączyła nas ścisła współpraca. Jak zakładam, zdążyła już pani poznać jej charakter. – Mężczyzna ponownie się zaciągnął. – Oczy-

wiecie nie daliśmy się nabrać na te bzdury, które później opowiadał w mediach nadkomisarz Zygmunt Szatan. Chyba tylko polskie służby uwierzyły w tę wersję wydarzeń, ale od czasu gdy umieściliśmy wam na stołkach bandę tych kretynów, a tekę ministra obrony dostał nasz człowiek, polski wywiad rozsypał się, choć chyba bardziej miarodajnym stwierdzeniem byłoby: przestał istnieć. Wiedzieliśmy jednak, że zapijaczony glina nie byłby w stanie tego sam zorganizować, więc gdy dokonaliśmy analizy i okazało się, że wszystko zaczęło się od porwania pani córki, temat Lutosławy Karabiny wrócił na wokandę. Oczywiście musieliśmy upewnić się, że nasze założenia nie są na wyrost, dlatego najpierw trochę powęszyliśmy, a potem przystąpiliśmy do działania. Pomysł, aby wykorzystać panią do ostatecznej rozprawy z tymi muzułmańskimi oprychami, miał dwa główne cele. Po pierwsze, sprawdzić, czy pani rzeczywiście jest warta naszego zainteresowania, a po drugie, raz na zawsze wyczyścić Niemcy z tych upartych i tak chciwych kozojebców.

– Chcieliście wejść w ich buty...

– Pośrednicy dziś już nie mają racji bytu. Świat się globalizuje, a my mamy nieograniczone możliwości. Poza tym za bardzo urosli w siłę, a Niemcy to zawsze Niemcy. Odwieczny wróg, którego lepiej zdominować, niż z nim walczyć. Nadsza pani?

– Zainscenizowaliście śmierć moich dzieci, aby wykorzystując fakt, że nie mam już nic do stracenia, moimi rękoma dobić, a przynajmniej jak najmocniej osłabić i tak już mocno pokiereszowany klan. Sprytne... – Luta robiła dobrą minę do złej gry, bo właśnie wyobrażała sobie, że wyrwa facetowi serce gołymi rękoma. – Nie rozumiem tylko jednego. Jakim cudem przekabaciliście Borysa. Przekupiliście go? W jakiś sposób mu zagroziliście?

– Jeśli to poprawi pani humor, to namówienie go do współpracy nie było łatwym zadaniem. Ale od lat pracował dla nas, a Grupa Wagnera jest złożona z najemników, których wbrew obiegowej opinii bardzo dokładnie lustrujemy, zwłaszcza tych, którzy są wybierani do elitarnej Ligi. Gdy w papierach wyszło, że pochodzicie z tego samego miasta, temat zaintrygował nas jeszcze bardziej. Po nitce do kłębka doszliśmy, że szkoliliście się w tej samej jednostce, a następnie razem trafiliście do Iraku i Afganistanu. Fakt, że Borys po odejściu z JWK postarał się o pracę u nas, też był symptomatyczny, więc zaczęliśmy go sprawdzać. Kiedy zorientował się, że coś jest nie tak, próbował po cichu opuścić nasze szeregi. Ale nie było to zbyt mądre z jego strony, bo przygotowaliśmy się na taką ewentualność i zanim zdążył przyszykować wszystkie papiery, zaprosiliśmy do siebie jego kobietę oraz dwójkę pięknych bliźniąt. Naprawdę są wyjątkowo...

– Borys nie ma dzieci – zaprotestowała, ale szybko ugryzła się w język. Co ona mogła wiedzieć?

– Cóż... – Mężczyzna znów mocno się zaciągnął. – Tak to jest, że nawet przyjaciele mają przed sobą tajemnice.

– A ten cały Chan? To też wasza robota?

Mężczyzna zarechotał, jakby to pytanie wyjątkowo go ubawiło.

– Z tymi Tatarami na Krymie to tylko problemy są. Ale cóż... tak. Rozegraliśmy to podobnie jak w przypadku pani przyjaciela. Nie daliśmy mu wielkiego wyboru.

– Tylko tak potraficie zmusić człowieka do posłuszeństwa, prawda? – Ton Luty stwardniał i od razu tego pożałowała. Nie mogła być tak szorstka. Nie mogła prowokować tego mężczyzny. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Może sobie pani myśleć, co pani chce, ale to wyjątkowo skuteczny sposób, aby wymusić na człowieku posłuszeństwo, prawda? – Teraz to w tonie mężczyzny wybrzmiała nutka szyderstwa.

– Czego ode mnie chcecie? – Zmieniła temat.

– O tym dowie się pani już wkrótce. A tymczasem na dziś wystarczy. Proszę jechać ostrożnie, bo drogi są śliskie, a pani jest z pewnością zmęczona. Wolelibyśmy, aby pani ograniczyła też kontakt z panem Szatanem i niejakim Emilem Poleskim. Nie planujemy ich zwerbować, dlatego zależy nam na dyskrecji i omijaniu tematu naszej współpracy szerokim łukiem. No chyba że chce pani, abyśmy jednak się nimi zainteresowali...

– Z tego, co wiem, to na podwórzu Szatana leży już jeden trup...

– Tym bardziej pragniemy, aby sprawy nie wyolbrzymiać. Nie jest to potrzebne żadnej ze stron. Może pani oczywiście dalej się z nimi widywać, wszak nie chcemy wzbudzać podejrzeń. Mimo wszystko sugeruję ograniczyć kontakt do niezbędnego minimum.

Nie było sensu dłużej ciągnąć tej rozmowy. W tej chwili i tak nie miała szans, aby poznać konkrety, więc dłuższa dyskusja mogła jedynie zadziałać na jej niekorzyść. Nie chciała wysłuchiwać kolejnych zakazów czy sugestii dotyczących tego, jak ma teraz żyć. A facet miał rację co do jednego – musiała odetchnąć i porządnie się wyspać. Co prawda nie miała pojęcia, czy po tym wszystkim zdoła zmrużyć powieki choćby na godzinę, ale jeśli chciała jakoś wybrnąć z tej sytuacji, musiała być wypoczęta i gotowa na wszystko.

– Będę czekała na sygnał – oznajmiła i choć bardzo, ale to bardzo pragnęła raz jeszcze usłyszeć głos swoich dzieci, powstrzymała się przed wyartykułowaniem tej prośby i zamiast skamleć, rozłączyła się.

Do domu dotarła, nie odzywając się ani słowem. Oczywiście było, że w samochodzie jest podsłuch i GPS, więc nie dzwoniła również do Szatana i Poleskiego. Aby jej nie nagabywali albo zaniepokojeni brakiem kontaktu z jej strony po prostu nie posunęli się do jakiejś głupoty, wysłała im jedynie lakoniczną wiadomość, że wszystko jest w porządku i odezwie się następnego dnia. Uznała, że z nimi rozmówi się w bardziej sprzyjających okolicznościach, gdy sama wszystko sobie poukłada w głowie.

Już na miejscu najpierw możliwie dokładnie sprawdziła mieszkanie pod kątem zainstalowanych pluskiew, ale o dziwo nie natknęła się na ani jedną. Poza tym żadnych oznak bytności obcych, poprzestawianych mebli czy bibelotów na półkach i blatach. Dom wyglądał dokładnie tak samo jak w momencie, gdy go opuszczała. Wzięła więc gorącą kąpiel, zrobiła sobie kolację, zaparzyła herbatę i położyła się na sofie. Włączyła telewizor, w międzyczasie szukając w internecie

informacji dotyczących wydarzeń na Hansenie. Przejrzała wszystkie najważniejsze platformy newsowe i większość stron norweskich. Nie znalazła nic, więc wyjęła z oprawki zdjęcie z dziećmi i przyłożyła je sobie do serca, chwilę popłakała, a potem padła ze zmęczenia.

# Epilog

*Trzy dni później*

Luta zaparkowała swojego starego passata pod płotem, za którym znajdowały się podmiejskie ogródki działkowe. Zgasiała silnik i przez chwilę siedziała w bezruchu. Nie miała wątpliwości, że dziś ktoś za nią łązi, ale wątpiła, aby to był człowiek wysłany przez nieznanego Rosjanina. To mogły być służby polskie, norweskie, niemieckie, a nawet tureckie, bo już następnego dnia po jej powrocie do domu w mediach wybuchła bomba. Siedemnaście trupów na Hanse nie i co najmniej siedem wyrzuconych na brzeg fiordu nie mogło przejść bez echa. Trąbili o tym na każdym kanale, począwszy od polskich, a skończywszy na CNN czy BBC. Nie przejmowała się z tym zbytnio, bo niby czym. Że ją z tym powiążą? Nawet jeśli, to – pomijając bilety promowe – nie mieli żadnych dowodów, a jedynym człowiekiem, który mógłby zeznawać w tej sprawie, był stary garus „Czaszka”. On natomiast prędzej dałby się pokroić w talarki, niż powiedzieć policji choćby słowo, które mogłoby sprawić, że Luta miałaby z tego powodu kłopoty. Bandycki honor mu na to nie pozwalał.

Poza tym czy ktoś mógłby o taką akcję podejrzewać kobietę? Owszem, w niektórych kręgach, zwłaszcza służb specjalnych wszelkiej maści, znajdowali się ludzie, którzy rozumieli, że po świecie chodzą jednostki potrafiące dokonać rzeczy, wydawałoby się niemożliwych, ale posądzenie o to samotnej matki dwójki dzieci byłoby w swej śmiałości co najmniej ryzykowne. Założenie jej ogona już prędzej. To wpisywało się w ewentualne procedury, ale szczerze wątpiła, aby jakiegokolwiek służby wpadły na jej trop tak szybko. Jeśli cokolwiek na jej temat wyciekło, to najbliższej mieli Polacy, ale w ostatnich latach poziom, jaki prezentowała rodzima szkoła, predestynował ich bardziej do kopania rowów niż piętrowo skomplikowanych operacji, zwłaszcza w porozumieniu z kolegami z zaprzyjaźnionych krajów Zachodu.

To właśnie dlatego zdecydowała się pozatlatwiać wszystkie sprawy tak szybko, jak to możliwe. Drugiego dnia od razu wybrała się do Szatana. Zastała go, gdy upychał w bagażniku swojego opla worki z resztką wapna. Nietrudno było się domyślić, do czego mu było potrzebne.

– A jednak ci się udało – powiedział, gdy wysiadła z samochodu. Wyrzucił niedopałek do rowu i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Hakana już nie ma. Ozalanowie już się nie podniosą – odparła bez większego entuzjazmu w głosie.
  - Wszystko opowiesz mi później, ale skoro już tu jesteś, to pomóż mi z tym wapnem. Niestety, Władymir, choć szkolenie nie poszło na marne, już nie...
  - Nie chcę tego słuchać. Powiedz mi tylko, czy ta kwestia została załatwiona.
  - Trupa nie znajdują. To ci gwarantuję.
  - To mi wystarczy. Emil jest u ciebie?
  - Pojechał do domu. Ostatecznie sam go posyłem, bo nie chcieliśmy dodatkowych pytań.
  - Ty go posyłałeś? – Uśmiechnęła się blade.
  - Szatan ma do zaoferowania więcej, niż ci się wydaje. Nie tylko ty jesteś taka super hiper.
  - Będzie się babrać?
  - Nie sądzę. To przelotówka. O tu. – Szatan złapał się za mięsień łączący szyję z barkiem. – Rana trochę krwawiła, ale to nic groźnego. Porządnie ją wyczyściłem, a potem zszylałem. Nawet całkiem ładnie.
  - To dobrze. Naprawdę dobrze.
  - Ty za to chyba nie do końca w humorze, co? Co tam się wydarzyło?
  - Tak jak powiedziałam. Ozalanowie już się nie podniosą.
  - Nie pytam o nich... Pytam o...
  - No właśnie lepiej nie pytaj. W tej chwili to już ciebie nie dotyczy.
  - Żartujesz? – Szatan się obruszył.
  - Nie żartuję. Wiesz, z kim tańczyłeś i kogo posypałeś tym wapnem. Od teraz to już nie ma z tobą nic wspólnego. Jesteś starym gliną, więc powinieneś rozumieć, że czasem nie ma sensu drążyć.
  - Daj spokój. – Szatan machnął ręką. – Moja rodzina nie żyje. Teraz nawet Władymira mi zajebali. Myślisz, że ja się czegoś boję? Ja już nie mam dla kogo żyć. Nie mam nic do stracenia. Ozalanowie, Ruscy, wszyscy to jeden grzyb. Dlatego wiesz...
  - Po prostu odpuść.
  - Jak sobie chcesz, Lutka. Ale wiedz, że ja za tobą jak w dym. Zawsze.
- Szatan wyrzucił niedopałek do rowu i wyciągnął do niej pokrytą białym nalotem dłoń. Ucisnęła ją mocno, a potem się pożegnali, on skupił się na upchnięciu w bagażniku resztki worków, a ona z powrotem wsiadła do samochodu. Emila odwiedziła tylko po to, aby przestał się martwić i nie narobił głupot. Był do tego zdolny, czasem wrywny i chyba ostatnio za bardzo nasiąknął aurą, którą wokół siebie roztaczała. Jego decyzja o powrocie do chałupy Szatana tylko utwierdziła ją w tym przekonaniu. Poczuł się silny, chciał pomóc, zaangażował się, ale dla niego to były za wysokie progi. Ci ludzie byli zdolni do wszystkiego, a nie chciała, aby coś mu się stało, dlatego wytłumaczyła mu jak krowie na rowie, że jeśli mają się dalej spotykać, musi wsadzić głowę pod zimny prysznic.
- Wracamy do starego układu – oznajmiła oschle. – Widujemy się raz w tygodniu, w wiadomym celu. Potrzebuję czasu, aby sobie to wszystko poukładać. Potem zobaczymy.

Emil chyba nie był zadowolony i nawet nie próbował tego ukrywać, ale ostatecznie pogodził się z postawionymi przez Lutę warunkami dalszej współpracy. Cokolwiek by mówić, miała pełne prawo, aby na jakiś czas się odciąć, choćby dlatego, że w świadomości obu przyjaciół wciąż była matka, która zaledwie dwa tygodnie temu straciła dwójkę ukochanych dzieci. Nowe fakty oczywiście musiały pozostać dla nich tajemnicą, przynajmniej do czasu, gdy nie postanowi inaczej.

Odwiedziła też matkę i brata, ale tam spędziła jeszcze mniej czasu. Wpadła się przywitać, sprawdzić, czy Krystyna po śmierci wnuków nie wpadła w kolejną depresję, a Nikos nie zaczął pokątnie pić albo ćpać. Na szczęście nie dostrzegła żadnych niepokojących symptomów, choć atmosfera spotkania była ponura jak nigdy wcześniej.

Westchnęła na myśl, która nagle zakiełkowała w jej głowie. Czasem podobne się pojawiały, ale choć stosowała wszystkie możliwe socjotechniki, nie była w stanie się od niej zupełnie uwolnić. Ile by dała, aby cofnąć czas? Nie pójść do tego cholernego parku rozrywki, nie wsiąść z Frankiem do tego pieprzonego wagonika? Wtedy to wszystko pewnie by się nie wydarzyło, a ona dalej prowadziła swoje zwykłe, nawet trochę nudne życie, ale z dziećmi u boku i Emilem gdzieś tam w długoterminowych planach, jeśli w ogóle.

A teraz odchodziła od zmysłów.

Minęły trzy dni, a Rosjanin do tej pory wciąż nie oddzwonił. Z jednej strony zaczynała się niepokoić, z drugiej zdawała sobie sprawę, że tacy ludzie nie rzucają słów na wiatr. Co planowali? Czego tak naprawdę od niej chcieli? I jak to wszystko znoszą jej dzieci? Wiedziała, że nie może brnąć w tego typu rozmyślenia, bo to psychicznie mogłoby ją wykończyć, a umysł musiała mieć w najbliższym czasie ostry jak brzytwa. Mimo to nie mogła się od podobnych myśli uwolnić. Nie przeszkodziło jej to w wykorzystaniu tych dni, aby pogrzebać przy sprawie. Z dostępnych źródeł wywiedziała się wszystkiego na temat Nikołaja Iwanowicza Tuchmanowa, historii jego dojścia do tak gigantycznego majątku, siatki powiązań z władzą w Rosji, jak i politykami z krajów Zachodu, w końcu genezy założenia przez niego bandyckiej armii najemników szerzej znanych jako Grupa Wagnera. Dużo było w tym niedopowiedzeń, ale potrafiła czytać między wierszami, a spomiędzy nich wypełzła postać bezwzględnego manipulatora, który przywdziawszy się w kolorowe piórka, czarował kontrahentów w Niemczech, Anglii czy Francji, aby później wsiadać w prywatny odrzutowiec i lecieć gdzieś do zapomnianego przez Boga kraju Afryki Środkowej, gdzie w sposób już dużo mniej wysublimowany dopinał interesy z lokalnymi kacykami czy bandami tak zwanych partyzantów, którzy partyzantami byli tylko z nazwy, bo większość czasu spędzali na terroryzowaniu całych wiosek albo dokonywaniu rzezi własnych obywateli. O samych wagnerowcach wiedziała wystarczająco dużo i do tej pory nie mogła uwierzyć, że trop krymski nie dał jej do myślenia. Przecież to właśnie oni w 2014 roku jako pierwsi wkroczyli na ten teren, ostatecznie Krym anektując i przyłączając do Rosji. Świadomość, że być może właśnie tam znajdują się teraz jej dzieci, przyprawiała ją o mdłości, zwłaszcza że sytuacja geopoliti-

tyczna była wyjątkowo napięta i wszystko wskazywało na to, że zbliża się otwarty konflikt.

Czy w ogóle istniała jakakolwiek szansa, aby odbić je z rąk tych rzeźników? Nawet tu miała wsparcie. Najpierw Szatan, później Borys. Właśnie, Borys...

Raz jeszcze rozejrzała się po okolicy i nie dostrzegłszy zagrożenia, wysiadła z samochodu. Uważnie taksując okolicę, skierowała się do głównej bramy, a następnie na swoją działkę. Nie mogła przestać myśleć o tym sukinsynu, który od momentu ucieczki spod szpitala wyparował i zamilkł jak ostatni tchórz. Nie mogła tego zdzierżyć. Był jej przyjacielem, prawie bratem. I nawet jeśli zrobił to w obronie swoich bliskich, to taka zdrada w jej oczach jawiła się jako niewybaczalna. Wmanewrował w to jej dzieci, sprowadził na nie niewyobrażalną traumę i oddał bandzie najemnych bandytów, którzy dla zorganizowania tej podłej mistyfikacji poświęcili życie dwójki innych, zapewne dokładnie wyselekcjonowanych, aby podobieństwo było uderzające i mogła uwierzyć, że miazga spod walca to ciała Werki i Franka. Na tę myśl zbierało jej się na wymioty. Jakież to było obrzydliwe, jakież okrutne i nieludzkie. Ci ludzie nie mieli żadnych hamulców, byli gotowi zabijać bez mrugnienia okiem nawet niewinne dzieci. Jak, do jasnej cholery, Borys mógł upaść tak nisko?

Musiała poznać odpowiedź. A przynajmniej spróbować ją uzyskać.

Po wejściu do domku na działce od razu otworzyła skrzynię. Wciąż była w połowie pełna. Wyjęła jeden z czterech pozostałych telefonów. Stara Nokia 3210 nadawała się do takiej rozmowy idealnie, więc otworzyła pokrywkę i wcisnęła jedną z nieużywanych dotąd kart. Włączyła urządzenie. Mały ekran rozbłysnął niebieskim światłem. Wbiła numer, ale się zawahała. Czy aby nie popełnia błędu? Ile razy o tym myślała, nie była w stanie zliczyć. Rosjanin nie zabronił jej kontaktować się z Borysem. A przynajmniej tego nie wyraził. Zacisnęła palce na telefonie z taką siłą, że dało się słyszeć trzask obudowy. Nie wytrzyma. Musi zadzwonić. Musi, bo się udusi. Bo zwariuje.

Gdy już miała nacisnąć na zieloną słuchawkę, jedna z desek na ganku zaskrzyphiała. Zastygła w bezruchu. Ten, kto ją śledził, zapewne właśnie stał za drzwiami i jeśli był profesjonalistą, jej szanse były co najwyżej marne. Zaklęła w myślach, bo znów straciła czujność i dała się podejść. Znów padła ofiarą własnych niekontrolowanych emocji. Była jak na widelcu.

– Kim jesteś i czego chcesz? – zapytała, nie odwracając głowy.

– Przyjacielem.

Znała ten głos, ale poczuła, jakby doświadczyła déjà vu. Powoli odwróciła się, odłożyła telefon na stół i uchyliła drzwi. Na ganku stał postawny mężczyzna w puchowej kurtce z kapturem i w okularach przeciwsłonecznych. Ten sam, który wcześniej mignął jej dwukrotnie na osiedlu.

– Wejdz.

Otworzyła drzwi. Mężczyzna minął próg, a Luta przed zamknięciem kontrolnie otaksowała wzrokiem okoliczne działki.

– Bez obaw. Jesteśmy tu sami – powiedział gość. – Pół dnia za tobą chodzę, aby sprawdzić, czy nie masz ogona.



– Co tu robisz?

– Tak witasz starego druha?

– Powiedzmy, że mam powody. Co tu robisz? – powtórzyła.

– Wiem, że to na Hansenie to twoja robota. I nie wykręcaj się. Pracowałeś tam, a jest tylko jedna osoba, jaką znam, która byłaby w stanie dokonać czegoś takiego.

– No to chyba jestem w czarnej dupie, bo jeśli to takie oczywiste... – przejrzała, gdyż jej głos nagle się załamał. Zmieszana, odwróciła wzrok.

– Masz kłopoty, prawda? – zapytał mężczyzna.

– Nie sądzę, abys mógł mi pomóc i...

Jej głos zaczął drżeć. Przelknęła ślinę i przytknęła dłoń do ust. Nagle zdała sobie sprawę, że kompletnie nie panuje nad sytuacją. W jednej chwili ogarnęła ją potworna niemoc, poczucie totalnej bezsilności. Nie miała już siły udawać, a do jej oczu napłynęły łzy. Pociągnęła nosem, a potem emocje wzięły górę i pękła.

Przysunęła się do mężczyzny, a ten objął ją i przytulił niczym dawno niewidzianą córkę. Szlochała długo, on milczał. Pozwolił jej na to. Wiedział, że nawet najtwardsi żołnierze czasem muszą wyrzucić z siebie nawarstwione emocje, wypłakać się, oczyścić umysł i duszę, aby w odpowiednim czasie wrócić do formy i stanąć na wysokości zadania. Miał doświadczenie, znał ludzi złamanych przez wojenne życie. Ból, cierpienie i śmierć nie były mu obce.

– To wszystko było na nic... – jęknęła, wtulona w pierś mężczyzny. – Co ja teraz zrobię? Oni wciąż mają moje dzieci. Oni...

– Cokolwiek się dzieje, nie zostaniesz z tym sama – odparł mężczyzna.

– Nie rozumiesz...

– Więc pozwól mi zrozumieć. Pozwól nam zrozumieć...

– Nam?

Luta odkleiła się od mężczyzny i wyraźnie skrzepowana swoim niekontrolowanym wybuchem zaczęła intensywnie przecierać policzki. Jego głos w jakiś sposób dodał jej otuchy.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Pamiętasz jeszcze?

– Pamiętam, ale...

– Afganistan się skończył, w Iraku też nie ma roboty. Chłopaki siedzą na dupach i obrastają tłuszczem, a że połowie z nich kiedyś te dupy uratowałeś, to widząc, co się dzieje, nie mogą na nich usiedzieć. Jeśli potrzebujesz pomocy, na jutro w gotowości stanie pół oddziału.

Luta poczuła, jak do oczu napływa jej kolejna fala łez. Nie spodziewała się tego. Po tym, co wydarzyło się w Qal'a-i-Najil, jasno wyrazili swój stosunek do decyzji, jaką wówczas podjęła.

Zdradziła ich. Okłamała. Zawiodła.

Tylko po to, aby chronić Borysa.

Pociągnęła nosem, odetchnęła, wytarła z policzków ostatnie łzy. W jej głowie wciąż szalała nawałnica nieuporządkowanych myśli, a duszą targały skrajne emocje. W całej tej kotłowaniu na pierwsze miejsce wybijał się strach o dzieci, który wydawał się absolutnie paraliżujący. Bo co, jeśli Rosjanie dowiedzą się

o tej rozmowie? Co, jeśli kapitan też jest w to zamieszany, a to po prostu kolejny test? Jak powinna się zachować, gdy na szali wisi życie Franka i Werki? Czuła, że zaczyna tracić grunt pod nogami i zaraz wpadnie w jakąś otchłań obłądu.

Wtedy w kieszeni jej spodni wybrzmiał sygnał telefonu. Poczowała, jak po plecach spłynął jej lodowaty dreszcz. Wyjęła urządzenie, z przerażeniem spojrzała na kapitana Żywuskiego, po czym z duszą na ramieniu wcisnęła zieloną słuchawkę.

– *Zdrastwujcie, towarzyszc Karabina* – przywitał się mężczyzna po drugiej stronie. – Czy jest pani gotowa do wykonania zadania?

Mięsień pod jej lewym okiem nieznacznie drgnął. Luta Karabina odpowiedziała „tak”.

# Od Autora

Pisząc pierwszy tom przygód Luty Karabiny, byłem pełen obaw, czy ta historia przypadnie Wam do gustu i czy w ogóle będzie sens ją kontynuować. Gdy pracowałem nad drugą częścią, nie miałem już podobnych wątpliwości. Uznałem też, że jeśli w *Prawie matki* wystawiłem główną bohaterkę na tak ciężką próbę, w kontynuacji muszę ją przeczłogać jeszcze bardziej. Ale żeby w pełni uwolnić tkwiący w niej potencjał, postanowiłem sprawić, aby nie miała już nic do stracenia...

Pewnie wielu z Was zastanawia się, czy postaci takie jak Luta istnieją naprawdę. Otóż tak, i nie mam tu wcale na myśli mojej przyjaciółki Agi, która jest jej pierwowzorem. Wystarczyło porozmawiać z kilkoma oficerami polskiego wywiadu, z których jeden otwarcie przyznał, że sam kiedyś taką „Lutę” szkolił, a jej umiejętności specjalnie nie odbiegały od talentów fikcyjnej Karabiny. Ta kobieta mieszka w Polsce, chodzi po naszych ulicach, podobno wygląda bardzo niepozornie, niczym przysłowiowa szara myszka. Poza tym, jak to ów oficer wywiadu ujął, na świecie jest wiele zaprawionych w boju żołnierek, w tym po przeszkoleniu w jednostkach specjalnych, które w podobnej sytuacji – co niewykluczone – mogłyby szukać sprawiedliwości na własną rękę. I nawet jeśli to tylko czysta fikcja, a główna bohaterka powieści jest mocno podrasowana, to czy kobieta o podobnym potencjale nie mogłaby się urodzić i być wyszkolona w Polsce?

W książce wykorzystałem też kilka motywów, które wymagają wyjaśnienia. Przede wszystkim temat platformy wiertniczej. Od dłuższego czasu Wydawca zamęczał mnie pytaniami o to, czy z racji mojego doświadczenia nie mógłbym umieścić akcji w takim miejscu. Długo się wzbraniałem, bo sądziłem, że to może być po prostu nudne, a także trudne do wyobrażenia dla kogoś, kto nigdy tam nie był. Ale że nigdy nie mówię nigdy, w końcu się ugiąłem, zwłaszcza że fabularnie takie rozwiązanie wpisywało się w tę historię idealnie. Postanowiłem więc, że skoro przez ponad siedem lat pracowałem fizycznie na tego typu konstrukcjach, to właśnie nadarzyła się okazja, aby to wykorzystać. Na miejsce akcji wybrałem jedną z takich platform, która w rzeczywistości nosi nazwę Aasta Hansteen i od kilku lat operuje już na Morzu Północnym. Pracowałem na niej od jesieni 2017 do lata 2018 roku podczas testów, dokładnie takich jak opisane w książce, budując rusztowania, w tym te najbardziej skomplikowane: rusztowania podwieszane

lub jak kto woli, wiszące, dlatego postarałem się odwzorować ich konstrukcję niemal jeden do jednego. Pewnym problemem było czytelne przedstawienie technicznych detali, dlatego w dużej mierze (poza drobnymi wyjątkami) zrezygnowałem ze specjalistycznego języka na rzecz opisanie akcji w sposób zrozumiały i możliwy do wyobrażenia dla każdego. Czy mi się to udało – ocenicie sami. Wszystkie zaś fakty dotyczące pracy w takich miejscach, procedur bezpieczeństwa, pogody, funkcjonowania takiej konstrukcji podczas sztormu czy technicznych rozwiązań w tego typu siatce tuneli zostały zachowane.

Klub The Flame nie istnieje, ale kilka razy w życiu zdarzyło mi się bawić w Neukölln i podobnych lokali jest tam całkiem sporo. Turecka dzielnica słynie z dobrych imprez i rzeczywiście mieszka tam sporo Polaków. Dla jasności (bo w posłowie *Prawa matki* jakoś mi to umknęło), sam klan Ozalanów też jest moim wymysłem, choć tego typu potężne rodziny tureckie od lat są zmorą berlińskich organów ścigania i można je traktować jako klany mafijne, których częstym źródłem dochodu są między innymi handel żywym towarem i obrót narkotykami.

Nikołaj Iwanowicz Tuchmanow – w cyklu przedstawiony jako rosyjski oligarcha, który dorobił się na przemyśle stalowym – to postać fikcyjna, ale już najemna Grupa Wagnera, której w książce przewodzi, oczywiście jest prawdziwą formacją. Z racji pojawienia się na kartach książki Borysa od początku zakładałem, że dla uwiarygodnienia postaci wykorzystam motyw właśnie Grupy Wagnera, ale przez myśl mi nie przeszło, że krótko po zakończonej redakcji i wysłaniu książki do Wydawcy prawdziwy lider tej zbrodniczej formacji Jewgienij Prigożyn zapisze się w historii marszem na Kreml, a potem zostanie wyeliminowany. Do tematu wrócę w trzecim tomie, na który mam już pomysł i – jak zapewne się domyślacie – także tym razem Luta nie będzie miała lekko.

Czas na podziękowania. I tu chciałbym zacząć od Agi. Dziękuję ci bardzo za to, że wspierałaś mnie przy pisaniu tej historii i na każdym etapie jej powstawania miałaś mnie na oku. Dzięki ci za te wszystkie godziny spędzone na pogaduchach, ale też za te bardziej wymagające, na macie czy strzelnicy. Wszystkie uwagi bez wątpienia nie tylko pozwoliły mi wejść w skórę samej postaci, lecz także zrozumieć mechanizmy działania umysłu zdeterminowanej kobiety i matki. Kobiety i matki, która nie ma nic do stracenia...

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie moja ukochana rodzina i przyjaciele, którzy byli inspiracją, ale także bardzo mi pomagali na każdym etapie powstawania tej historii. Zacznę od rodziców i dzieci; moje dzieci są dla mnie inspiracją na co dzień, a jak zapewne się domyślacie, pewne zachowania Franka i Werki są wzięte z życia moich szkrabów, Kuby i Lenki. Wielkie dzięki, dzieciaki!

Pragnę też podziękować wieloletniemu przyjacielowi i trenerowi brazylijskiego jiu-jitsu z zielonogórskiego Octopusa, Krzysztofowi Figurze, na którym nigdy się nie zawiodłem i który poza tym, że regularnie wyciska ze mnie siódme poty na macie, to zawsze bez owijania w bawełnę ocenia pierwszą wersję każdej mojej książki. Ukłony dla wszystkich przyjaciół z platform i rafinerii w Norwegii, w szczególności dla: Kamana, Głównki, Damiana, Daniela i świętej pamięci Łukasza, którzy na różnych płaszczyznach pomogli mi najbardziej. Wszystkie nasze

wspólne projekty pozwoliły mi poznać ten fach i masę niezwykle ciekawych ludzi. Szczególnie chciałbym też podziękować wybitnemu ekspertowi i zarazem przyjacielowi Jarkowi Weidemannowi, który po latach mojej nieobecności na platformie wiertniczej na wszelki wypadek sprawdził, czy nie doznałem pomrocności jasnej i nie popełniłem jakiegoś głupiego błędu, a dodatkowo podrzucił mi jeszcze fajny pomysł na unicestwienie kilku Ozalanów. Ogromne podziękowania należą się również byłemu kierownikowi w dziale sportowym „Gazety Lubuskiej” Andrzejowi Flügelowi, który – jako że wcześniej był wychowawcą w więzieniach i aresztach – uratował mi skórę przed walnięciem naprawdę durnej gąfy. Gdyby nie on, to Aleksander zostałby zaatakowany przez Chana w stołówce, a stołówek w polskich aresztach po prostu nie ma.

Za pomoc w ustaleniu składu mikstury podanej w strzykawce Hakanowi Ozalanowi dziękuję patomorfologowi Robertowi Krzywickiemu, a za wszelkie informacje na temat procedur policyjnych – tradycyjnie Romanowi Czarneckiemu. Najlepszych merytorycznych konsultacji dotyczących spraw szeroko pojętego wywiadu udzielił mi były oficer Leszek Adamiec, któremu również nisko się kłaniam.

Bardzo dziękuję całej ekipie Wydawnictwa Czarna Owca, zwłaszcza Katarzynie Słupskiej, Annie Bukowskiej i Annie Szymańskiej, Adamowi Dzikowi i Markowi Korczakowi, którzy wciąż mocno we mnie wierzą i nieustannie dają mi szansę rozwoju. Za kolejną świetną okładkę jestem wdzięczny Krzysztofowi Rychterowi, a za redakcję Ewie Skibińskiej. Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniałem z imienia, a którzy przyczynili się do powstania *Nic do stracenia*.

Na koniec kłaniam się Wam, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki. Mam nadzieję, że historia Luty Karabiny i Zygmunta Szatana spełniła Wasze oczekiwania i choć na chwilę stała się odskocznią w tych trudnych czasach. Trzeci tom planuję wydać prędzej niż później – tym razem Lutka stanie do walki z tymi, którzy od blisko dwóch lat nie dają nam spokoju. Ale zanim weźmie się za Ruskich, wróci ktoś, kogo również bardzo cenicie i lubicie...

Ufam, że widzimy się już wczesną wiosną. Raz jeszcze dzięki za wszystko i do zobaczenia wkrótce!

Pozdrawiam serdecznie  
Przemysław Piotrowski